DZWONEK.

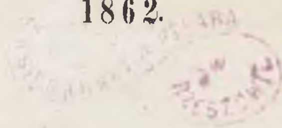
PISMO DLA LUDU.



Boga dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Tom VII.

LWÓW,
Nakład i druk E. Winiarza.
1862.



Spis rzeczy
zawartych w tomie VII.

I. Żywoty Świętych, legiendy i rozmaite historye święte:

II. Powiastki, gawędy, opowiadania i obrazki z historyi polskiej:

III. Wiersze.

IV. Piękne przykłady.

V. Rady, przestrogi i rozmaite nauki:

VI. Różności:

VII. Myśli i przypowieści:

Tom VII. Nr. 1.



1. Lipca 1862



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Grobowy krzyż.

W Białej, pół mili od Magierowa, wedle chaty Marcina Pawelca, zeszła się kupka ludzi, i rozmawiała cicho pomiędzy sobą. Co który nadszedł, wstąpił do otwartej chaty, a powróciwszy ztamtąd, przyłączał się do reszty przed chatą stojących, i kiwając głową zaczynał wraz z nimi gawędzić.

— I takci wam bez świętej spowiedzi umarł — prawi jeden — nie pamiętają nawet ludzie, aby ten człowiek kiedy się spowiadał.

— Bo też jego i w kościele mało kto nadybał — rzecze kościelny — a gdy się kiedy pokazał, to jak on pies nieprzymierzając, co wszystko obwącha, skręci ogonem i pójdzie.

— A czemuż żona nie posłała po księdza? — zapyta się Walek Krupa.

— A byłoż to kiedy posełać po księdza — odrzeknie jakiś chłop zamaszysty — kiedy on zapiwszy się, ledwie przylazł do chałupy, a już wódczysko zapaliło się w nim, i umarł straszną śmiercią, jakby nie człowiek. Zresztą może i był je-

szcze jaki ratunek dla niego, gdyby to żona była jak należy; lecz kiedy to oni nigdy ze sobą nie żyli w zgodzie.

— Albož to nie wstyd ludzki — odezwie się stary Maciej Polowy — kiedy zaraz po jego śmierci baba wyniosła się z chałupy, i aż dopiero sąsiedzi pościągali się, umyli trupa, i własną starzyzną okryli grzeszne ciało, bo w chałupie nie było ani łacha, aby palec obwinąć, a ledwie kilka lat jest temu jak nieboszczyk był jeszcze zasobnym gospodarzem, a przez to pijaństwo styrał wszystko do nogi. Zrazu to go żona trochę wstrzymywała, ale gdy jej nieboszczyk nigdy dobrego nie dał słowa, ale za co bądź bił i katował, to się potem kobiecisko rozżaliło, a nakoniec tak rozpiło, że już ani myśleć o ratunku!

— Niech go tam Pan Bóg sądzi — zawoła kościelny — bo nam się nie godzi źle mówić o umarłych; ot lepiej niech mu każdy daruje urazy, i westchnie za duszę jego.

Jakoż wszyscy rzekłszy: — Niech mu Bóg tego nie pamięta — zaczęli się powoli rozchodzić do domów.

Byłem ja tam właśnie u mego krewnego, i przysłuchiwałem się z nim tej całej rozmowie. Więc gdy się zaczęli ludzie rozchodzić, poszedłem i ja odwiedzieć umarłego.

Na brudnym tapczanie stała trumna, czyli prędzej skrzynia zbita z czterech spruchniałych desek, a w niej leżał trup z siną twarzą, o nabrzmiałych oczach i z rozczochranym włosem, a jakąś starą płachtą okryty. Strasznie wyglądał on nieboszczyk, powiadam wam moi bracia, ażem się przeląkł zrazu, bo ani jednej żywej duszy nie było koło umarłego, ani świeczki, ani obrazka, tylko cztery gołe, okopcone ściany. To też pomodliwszy się za nieboszczyka, wyszedłem prędko od niego.

Niebawem nadszedł ksiądz, i pokropił ciało, a czterech chłopów zanieśli je niedaleko na cmentarz, pochowali i prosty drewniany krzyż postawili na grobie pijaka.

Tego samego dnia jeszcze wyjechałem, lecz w miesiąc jakoś wypadło mi znowu po interesie udać się do Białej.

Wieczorem, gdyśmy z moim krewnym siedzieli na przyzbie przed chatą, przechodzi koło nas sługa kościelny i zagada:

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków — odrzekliśmy prawie razem, a mój krewny doda jeszcze — a co mój kumie, nie wyrwało krzyża tej nocy?

— A już nie, dzięki Bogu — odpowiedział kościelny — a pożegnawszy nas, odszedł, bo mu gdzieś było pilno.

— O jakim to krzyżu mówiliście?—rzeknę ja do krewnego.

— Jakto!... więceście wy jeszcze nic o tem nie słyszeli?

— A nic — odpowiem.

— Aleście byli tu wtedy, gdy Marcina Pawelca chowali?

— No, i co z tego?

— Otóż posłuchajcie mój Jacenty, co się to dalej stało. Skoro nieboszczyka pochowali, przychodzi na drugi dzień kościelny na cmentarz, bo musiał tamtędy iść do swego pola, i patrzy, a tu na wczorajszym grobie nie ma krzyża, jeno gdzieś tam daleko na boku. Zdumiał się nie mało stary, bo wiedział dobrze, że krzyż był wsadzony w ziemię jak się należy; lecz nic nie mówiąc podniósł krzyż, i wkopał go na swoje miejsce. Ba, lecz przychodzi na drugi dzień, a tu krzyż znowu wyjęty, na trzeci to samo, jakby kto naumyślnie to czynił.

Zbiegła się więc na wieść o tem cała gromada na cmentarz, i nuż dziwować się i tłumaczyć, coby to oznaczało. Jedni obstawali przy tem, że to jest oczywista kara Boża, kiedy krzyż nie chce ostać się na grobie tego grzesznika, który nie wart, że go święta ziemia przyjęła; a drudzy mówili znowu, że to po prostu musi ktoś robić zbytki, i dlatego potrzeba zasiąść w nocy na cmentarzu, aby się o tem przekonać. I zaraz tej samej nocy kilku co odważniejszych chłopów z grobarzem ukryło się w krzakach niedaleko grobu Pawelca. Aliści w nocy naraz coś zaszumiało, silny wiater powstał, wszystkich tych czatujących jakby coś zaślepiło, i skoro tylko zaczęło świtać, znaleźli znowu krzyż leżący na ziemi. Tu już nie było innej rady, jeno pójść do księdza i jemu całą tę rzecz rozpowiedzieć.

Ksiądz wysłuchawszy wszystkiego uważnie, udał się z procesją na cmentarz, pokropił grób święconą wodą, modlił się, i sam na nowo krzyż zakopał do ziemi. Ale i to nie wiele pomogło, bo na drugi dzień krzyż znowu leżał wyrwany.

Tutaj krewniak mój przestał na chwilkę, a zapaliwszy lulkę tak mię zapyta:

— No i jak wam się widzi, mój Jacenty, coby to mogło być takiego?

— A któż tam może wiedzieć! Ja pierwszy raz słyszę o czemś podobnem!

— No to posłuchajcież dalej — odrzeknie, i mówi:

— Nasz ksiądz, co to jak wiecie niedawno u nas nastał, nie znał dobrze nieboszczyka, i dlatego zwołał kilku starszych z gromady do siebie i żądał, aby który, co znał dobrze zmarłego Marcina Pawelca, opowiedział mu życie jego, miarkując, że tym sposobem dowie się o przyczynie, czemu krzyż nie chce stać na grobie. Na drugi dzień więc zgłosił się mój sąsiad Wojciech, co najlepiej znał nieboszczyka i jął opowiadać, jako Marcin Pawelec był jedynym synem zasobnego gospodarza, i jako nie brakło mu za życia niczego, jeno chęci do pracy, od której go odwodziła karczma, gdzie nieraz i całe noce przesiadywał. I zdarzyło się, że razu pewnego zebrało się z Marcinem kilku młodych nicponiów, między którymi był też i Wojciech, a gdy sobie trochę podpili, odezwie się któryś: „Ano ktoby teraz poszedł sam jeden na cmentarz?“ a było to już koło północy. „Ja pierwszy!“ zawołał Marcin, i założył się o garniec okowity, że pójdzie na cmentarz, a na znak tego wyciągnie krzyż z którego grobu i przyniesie. Zgodzili się wszyscy, i nie wyszło i pół godziny, jużci Marcin był nazad z krzyżem, a stanąwszy w kąt go rzucił, który będąc już trochę spróchniały, rozpadł się na kilka kawałków. Od tego czasu Marcin coraz częściej się upijał, i wpędził rodziców ze zgryzoty do grobu, a zostawszy sam, ożenił się z bogatą, lecz leniwą dziewczyną. Z miesiąc może żyli jakoś po ludzku ze sobą, ale gdy nieboszczyk zapiwszy się, dziwa wyrabiał ze żoną, wtedy ona nie dochowywała mu wiary małżeńskiej, a zaglądając coraz częściej do kieliszka, powtarzała sobie: Dobry trunek na frasunek. Nie minęło i pięć lat, a jużci oboje całą ojcowiznę i miano styrali do ostatniej koszuli, a Marcin przesiadując cały dzień w karczmie, nie zaglądnął ani razu do kościoła, nie spowiadał się, i tak marnie życie zakończył.

Ksiądz chwilkę podumał, a potem odezwie się: „A nie wiecie Wojciechu, z któregoto grobu Marcin nieboszczyk wtenczas krzyż wyciągnął?“ Przypominał sobie Wojciech i przypomniał: a ksiądz rzekł wtedy, że może co temu zaradzi. Jakoż kazał co prędzej zrobić piękny krzyż drewniany, i — ot wczoraj właśnie poszliśmy na cmentarz. Wojciech pokazał grób, z którego nieboszczyk krzyż wyjął, a ksiądz kazał na to miejsce ów nowy krzyż postawić, poświęcił jeszcze raz grób Marcina, i kazał tam także jego wyrzucony krzyż zakopać, poczem pomodliwszy się, rozeszliśmy się do domu.

I oto już tej nocy, jak mówił kościelny, nie wyrzuciło krzyża z grobu.

— No no — odezwę się ja — ktoby się spodziewał, że za taki zbytek pan Bóg i po śmierci karać będzie.

— A kto to może wiedzieć — odpowie mój krewniak — czy to jeszcze i inna temu nie była przyczyna?...

Poszedłem potem na cmentarz, oglądnąłem obydwa groby, pomodliłem się za nieboszczyków, a powróciwszy do domu, rozpowiadałem w całej wsi o tem zdarzeniu. Miarkując zaś, że z życia tego nieboszczyka nie jedno można sobie wziąść za przestrogę, opisałem to i dla was bracia kochani.

Jacenty z Magierowa.

Modlitwa kmieci.

O! przenajświętszy Ojcze nasz na niebie,
Wesprzyj nas łaską swą w każdej potrzebie,
Bo w Tobie mają ufanie biedacy:
Błogosław pracy!

Odwracaj od nas Boże, głód straszliwy,
A urodzajem poszczęść nasze niwy,
Niechaj twój rolnik nie zazna niedoli,
Błogosław roli!

Nie karz nas Panie deszczami zbytniemi,
Ni zbytnim żarem nie wysuszaj ziemi,
Daj nam czas dobry i w zimie i w lecie,
Błogosław kmiecie!

Niech w naszych chatach mieszka święta zgoda,
Niech je omija ogień, zła przygoda,
A daj nam poznać pożytek oświaty,
Błogosław chaty!

Nie daj nam Panie upadku w oborze,
Niechaj zarazy omijają zboże,
A biednych ludzi omijają troski,
Błogosław wioski!

Tym, co nas często ratują w potrzebie,
Dobrym dziedzicom daj pomoc od siebie,
Zlej swą opiekę na łąki i bory,
Błogosław dwory!

Spraw Panie, byśmy kochali się wszyscy,
Bogaci, biedni, i wielcy i niscy,
Od nienawiści ochroń nas pobudek,
Błogosław ludek!

Niech każdy człowiek wielbi Imie Twoje,
Do łask nam swoich otwieraj podwoje!
Ty duszo moja od nocy do rana,
Błogosław Pana!

(*Z Kmiotka.*)

Co się to dwom pijakom stało.

Zdarza się, że i pan i sługa łykną sobie czasem, a potem pomięsza im się w głowie, iż żaden nie wie, kto rozkazuje, a kto służy. Ale żeby się pijanym tak znów pomąciło w mózgu, iżby dwóch samych siebie uważali za czterech chłopa, to już rzecz rzadka, a jednakże się tak stało — tylko posłuchajcie.

Był sobie jeden stary wojskowy pan, który prawie całe życie żołnierką się parał i majorstwa się dosłużył. Kiedy w starości z wojska odchodził i szedł żyć na łaskawym chlebie, wziął z sobą jednego wiarusa, który nie wiele co od niego był młodszy i zawsze razem z nim służył w wojsku, a jako człek i żołnierz prosty zawsze bywał u pana majora na posługi. Było temu słudze imię Maciej, z ojca się nazywał Pałasiński, a rodził się tam gdzieś niedaleko Warszawy. Do usługi był to jedyny człowiek, a pana majora kochał bardzo i wszystko by dla niego był zrobił. Jedną tylko miał wadę, ale tę miał też i pan major,

to jest, że lubili sobie łyknąć, i to dobrze. Z początku najczęściej się tak trafiało, że kiedy pan major sobie pociągnął, to i Maciej jakby na komendę tak samo pijany, aż się sprzykrzyło majorowi i powiedział do Macieja te słowa:

— Mój kochany, jeden z nas do kata musi być trzeźwy, więc kiedy się który chce upić, to niech drugiemu zawczasu o tem powie, żeby w takim przypadku ten drugi już tego dnia nie pił.

Zrazu szło to jako tako, aleć potem to przyszło do tego, że ten zawsze zapowiedział, kto się prędzej obudził, gdyż każdy radby był codzień sobie pozwolić, a między panem majorem a Maciejem nie było tam takiego wstydzenia się, jak zwykle między panem a sługą bywa, ale byli do siebie jakoś po starej znajomości z różnych wojen, które razem odbyli, bardzo śmiali.

Razu jednego i major i Maciej ogromnie jakoś dokazują po mieście i od samego poobiedzia ani zajrzą do domu, a właściwie trzebaby powiedzieć do izby, boć pan major jednę tylko izdebkę miał najętą i w niej razem z Maciejem mieszkał i sypiał sobie po wojskowemu.

Późno pod wieczór przyszedł pierwszy pan major do domu, a przekonawszy się, że Macieja jeszcze niema, namruczał się trochę na szelmę pijaka Macieja, że się włóczy do późna w noc, posługi z niego nie ma i pomyślał sobie, żeby to trzeba znowu on dawniejszy zwyczaj wznowić, aby każdy rano zapowiedział, kiedy myśli się upić. Przypomniało się jednak panu majorowi, że szelma Maciej zawsze bardzo rychło się budzi, więc też pierwszy zawsze zdąży zapowiedzieć: a tak major tylkoby na tem stracił, więc lepiej nie zapowiadać.

Tak sobie rzecz rozważywszy położył się pan major spać, ale tak mu się już porządnie pokręciło w głowie, że swoje łóżko ominął, a w maciejowe się położył i zasnął. Trzeba bowiem wiedzieć, że pan i sługa mieli łóżka przy jednej ścianie, jeno że głowy każdy w inną miał stronę.

Za jakie pół godziny przychodzi i Maciej, nadsłuchuje, nie słyszy jakoś pana, bo pan spi właśnie cichuteńko, maca po pańskiem łóżko — próżne; więc znów mruczeć sobie, że stary znów się skuje, a jutro będzie marudził; i tak powoli

położył się spać, nic nie czując, że tam już pan w jego łóżku leży sobie w nogach.

W nocy budzi się pan major i czuje coś obok siebie, maca i chwyta, a toć wyraźnie nogi i to nie małe, więc łaps za nie, boć oczywiście ktoś się do niego zakradł.

Na to budzi się znów Maciej, a czując, że go coś trzyma porządnie za nogi, łapie znowu koło siebie i chwyta także majora za nogi.

— A to jakaś bestyja — myśli sobie major — do mego łóżka się wewalił i jeszcze się na jakieś gwałty puszcza, i za nogi mię chwyta, a toć wyraźnie jakiś napad!— Więc trzyma coraz mocniej.

— Czekaj ptaszku — myśli sobie Maciej — już ja ciebie przed ranem nie puszczę, bo teraz nie chcę hałasu robić i starego budzić, ale mi ty tu nie ujdziesz, a rano to się rozmówimy inaczej! Choćbyś ty ściskał albo nie, to ja się ciebie nie zlęknę i na sucho mi się nie wykręcisz, jenom ciekawy bardzo, co też to za szelma jakaś, że tak się w cudze łóżko wewalił i teraz milczkiem człowieka dusić poczyna.

Więc tedy ścisnął Maciej majorowi nogi, jakby mu je w śruby wkręcił, a major znowu kop go pod brodę, aż Maćkowi zęby szczękły. Tedy Maciej znowu oddaje, a coraz to silniej majora za nogi trzyma.

— Maciek — zawołał major po niedługiej chwili — a toć wstań i zobacz, co tu za bestya jakaś do mnie w łóżko się wewaliła i do nóg mi się przypięła, że się nie mogę przewrócić. Wstawaj stary, bo mi się tego szelmy już i trzymać nie chce.

— Ba, wstawaj! kiedy i mnie tak samo za nogi ktoś trzyma, co się też i w moje łóżko wewalił — odpowiedział Maciej i nuż swojego kuć pięścią po nogach.

Pan major naturalnie zaraz na odwrót Macieja począł obrabiać kułakami i wołać:

— Wstawaj Maciek, bo mój mię na dobre bić poczyna.

— Mój też nie lepszy, proszę pana — odpowiedział Maciej.

— No, to schwyć twego porządnie i wyrzuć z łóżka pijaka, boć to z twojej winy złe tych szelmów tu nadało. Włóczysz się po nocy i Bóg wie, kto się za tobą przywlekł. No, więc ruchaj się opoju, przecież już musiałeś wytrzeźwieć łyktusie!

Tak zawołał pan major, więc Maciej silnie ścisnął nogi majora i nuż wyrzucać z łóżka owego szelmę jakiegoś, co to w nocy w cudze łóżko się wali. Ale major, kiedy poczuł, że go z łóżka jakoś wypychają od nóg, opierał się jak mógł, żeby się jeno nie dać wyrzucić, lecz przeciwnie, żeby wyrzucić owego szelmę, co we własnem łóżku człowieka napastuje i chce z niego wysadzić.

— No, Maciek ruchaj-że się! — zawołał major.

— Ale proszę pana, kiedy mię on też chce z łóżka wysadzić, a opiera się jak wół pod górę.

— Tak samo i mój na mnie się rzuca — powiedział major — ale już ja go wysadzę.

— Dam ja i memu radę — rzekł Maciej — ale już on rękę moją popamięta, póki życia jego.

Więc dopiero się poczęli szamotać a sapać, dopiero jeden nad drugiego się silili i odpierali, aż nareszcie buch! — leżą obaj na ziemi i trzymają się za nogi, a obkładają się pięściami, że to jakby cepami w stodole.

Na ten łoskot ludzie się w domu pobudzili i wchodzi gospodarz, u którego mieszkali, ze świecą w ręku i patrzy, a tu major z Maciejem za nogi się ściskają, a smarują sobie boki, że jeno stęka.

— A najsłodsze imię Jego! W imię Ojca i Syna — powiedział gospodarz. — Macieju, a któżby to na swego pana rękę podnosił?

Teraz dopiero pomiarkowali się owi, że ich tylko dwóch, a nie czterech. Więc się zawstydzili ogromnie, a pan major jakoś niebardzo mruczał, boć on oczywiście najbardziej pobłądził, że się w Macieja łóżko położył.

Poszedł więc każdy teraz w swoje łóżko i dospali do rana spokojnie, ale śmiechu było z tego na długo w całej oko-

licy, gdyż gospodarz tego dłużej niż do rana nie mógł też utrzymać u siebie.

Kieliszeczek jak słupeczek
Jedną nóżką stoi,
Ale szelma, człek go spełnia,
A on w oczach dwoi! *Prz. L*

Piękne przykłady.

List z Jasienicy, w którym jest opisanie Majówki.

Czytałem ci ja raz w Dzwonku, jak to się ślicznie odbył obżynek w Siedliszowicach, i bardzo mi się to podobało, bo się to przecie miło człekowi robi na sercu, jak przeczyta o dobrych i uczciwych ludziach i ich niewinnych rozrywkach.

Bo to już latania po karczmach i muzykach nie cierpię, gdyż tam ludzie tracą cnotę i Boga z serca. Chwała też Panu Jezusowi, że już te grania po karczmach ustają potrosze, a ludziska coraz jakoś stateczniejsi i lepsi. Tak i w naszej wsi Jasienicy, która do tego samego pana należy co i Siedliszowice, i gdzie to ten sam pan tak piękny obżynek sprawił ludziom, muzyki nie bywa, a pijaków coraz mniej. Trafi się tam jeszcze jaki silnie od szatana kuszony, co się tem pokusom oprzeć nie umie a może i nie chce, to też na tych twardych grzeszników aż wstręt bierze spojrzeć jak wracają po targu, a czasem nawet i w świętą niedzielę, z karczmy pijani jak nie boskie stworzenia. Ale przecie Bóg miłosierny, natchnie może i tych, że się upamiętają i poprawią, bo wielkie jest miłosierdzie Boże!

Zato mają tu czasami ludzie inne uciechy, o których chcę pisać, aby też i w innych wsiach nasi bracia po Bogu i wspólnej ojczyźnie co to Dzwonek czytują wiedzieli o tem, i takie sobie uciechy choć czasem sprawiali.

Trzeba wam wiedzieć naprzód moi mili, że mamy tu od lat blisko czterech szkółkę, do której coraz więcej dzieciaczków przybywa. Uczą się tam różnych pożytecznych rzeczy, tak, że jak czasem taki dzieciak zacznie co opowiadać, to z pisma świętego, to z dawnych dziejów, to aż się starsi ludzie zastanawiają. — Otóż to już jedna uciecha naszych uczciwych ludzi-

sków, że się ich dzieci nauczą chwalić Boga, i być później dobrymi gospodarzami i gospodyniami.

A teraz opiszę wam moi mili bracia uciechę, jaką mieliśmy w Zielone Świątki. Oto w pierwszy dzień świąt, po uroczystem nabożeństwie, zaprosili nasi szanowni kapłani i pan nauczyciel dziedzica i innych gości na egzamin mały do szkółki. Radość brała słuchać jak te dziecięta umiały pięknie odpowiadać. Potem śpiewały różne pieśni, nabożne i światowe, ale piękne i moralne.

Na końcu pan dziedzic ucieszony, że się wieśniacze dzieci dobrze sprawują i uczą, rozdał co pilniejszym piękne obrazki i każde z nich mile ugłaskał.

Po południu zaś, wszystkie dzieci szkolne i inne z rodzicami i krewnemi, z chorągwią szkolną i muzyką na czele, to jechali, to szli do pobliskiego lasku na zabawę zwaną majówką. Jechało także kilka bryczek państwa, których zaproszono na wspólną rozrywkę. Gdyśmy przyjechali do lasku, ksiądz katecheta z panem nauczycielem poustawiali dzieci rzędami, które zaśpiewawszy piosnkę o ślicznym maju, rozbiegły się jak ptaszki wolne po lesie.

Ludzie starsi, tak wsiowi, jak i księża i państwo poszli na przeznaczone miejsce do zabawy, i tam na pięknym trawniku pousiadali do posiłku. Poznosili też z bryczek kosze pełne różnych przysmaków, które ksiądz katecheta z panem nauczycielem rozdzielali pomiędzy swoich uczniów, panowie zaś i panie dzieliły się swoim kęskiem jak wystarczyło z innym ludem. Po posiłku zaczęły się dopiero uciechy! Ksiądz katecheta, choć to przecie duchowna osoba, sam się fatygował i zaprowadzał zabawę pomiędzy dziećmi. To też z niego jak i z pana nauczyciela aż pot ciekł, ale ich to cieszyło, że mogą ludziskom i gościom swoim sprawić uciechę.

Tak nam tam miło było bawić się razem i przypatrywać, że migiem wieczór się zaczął robić, więc znowu tym samym porządkiem, ze śpiewami i muzyką w ogromnej kompanji powracaliśmy do domu. Każdy był rad i wesół; a ja pomyślałem sobie: Mój Ty Boże święty! Jak też to miło niewinnym sposobem się rozerwać, bez pijatyki, bez obrazy Boskiej i bluź-

nierstwa, i państwo i wieśniacy razem jak dzieci jednego Ojca niebieskiego i jednej wspólnej matki Ojczyzny polskiej; O, co to za miły widok sercu! Zaraz wtedy przyszło mi na myśl, żeby to opisać do „Dzwonka“ aby też i gdzie indziej wiedzieli, jak to można ucieszyć się niewinnie a uczciwie.

A teraz Panu Bogu was oddaje kochani Bracia!

M. S.

RADY GOSPODARSKIE.

Sposób robienia miodu do picia.

Pan Ignacy Łyskowski w Mileszewach, zawołany gospodarz, wydał wyborną książkę gospodarską, a w tej książce podaje nam sposób robienia miodu do picia, który jak sam powiada, dostał od zakonnika polskiego, co to przez długie lata po dworach jeździł i miód robił.

Trzeba przyznać, że się w tych naszych złych czasach dosyć naprawiamy, albowiem chętnie powracamy do prostych prawych zwyczajów praojców naszych. A miód czy nie jest szczeropolski?

Dla tego też i miód trzeba wydobyć z zapomnienia, zwłaszcza że dobry, zdrowy i tani, a mianowicie jest to napój polski, który nasi pradziadowie pijali. Lepszy to nawet napój, jak kwaśne wina, a niezrównanie lepszy od tej przebrzydłej wódki, która niejednego poczciwego człeka przyprowadza do choroby i do ostatniej nędzy.

Pan Łyskowski powiada, że kiedy na Litwie lub Podolu przyjdziesz do uczciwego chłopa polskiego, to postawi przed tobą dzban miodu, a w jego pasiece znajdziesz kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt uli pszczół. Czemuż to nie jest w całej Polsce? czemu tak nie jest i u nas? Prawda, że już i u nas wracamy się do chodowania pszczół, już niejeden gospodarz ma ładną pasiekę, aleć to jeszcze daleko do tego, jak to dawniej bywało, gdzie prawie każdy gospodarz miał mnóstwo pszczół, i w zimie wieczorem przy kominie z przyjacielem lub miłym sąsiadem swój własny spijał miód. Teraz choć nie jeden ma

pszczoły i miód, to na to je ma, aby miód sprzedał, a nie pomyśli, żeby to także i miodu do picia sobie zrobić. Ja myślę, że dla tego nie robicie miodu do picia, bo go nie umiecie robić; a jak się go nauczycie robić, i jak zasmakujecie owego naszego miodu, to też myślę że i wszyscy nałogowcy nawet porzucą przebrzydłą wódkę, i wrócą się do staropolskiego napoju, co daj Boże jak najprędzej.

Owoż sposób robienia miodu jest następujący:

Na pewną ilość miodu bierze się tyle wody, ile próba pokaże przez wpuszczenie jaja surowego kurzego w tenże rozpuszczony płyn z wody i z miodu. Jeżeli jajo pływa tak, że tylko jak grajcar z wody wygląda, stosunek wody do miodu jest dobry. Woda musi być czysta, a przy rozpuszczaniu w niej miodu i zarazem przy powyższej próbie musi być tylko o tyle ciepła, aby miód się roztopił a nieczystości miodu na wierzch wypływały. Wszelka spływająca nieczystość zbiera się sitem, aż sam czysty płyn zostanie. Ten czysty płyn gotuj w kociołku przez kilka godzin, zbierając troskliwie wszelkie szumowiny za pomocą sita. Chcąc się przekonać, czy miód jest dogotowany, trzeba nieco ubrać z kotła w jakie naczynie, ostudzić i znowu w to puścić surowe jajo; jeżeli jajo teraz nieledwie na połowę z powierzchni wystaje, miód jest dogotowany. Ale godzinę przed tą próbą trzeba wziąść na beczkę miodu 2 funty dobrego i czystego chmielu, zawiązać we worku i razem gotować z miodem przez całą godzinę. Chcąc aby miód nabrał ciemniejszego koloru, rozpal kawał żelaza i zanurz je kilkakrotnie w miodzie.

Będzie i to dowodem, że miód dogotowany, jeżeli żelazo rozpalone po jednorazowem zatopieniu w miodzie zostaje czerwone. Im częściej zanurzysz w miodzie rozpalone żelazo, tem ciemniejszy będzie miód. Potem wylewa się wszystek płyn do kadzi i ostudza się do 18 stopni ciepła, to jest tak, aby był tylko o tyle ciepły, o ile jest ciepłą woda w bagnie wśród upału słonecznego.

Wtenczas weźmij do beczki miodu pół kwarty drożdży (czyli młodzi), wymieszaj dobrze z miodem, nakryj wszystko prześcieradłem i postaw w spokojnem miejscu.

Drożdże muszą być piwne, wierzchnie i świeże. Po kilku dniach, kiedy już miód się wyrobił, biorą się worki, uszyte z cienkiego płutna, łokieć długie a 6 cali w średnicy mające, i u wierzchu obrączką opatrzone, i opierając te worki na dwóch przymocowanych drążkach, wiesza się je, jeden przy drugim, nad inną czystą kadzią. Przez te worki przepuszcza się miód. Kadź musi być przy ścianie oparta i nachylona, aby miód można szklanką do kropli wybierać i zawsze napowrót w worki lać póki nie pójdzie zupełnie czyściutki. Jeżeli worki bardzo nieczystością zapchane, iż płynu nie przepuszczają, trzeba je przepłukać w wodzie i znowu ustawić. Chcąc mieć miód korzenny, gotuj trochę cynamonu, białego imbieru, anyżu gwiazdkowego (badjanu) i gwoździków — wszystkiego po trosze razem z miodem, ale osobno w woreczku.

W końcu dodaję, że w ciepłem miejscu wyrobi się miód w czterech dniach, w chłodnem miejscu musi dłużej robić.

Sz. Niedz.

RÓŻNOŚCI.

Nabożeństwo żałobne i pogrzebanie prochów Sobieskich, królewiczów polskich, w Żółkwi.

Kiedyśmy wam z końcem zimy wiele ciekawych rzeczy o mieście Żółkwi i jego panach, Żółkiewskim Stanisławie i królu Janie III. Sobieskim pisali, ani nam się śniło, abyśmy wam jeszcze tego roku coś osobliwego ztamtąd napisać mogli. Ale prawdą a Bogiem nie żal nam dzisiaj zachodu, bo chcielibyśmy opowiedzieć wam choć krótkiemi słowami o uroczystości, jaka się w mieście tem dnia 16go czerwca bieżącego roku odbyła.

Otóż znalazły się tam we farnym kościele, a to w kaplicy na lewo w podziemnym grobowcu trumny z prochami królewiczów Jakóba i Konstantego Sobieskich, synów sławnego króla Jana III., o których dotychczas tylko z posłuchu i z dawnych ksiąg wiedziano, że gdzieś pod kościołem leżą pogrzebane. Trumny te już bardzo stare były obite srebrnemi ćwiokami, i zawierały prócz prochów z ciał także nieco kości królewskich, zbutwiałe odzienie i puszkę ze sercem królewny Marji Karoliny, wnuczki króla Jana III., a córki królewicza Jakóba, jak to się o tem wszystkiem z napisów i według świadectwa ksiąg starych i ludzi uczonych dokumentnie przekonano. A skoro już na tem rzeczy stanęły, umy-

ślił zaraz ksiądz proboszcz tamtejszy i inni panowie sprawić im nowe trumienki, i po solennem nabożeństwie uczciwie pochować, jak przystało na dzieci tak wielkiego króla. Kazali tedy zrobić podwójne trumienki, z cynku jedne, a drugie dębowe: w pierwsze złożono prochy dostojnych niebo szczyków, razem dopiero z temi w dębowe zabiwszy. Skoro zaś to wszystko przygotowano, rozpisali po gazetach, ażeby każdy coby miał czas po temu przybył na dzień przeznaczony do Żółkwi i tam szczerze i i wspólnie z innymi Bogu się pomodlił i cześć swą oddał prochom synów króla polskiego. Jakoż zebrało się ze Lwowa i z okolicy Żółkwi kilka tysięcy ludzi różnych stanów, bo byli tam panowie, księża, mieszczanie, studenci i wieśniacy, a byli też i tacy co aż z Krakowa, Warszawy, Poznania i Kijowa poprzyjeżdżali. Przyszło też ze Lwowa bractwo od OO. Bernardynów z księdzem na czele, a obok księdza szedł pan siwiutki jak gołąbek z krzyżem pańskim, a za nim pan y i młodzieńce z żałobnemi chorągwiami. Naprzeciw nich wyszła procesja z Żółkwi i przywiodła ich aż do fary. Tam stał już przepyszny katafalk, jarzącemi, czarno ubranemi świecami i lampami obstawiony, a na nim dwie trumienki z cynku z prochami obu królewiczów i sercem królewny, ciało jej albowiem leży w Warszawie. Na trumienkach wypisane były ich cyfry, na wierzchu stała złota królewska korona, a z przodu wisiały na czterych czerwonych tarczach wymalowane herby dawnego naszego królestwa polskiego, to jest orły białe i pogonie. Takie same herby wisiały także i po bokach na ścianach świątyni. Był to widok wdzięczny i wzruszający: te herby naszych ojców, pomniki ich chwały i te prochy święte, które przed laty sto kilkadziesiąt równie nam czuły i Bogu się modliły, a teraz spoczywają w pokoju, dusze ich zaś gdzieś tam w górnych przybytkach wtorują do chóru aniołów śpiewając: Święty, święty, święty Pan Bóg zastępów! i proszą ojca niebieskiego o litość nad nami i nad biedną ziemią naszą.

Już od czwartej zrana czytano ciche msze święte w obu obrządkach, po przyjściu zaś procesji lwowskiej odbyła się najprzód solenna suma żałobna po rusku i parastas, a potem suma łacińska i rekwije. W czasie obu tych mszy śpiewano pięknie na chórze, a obok bramy miejskiej bito raz w raz z moździeży. Po sumie wystąpił ksiądz Wierzchowski proboszcz z Tartakowa z przecudnem kazaniem. Opowiedział nam najprzód w krótkości historję królewiczów i ojca a potem wzywał ich wszystkich, ażeby sława ich nie zginęła nigdy między nami, lecz aby szła z pokolenia w pokolenie, i abyśmy się Polacy i Rusini jako dzieci jednego Ojca w niebie, i jednej matki Ojczyzny kochali wspólnie i jedni drugim ustępywali, abyśmy też strzegli wszystkiego, co hańbić może święte imię Polaka, bo imię to szanowane było pomiędzy wszystkiemi narodami, kiedybyśmy je i wiary świętej od Turków i Tatarów bronili; bo kiedy żyć

będziemy po Bogu i kiedy dawna cnota polska odżyje, za pomocą bożą powrócą także dawne, dobre czasy.

Po tem kazaniu, które wszystkich do głębi serca wzruszyło, podnieśli z katafalku trumienki i wspólnie jak kto stał, panowie, mieszczanie i wieśniacy wnieśli je napowrót do grobowca, który zamurowano, a do którego też włożono opis dnia tego i uroczystości na pergaminie sporządzony, ku pamięci przyszłych pokoleń. Nakoniec śpiewali jeszcze wszyscy i modlili się gorąco do Boga, ażeby miał w pieczy naszą ojczyznę biedną.

Po hojnej składce na rzecz kościoła, sprzedawano srebrne medaliki wybite na pamiątki dnia tego z matką boską z jednej, a wyobrażeniami królewiczów z drugiej strony z ćwioków owych starych trumien. Za te pieniądze wystawiony będzie w kościele farnym przyzwoity nagrobek.

Z kościoła udała się część ludzi wraz z procesją ze Lwowa prostą drogą do domu, inni zaś, osobliwie ci co zdala przybyli, udali się albo do Czeremuszny lub też do Sopuszyna w pobliżu Żółkwi, gdzie panowie tamtejsi równie jak i mieszczanie Żółkiewscy gościnne stoły dla przybyłych zastawili. Z tamtąd już ruszał każdy w swoją stronę z głębokiem wrażeniem w duszy i tą pociechą w sumieniu, że po Bogu uczciwą cześć oddał zmarłym dziatkom jednego z największych królów naszych. I długo, długo potem widzieć mogłeś na drodze do Lwowa i Rawy wozy, karety i bryczki, jadące nieprzerwanym prawie ciągiem, i liczne zastępy pobożnych, pieszych pielgrzymów.

Kto tam był, nie pożałował pewnie zachodu, bo na całe życie będzie miał przed oczyma ten dzień uroczysty. Wy zaś bracia w dalszych stronach naszej ziemi, coście nie mogli brać udziału w tem święcie narodowem, pomódlcie się przynajmniej za dusze ich do Boga, a gdyby was Bóg kiedy do Żółkwi zaprowadził, to nie zapomnijcie wstąpić do fary i odwiedzić grobu ich. Bo wszakżeż wiadomo wam dobrze, że gdyby nie ich ojciec Jan III., król polski, to by tak Niemcy jako i my wszyscy w tureckiej dziś byli niewoli, i nie zasłyszelibiśmy może nigdy o świętej wierze ojców naszych.

M y ś l i.

W jednej parze chodzą z sobą chciwość i rozrzutność. I chciwiec umrze z głodu, że wcale nie użył, i rozrzutny, że nadto użył.

Złe imie jest to ciężar; łatwo go można podnieść, ciężko nosić, a pozbyć się go niepodobna.

Wydawca odpowiedzialny za redakcją: E. Winiarz

Tom VII. Nr. 2.

11. Lipca. 1862.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

MODLITWA BIEDAKA.

W skwarny dzień letni wyszedł ubogi wyrobnik karczować pnie jodłowe w pobliskim lesie. Niebo czyste i pogodne do koła, więc wszystko stworzenie pełne życia i wesela; a on jeden miał smutek na czole. Stanął na wzgórku przy pniaku, przeżegnał się nabożnie i wziął się do pracy.

Przed nim widok cudowny. Tu w dole wioska jego rodzinna, a w niej ludzie wszyscy jemu mili, z którymi tyle lat razem pracował, razem się cieszył i smucił i razem się modlił w kościółku. Po nad wioską sina wstęga dymu zawisła, ale jej przecie nie zasłania zupełnie, i widać chaty wieśniacze, i kościółek gontami obity, białą plebanją i szkołę, a nawet i karczmę na końcu. I cicho we wsi, nie słychać żadnych głosów, bo wszyscy poszli do pracy. Za to w polu wszędzie gwarno i ludno. Kosarze na łące dzwonią w kosy, pasterze chodzą za bydłem i śpiewanie wesołe rozlega się daleko, a tu nad rzeką chłopcy łapią ryby i słychać śmiechy serdeczne i radość z każdej rybki złapanej. Ale wyrobnik ubogi nic nie

słyszy oprócz stukania swojej siekiery, nic nie widzi tylko pniak przed sobą i pracuje ciągle. W koło niego także przeróżne głosy stworzenia, chwalą Stwórcę weseląc się życiem i swobodą: widać chyże skoki koników polnych i słychać ich wesołe świerkanie w trawie; tu przelatuje motyl złoty, usiada blisko na liściu zielonym i roztacza skrzydła mieniące się do słońca, chcąc rozweselić oczy biednego wyrobnika; za nim szumi gałęziami gęsty las jodłowy, słychać tysiączne głosy ptastwa, a lekki wietrzyk donosi miłą woń żywiczną. Ale wyrobnik jakby zapomniał o świecie, nie spojrzy ani razu na te cuda stworzenia, i pracuje bez ustanku, jakby tą pracą chciał odegnać od siebie ciężki smutek co mu piersi gniecie.

W tem ozwał się ze wsi dzwonek kościelny na południe. Na ten głos zastanowił się wyrobnik w swej ciężkiej pracy, oparł omdlałe dłonie na toporzysku i zaczął odmawiać Anioł Pański. Po tej cichej modlitwie, co jak balsam ukojenia wpływa zawsze w dusze stroskane, zniknął na chwilę smutek z twarzy biedaka. Powiódł okiem do koła po pięknym kraju co się przed nim roztaczał, a patrzał się takiem okiem, jak się patrzy człowiek na to co ma najmilszego na świecie.

— Kraju mój ukochany, zawołał głośno, ziemio moja rodzinna, jakiem-że sercem cię miłować!

A nie miał ten człowiek ubogi nic prócz siekiery swojej, którą zarabiał na życie; nie miał własnej chaty, ani własnego kawałka ziemi i był wyrobnikiem.

I spojrzał znowu na wioskę swoją gdzie się urodził; w stronę cmentarza gdzie jego matka leżała; na chaty wieśniacze, na biały dwór pański i na szkółkę przy nim, a potem na drogę co wiedzie do wielkiego miasta, i rzekł smutnie:

— Wszystko nam dałeś Panie Boże w miłości swojej. Dałeś nam ziemię wielką i bogatą, która nam wszystkim matką prawdziwą i każdy choćby najlichszy z niej żyje; lecz czemuż o Panie nie dałeś dzieciom Twoim miłości! Czemuż zawiści brat ubogi bratu bogatemu lepszego domu, lepszego odzienia i lepszej strawy, i obciąża duszę swoją grzechem łakomstwa. O Boże mój! daj mi wytrwać w ubóstwie mojem i w miłości do wszystkich ludzi, aż do końca życia mego.

Tu ukląkł biedny wyrobnik przy pniaku, złożył ręce nabożnie i modlił się gorąco o szczęście ludzkie i o zesłanie ducha miłości między dzieci jednej ziemi.

W tem na drodze od miasta okazała się wielka procesja. Na przodzie szedł krzyż, potem panny niosły obrazy święte, panowie chorągwie kościelne, a w tyle szedł wielki tłum ludu wiejskiego z dalekich stron, i wszyscy śpiewali pieśń nabożną wielkim głosem: Zmiłuj się nad nami!

— Zmiłuj się nad nami! — zawołał biedny wyrobnik — i wzniósł ręce ku niebu, a usta jego szeptały pacierz dziękczynny, że się już zaczyna miłość ludzka na ziemi.

I usłyszał Stróż Anioł modlitwę biedaka, i wziął ją na srebrne skrzydła i zaniósł przed tron Najwyższego, gdzie wysłuchaną została.

A gdy się wypełniły dni żywota jego, zanieśli Aniołowie duszę biedaka między wybranych Pańskich, a Bóg rzekł do niej:

— Duszo cnotliwa, cierpiałaś wiele na ziemi, a przecież nie powstała w tobie nigdy zawiść dostatków, i strzegłaś pilnie zakonu Syna mego: *Miłuj bliźniego jak siebie samego.* Idźże więc teraz duszo wybrana na ziemię twoją rodzinną między lud ubogi, i bądź mu Aniołem Stróżem, aby nie słuchał podszeptów złego, i miłował starszych braci swoich.

Od tego czasu co noc przepływa Anioł biały po nad chaty wieśniacze i wpaja miłość w serca ludzi, która się coraz bardziej krzewi za dni naszych.

NASZA ZIEMIA.

Oj niema ziemi jak ziemia nasza!
Bóg nam ją stworzył rajem i niebem;
Przeczucie głodu nas nie zastrasza,
My jeszcze obcych żywimy chlebem.

Już kłosem złotym nasze równiny
Porosły, szemrząc dojrzałym plonem;
W ogródkach sielskich rosną jarzyny,
Rozkosznie, zdrowo, prostym zagonem.

*

O! Polsko nasza! ty chlebo-rodna,
Toć my od głodu nie będziem zmierać,
Ni w nas postanie ta myśl niegodna:
— Ha, pójdziem obcym chleba wydzierać!

Nad głową naszą sklep nieba modry;
Tam wznosim modły ku gwiazdkom małym,
A Bóg nam daje jako pan szczodry
Pociechę w smutku, pokarm zgłodniałym.

O ziemio nasza! zabrzmij ty chwałą
Jak święci; — świętaś plonami swemi!
W kościołach naszych najświętsze Ciało
W postaci chleba, z rodzinnej ziemi.

Zmierz bracie światy: lądowy, wodny,
Jak Polski naszej nie znajdziesz kraju;
Kiedy ją kochasz, to żyjesz w raju,
Kiedy nią gardzisz — litościś godny.

L. D. z.

Wielkie jest miłosierdzie boże.

Nie rok ani dwa temu, bo jeszcze za czasów ostatniego króla polskiego Stanisława Augusta, żył we wsi Łobzowie pod Krakowem chłopak młody, imieniem Sobek. Ojciec odumarł go wcześnie, a opiekunowie i matka nie wiele na niego uważali i nie napędzali go do uczciwej pracy, radzi że się go z głowy pozbyć mogli. To też Sobek uwijał się cały dzień boży po polach pogwizdując, to znowu po drzewach się spinał za gniazdami ptasiemi; bo ojciec zostawił grunt duży i chałupę nową i sad dorodny przy niej, to żyć było z czego, a matka zwykła mówić:

— Jedyne to dziecko moje, niech sobie za młodu porozkoszuje, na co mu tam jeszcze pracować, póki ja żyję na niczem mu nie zbędzie, jak mnie nie stanie dość będzie czasu wziąść się szczerze do pracy.

Zrazu z nim było pół biedy, była tam bowiem u sąsiada mała dziewczynka Halka, sierota po bracie sąsiada, dobra jak aniołek, a że Sobek bardzo ją lubił i często się z nią bawił, to strzegł się wszystkiego, coby ją ku niemu zrazić mogło. Kiedy zaś pani wsi owej dziewczynkę wzięła na wychowanie do siebie i po niedługim czasie z Łobzowa wyjechała a długo jej widać nie było, zrobił się z Sobka istny hultaj, który nikogo nie minął, by psoty jakiej nie spłatać, ni psa nie nadybał, by za nim kamieniem nie rzucił.

Martwiła się i gryzła stara matka i napominała go teraz, ale słowa jej obijały się o uszy Sobka jak groch o ścianę. Coraz to więcej robił się rozpustny, a kiedy dorósł wziął się do gorzałki i po dniach całych w karczmie przesiadywał, marnując krwawo zapracowane mienie ojcowskie.

Matka wkrótce z żalu umarła, a Sobek objął gospodarstwo na siebie, popłakał trochę i dni kilka nie poszedł do karczmy, lecz za czas jakiś do dawnego powrócił życia. Najął sobie parobka, który zań pracował, a sam pił w karczmie i jeździł po jarmarkach i kiermaszach, bo nie mógł sobie z nudów dać rady, a sąsiedzi ubolewali nad nim i mówili: Mój Boże! ojciec taki uczciwy i pracowity był człowiek, a syn hultaj wszystko przetrwoni i nie poprawi się już nigdy, kiedy go śmierć matki nie poprawiła.

Jednakże Bóg wielki nie opuszcza człowieka nawet w największym upadku. Miłosierdzie jego jest bez granic i przeróżne są sposoby jego, którémi grzesznika do siebie nawraca, i przed śmiercią nie godzi się o nikim mówić, że już zgubiony na wieki.

Razu pewnego w sobotę przed Zielonemi Świątkami zabawił się Sobek przez dzień i noc całą w Krakowie, i świtem dopiero w niedzielę powracał do domu.

Słonko pokazywało się właśnie na niebie, kiedy Sobek dochodził do Łobzowa. Niebo wiosenne było czyste, a ziemia zielona i kwiecista, a na kwiatach błyszczały krople rosy gdyby łzy Stróża Anioła. W gaiku przy drodze odzywał się czasami słowik, a skowronek dzwonił w powietrzu poranną modlitwę do Najświętszej Panny.

Jakoś smutno zrobiło się w duszy Sobkowej na ten widok i na te śpiewy ptasząt. Przypomniał sobie pierwsze lata swoje, kiedy to jeszcze dzieckiem biegał za ojcem i matką po tej zielonej murawie, i załzawiło mu się oko, bo w tej chwili padł wzrok jego na kościółek i cmentarz co tam pod górką się bielił, a w którym ojcowie jego spali snem wiecznym.

To dawne życie jego wydało mu się jakoś tak cudne i pełne miłości i szczęścia, że zapłakał rzewnie, bo przypomniał sobie historją świętą o Adamie, którego Bóg za grzech z raju wypędził, a on w tej chwili widział raj swego dzieciństwa, który utracił na zawsze.

I zadumał się Sobek o smutnym losie swoim i zdawało mu się, że on już nigdy nie może być szczęśliwym, że grzechy jego większe niżby się mógł spodziewać miłosierdzia bożego. Czuł teraz w całej ohydzie dawne życie swoje i rozpacz żarła serce jego, ale nie widział sposobu ratunku. Djabeł poszepnął mu, żeby sobie życie odebrał i kto wie coby się stało, bo rozpacz jego była wielka, a Wisła płynie blisko, a Wisła głęboka.

Jednakże Bóg czuwał nad nim i nie dał mu w tej chwili skruchy i żalu szczerego upaść na nowo. Bo kiedy on tak siedzi i duma, zaleciał go rzewny głos dziewczęcia, i Sobek usłyszał z pełnej piersi wyśpiewaną pieśń „Kto się w opiekę podda Panu swemu.“

Głos ten wstrząsł nim jak wiatr silny powiędłym liściem, i dawne jakieś wspomnienie odżyło w piersi jego. Chwil kilka stał cicho i słuchał z wlepionemi w tę stronę oczyma, ktoby to śpiewał pieśń oną tak dobrze mu znaną z dzieciństwa, bo zdało się mu, że to głos jego Anioła Stróża, o którym już dawno był zapomniał. Nie długo czekał i zobaczył dziewczynę niosącą uzbierane kwiatki polne do kościoła na ubranie obrazu Najświętszej Panny.

Wszystka krew z serca uderzyła mu do głowy, i łzy gorące puściły się z oczów. Sobek poznał Halkę. Jednym skokiem przyskoczył do niej i już miał się jej rzucić na szyję, gdy ona ze zdziwienia i strachu krzyknęła głośno i zaczęła uciekać.

— Nie uciekaj Halko moja, wszakże to ja Sobek, z którymeś dzieckiem się bawiła. Nie uciekaj, bo jabym już teraz bez ciebie żyć nie mógł, skorom cię znowu ujrzał, i zgubiłbym duszę na wieki.

— Halka zatrzymała się i spojrzawszy nań żałośnie rzekła:

— Więc to ty jesteś ten sam Sobek? Mój Boże, co też to z ciebie to pijaństwo zrobiło, jakżeś się ty zmienił szkaradnie na twarzy. Toć to wszystko musi być prawda co mi wczoraj ludzie o tobie powiadali kiedym z panią przyjechała. Idź-że sobie z Bogiem i zostaw mnie w spokoju, bo ja cię takiego ani znać nie chcę, jakim teraz jesteś.

Chciał Sobek coś mówić, ale słowa stanęły mu kością w gardle, widział że Halka ma słuszność, a że nie mógł się wytłómaczyć z teraźniejszego życia swego, więc zamilkł i spuścił w dół oczy jak winowajca.

W tem ozwał się cichy głos dzwonka zwołującego pobożnych na świętą ofiarę do kościółka wiejskiego. Halka zerwała się czemprędzej, i rzekła:

— Ja ci przebaczam, proś tylko by ci Bóg przebaczył, lecz o mnie zapomnij na zawsze. A nim Sobek zdołał odpowiedzieć, pobiegła w stronę kędy się świecił w słonku blaszany krzyż na wieży kościelnej.

Słowa jej ostatnie dobiły Sobka. Stał chwilę niemy, a to spotkanie wydało mu się jakby spotkanie Anioła Pocieszyciela, który go tylko napomniał i znowu zostawił sobie samemu. Żal jakiś nieopisany ścisnął go za serce, i nie wiedząc sam co czyni, szedł nieprzytomny drogą ku Krakowu i stanął nad brzegiem Wisły. Tu szepnął mu zły duch.

— Już nie ma szczęścia dla ciebie na ziemi, skocz do wody, a wszystko się skończy.

Ale Bóg nie chciał jeszcze zguby jego duszy i dał mu w czas opamiętać się.

— O mój Boże! — zawołał Sobek żałośnie — nie ma już dla mnie spokoju na świecie, ale ufam jeszcze w miłosierdzie boże, że mi się jeszcze droga do żywota wiecznego nie zamknęła. Czas już poprawić się; co mnie w życiu spotka przyjmę pokornie jako karę za grzechy moje, byle Bóg był ze

mną, i po cierpieniach doczesnych dozwolił mi oglądać jasność wiekuistą. To rzekłszy odstąpił Sobek od wody i przeżegnał się — i przemógł w nim Stróż Anioł szatana kusiciela.

— Ale cóż począć teraz; nie wracać mi już do zagrody mojej, bobym nie mógł ze wstydu podnieść oczu na ludzi. Ot, pójdę w świat na wędrówkę i na pracę twardą w pocie czoła. Ruszył tedy dalej drogą ku Krakowu, a kiedy był blisko doleciał go gwar jakiś głośny i wyraźny huk strzałów. Spieszy tedy ciekawy coby to było, i w mgnieniu oka stanął w mieście.

Na rynku krakowskim było pełno narodu, panowie, mieszczanie i wieśniaków z kosami siła wielka; stali pomieszani ze sobą, a pośrodku nich na podwyższeniu stał człowiek jakiś w krakowskiej sukmanie i w czapce krakowskiej, który długo coś mówił do narodu.

Byłto jenerał Kościuszko, i wzywał lud cały do obrony kraju przeciwko Moskalom, którzy dwa razy już nachodzili Polskę i dużo jej krajów zabrali, a teraz resztę zabrać chcieli. Wszystko tedy co żyło przystało do Kościuszki, a Sobek dziękował Bogu, że mu nie dał marnie się zagubić i pozwolił w obronie ojczyzny zmyć hańbę dawnego rozpustnego życia.

Niedługo potem przybyło do Krakowa i wojsko polskie z jenerałem Madalińskim i połączyło się z kosynierami Kościuszki, a za dni kilka gdy przyszło do bitwy pod Racławicami, można było widzieć obok dzielnego wieśniaka Bartosza Głowackiego i naszego Sobka, jak dzielnie kosą zmiatał Moskali i szedł śród huku i kul śmiało na działa nieprzyjacielskie.

Co się dalej z nim działo, trudnoby wszystko opisywać, dość będzie powiedzieć, że życie śród trudów wojennych bardzo mu zasmakowało. W Krakowie jeszcze przed wojną wyspowiadał się szczerze i zaprzestał wszelkiej hulatyki, to też po kilku miesiącach odmienił się i z wejrzenia zupełnie. Twarz obrzękła z pijaństwa wyszlachetniała, i Sobek wyglądał na zupełnie porządnego człowieka.

Dopóki stało Kościuszki wojowali nasi a z nimi i Sobek, i jakoś zawsze Bóg go strzegł w ogniu bojowym. Przyszło nareszcie do bitwy pod Maciejowicami. Kościuszko ranny dostał się do niewoli moskiewskiej i Polska upadła. Sobek do-

stał tam silne pchnięcie w pierś od piki kozackiej i cięcie pałaszem przez czoło i upadł bez zmysłów.

Gdy przyszedł do siebie, zobaczył się w porządnym pokoju i próbował powstać. Jakoż udało mu się to, gdyż już zupełnie był wyleczony i tylko nieco jeszcze osłabły. W tem weszła znajoma mu pani z Łobzowa, prowadząc Halkę za rękę. Zdziwił się Sobek i zakrył oczy dłonią. A pani rzekła do niego:

— Nie zakrywaj oczu Sobku kochany, gdyż poświęceniem twojem okupiłeś dawne winy. Bądź dobrej myśli, a Halka zostanie twoją żoną, za twą teraźniejszą cnotę i za cierpienia twoje dla ojczyzny. Jej to staraniem przyszedłeś do zdrowia, i ona cię tu sprowadziła, gdy cię z pod Maciejowic do Warszawy przywieźli, gdzie teraz mieszkamy. Gdy przyjdziesz zupełnie do siebie, ja sama będę przytomną waszemu połączeniu przed Bogiem.

— Oj niechże wam Bóg zapłaci droga pani i tobie Halko moja za tę słodką nowinę, bo już nie myślałem o szczęściu na ziemi, i Bogu tylko i ojczyznie całym się oddał. Lecz teraz nie pora mi myśleć o żonie — teraz gdy Bóg mnie zachował, pójdę do ostatka bić się za wolność.

Zapłakała na te słowa Halka i pani jej, a pani rzekła:

— Już po wszystkiem mój bracie, Kościuszko w niewoli. Moskale kraj cały zabrali i znęcają się teraz nad nami, chyba nas Bóg święty z tej biedy wybawić raczy. Powracaj do roli, pracuj i kochaj twą Halkę, a wychowuj dzieci twe ojczyznie na mścicieli.

Osłupiał Sobek na te słowa i zapłakał też gorzko nad losem ojczyzny i nad naczelnikiem kochanym, a potem rzekł:

— Święta wola boska — niech będzie imię jego błogosławione. Wszak i mnie zrazu cierpieć przyszło, a teraz szczęście do mnie ręce wyciąga. Toć i krainę naszą Bóg kiedyś poratuje.

Niedługo potem połączył ksiądz ręce Halki i Sobka, a Bóg pobłogosławił ich czworgiem ładnych dziatek. W rodzin-

nej wsi Łobzowie osiadłszy żyli szczęśliwie długie lata, a Sobek co roku na Zielone Święta odbywał pielgrzymkę do Kalwarji, podziękować Bogu za cudowne nawrócenie swoje.

Wincenty Srokacz.

Poczciwy wieśniak.

Niedaleko Sandomierza żył w małej wiosce Witowie 90 letni gospodarz Błażej, do którego często schodzili się sąsiedzi, aby się przysłuchiwać różnym ciekawym rzeczom z dawnych czasów, o których wiele umiał opowiadać. Razu jednego w święto i mnie tam Bóg zaprowadził, właśnie gdy Błażej o któryms z krewniaków swoich mówić zaczął. Ta jego opowieść tak mi się podobała, że umyśliłem ją dla nauki drugich w „Dzwonku“ dać wydrukować.

Otóż prawił Błażej w ten sposób:

Dawno to już, dawno, bo jeszcze za polskich rządów mieszkała tu komorą u wójta biedna wdowa Marta z małym synem, któremu na imię było Piotruś. Marta kochała go bardzo i wychowywała w bojaźni bożej; nauczyła go pacierza i przykazań boskich i prowadziła co niedzielę do kościoła na naukę. Gdy chłopiec podrósł nieco, wziął go wójt za pastuszka, a matka nieustawała i teraz nauczać go i upominać, aby bydełka dobrze pilnował i nikomu nie robił szkody, ani nie krzywdził nikogo, bo za to kiedyś ciężki rachunek zdać trzeba przed panem Bogiem. Piotruś słuchał wszystkiego uważnie i tak się od młodości nauczył być poczciwym, że wójtowie wierzyli mu na słowo i kochali go jakby własne dziecko. Widać z tego, co to mogą rodzicielskie nauki, jeżeli często i z serca są udzielane. Ukochał też Piotruś nadewszystko poczciwą pracę i nigdy nie widziałeś go siedzącego z założonemi rękami, ale zawsze wyszukał sobie coś do roboty i z ciekawości nawet siekierką robić się nauczył. Skoro zaś wyrósł, nie chciał go więcej puścić wójt od siebie, ale zatrzymał w domu za parobka,

spuszczając się śmiało i we wszystkiem na niego. Jak zawsze tak i teraz nie obciążył Piotr niczem sumienia swego i Bóg też najwyższy nagrodził tę jego uczciwość, jak wam to zaraz opowiem.

Razu jednego wysłał go wójt do miasta, ażeby tam różnych rzeczy gospodarskich nakupił. Piotr zwijał się tęgo; mimo to zeszło mu w mieście aż do wieczora. A że się jeszcze gęsty deszczyk puścił, zrobiło się bardzo ciemno, tak że ledwie drogę było widać. Nie zważając na to ruszył Piotr z powrotem do domu. Uszedł już spory kawał drogi, aż tu raptem zawadził nogą o coś twardego, i zaczął w ciemności macać, ciekawy coby to być mogło. Nie długo szukał, podnosi i widzi worek dosyć duży, pełny srebrnych pieniędzy. Trafunek ten ucieszył go zrazu bardzo; jednakże idąc dalej pomyślał sobie:

Idź precz pokuso! co cudze, to nie moje; możeć to jaki biedak tę stratę poniósł, może to cały jego majątek, a on tam płacze gdzieś z dziećmi i żoną. A wszak dobrodziej mówił, że kto zguby znalezionej nie odda, to jakby ją ukradł. O nie być mi nigdy złodziejem! Zaraz pieniądze te oddam właścicielowi. Ale gdzież znajdę prawdziwego właściciela?

Tu się zatrzymał Piotruś, a pomyślawszy chwilkę, powiedział sobie:

Toć na to są jeszcze sposoby, pójdę do księdza plebana, on to ogłosi z ambony, a tak może się przecież właściciel znajdzie.

Jak pomyślał tak zrobił. Ksiądz pochwalił go za tę jego uczciwość i ogłaszał kilka razy rzecz całą w kościele, i w mieście także dowiadywał się o tem; mimo to nikt się jakoś po pieniądze nie zgłaszał. Gdy zaś dwa lata z górą upłynęło, każe ksiądz pleban wołać Piotra do siebie, i rzecze mu:

— Oto dotąd nikt się nie zgłasza, a pieniądze jak leżą tak leżą bez najmniejszego pożytku — proszę cię weź je sobie i kup gdzie dobry kawał gruntu i pracuj uczciwie, snać Bóg cię niemi chciał poratować. Gdyby się zaś później znalazł prawdziwy właściciel, to na tem nic nie straci, bo pieniądze będą w gruncie, który będzie mógł sobie potem odebrać, lub też dorobiwszy się wrócisz mu pieniądze, zostając przy gruncie.

Zgodził się Piotr na tę mowę pobożnego kapłana. Zwołali kilku gospodarzy i odrachowali przy nich pieniądze. Było ich dwa tysiące złotych. Za tę sumę kupił Piotr grunt z domem, parę dobrych koni i kilka sztuk bydła, a zagospodarowawszy się, pojął za poradą matki uczciwą dziewczynę za żonę. Kilka lat szczęśliwego pożycia upłynęło, czworo dziatek hożych uwijało się po domostwie, i wszystko szło im jak najlepiej. Aż tu jednej nocy zapukał ktoś z cicha do okna, a za chwilę wszedł przez drzwi jakiś człek podróżny i pochwaliwszy Pana Boga na wstępie, zaczął tak mówić:

— Mój gospodarzu, niedaleko ztąd zepsuł mi się wóz i dzisiaj nie myśleć mi już o dalszej drodze; proszę was zatem o nocleg dla mnie, dla służącego i koni.

Chętnie przystał Piotr na żądanie jego i sprowadził wóz do stodoły, gospodyni zaś zastawiła chleb, mleko i masło, aby się pan i sługa nieco pokrzepili. Nazajutrz skoro świt wstał Piotr i naprawił wóz co prędzej, tak że podróżny zbudziwszy się i spożywszy zastawione śniadanie, bez straty czasu w dalszą ruszać mógł drogę. Przy śniadaniu zaczęła się poufała rozmowa; podróżny rozpowiadał, że jest kupcem z Kalisza, że wraca właśnie z Sandomierza, gdzie był na jarmarku z towarami, i że dziwnem zrządzeniem bożem już drugi raz w tej samej wsi nieszczęście go spotyka.

— Przed dziesięciu laty — prawił podróżny — kiedym tą samą jechał drogą, przewrócił mi się wóz i zgubiłem worek, w którym było dwa tysiące złotych, które wziąłem za towar. Na to rzekł mu Piotr:

— I nie dowiadywał się pan o tę zgubę?

— I owszem — rzecze tamten — pisałem do przyjaciela, ale żadnej odpowiedzi nie odebrałem; potem pilny interes powołał mnie w daleką drogę, i tak rzecz cała przedawniła się i poszła w zapomnienie.

— Oj, co nie poszła, to nie poszła — odpowie mu uczciwy wieśniak — pieniądze wasze nie przepadły — boć ja je znalazłem. A opowiedziawszy jak sobie z niemi postąpił, mó-

wił dalej: Dom i grunt ten i całe gospodarstwo moje do was panie teraz należy, odbierzcie je sobie i sprzedajcie jako własność swoją.

Zdumiał się kupiec nieznajomy na taką poczciwość chłopka, uścisnął mu rękę i rzekł: Litościwy Bóg dawno już łaską swą wynagrodził mi tę stratę, a rzetelność wasza poczciwy człowiecze tak mnie wzruszyła, że nie mógłbym odbierać wam tej zagrody, nad którą Opatrzność święta snać czuwa — żyj szczęśliwy i poczciw jak dotąd, wychowuj dziatki twe w bojaźni bożej i miłości bliźniego, a ja stokrotnie w sumieniu nagrodzony będę, że małą stratą z mej strony przyczyniłem się do szczęścia poczciwego człowieka.

W tej chwili zajechał wóz; a kupiec pożegnawszy uprzejmie rozczuloną rodzinę odjechał w swą drogę.

Tu skończył Błażej opowiadanie swoje, a gdy widział że wszyscy w cichości słuchali, dodał po chwili:

Ten oto Piotr mili bracia był moim pradziadem, do śmierci wytrwał w pracy i w bogobojności, a że szczerze pracował, toć widzicie po tej chudobie i chałupie mojej, gdzie przecież stare kości odpocząć mogą po pracy.

Choć wszyscy jeszcze dłużej słuchać by go chcieli, podniósł się stary Błażej, bo mu pilno gdzieś było, i wszyscy też ruszyli do domów swoich, ja zaś pomyślałem sobie: Mój Boże! jakże to sprawiedliwe sądy twoje, i jako nigdy uczciwego nie opuszczasz. Ot ten Piotr, posiadł z pomocą Twą znaczną fortunę a nie skalał sumienia swego. Innyby może skrycie w takim razie postąpił i nie przyznał się, że znalazł cudzą własność, ale czyżby sumienie jego pozwoliło mu spokojnie używać dobra cudzego, i czyby mu ono wyszło na dobre? Boć jak świat stary, starą jest ta prawda, że krzywdą ludzką nikt się jeszcze nie zbogacił, z prawdą zaś i uczciwością świat cały zejdziesz, a wszędzie towarzyszyć ci będzie błogosławieństwo boże i przyjaźń ludzka.

M. C.

RADY GOSPODARSKIE.

Użytki z jałowcu.

Jałowiec toć już zna każdy, ale nie każdy zna jego własności; nie każdy wie, że wszystko u niego, i liście, żywica, jagody, drzewo i korzenie, a nawet i na nim rosnące grzyby służą nam na pożytek. Dla tego pokrótce to wam opiszemy, co wam z niego może być pożyteczne:

1. Listków kolczystych z jałowcu używać można do kadzenia, aby z izby niezdrowe wypędzić powietrze.

2. Naczynia do mleka wypłókują dobre gospodynie wodą warzoną z jałowcem, przez co naczynia utrzymują się w czystości, i masło nabierze dobrego smaku. Dla tego też

3. Z drzewa jałowcowego robią naczynia do nabiału.

4. Ciepły napój, który się dojnym krowom daje, zaprawia się wodą jałowcową, bo od tego krowy lepiej doją.

5. Jagody jałowcowe ususzone i upalone, potem sparzone gorącą wodą i odcedzone, a napój ten używany jako kawa ma własność rozwalniania; — dobre dla tych co cierpią na kamień lub suche bole.

6. Wiórki z korzenia młodego jałowcu, oraz z drzewa ususzonego, sparzone gorącą wodą i odcedzone, a napój używany jako herbata pomaga na słabości piersiowe.

7. Jałowiec wyborny jest także do wędzenia mięsa.

8. Młode wyrostki odcięte służą nam na laski i biczyska.

Oprócz tego każdy zna jałowcowe piwo, które jest smaczne i zdrowe. Dla tylu zalet nie trzeba jałowcu wytępiać, ale przeciwnie trzeba go sadzić na miedzach, a szczególnie w ogrodach jako żywe płoty, które co do gęstości i piękności wszystkie inne przewyższają. Przez to dwa naraz osiągniemy pożytki, będziemy mieli jałowiec i tanie a trwałe płoty.

Obrywanie kwiecia u ziemniaków.

Zalecają teraz gospodarze obrywać kwiat u ziemniaków i powiadają, że przez to pomnaża się ich plon. Powiadają wprawdzię niektórzy, że obrywanie kwiecia i liści u ziemnia-

ków jest szkodliwem, ale niczem tego nie dowodzą. Co się tyczy obrywania liści, to jest gdy jeszcze są jędrne i nie zaczynają żółknąć, to oczywiście jest szkodliwem, gdyż wszystkie rośliny, a więc i ziemniaki, nie tylko z ziemi za pomocą korzeni ciągną pożywienie, ale i z powietrza za pomocą liści. Więc ten umniejsza sobie zbiór ziemniaków, kto zżyna zielone łodygi lub z nich liście obrywa. Obrywanie jednak kwiecia nie tylko nie jest szkodliwe, ale owszem pożyteczne. Kwiat bowiem aby się rozwinął i wydał owoc, wiele potrzebuje soków z ziemi. Gdy się zatem wcześnie zerwie, już owe soki nie marnują się na owoc, ale obracają na żywność korzeni. Więcej się tedy zawięzuje ziemniaków i większej dochodzą wielkości.

Sposób odstraszenia ptaków od owocu.

Doświadczenie nauczyło, że opasawszy w kilkunastu miejscach drzewo wiśniowe z owocami i liśćmi grubą nicią błękitnego koloru, odstraszysz tem ptaki, albowiem tego się tak ptaki boją, że ani nie usiędą na takiem drzewie, i ani nie dotkną się owocu. A cóż czy nie łatwy i nie tani sposób?

Sz. Niedz.

Utrwalenie płótna do worków gospodarskich.

Dobry sposób utrwalenia płótna, używanego na worki do zboża, płachty żniwowe i do rzepiu, jest następujący: w kotle miedzianym robi się zaczyn garbarski, z 20 kwart wody i 2 funtów dobrego dębowego garbnika. Ten zaczyn przecedza się w stanie gorącym przez gruby płat na płótno złożone w kufie, zalewa dobrze aby zupełnie było w niej zanurzone, i tak pozostawia się w spokojności przez 24 godzin. Po tym przeciągu czasu wyjmuje się płótno z kufy, płócze w czystej wodzie i rozwiesza aby wyschło. Na każde 8 łokci płótna potrzeba 2 funty dębowej kory. Garbnik przejmuje na wskroś włókno lniane lub konopne, i chroniąc je tak samo od butwienia jak skórę, czyni je mocniejszem.

Gw. Ciesz.

RÓŻNOŚCI.

Nowe pożary. Ostatniemi czasy w różnych stronach naszego kraju zniszczył ogień wiele domów, a tysiące ludzi zostało znowu bez chleba i przytułku. Jedne z tych pożarów powstały przez nieostrożność ludzką, a inne podłożone przez złych ludzi, którzy nawet domy boże niszczyć się odważyli.

I tak w połowie maja zgorzał klasztor w Kalwarji pod Przemyślem, sławny odpustami. Ogień podłożył kościelny ze złości do przełożonego, do czego się zaraz sam przyznał.

Na początku przeszłego miesiąca spaliło się znowu miasto Dzików nad Wisłą. Zgorzało tam sto kilkadziesiąt domów i kościół dominikański z cudownym obrazem Najświętszej Panny Dzikowskiej, a około tysiąca ludzi zostało bez dachu. Zaraz też miłosierni ludzie pomyśleli o wsparciu dla tych pogorzelców, i rozpisali po kraju odezwy, aby się każdy czem może do tego przyczynił. Miasto Warszawa, które przeszłego roku tyle nieszczęść doznało i czuje dobrze co to jest niedola ludzka, złożyło się zaraz na pogorzelców Dzikowskich i posłało im pieniądze z takim napisem: Mieszkańcy Warszawy dla braci z Dzikowa.

W ten sam dzień co Kalwarja, zgorzał także stary kościół w Jarosławiu, fundowany przez wojewodę Sandomirskiego Jana Kostkę jeszcze w roku 1570. Około godziny 4-tej z rana nie zostało nic z tej wspaniałej świątyni, jeno okopcone mury i gruzy! Ogień jak powiadają był podłożony przez złego człowieka.

Piszą także w gazetach, że w dzień świętego Jana Chrzciciela, to jest 24 Czerwca zgorzało w Chorostkowie 34 domy, a niedługo potem bo 1 lipca znowu 27 domów żydowskich i dwie bóżnice.

A kiedy te wszystkie nieszczęścia nie mogły być odwrócone, choć się wszędzie ludzie całą siłą do ratowania rzucili, za to we wsi Wietrzychowice ocalał kościół drewniany prawie cudem boskim. Bo kiedy rano pleban tamtejszy wszedł do kościoła, ujrzał boczny ołtarz z obrazem Pana Jezusa Miłosiernego u spodu i na około opalony, a obraz sam nietknięty i ogień już ugaszony. Widać Opatrzność Boska czuwała nad tym kościółkiem, który cały drewniany inaczej byłby niechybnie zgorzał. Tak to Pan Bóg odwraca czasem cudowną siłą nieszczęścia od ludzi, a czasem też spuszcza na nich krzyżyki, aby ich doświadczyć. Otóż parafja Wietrzychowicka zasłużyła sobie na tak wielkie miłosierdzie Boże i na opiekę Jego świętą, bo jak się dowiadujemy, pozakładali tam sobie ludzie szkółki po wsiach za własne pieniądze i wychowują dzieci swoje w nauce i bojaźni Bożej, i sami żyją cnotliwie i po chrześcijańsku; przyczynili się też wiele dobrowolnemi ofiarami do założenia Czytelni przy kościele, gdzie już dużo pożytecznych książek mają dla wygody i nauki wszystkich parafjan.

Wydawca odpowiedzialny za redakcją: E. Winiarz.

Tom VII. Nr. 3.
21. Lipca. 1862.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Stanisław Leszczyński.

Jeszcze za czasów Augusta II, kiedy moskal namówił króla polskiego do wojny ze Szwedami, którato wojna tyle nieszczęść przyniosła dla Polski, że nawet król August musiał na czas pewien wyrzec się korony — już wówczas wspomniano w Dzwonku nieco o Stanisławie Leszczyńskim. Był to znakomity pan polski, wojewodował w Poznańskiem, i wiódł żywot bardzo zacny i sprawiedliwy. Kiedy Szwedzi naszli Polskę, aby się zemścić na Auguście, że ich królowi chciał razem z Moskalem krzywdę uczynić, wielu Polaków przystało do Szwedów, bo wielu nie lubiło Augusta II, raz dla tego iż był Niemcem, a potem także iż nie tak kochał Polskę i o nią się starał jak był powinien. Wiedział o tem szwedzki król Karol, i kiedy pobił Augusta a nawet wypędził go precz z Polski, tak iż wyrzekł się panowania, jął doradzać Polakom, aby sobie nowego obrali króla.

— Dobrzeby to było — odpowiedzieli oni — ale zkąd wziąć takiego króla na razie.

— Nacóż wam frasować się — rzecze Karol — a toć macie między sobą Stanisława Leszczyńskiego, który stworzony na króla. I zacniejszego monarchy pewnie nie wyszukacie, bo on naród potrafi uszczęśliwić jak żaden inny.

Podobała się tą uwaga Polakom, bo niebawem obrali Stanisława na króla, któremu sam August przysłał wnet list z powinszowaniem i życzeniem dobrego zdrowia a szczęśliwego panowania.

Tak zaczął panować król Stanisław. Byłto zaś pan bardzo zacny i sprawiedliwy. Nigdy w życiu krzywdy nikomu nie uczynił, a nawet nieprzyjaciołom swoim dobrze zawsze robił. Także mądry był bardzo, i na panowaniu rozumiał się dobrze, przeto byłby kraj polski uszczęśliwił, bo naród miłował go i słuchał. Jednakowoż inaczej się stało.

Skoro tylko pobili Moskale Karola Szwedzkiego, jął August II na nowo upominać się o koronę polską, i Moskal też z nim trzymał, i groził Polakom wojną, gdyby Augusta nazad nie wzięli. Król Stanisław nie chciał, aby z jego przyczyny miała Polska wojnę z Moskalami; przeto złożył dobrowolnie koronę, a zatem wyjechał na mieszkanie do kraju francuzkiego.

Miał ten Stanisław żonę i młodą córkę Maryę, z któremi razem zamieszkał we Francyi. Żył zaś tam jak całkiem zwyczajny człowiek, a nieraz nawet biedę przyszło mu cierpieć, o co nietrudno w obcym kraju obcemu człowiekowi. Frasował się tem nieraz srodze król Stanisław, i nieraz gorzko nad swojem nieszczęściem zadumał się.

Owoż razu jednego, kiedy tak zafrasowany siedzi i duma, zajeżdżają przed dom jego pyszne kolasy, a z nich wysiadają biskupi i xiążęta francuzcy. Zdziwił się Stanisław, coby to znaczyć miało, i wyszedł na ich powitanie.

— Na rozkaz króla naszego Ludwika przyjeżdżamy do was panie — rzekli Stanisławowi biskupi i xiążęta.

— I jakiżto ten rozkaz waszego króla — zapytał zdziwiony Stanisław.

— Oto pan nasz, król francuzki — odrzekli oni — postanowił ożenić się. Zaś jest przekonany, iż zacniejszej i bogobojniejszej nie znajdzie nad waszą córkę. Przeto rozkazał nam jechać do was panie, i prosić was, abyście mu ją dali za żonę.

Jeszcze bardziej zdumiał się król Stanisław nad tem, a potem szedł już do żony i córki, i opowiedział im całą sprawę. Kiedy zaś córka Marja przystała chętnie na to małżeństwo, nadjechały niebawem królewskie powozy, i zawiozły ją z rodzicami do króla. Wkrótce odbył się ślub, i tak została Marja Leszczyńska żoną najpotężniejszego króla, który jej rodziców bardzo poważał i wielką cześcią otaczał.

Owoż kiedy umarł w Polsce król August II, nie chcieli już Polacy inngo pana tylko Stanisława Leszczyńskiego. Jakoż uprosili go, że wrócił do Polski, i zaczął na nowo panować. Panował on wprawdzie krótko, ale tak zacnie i mądrze, że całkiem inaczej dziać się poczęło. Było naonczas w Polsce dużo swarów i nieprzyjaźni między wielkimi panami, którzy byle o co kłócili się i wojowali. Wszystko to było na wielkie utrapienie ojczyzny naszej. Bo jak tylko kłótnię taką ujrzeli nieprzyjaciele, to wnet imali się strony tego albo owego pana, i nibyto mu pomagali, a patrzyli tylko jakby coś urwać dla siebie. Toćto zdawna rzecz prawdziwa, iż kiedy w kraju kłótnie i swary, to wróg najprędzej mu zaszkodzić potrafi. Bywało tego dość w Polsce, i nieprzyjaciele dla własnej korzyści sami nieraz plotkami swarzyli między sobą możnych panów. Król Stanisław zabiegał temu, i wielką łaskawością a rozsądkiem jednał i godził panów, i swoje krzywdy chętnie im darowywał, i nikogo nie prześladował za wiarę. Ta łaskawość królewska ujmowała bardzo serca ludzkie, i łatwo było przewidzieć, że kiedy tak dalej potrwa, to cały naród stanie się posłuszny królowi, usłucha jego mądrych rozkazów, i podźwignie ojczyznę z upadku i nieszczęść.

Tego zaś w żaden sposób nie chcieli dopuścić nieprzyjaciele Polski, a najbardziej Moskal i Niemiec. Owoż zebrali oni wielkie wojska, i wpadli z niemi do Polski, i przymusili Polaków aby sobie wzięli innego króla, a na tego narzucili im znowu Niemca Augusta III, który był synem Augusta II. Król Stanisław nie miał tyle sił, aby się im mógł oprzeć, bo i

w kraju jeszcze nie całkiem porządek był przywrócony. Przeto musiał uciekać z Polski, i po raz drugi przybył do kraju francuzkiego.

Tam we Francji przyjął Stanisława zięć jego a król francuzki z wielkim szacunkiem, i dał mu na mieszkanie mały kraj osobny, który się zwie Lotaryngią a jest także francuzki. W tej Lotaryngji panował długo król Stanisław, a tak zacnie, sprawiedliwie i mądrze, że lud tameczny przezwał go *Dobroczynnym*, i dziś jeszcze wspomina go ze łzami wdzięczności.

Ale i w tym obcym kraju, zdala od Polski, nie zapomniał o niej Stanisław Leszczyński, który ojczyznę swoją kochał nad wszystko i przez całe życie dla niej chciał pracować. Dlatego założył on w Lotaryngji szkołę dla Polaków, gdzie ich uczono jak mądrze w kraju rządzić i ojczyznę ratować od zguby. Zjeżdżało się do tej szkoły wielu znacznych Polaków, a uboższych sprowadzał Leszczyński sam, i uczyć ich dawał i sam uczył, bowiem bardzo mądry i dobry był pan.

Owoż tym sposobem wyuczył Stanisław dobrze wielu Polaków, i pokazał im jak mądrze krajem rządzić, jak żyć cnotliwie, jak złe sprawy w ojczyźnie wytępić, aby ją dźwignąć z upadku i do dawnej siły a potęgi przyprowadzić. Ci Polacy zaś gdy wrócili do kraju, nauczali drugich wedle porady i nauki dobrego króla Stanisława Leszczyńskiego, którymto sposobem cały naród do coraz większej przychodził mądrości, i coraz szczerzej pracował nad swojem dobrem. Późniejszemi zaś czasy, po śmierci Augusta III, którego historja poźniej będzie opowiedziana, pokazało się jawnie, ile dobrego sprawiły nauki Stanisława Leszczyńskiego, bo cały naród poczynał już sobie jak najlepiej, i jak najgorliwiej pracował około dobra kraju.

Tyleto dobrego uczynił dla Polski król Stanisław, chociaż w niej nie mieszkał i mało panował, a całe prawie życie za granicą musiał przesiedzieć. Pisał on także bardzo mądre książki, w których najlepsze rady dawał Polakom; te xiążki czytano po całej Polsce, i wiele się z nich mądrego uczono. Zgoła cały żywot swój poświęcił Stanisław Leszczyński pracy około dobra ojczyzny.

Zaś aby pokazać jakto należy panować, rządził Stanisław w Lotaryngji tak zacnie i sprawiedliwie, że wszyscy monarchowie za wzór sobie jego brali. A kiedy umarł, to lament i płacz ogólny był w całej Lotaryngji, i lud cały odżałować się jego nie mógł, i wszyscy pamiętali zawsze na dobrego króla Stanisława, jakoż i dziś jeszcze o nim pamiętają, i ze łzami opowiadają każdemu o jego cnotach i łaskawości. Umarł zaś król Stanisław Leszczyński tamże w Lotaryngji roku pańskiego 1766, a więc temu blizko sto lat. I starenki bardzo był kiedy umarł, bo miał lat 89, a głowę jak śnieg bielutką. Naród w Lotaryngji po dziś dzień modli się za jego duszę, więc i nam to czynić wypada, bo dla Polski jeszcze więcej dobrego on zrobił, jakto nieraz pożniej opowiemy.

Śpiewka na żniwo.

Ułożył Wasylko z Kochawiny.

Hej krasne nasze żytko, pszeniczka złocista,
Hej piękne, ciepłe słonko, pogoda ognista,
Hej jasne sierpy nasze, ostre jakby noże,
Hej pójdziem niemi zbierać piękne dary Boże.
Żwawo chłopcy, żwawo dziewki
Imcie się roboty,
A piosenka wesolutka
Doda wam ochoty.

Bóg dobry, Bóg łaskawy, ma swój lud w opiece,
I dał mu więcej ziarnek, jak kropelek w rzece,
A wszystkie takie cudne, ważne i pełniutkie,
A kłosy jak ułany wysokie, równiutkie.
A więc żwawo, dalej żwawo,
Bierzcie się do żniwa,
A przy pracy na cześć Boga
Każdy pieśń zaśpiewa.

Hej Boże, wielki ojcze, na tej polskiej ziemi,
Chwalą Ciebie małe ptaszki śpiewy rozlicznemi,

Chwalą Ciebie za ziarneczka, jakie znajdą w polu,
Za drobne ziarneczka zboża i kąkolu.
Bo ptaszyna chociaż mała
Ale wdzięczna zato,
I wdzięcznie na Bożą chwałę
Śpiewa całe lato.

Jak drobna ptaszyna polska, tak lud polski cały,
Zawsze nosi w swoim sercu pamięć Boskiej chwały,
I dla tej to boskiej chwały żyć chce i pracować,
A co zbierze najlepszego, Bogu ofiarować.
I tak z dawna już bywało
W naszym polskim kraju,
Że lud Stwórcę równo chwali
W głodzie, w urodzaju.

Więc dziś, kiedyś nam o Panie dał tak piękne żniwo,
Bierzem się do pracy żwawo, żwawo nie leniwo,
A do Ciebie prośba szczera z ust i serca płynie,
Coś stworzył daj zebrać Panie, niech marnie nie zginie.
O wysłuchaj modłów naszych
Wielki Panie nieba,
Pobłogosław Twój lud wierny
Nie żałuj mu chleba.

Nie przeklinaj!

Czyli:

Jaka kara boża nawiedziła Paraszkę z Korczyna za przekleństwo.

Opowiedział sierota z Manajowa.

Tuż u podnóża naszych gór Karpat, kędy rzeka Stryj płynie i w niedalekiej odstoji łączy się z bystrym Oporem, leży nad brzegami tegoż Stryja, co to przepłynąwszy dużo kraju naszego wpada do Dniestru a z nim do Czarnego morza, piękna i wielka górska wieś *Korczyn.* Od zachodu przypiera Korczyn do Stryja, na północ otaczają go urodzajne pola, a od wschodu i południa obejmują Korczyn zielonym lasem porosłe góry, mię-

dzy któremi najwyższa, sięgająca wysoko w chmury, nazywa się *„Paraszka“*.

Otóż kiedym rozpytywał ludzi Korczyńskich o tejże górze, bardzo a bardzo stara kobieta, pani Dominikowa, żona szlachcica tamecznego, opowiedziała mi całą historją tej góry, a jako to bardzo czestna kobieta mi opowiadała, tak ja wam tu wiernie to samo powtórzę. Spisałem tę powieść na to, abyście słuchając wzięli sobie dobrze do pamięci i serca, i opowiadając ją sąsiadom i dzieciom waszym przekonywali ludzi, że przeklinanie wielkim jest grzechem, w obec Boga nawyczka szkaradna, a od djabła spadła na ludzi, i że Bóg często bardzo karze za przekleństwo, bo się takowe spełnia na tych, którzy przeklinają.

Posłuchajcież teraz powieści pani Dominikowej.

I.

Gdy się z Korczyna jedzie drogą do Kruszelnicy, która wieś leży ćwierć mili od Korczyna na zachód, to trzeba przejeżdżać przez niewielką rzeczułkę co wypływa ze szczytu góry „Paraszki“ i dostała imie „Parasi“. Jakby na pamiątkę wieczną ta mała rzeczułka „Parasia“ wpadająca do Stryja rozdziela część Korczyna na dwie części, bo po jednej stronie tej rzeczki mieszkają chłopi zwani chodaczkowa szlachta, a po drugiej stronie rzeczki od wschodu zwykli kmiecie.

Dawnych lat, jeszcze kiedy nam panowali nasi najmiłościwsi królowie, którym za dobre panowanie niech Bóg miłosierny w niebie raczy udzielić wiecznego szczęścia, jako użycza po śmierci wszystkim uczciwym ludziom. Za owychto czasów każdy prosty kmieć co wiernie naród swój kochał, a kiedy napadli nasze ziemie nieprzyjaciele, sam z własnej woli na wojaczkę poszedł i tam chwacko się spisał, to wówczas król udzielał takiemu prostemu chłopu pochwałę i za jego trudy na wojnie większy kawał pola i lasu, a zarazem dekret na wojaka, co dawnych lat nazywało się szlachcicem. Bo za dawnych czasów tylko szlachcic musiał w wojsku służyć, a kmieć był wolny od wojaczki i miał zostawiony czas do uprawy roli i do hodowania bydła. Toż kiedy szlachta wojowała, kmieć uprawiał pola, aby było w kraju co jeść i aby drożyzny nie było.

Otóż zdarzyło się raz, że jakiś książe zagraniczny nazbierawszy różnej hałastry z Niemców, Węgrów i Cyganów napadł na ziemie ruskie, i chciał rozbojem zapanować Rusinom. Wówczas jedna część wojska naszego biła się z tem książątkiem koło Halicza, a druga część zaszła od południa rabusiom u sinych wód, gdzie jest do dziś dnia wieś Synowódzko, i nuż strzelać na rabusiów. Wówczas też korczyńscy kmiecie silni jak niedźwiedzie, zebrali się w kupę, zabrali z sobą kostury tęgie, cepy, kosy, siekiery i co kto miał a napadłszy niepotrzebnych gości z nienacka z tyłu, tak potężnie kropili ich, podczas gdy wojsko królewskie z przodu strzelało, że nabiwszy co nie miara, resztę zabrali w niewolę. Książątko cudze uciekło gdzieś na cztery wiatry, a nasi na podziękowanie Bogu za otrzymane zwycięztwo wystawili później na miejscu bójki piękny klasztor Bazyliański, z którego dziś i śladu nie ma, bo tylko krzyż żelazny został.

W całej tej wyprawie korczyńskich chłopów przewodził bogaty młynarz Piotrowski Wasyl z ogromnym toporem w ręku, którym gdy machnął pomiędzy łby rabusiów, to zawsze prawie pięciu ubił, a gdy już na jednego napadł, to pewnie na dwoje rozpłatał. Tak gdy machnął w górę toporem swoim i krzyknął:

— Chłopcy nuże żwawo wal!

To ci się tyle nasypało od gromady korczyńskiej razów na łby rabusiów, jakby deszcz ulewny lunął, a co który palnął, to pewnie ubił.

Za takie sławetne czyny, kiedy się król dowiedział od swego hetmana, jako korczyńscy chłopi nabili rabusiów, to udzielił Piotrowskiemu Wasylowi i wszystkim korczyńskim ludziom, którzy byli na wyprawie, dekret na szlachectwo, i otóż od owego czasu nastała szlachta w Korczynie. Szlachcie tej prócz tego wyznaczył król wiele pola i lasu, i po dziś dzień wiele jest z tej szlachty bogatych ludzi. Sam Piotrowski, jako najtęższy człowiek otrzymał najwięcej ziemi, a że miał wielu synów, to się też rozdzielili majątkiem ojca, a najstarszemu Dominikowi Piotrowskiemu dostał się młyn ojcowski i sławny topor.

Ale też korczyńska szlachta zapomniała niebawem na swoje pochodzenie, i że wszyscy ludzie na bożym świecie są sobie

równi; djabeł naplótł tam w uszy szlacheckie jakieś dziwa o koronach i herbach, plótł także że co prosty kmieć to nie pan szlachcic, bo kiedy się narodowi podoba, to po śmierci króla może lada jakiego szlachcica królem obrać i t. d. A tymczasem dumna szlachta zapomniała, że pierwszy nasz król Piast był sobie prostym kmieciem, i że lada jaki kmieć za sławetne czyny może zostać szlachcicem, chociażby i w sieraku i chodakach chodził. I korczyńska szlachta zgłupiała na namowy djabła, i odłączyła się od braci kmieci a owa mała ›Parasia‹ płynąca z góry ›Paraszki‹ stanowi granicę korczyńskich kmieci od korczyńskiej szlachty.

Długo jednak żyli sobie szlachta i kmiecie w Korczynie w zgodzie i szczęściu, i nic ich nie rozdzielało. Aż oto nastał z powodu wielkiego napadu Turków i Tatarów także Niemców na nasze ziemie wielki głód i nędza po wielu a wielu wsiach i miastach, bo to Turek, to Niemiec, Szwed palił i niszczył wszelki dobytek ludzki, zabierał bydło, i młodych ludzi w dalekie kraje za sobą ciągnąc jak psów na łykach, a tylko starzy i dziecięta zostali na rumowiskach i zgliszczach swoich siedzib, i płacząc i zawodząc chodzili po lasach i tylko zielem, liściami i korzonkami się żywili. W polu było pusto a nie było rąk do pracy, a gdy nie stało korzonków i przyszła zima, mnóstwo ludzi ginęło z głodu i zimna. Synowie szlachty korczyńskiej wojowali w dalekiej Ukrainie przeciw Turkom, a chłopi i stara szlachta pilnowali zagród swoich, hodowali wiele bydła, owiec i kóz, a że w Korczynie niebrak na dobrem polu, toż i zboża było dosyć, a że rzeka blizko, toż i ryb było. Owóż wybrali między sobą korczyńscy kmiecie i szlachta zdatnych ludzi, i wysłali syna Wasylowego Dominika Piotrowskiego zwanego Topór i Hnata Podhorodeckiego i Pawła syna kowalowego na doliny spustoszone z bydłem, ze zbożem, owcami, kozami, rybami, i z bundzami, z płótnem i suknem między nieszczęśliwych ludzi do rozdania. A że były drogi popsute i wielka zima, toż długo jeździli wysłani ludzie z pomocą dla napadniętych od nieprzyjaciół braci na dolinach, kiedy Korczyn ocalał tą razą za łaską Boga.

Tymczasem w Korczynie chodziły dzień i noc straże po wsi; sam pan Korczyński był daleko na wyprawie z Czarneckim wojewodą za morzem; więc wójt wsi Fedio Ostapow prosty kmieć patrzył porządku we wsi, baby i dziady modliły się w cerkwi, ksiądz codzień mszę trzymał, a młodzież co nie byli na warcie, pilnowali gospodarstwa.

Dominik Piotrowski miał swój młyn na końcu wsi niedaleko pod górą Paraszki. Koło młyna była porządna chata z wielką bramą do dziedzińca, stały brogi zboża i słomy, było wiele owiec i bydła, i panował wszędzie porządek oznaczający zamożnego gospodarza; a do tego wszystkiego cały dzień i noc mielił i mielił młyn pana Dominika i przynosił grosz do kieszeni. Toż bitych talarów srebrnych było w skrzyni p. Dominika pełna torba skórzanna dwugarcowa, a na szyi samej pani Dominikowej i na pięknej czarnobrewej Dońce, jego młodej, hożej a zalotnej Parasi, było co nie miara złotych medalików z Matką Bożą i Jezusem Chrystusem i św. Janem i św. Mikołajem. A kiedy się Parasia wystroiła do cerkwi to tyle miała wstążek czerwonych, białych i niebieskich na sobie, taką piękną spódniczkę i kubrak sukienny niebieski z świecącemi guzikami, a pani Dominikowa takie piękne miała futerko lisie z sukiennym wierzchem srebrną taśmą obszytym, że gdyby nie pański dozorca stary a łysy, z wielkim brzuchem jak beczka, z laską okutą w mosiądz w żółtych spodniach i w niebieskiej kapocie opasanej czerwonym pasem, i z czapką rogatą baranią siwą, to żona pana Dominika i Parasia za księdzem miałyby w cerkwi pierwsze miejsce.

Po drugiej stronie rzeczki naprzeciw chałupy wielkiej pana Dominika była uboga, mała ale chędoga chałupka wdowy po Wasylu Traczu prostym kmieciu, który, gdy zaspał podpity jednej nocy na tartaku pańskim, piłą na wpół przecięty został. Odtąd biedna wdowa biedowała jak mogła na małem gospodarstwie, i tuliła przy sobie jedynaka syna Mateuszka, pilnowała, by wyrósł na porządnego i uczciwego gospodarza, co to nie traci darmo czasu w karczmie i na hulankach, ale co niedzieli pilnuje służby Bożej w cerkwi i nieszpor, a nie leniuje się do pracy w polu i w lesie czy to dla siebie czy dla dworu. Ma-

teuszek miał lat dopiero dwadzieścia, ale był już smukłym, a jak to mówią, jak sosna dorosłym chłopcem, a zwinnym, i żywym i sposobnym do wszystkiego. Nie było piękniejszego chłopca nad Mateuszka w całej wsi i okolicy. Oczy jego czarne błyszczały jak ogień; włos czarny jak węgiel, długi a kędzierzawy, spadający aż na ramiona; twarz smagła nie tłusta i nie chuda z zdrowym rumieńcem, zgoła chłopiec jak malowany, a silny bodaj za dwóch dobrych parobków. Ale uważali ludzie, że ile razy zaszedł do młyna pana Dominika, a przypadkiem zdybał się tam z piękną Parasią, to jakoś inaczej wyglądała twarz Mateuszka, żywiej błyszczały jego oczy, bardziej rumieniła się twarz; a gdy przyszło porzucać młyn pana Dominika z garścią mielonej mąki owsianej, za której zmielenie nigdy grosza nie przyjął pan Dominik od Mateuszka, bo miałby to sobie na sumieniu od biednej sieroty brać zapłatę, a pani Dominikowa byłaby dobrze przytarła uszu swemu mężowi, jakby od Mateuszka, którego ona bardzo nawiedzała był kiedy przyjął zapłatę — to jakoś gdy Mateuszek wracał do domu i przechodził przez wąską kładkę, szedł zwykle zwolna, spojrzał kilka razy na bogatą chatę pana Dominika a na nędzną chatę swoją, i wówczas ścisnęło mu się serce, łzy naszły do ócz, i przyszła na myśl wesoła, rozkoszna i wiecznie uśmiechnięta Parasia. Wówczas stawał się Mateuszek zadumanym i smutnym, ale tłumił ten smutek w sobie, i chociaż go matka pytała, gdy raz przyszedł do dom:

— Czego ty smutny synu? To w takim razie coś zapierało oddech w piersi Mateuszka, mocno potarł czoło i zacisnął zęby, i niby z jękiem odpowiadał matce:

— At nic mamo moja droga, tak to coś czepi się człowieka i sam nie wie co! Pójdę na połoniny, zobaczyć co się dzieje na węglarkach, a wezmę z sobą fujarkę, zagram tam mołojcom od serca, ta się może rozweselę. A przecież to wiecie mamo moja droga, że nikt tak dobrze nie zagra na fujarce jak wasz syn; wprawdzie w karczmie grają Szyndor i ślepy Kuba obertasa na skrzypcach i basetli, alić ja wolę moją fujarkę, niż ich smykowanie w karczmie!

— Niech cię Bóg błogosławi za to mój Mateuszku, i niech ci da, abyś stracił ten smutek; ale dość już ja smutków miałam mój synu i radabym nim kości moje stare złożą do ziemi, widzieć cię szczęśliwym, ta choć umierać spokojnie. A ty synu coś mi żle patrzysz, już od jakiegoś czasu zwracasz często oczy na zalotnicę bogatą Paraszkę, co to się tylko śmieje, że ci głowę zawróciła; a ja chociaż z duszy bym rada twego szczęścia to nic nie będzie z tego, bo to bogaczka a ty biedak, taj tylko! Ona szlachecka a ty prosty kmieć.

I rozpłakała się wówczas biedna matczysko, i przycisnąwszy mocno syna do piersi, długo go puścić nie chciała.

Aż nareszcie wyrwał się Mateuszek z objęć matki, i wybiegł z chaty pędem; a matka usłyszała jeszcze głośno wyrzekającego Mateuszka na dziedzińcu:

— Tak mówicie matko! Ja kocham Parasię, to nie może być, tak nie może! Bo ona szlachcianka a ja chłop!

I rychło skoczył Mateuszek na płot małego ogrodu swego, i wdrapał się na skaliste urwisko tuż za ogrodem, by ztamtąd pójść niewiedzieć czy do węglarki, czy może gdzieindziej. A kiedy szedł Mateuszek szybko po skale, to mu wiatr rozwiał długie włosy i rwał z ramion zarzuconą ciemną gunię góralską. A kiedy tak szedł, to z jednej chatki wyglądała oknem zapłakana a milcząca matka, patrząc na syna litośnie; a z drugiej większej chaty pana Dominika wybiegła spiesznie Parasia wystrojona do swej ciotecznej siostry. Ta poczęła wołać zobaczywszy Mateuszka:

— Mateuszku, gdzie to biegniesz? Mateuszku! A wracaj, tać to weselisko Maryni! Mateuszku wracaj, ta się popatrz czy mi nieślicznie w nowym kaftanie?! Mateuszku!!

Ale wiatr dął silnie w przeciwną stronę, a Mateuszek nie słyszał wołania Parasi, a śnieg zmiecony z dachu chałupy Mateuszkowej, zasypał oczy Parasi. Parasia zezłoszczona, mruknęła z cicha:

— To leć do diabła, kiedy nie słyszysz! I wróciła do izby, a kiedy druhy przyszli z muzyką, to druszka wesoło ruszyła z innymi mołojcami szlacheckimi do cerkwi. A Mateuszek biegł ciągle, i widać go już nie było.

Działo się to na kilka tygodni przed wyjazdem pana Dominika Piotrowskiego ojca Parasi, Hnata Podhorodeckiego Pawła syna kowalowego, z różnymi dary dla poszkodowanych na dolinach.

A co się zaś dalej stało, napiszemy wam w następnym numerze.

Sułkowice i Sułkowiczanie.

Pisanie pewnego Sułkowiczana do Grzesia z Mogiły.

Pisaliście już w Dzwonku, miły Grzegorzu, o Swiętniczanach; więc zdało mi się rzeczą sposobną aby nieco donieść o Sułkowicach. Wprawdzie to mniej znaczne miejsce od Swiątnik, ale że też ma swoje szczególności, a potem iż Sułkowice i Świątniki to prawie w sąsiedztwie, więc myślę sobie, warto aby się ludzie i o Sułkowicach nieco dowiedzieli. Zaś wedle mego rozumienia, każde miasteczko i każda wieś na tej naszej miłej ziemi ma swoje ciekawości, a każdy człek polski, zda mi się radby poznać choćby najmniejszy kącik tej miłej ziemi. Owoż dla tego spodziewam się, że nie wzgardzicie mojem pisaniem, a nawet i o innych ciekawych miejscach opiszecie kiedyś pięknie w Dzwonku.

Owoż Sułkowice leżą ze dwie mile na południe od Świątnik. Całe pięknie wygląda ono miejsce. Widzisz tam małą dolinę w okół obrosłą pagórkami, a środkiem niewielka rzeczułka. Po stronie tej rzeczułki mnóstwo domków małych, a dalej to już kuźnia przy kuźni, zkąd cały Boży dzień dolatuje uszu setne pukanie. Bo też jak wielkie Sułkowice, tak wielka też tam kowalka. Rzadko znaleść gospodarza, któryby się czem innem parał. Co dojrzysz człeka, to oczerniony, z fartuchem, z obcęgami albo młotem w ręku, więc jużci kowal. Zaś innej roboty prawie nie mają jak gwoździe. Ten robi bretnale, ów dachowe, inny duże mostowe, drugi zaś zamkowe, i tak przeróżne, grube i cienkie, długie i krótkie, z okrągłemi głowami, z podwójnemi albo zawijane, słowem jakie tylko wymyślić potrafisz. To też hen daleko i szeroko po kraju rozwożą sułkowskie goździe; nie mało ich znajduje się na krakowskich da-

chach, na pańskich pałacach i dworach, i nie na jednym dachu kościelnym gonty sułkowskiemi gwożdziami przybite. Zaś co ich do drogi żelaznej, do mostów i indziej spotrzebują, tegobyś nie zbiegł nigdy w świecie.

Nad temi to goździami pracuje tu moc ludu, bo cała połowa osady, a będzie tego z półtora tysiąca ludzi, jedynie z goździ żyje. Kuźni gdzie same tylko goździe wyrabiają, jest przeszło ośmdziesiąt. Znajdziesz tu wprawdzie kowali do inszej roboty, do kucia koni, pługów, bron, do ostrzenia sierpów i innych rzeczy gospodarskich, ale tego nie wiele. Zawsze tu goździe najpierwsze, tak jak w Swiętnikach kłódki.

Jest zaś tu także i ślusarz, trzech stolarzy, piekarz, kołodzieje, cieśle, tokarz a nawet i pan malarz, co piękne obrazy maluje. Jest kilka sklepów i domki cale porządne; co zaś najbardziej zajmuje człeka, to piękny kościoł pobity nowym dachem, z zegarem na wieży. Kiedy wejdziesz do środka, to aż miło tak wszędzie czysto, ołtarze ozdobne, porządek wielki. Zaraz obok jest kapliczka przymurowana z kopułą, a w niej ołtarz świętego Stanisława. I nie dziwota tej piękności, bo lud u nas bardzo pobożny, a w niedzielę i święto nie można się nigdy pomieścić w kościele, taki nacisk i tłum ogromny.

Niedaleko kościoła jest plebania piękna z ogrodem, dalej wikarya także z kwiatkowym ogródkiem, a tuż obok szkółka trywialna. Po kościele jest szkółka najważniejszy budynek, boć to w niej człowiek jak w drugim kościele uczy się cnót i moralności, a także rozumu, który jedynie szczęście w życiu przynosić potrafi. Życzymy serdecznie aby i Świętniczanie mieli tak jak my swoją szkółkę, która jest koniecznie potrzebna, aby ludzie mogli się wychowywać na chwałę Boga a na pożytek krajowi.

Otóż tyle mego opisania o Sułkowicach. Wybaczcie miły Grzegorzu, jeśli tam czego nie dostawa, bo ja człek innej pracy a nie do pióra i atramentu. Daj Boże aby się moje pisanie na co zdało, a najbardziej aby innym dało chęć, iżby o ważniejszych miastkach i wsiach piękne historje do Dzwonka spisywali. Zaś jak wam powiedziałem na początku, miarkuję po sobie, iż takie wiadomości podobałyby się ludziom. A na tem **zostawiam was panu Bogu.**

RÓŻNOŚCI.

Mądra odpowiedź Iwana Czerczynuchy. Iwan Czerczynucha był najbogatszy gazda z całej wsi. Budynki u niego jak na pańskim folwarku; stodoła zawsze w jesieni pełniuteńka że i palca nie było gdzie włożyć a obrogi tak wysoko napchane, że je widać było z poza topól, które rosły w około gumna. Zaś konie, bydło, bezrogi i drób takie tłuste i tuczne, jak pirogi na Boże narodzenie. Słowem tylko oblizywać się przychodziło patrząc na te dostatki. Ale bo też sam pan Iwan był człek pracowity a zapobiegliwy, i gazdował całą gębą a żadnej pracy się nie lenił. Był także człek pobożny, uczciwy i miłosierny, więc mu błogosławił pan Jezus a wszystko szło jak z płatka.

Lecz na tym marnym świecie nie obejdzie się nigdy bez nieszczęścia i kłopotu, a najzacniejszy nawet człowiek zalizie w ciężki grzech po uszy. Tak się stało z Iwanem Czerczynuchą. Ni ztąd ni z owąd przypytał się on do kieliszka, i kiedy dawniej był zawsze człek trzeźwy aż miło, teraz w jednym tygodniu rozpił się na piękne. Dziw to był wielki dla całej wsi, i żałowali ludzie Iwana, i wyrzekali to na czarownicę Martę, która urok na niego miała rzucić, to na samego djabła, co to go miał zbalamucić. A kobiecisko Iwanowa to już mało oczy nie wypłakała nad tem nieszczęściem, i gęby mało nie wygadała perswadując mężowi i pokazując, na jaki to grzech i hańbę on przychodzi. Ale Iwan ani gadać sobie nie dał, i pierwszy raz w życiu miotłą zamierzył się na żonę, i naklął aż włosy na głowie stawały, a potem czapkę zacisnął na ucha i dalej do karczmy.

A w karczmie rudy Srul, arędarz aż podskakiwał z radości jak zobaczył idącego Iwana, i oczy zaświeciły mu się jak u wilka, kiedy zobaczy owcę. Bo teżto nielada gratka dla Srula taki gość jak Iwan. Już on sobie od tygodnia liczył między zębami, jak to najpierw zboże Iwanowe przyjdzie do niego za wódkę, a dalej drób, wieprzaki i jałówki, i woły i konie, a nawet co jest tylko w komorze, i Bóg wie o czem tam jeszcze myślał sobie rudy Srul. Więc jak tylko przyszedł Iwan, to skakał koło niego aż mu patynki zlatywały, i co najlepszej wódki dolewał Iwanowi, a jak ten sobie podpił, więc dalej rachunek spisywać, w którym liczył przynajmniej cztery razy tyle jak wypił Iwan. Jakoż niemało wyciągnął on grosza od Iwana, a nim cztery tygodnie minęło, zabierał Srul po raz drugi z gumna Iwanowego kopę całusienką ozimej pszenicy, i prowadził drugiego cielaka.

Na ten widok to już biednej Jagnie, żonie Iwanowej, mało serce z żałości nie pękło. Napłakawszy się do sytu wyjęła ona ze skrzynki ostatnie trzy cwancygiery z Matką Boską, owinęła się w chusty niedzielne i poszła do księdza proboszcza. Tam z wielkim płaczem prosiła dobrodzieja o mszę na intencję nawrócenia Iwana, i opowiedziała wiernie całe swoje nieszczęście od początku do końca. Xiądz proboszcz pokiwał głową, pocieszył kobiecinę, pieniądze kazał jej nazad schować do skrzynki, obiecał mszę odprawić, a że to była sobota, kazał jutro przyjść jej z Iwanem do kościoła, a po kościele do zakrystji.

Kiedy Jagna wróciła do domu, wybierał się właśnie Iwan do karczmy. Owoż powie mu kobieta:

— Słuchaj Iwanie, mówił mi xiądz proboszcz, abyś jutro przyszedł na mszę, bo już cię ze cztery niedziel nie widział na służbie bożej. A po mszy kazał abyś czekał na niego w zakrystji, bo ma jakiś interes do ciebie.

Iwan aż gębę otworzył i oczy wytrzeszczył na tę mowę, a potem dzi-

wnie mu się jakoś zrobiło na sercu, i wstyd go wielki opanował. Skręcił się więc po izbie, mruknął coś pod nosem i zamiast do karczmy wyszedł łagodzić tok w stodole na młockę.

W niedzielę poszli oboje gospodarstwo na mszę. Iwan aż się pocił ze wstydu i nikomu w oczy spojrzeć nie śmiał, a stanął sobie w najciemniejszym kąciku i wzdychał ciężko przez całą mszę. Zaś kiedy począł xiądz prawić kazanie, gdzie dowodził jakato hańba, wstyd i obraza boska pijaństwo, jakie nieszczęście dla człowieka, który rujnuje się do ostatniego grosza a potem idzie na żebry albo na złodziejstwo, to Iwanowi z oczu ciurkiem łzy się polały i szlochał jak małe dziecko. Zaś po mszy w zakrystji, kiedy mu xiądz jeszcze na rozum wszystko opowiedział, to Iwan chwycił go za kolana i ze łzami obiecywał poprawę, a nawet jeszcze tego samego dnia wyprzysiągł się na wieki od wódki i pijaństwa.

Od tego dnia stał się Iwan po dawnemu trzeźwym, uczciwym i pobożnym gazdą, jął się na nowo do pracy, a do karczmy i kijem nie nagoniłby go. Wszyscy się z tego okrótnie cieszyli i po dawnemu szanowali Iwana, zaś kobiecisko jego z radości rady dać sobie nie mogła. Tylko jeden człowiek bardzo się tem martwił, a to rudy Srul arędarz, który z wielką złością dreptał po pustej karczmie, i za pejsy się chwytał, a oczami łypał tak strasznie jak wilk co już ze cztery niedziele owcy nie widział. Czekał Srul cały tydzień, a potem już wziął do kieszeni kieliszek i flaszkę wódki z karteczką, lisią czapkę zasadził na jarmurkę, i hejże w gościnę do Iwana.

Byłoto jakoś że Jagna wyszła za pewną sprawą na wieś, a Iwan sam poprawiał coś na podwórku ze siekierą koło woza. W tym przybiega Srul i dalejże poczyna dreptać koło Iwana a pytlować językiem:

— A co to wam panie Iwanie, czyście słabi czy co? A to wy u mnie tak dawno nie *buwali*, a ja myślałem że wy *zachorujecie.*

— Dzięki Bogu zdrów jestem — odrzekł Iwan — a do was to już nie mam po co chodzić, bo przysiągłem nie pić wódki.

— *Aj waj* co wy też zrobili panie Iwanie. A kto was namówił do *takiego głupstw?*

— Ba! Kto tam wie, czy to głupstwo — odpowie Iwan — przecież nasz xiądz dobrodziej całkiem inaczej mówi, a powiem wam Srulu po prawdzie, że mi się jego mowa mądrzejszą wydaje od waszej.

— Oj panie Iwanie — zacznie dogadywać Srul — taki mądry człek jak wy dał się tak obałamucić. Alboż to wódka co innego jak każdy dar Boży? A kiedy ją pan Bóg *stworzil*, to nie na to aby się ludzie od niej wyprzysięgali. *Waszych xiondzów* to tak naumyślnie gadają, aby was zbałamucić.

— Ano, może i prawdę mówicie panie Srulu — odrzekł Iwan i zaśmiał się pod nosem jakoś złośliwie — chodźcie więc do komory ta napijcie się do mnie.

Ucieszył się okrutnie Srul, i kiedy przyszli do komory, nalał kieliszek i wypił do Iwana.

— A teraz zakąście panie Srulu — rzekł Iwan podając mu kawał słoniny.

Aj waj mir krzyknął Srul i odskoczył — czy wy *oszaliwaliście* Iwanie, czy co? A przecież wiecie że mnie nie wolno jeść *słoninów*, i żeby mnie rabin wyklął za to.

— Oj panie Srulu — powie mu z śmiechem Iwan — taki mądry człek jak wy dał się tak obałamucić. Alboż to świniny nie stworzył pan Bóg na to, aby ją ludzie jedli. A wasz rabin tylko bałamuci, i wy go słuchacie.

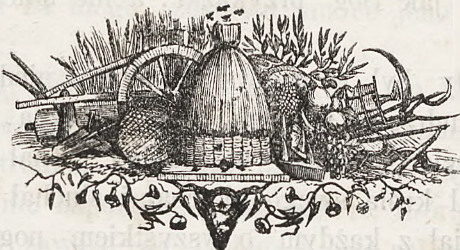
Zobaczył Srul, że zła sprawa, więc za flaszkę i w nogi. A Iwan święcie dotrzymał przysięgi, i jest znowu najporządniejszym gospodarzem w całej wsi.

Wydawca odpowiedzialny za redakcją: E. Winiarz.

Tom VII. Nr. 4.

1. Sierpnia. 1862.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

BŁOGOSŁAWIONY WINCENTY KADŁUBEK.

Już to temu będzie dobrych siedem setek lat, jak królował w Polsce Kazimierz II król dobry i sprawiedliwy, co się zowie. Miał on ci kilku braci, co jako starsi od niego byli także królami w Polsce, ale jeden się przerobił na Niemca i umarł między Niemcami, drugi także był przez pół Niemcem i także marnie poszedł ze świata, a znowu trzeci był lepszym, ale najlepszym to był ten Kazimierz. A jak król dobry, to tam i ludzie nie źli, bo wtedy Bóg błogosławi i na dostatku i na ludziach.

Otóż za tego Kazimierza króla byli Polacy pobożni, pracowici — panowie pilnowali wojaczki i granic kraju bronili, a kmiecie obrabiali role i sobie i panom, bo też panowie za nich się bili i lali krew swoją. A panie po dworach kochały i pilnowały tak swoje dzieci jak i wiejskie dziatki, i uczyły ich czego można było. I było wielkie szczęście wtedy na całą

Polskę, bo kmieć trzymał z królem, z panem, z księdzem i dbał o swoje, jak Bóg przykazał, a nie słuchał żadnych bałamutów.

Otóż wtedy był ci we wsi Stobnicy, niedaleko Krakowa, jeden kmieć Andrzej Kadłubek, ale to gazda, jakiegoś ta nigdzie na świecie drugiego nie zdybał. Znał on na palcach kraj swój, znał króla swego i kochał i słuchał go, znał panów i księży, i umiał z każdym o wszystkiem pogadać i wiedział ta bez gazet co się dzieje w całej Polsce, i rozumiał co trza było robić. Ale też i pobożny był jakby jaki zakonnik, i czy to w domu czy na polu, zawsze paciorki święte odmawiał, nigdy gęby niczem nie plamił, a dla drugiego szczery, jak ten święty Marcin, co ukroił pół sukni dla ubogiego. I babina jego była jak anioł, co to robi, co mu Bóg rozkaże, a nie hałasuje ani krzyczy ani też nie poniewiera nikogo, choćby był i złym. I miał ci ten Andrzej dziatki dorodne, ale trzymał je doskonale na pasku i rządził niemi jak Pan Bóg przykazuje. A między chłopcami był jeden Wicuś, co go to i ojciec i matka lubili, bo był prędki do roboty i do wysługi, a cichy i potulny jak trusia. Miał on ci wielką ochotę do nauki, to też ojciec rozumny nie ganił mu tego, ale mu mawiał:

— Nie trap się! nie moje dziecko, jak ja pozbieram da Bóg z pola, to sprzedam potroszę ziarna i oddam cię do zakonników do klasztoru w Jędrzejowie, a oni cię tam wyuczą wszystkiego, abyś umiał i Boga pochwalić i królowi naszemu posłużyć, i abyś też nie pohańbił naszego uczciwego rodu, ale był tak usłużnym krajowi, jak to i ja się wysługuję, czem jeno mogę.

I zrobił ojciec jak mówił, bo pod zimę odwiózł syna Wicusia do Jędrzejowa, choć ta i matka setnie płakała i dzieci aż się zanosiły od płaczu, bo go wszyscy okrutnie lubili. A matka mu mówiła na drogę:

— O moje dziecko! ucz się ucz! bo dobrze mieć i grunt, ale najlepiej umieć dużo, bo wtedy głowa więcej znaczy niż dziesięć gruntów, a jedno mądre słowo więcej niż dziesięć głupich głów. A pamiętaj zawsze o Bogu i nie zapominaj o kraju naszym, i o tej Stobnicy, gdzieś się urodził i wychował.

I zajechał Wicuś z ojcem do Jędrzejowa i tam pozostał, a ojciec zapłacił za niego, zostawił mu co jeno było potrzeba, i żegnał go tak:

— Pamiętaj Wicuś! jak ja miarkuję, to tu są zakonnicy nie nasi krajanie, ale od Ojca świętego przysłani i mówią tak, że wyrozumieć trudno. Ty moje dziecko słuchaj ich, ucz się ich mowy, ale nie zapominaj o tej mowie, którą i ja i matka twoja mówiliśmy zawsze do ciebie; i pisz sobie w tej mowie, jakiej używa nasz dobry król i nasi panowie, abyś potem, jak się na co dobrego wyuczysz, miał służbę jaką przy naszym królu.

I odjechał ojciec z płaczem, a co kilka kroków to się obzierał za dzieckiem i czapką go jeszcze żegnał i ręką machał, a potem zapłakany westchnął do Boga, podciął konie i do domu jechał.

I był Wicuś w Jędrzejowie, posługiwał w kościele do mszy świętej i do każdej ceremonii w nabożeństwie, śpiewał pieśń do matki bożej: „Boga-Rodzico! dziewico“ i inne pieśni pobożne, wyuczył się śpiewu dobrze, nauczył się czytania i pisania, a lubili go zakonnicy za jego czystość i pobożność i posługę do wszystkiego. A że im się podobał bardzo, to go nie chcieli zaponiewierać na jakiego prostego posługiwacza w klasztorze, ale mu raz tak powiedzieli:

— Jeżeli ty chcesz i ojciec na to pozwoli, to my cię poślemy do naszego kraju, gdzie mieszka Ojciec święty i gdzie są wielkie szkoły i nauki, i tam się dopiero wyuczysz rozumu, a potem jak zechcesz, to sobie zrobisz, albo wrócisz do nas tu na zakonnika, albo sobie zostaniesz księdzem na parafii, a może cię król zrobi i biskupem, jak zasłużysz, albo będziesz sobie panem przy królu i pomożesz mu rządzić w swoim kraju.

I zrobił Wicuś tak, bo mu dobrze radzili ci zakonnicy, a ojciec mądry chętnie na to przystał i nie pożałował straty dla dziecka, ale sprzedał i parę koników i krowinę i zboże z zeszłego roku i złożył sumkę; i matka też przyczyniła, co sobie za omastę uskładała, a Wicuś pojechał na naukę wielką aż do krajów Ojca św. do miasta Bononii. Zaś gdy odjeżdżał, mówił mu znowu ojciec:

— Pamiętaj synu! tuś się dobrze sprawował, matka twoja i krewni wszyscy cieszą się z tego. Ale teraz idziesz za granicę między cudzych ludzi. Uważaj też na siebie, aby cię tam kto nie zbałamucił i do czego złego nie namówił, a pamiętaj sobie, że jesteś naszym krajanem, i abyś znowu do nas powrócił i twemu krajowi służył.

I pojechał Wicuś do miasta Bononii, ale tam będąc dłużej, zapomniał na radę ojca, trochę go tamci ludzie poczęli bałamucić, wyuczył się innej mowy i szwargotał sobie z ludźmi, i to mu się podobało że umiał tak szwargotać, i byłby tam między cudzymi ludźmi, daleko od domu swego i od swoich, może się i zagubił i wniwecz obrócił, ale napomniał go surowo dawny jego biskup z Polski z miasta Gniezna, niejaki Gryff, i powołał go do kraju. Wincenty odżył znowu między swoimi, porzucił obce szwargotanie, stał się pobożnym i chciał zostać księdzem i Bogu służyć. Ale ojciec i matka jego już nie żyli, a bracia jedni pomarli a drudzy siedzieli na gruncie i byli tak samo dobrymi jak nieboszczyk ojciec. I prosił Wincenty już dosyć letni wtedy swego biskupa:

— Ojcze biskupie! dopomóż mi, a ja pójdę uczyć się na księdza, ale nie do krajów Ojca świętego, tylko do innego gdzie miasta.

A biskup mu rzecze:

— Chętnie ci pomogę, bo ty masz głowę i będziesz człowiekiem, i ręczę ci, że możesz być i na mojem miejscu biskupem, bo ty wiesz, jaki to nasz król — on tam nie uważa, czy pan, czy kmieć, aby jeno mądry i dobry, a zaraz mu daje urząd jaki; on się mię pytał już nieraz o ciebie, dla tego ja cię powołał znowu do kraju.

I poszedł sobie Wincenty Kadłubek do miasta Paryża, gdzie to mieszka teraz cesarz Francuzów, i tam za pomocą biskupa i króla został księdzem, i wrócił do domu jako pobożny i miłosierny ksiądz, a mądry i uczony, jakby jaki profesor.

Ledwo wrócił do kraju swego, a tu woła go król Kazimierz do siebie i mówi:

— Dobrze żeś przyjechał, bo mi bardzo potrzeba mądrych ludzi, a ty masz rozum i jesteś dosyć w latach i pobożny, otóż

jeźli chcesz, to pozostań przy mnie w Krakowie, a jak nie, to idź na proboszcza do Sędomierza — chciałbym tobie odpłacić za to, iż twój ojciec był tak dobrym kmieciem, a dwóch twoich braci poległo na wojnie i wiernie mi służyli.

Podziękował ksiądz Wincenty królowi za takie łaski i odpowiedział:

— To wolę już być proboszczem w Sędomierzu, bo tam będę mógł moich rodaków nauczać, bo tam jest i szkółka, to będę uczył dzieci małe, na wieś pojadę i będę z ludem żył i uczył go cnoty, a dochody też tam znaczne, to mogę dopomagać i krewniakom, i sierotom i wdowom.

A król pochwalił go za to i powiedział:

— Dobrze! bardzo dobrze! idźże tam i uważaj mi, aby tam mój lud nie miał żadnej krzywdy, a bądź dla ludu ojcem, a jak co będziesz potrzebował to donieś, a ja nie żałuję niczego dla dobra i szczęścia ludu mego polskiego.

I odjechał ksiądz Wincenty do Sędomierza — a był ci on tam nie od parady proboszczem. Stawiał kościoły i kaplice, zakładał szpitale, wiedział o każdym biednym w parafii, dawał strawę gotową i chleb albo pieniądze dla ubogich, dozierał szkoły i dzieci, a król mu pomagał we wszystkiem. Ale pomarł król Kazimierz Sprawiedliwy, a została wdowa królowa z małym królewicem Leszkiem, co to miał włosy jak len złote i ludzie go nazwali dla tego Leszkiem Białym. A jak to biedna wdowa każda jest nieszczęśliwą, tak było i z królową. Dla jej małego królewica był opiekunem stryj, ale to był na pół zniemczały i bardzo łakomy człowiek, to też gryzł królowę i chciał od niej zapisów różnych. Ta biedna do kogoż miała iść? Oto znała ona dobrze księdza Wincentego z Sędomierza, i tak sobie powiedziała:

— Do tego księdza się udam, to ojciec wdów, i mnie on tam nie da zaginąć!

I zabrała syna i pojechała z Krakowa do Sędomierza, gdzie był i ksiądz dobry, ale i pan starosta Gaworek był także bardzo dobrym panem. I tam była aż królewic wyrósł i królem został. A gdy Leszek do Krakowa wrócił i biskup tam umarł, zaraz powołał księdza Wincentego na biskupa do Kra-

kowa. I był ksiądz Wincenty, syn polskiego kmiecia, najbogatszym biskupem i trzecim po królu. Ale on tam nie był z tego pysznym, nie zapomniał o tej wiosce, gdzie się urodził i wychował, jeździł tam do krewnych i nie wstydził się ich prostej chałupy, dawał pomoc dzieciom tej wsi, wystawił kościół bardzo piękny, a ludzie ze Stobnicy chodzili do niego do Krakowa, a on się ich nie wstydził ani nie gardził nimi. On mówił sobie:

— Każdy powinien po sobie jaką dobrą pamiątkę zostawić, a co Bóg komu daje, to trza na dobre obracać — i rozum i zdrowie trza Bogu oddać na chwałę a ludziom na usługę.

I był tak szczerym, że co miał to dawał królowi, to na wojsko, to na wojnę, to na szpitale — a księżom też mówił:

— Macie w kraju swoim chleb i kościoły, to też nie żałujcie niczego dla waszego kraju, kiedy wam tu dobrze! Król, pan, kmieć i ksiądz powinni razem stać o swój kraj i dawać wszystko, co jeno potrzeba dla kraju.

A panom znowu mówił:

— Macie więcej rozumu i majątku, to służcie lepiej królowi i krajowi waszemu, aby też i lud miał z was dobry przykład i naukę.

I lubił go bardzo król Leszek, i sadzał go zawsze koło siebie, i mówił mu:

— Kmieć przy pługu, ksiądz w kościele, pan na wojnie, biskup w mieście a król w pałacu, to wszystko bracia, to jeden lud i jeden kraj.

Ale razu jednego strzelił piorun w sam kościół, gdzie mieszkał biskup Wincenty, i spalił się kościół. To nastraszyło tak staruszka biskupa, że uznał w tem palec boży i jakąś przepowiednię złą dla siebie. I zebrał starowinka pobożny ostatni grosz i naprawił kościół, wszędzie w swych wsiach uporządkował kościoły i folwarki, a co mu zostało, to zrobił z tego fundusz dla biednych dzieci ze Stobnicy i rozdał ubogim, a potem zdjął i suknię biskupią i poszedł znowu do Jędrzejowa do zakonu, aby tam w pobożności czekać godziny śmierci między zakonnikami. Nie rad był król Leszek temu, bo mu bez bi-

skupa było jakby bez prawej ręki, i prosił go aby nie odchodził, ale biskup Wincenty wyprosił się i został zakonnikiem.

I był on pierwszy Polak między tymi cudzoziemcami zakonnikami. W tym klasztorze żył pięć lat, a choć starowina i na oczy prawie ciemny, to przecież pracował ciągle i napisał mądre książki, które jeszcze dziś mamy i z nich się uczymy. Napisał historję, jacy to byli królowie dawni w Polsce, a których on sam zapamiętał; opisał życie króla Kazimierza Sprawiedliwego, co mu pomagał do szkół: potem życie królowej wdowy i jej syna królewica Leszka Białego; potem życie stryja i opiekuna tego królewica, i jeszcze jednego króla Władysława Laskonogiego. A o tych królach pisano już we Dzwonku.

I umarł biskup Wincenty Kadłubek roku 1223, przeżywszy 70 lat, a po sobie zostawił tyle dobrego, że potem Ojciec święty uznał go za świętego. A wy moi kochani! uczcie się ztąd, jak to i kmiecy syn może być człowiekiem, i jak to dawniej bywało w tym polskim kraju, że dzieci rolników były panami, biskupami, i zasiadały przy królach, a po śmierci zostały więcej niż króle na tej ziemi, bo świętymi w niebie zostawali. I proście tego świętego o pomoc: Wincenty święty! módl się za nami biednymi i dopomagaj nam w dobrych zamysłach do wszystkiego dobrego. A teraz zaśpiewajcie sobie pieśń do tego patrona świętego.

X. Wojciech z Medyki.

PIEŚŃ

do św. Wincentego Kadłubka.

(*Na nutę jak: Trójca Bóg Ojciec.*)

Święty Wincenty Polaków patronie
Módl się za nami tam w górnym Syonie!
Uproś nam, uproś ducha pobożności
I ducha męztwa, zgody i miłości. —
Boże wysłuchaj modlitwę świętego
Patrona całej Polski Wincentego,

I daj natchnienie ludowi polskiemu
Podnieś w nim ducha ku wszemu dobremu!
Bo dawniej kmiecie pobożniejsi byli
Skoro z ich rodzin Święci wychodzili;
Ongi kmieć polski był pilny, pobożny,
Nieznał pijaństwa, w domu był zamożny,
Ksiądz go nauczał w domu i w kościele,
Król z panem byli jego przyjaciele.
A królewicze choć z złotą koroną
Byli dla sierot i dla wdów obroną,
I pańskie dzieci choć w innej odzieży
Były jak bracia dla wiejskiej młodzieży:
Król, pan i kmiotek mieli jedną wiarę
W jednym ołtarzu najświętszą ofiarę,
Jedną Ojczyznę i jedno zbawienie,
A na cmentarzu wieczne odpocznienie.
Pan z kmieciem zawsze szczerze się witali,
Gdy się we dworze lub w polu spotkali,
Kiedy wesoło, to się radowali,
A kiedy smutek, to razem płakali.
Razem bywali co dzień lub w Niedzielę
Na nabożeństwie w pobliskim kościele,
I razem pieśni ojczyste śpiewali
I razem Boga o szczęście błagali.
Gdy kmieć podupadł, pan mu rękę podał,
Gdy pan był w biedzie, kmieć mu rady dodał,
A nigdy biedni z głodu nie ginęli,
Biednego wszyscy do domu przyjęli.
Królowe, pany i króle z paniami
Bywali nieraz dla kmieci kumami,
I chłopki panom dziateczki trzymali
Do chrztu świętego, gdy tego żądali.
Jak ojciec z dziećmi, tak pan i gromady
Żyli po wioskach bez gniewu i zdrady,
A król był dla nich ojcem dobrotliwym,
Więc cały naród zawsze był szczęśliwym.
Wtedy Stobnica drobniutka wioszczyna
Wydała na świat pobożnego syna;
Z matki chłopianki, a z ojca rolnika
Wyszedł Wincenty z niskiego kącika.
Potem porzucił swą słomianą strzechę
Został kapłanem na ludu pociechę,

I był proboszczem dobrym, miłosiernym
Bogu, królowi zawsze sługą wiernym.
Został biskupem w przesławnym Krakowie,
Gdzieto siedzieli polaków królowie;
Tam wszystkie skarby dawał chętnie z siebie,
Dla swej Ojczyzny, gdy była w potrzebie.
Na starość został cichym zakonnikiem
Między murami jakby pustelnikiem,
I dla nas zacne zostawił przykłady,
Byśmy tak żyli, jak nasi pradziady.
Święty Wincenty! tyś szczęśliwy w niebie.
My twoi bracia w tak ciężkiej potrzebie!
Wstaw się za nami do Boga żywego,
By nam udzielił ratunku śpiesznego,
Byśmy się prędko i grzechów pozbyli,
I wkrótce szczęścia lepszego dożyli;
A potem w niebie z tobą i z ojcami
Chwalili Boga razem z Aniołami. Amen.

X. Wojciech z Medyki.

Nie przeklinaj!

Czyli:

Jaka kara boża nawiedziła Paraszkę z Korczyna za przekleństwo.

Opowiedział sierota z Manajowa.

Była wielka zawierucha wieczorem, kiedy na weselu u krewniaczki hulała Parasia i ząbki szczerzyła do Janka Korczyńskiego, także szlacheckiego syna. Chciała ona zapomnieć o smutnym Mateuszku, który nie słyszał jej wołania. Ale choć Parasia udawała wesołą i różnego tańca szła z Jankiem, to taki jakoś nie mogła sobie wybić z głowy Mateuszka. A kiedy nad ranem muzyka grać przestała i wszyscy rozeszli się do domów, i kiedy Parasia zmęczona padła na łóżko i mocno zasnęła, śnił jej się ciągle piękny i smutny Mateuszek. I śniło jej się, że idzie za nim w góry, i szuka i woła, a znaleźć nie może. Więc dziwnie smutno jej się zrobiło, i płakała i zawo-

dziła przez sen, że aż matka przyszła dopytać się co jej takiego.

Parasia opowiedziała matce wierzytelnie cały sen, i to, że się jej Mateuszek bardzo podobał, i że nawet nie potrafiłaby żyć bez niego. Parasia była zepsutem dzieckiem, bo ją rodzice okrutnie kochali i pieścili, i wszystko robili jej co chciała. Nawykła więc tak, że skoro czegoś jej się zachciało, to i zaraz dać trza było. Niedobrze to tak, i na złe zawsze wyjdzie, kto tak dzieci rozpuszcza, jak to wnet pokaże historya o Parasi.

Otóż, jak się jej zachciało Mateuszka, nuż prosić matki, aby ją za niego wydała. Matka dobra, tuliła dońkę jak mogła, i obiecała prosić za nią i za Mateuszkiem u ojca, jak będzie dobra chwila potemu. Parasi jednak było bardzo spieszno, i nie myślała żeby jej ojciec mógł czego odmówić; więc chciała sprawę jeszcze tego dnia zakończyć, na czem wyszła najgorzej.

Parasia pobiegła wprost do chaty Mateuszkowej. Był on sam w chacie i jego matka. Mateuszek niedawno wrócił do domu z węglarki, a chociaż zmęczony i zgłodniały, siedział koło matki i zamiast jedzenia rozprawiał z nią żywo o Parasi. Skoro wbiegła Parasia, rzuciła się do nóg matki Mateuszkowej, i jęła ją prosić okrótnie, aby jej nie pożałowała Mateuszka, który jej bardzo przypadł do serca, i aby dziś jeszcze swatów do ojca przysłali. Matka zaczęła tłómaczyć, że ojciec nie pozwoli ale gotów się jeszcze pogniewać, bo Mateuszek ubogi, a Parasia córka bogatego. Na to zerwała się Parasia i zawołała:

— Wy nie wierzycie matko; ale niech ino Mateuszek pójdzie ze mną wprost do ojca, to zobaczycie że wszystko będzie dobrze.

I pochwyciła Mateuszka za rękę, i pociągnęła go za sobą. Mateuszek zatrzymał się na chwilkę, ale jak na niego spojrzała Parasia, to zapomniał o wszystkiem i jak szalony za nią poleciał.

Skoro przyszli przed pana Dominika, jęła Parasia rozpowiadać, jak ona z Mateuszkiem bardzo się kochają, i jako ona za nikogo innego za mąż nie pójdzie. Pan Dominik aż poczerwieniał z gniewu i strasznym głosem zawołał:

— Co ja szlachcic, pierwszy bogacz we wsi, mam ciebie wydać za lada chłopa, który niema co jeść w chacie. Czy ty oszalała dziewko?

— Nie tatuniu, ja nie oszalała — odrzekła Parasia — ale mówię wam, że albo za niego albo za żadnego nie pójdę. Toż i wasz tato byli prostym kmieciem, i nic dziwnego, jeżeli za zięcia będziecie mieli uczciwego kmiecia.

— Patrzno matko — zawołał pan Dominik do żony — to wczoraj była na weselu i chulała z innymi, a dziś jej się zachciało na męża tego urwisza chłopskiego. A gdybym miał skamienieć, to na to nie pozwolę, i póki życia mego nie pozwolę.

— At nie przeklinaj stary — rzekła pani Dominikowa i przeżegnała się. — Toć i ja byłam chłopką, jakieś się ze mną żenił, a przecież nam dobrze. Dlaczegoż poczciwy Mateuszek nie miałby się ożenić z naszą Parasią, tać to przecie najporządniejszy chłopek ze wsi.

— Bo to twoja chłopska natura ciągnie cię do tego chłopa — krzyknął pan Dominik — i radabyś córką twoją, najbogatszą dziewkę we wsi i szlachciankę dać takiemu ladacowi. A to z kąd? Ja nie pozwolę na te wasze zmowy, i gdybym skamieniał, tak nie pozwolę.

— Ot nie klnij i nie obrażaj Boga, a pomódl się, to może odejdzie zła hundra, — odrzekła pani Dominikowa.

— A ja ci właśnie mówię kobieto, że gdybym miał skamienić to nie pozwolę — krzyczał ciągle pan Dominik.

— A to skamieniejcie tatulu, i ja niech skamienieję, jeżeli nie baczycie na szczęście i żal dziecka waszego — zawołała nagle Parasia, aż zębami zgrzytnęła, jak nieprzytomna. Mateuszek wybiegł z chaty, a pani Dominikowa z płaczem przeżegnała się i rzekła:

— To już jakieś okaranie Boże dzisiaj was nawiedziło. A jak ty dziewko śmiałaś kląć ojca twego! A idźże przeprosić i zmów pacierz na odwrócenie kary Boskiej.

— Ot nie pójdę, — odrzekła Parasia. — Co mi to za ojciec, co tylko klnie naczem świat stoi.

Na to zerwał się pan Dominik w okrótnej złości, porwał Parasię za włosy i rzucił o ziemię tak silnie, że aż zadudniało. Parasia nie podniosła się, a kiedy ją ocucili i ze krwi obmyli, to zaczęła śmiać się strasznie i dziwne wygadywać rzeczy. I wtedy z ogromnym płaczem i smutkiem poznali rodzice, że Parasia oszalała.

Zaś kara ciężka nie minie nigdy ludzi za obrazę Boską i za nieposzanowanie rodziców. Od onego czasu został ciągły smutek w chacie państwa Dominików. Parasia szalała ciągle, a ojciec ze zgryzoty sumienia, aż zaniemógł. I długo biedził się w chorobie, póki go pan Bóg nie zabrał z tego świata. Kiedy go zaś w trumnie złożyli na wóz, aby zawieść na smentarz, konie ruszyć nie mogły z ciężarem. Długo nie wiedziano co to znaczy, aż nareszcie kazał ksiądz trumnę otworzyć, i zamiast trupa ujrzano tam kamień zczerniały, który całkiem tak wyglądał jakby pan Dominik skamieniały.

W niedługi czas poźniej zginęła szalona Parasia. A była jej śmierć także dziwna. Chodziła ona nad rzekę, która płynie z góry Paraszki, i tam albo spiewała albo zawodziła. I razu jednego rzuciła się w szaleństwie do wody. A kiedy ludzie przybiegli ją ratować, znaleźli w rzece tylko kamień zczerniały, a ten iście wyglądał, jakby trup Parasi.

Takąto straszną naukę uczynił Bóg dla ludzi, aby wystrzegali się przeklinań. W Korczynie znają ludzie dobrze całą tę historyę, a żeby też i inni poznali, i brali z tąd naukę, spisałem ją wam tak, jak mi opowiadano.

Piękne przykłady.

O tegorocznej kolędzie w Gręboszowie.

Wojciech z pod Opatowca do Grzesia z Mogiły.

Przyrzekłem wam, mój Grzegorzu! donieść o dalszych skutkach z tegorocznej kolędy naszej. Szósty to już prawda

mija miesiąc od onego danego przyrzeczenia; i może tam już nie raz pomyśleliście: Jakoż Wojciech zaspał gruszki w popiele, przyrzekł pisać, a dotąd ani dudu. Lecz słowo dał, przyrzekł, to i wypełni, bo nierzetelnością Wojciech się przestrasznie brzydzi, jako Polak z krwi i rodu. Jeżeliście tak o mnie myśleli, to wam za to dziękuję i zapewniam, żeście się ani iskry nie omylili; bo to[illegible] u mnie prawie od dziecka taki zwyczaj: najprzód rozważyć dobrze w swej głowie, tak i siak, na tę i na ową stronę i dopiero potem słowo wyrzec, ale jak się go wyrzekło, to już lepiej chyba umrzeć, jak go nie dotrzymać.

Taki był honorny nasz polski naród zdawien dawna, że przyrzeczenie chociaż bez świadków w cztery oczy dane drugiemu — stało za przysięgę. Nie dotrzymać danej obietnicy znaczyło tyle, co utracić na zawsze poczciwe imię, i stać się w oczach innych na zawsze nierzetelnym. Sroga kara! ale zasłużona. Bo czegoż lepszego wart kłamca, oszust, zdrajca, człek fałszywy?

Człowiek, który dane przyrzeczenie nawet srogiemu wrogowi dotrzymuje, to mi to dopiero mąż jak się patrzy, taki to dopiero wart być wójtem, chociażby i nad kilkoma wsiami. Takiego tobym chyba w złoto oprawił, a tem bardziej, że w naszych czasach cnota rzetelności dosyć poszła w poniewierkę; lecz w Bogu nadzieja, że tak, jak inne obyczaje obce, nie nasze, nie polskie powoli nas opuszczają; tak i nierzetelność, opuści naszą polskę ziemię, a dawnych ojców naszych prostota, szczerość i prawość zamieszka w każdej duszy co się tylko polską mianuje.

Otóż mój Grzegorzu, donoszę wam, że oprócz: Dzwonka, Gwiazdki Cieszyńskiej, Przyjaciela Domowego i Narodowej Gazety, mamy za pieniądze uzbierane po kolędzie 80 innych pożytecznych książek. Cóż powicie, czyli to nie dość na pierwszy raz?

Książki one wypożyczamy, i zamiast jak to dawniej bywało, trawić i marnować czas w Niedzielę i święta po nabożeństwie na leżeniu gnuśnem, siedzeniu po karczmach, nierozsądnych a często grzesznych mowach; schodzimy się razem i czytamy z onych ksiąg. Jednemu to a drugiemu owo się spo-

doba. Ten to, drugi co innego zapamięta, i tak przybywa rozumu do głowy, pobożności do serca, a miejsce dawnych grzechów, zajmują powoli cnoty w domu i poza domem. — Trzeba wam mój Grzegorzu i to wiedzieć, że mimo częstych, i gęstych opłatków, co jeden po drugim na nas lecą, lud w naszej parafii nie żałuje grosz na książki. Ledwo ks. pleban zapowie z ambony, że ma książki, a już lud ciśnie się i rozchwytuje je. I tak: Pielgrzymka ks. Gondka do ziemi ś., Prawdy nad prawdami bardzo użyteczna książka do spowiedzi, opis żywotów tych św. męczenników, co je teraz ojciec ś. kanonizował, Podróż Borunia do Rzymu powszechnie w naszej parafii znajome.

Ale to jeszcze nie wszystko, o tej naszej kolędzie. Oto w tych dniach wprowadziliśmy do naszego kościoła do poświęcenia ku służbie Pańskiej z kolędnych pieniędzy sprawioną nową chorągiew. Ponieważ ta chorągiew jest na pamiątkę tegorocznej kolędy, dla tego na niej jest na jednej stronie obraz: Narodzenie Pana Jezusa, około którego mali kolędnicy klęczą, a na dole napis: „Wdzięczni kolędnicy na pamiątkę kolędy z roku 1862 poświęcają parafianom“. Na drugiej zaś stronie jest ś. Wojciech.

Chorągiew jest zrobiona z materyi jedwabnej zielonej, a nad nią krzyż śrebrny. Kolor zielony oznacza nadzieję. Bo i czyjeż serce nie było pełne nadzei lepszych czasów przy przyjściu na świat Zbawiciela naszego? Któż i dziś nie żyje nadzieją lepszych czasów, czasów takich, gdzie miłość wzajemna zajmie miejsce tej nienawiści, która się teraz często wśród nas spostrzegać daje?

Ś. Wojciech na drugiej stronie obrazu przypomina nam, pierwsze czasy wiary ś. na naszej ziemi, przypomina nam, że ś. Wojciech był jednym z pierwszych opowiadaczów ewangelii w naszej ojczyźnie. On to utwierdził ojców naszych w ś. wierze i został pierwszym patronem całej Polski. Biały krzyż nad chorągwią uczy nas, że tylko z czystem sercem, i pokutą ś. poświęconą duszą, dla zasług uskarbionych przez Jezusa na krzyżu można przyjść do onego nieba, które nam swym szczytem on krzyż ponad chorągwią wskazuje. —

I tak dziękujemy Panu Bogu i za ten postęp u nas. Dawniej z kolędy korzystali żydzi, a teraz my korzystamy i korzystać będą nasze dzieci. Polecam was Panu Jezusowi mój miły Grzegorzu, a zachowujcie w sercu i pamięci waszego Wojciecha, co tu choć z dala z pod Opatowca często o was myśli.

Wojciech z pod Opatowca.

RÓŻNOŚCI.

Wściekły wilk. Jeszcze w zimie, bo jakoś zaraz po nowym roku, zdarzył się straszny wypadek wścieklizny we wsi *Ewangielewicze*, w powiecie słuckim, przez co wiele ludzi w okropnych mękach życie potraciło; ale że to daleko od nas, bo aż na Litwie, za którym krajem kończy się już ziemia polska i dalej sami tylko Moskale mieszkają, więc dopiero teraz o tem dowiedzieliśmy się.

Owoż trafiło się, że o samej północy kiedy wszyscy ludzie już po chatach spali, wpadł do onej wsi wściekły wilk. i wśród powszechnego strachu i zamieszania w ciemnej nocy, przeszło sześćdziesiąt ludzi pokąsał; 58 w samych Ewangielewiczach, a kilkoro przede wsią na drodze. Straszny jest pies kiedy go wścieklizna napadnie, ale wilk wściekły, jako zwierz dziki i drapieżny jest daleko niebezpieczniejszy, bo obyczajem każdego zwierza leśnego boi się białego dnia i tylko w nocy odważa się napaść na mieszkania ludzkie; a tak człowiek w ciemności nie wie jak się ratować i czem się obronić. Otóż i tutaj gdyby był wilk wściekły w dzień na wieś napadł, byłby pewnie tyle nieszczęścia nie narobił; ale w nocy skoro w pierwszej chacie ludzi kaleczyć i szarpać począł, drudzy sąsiedzi na krzyk tych nieszczęśliwych pozrywali się ze snu i powybiegali przed chaty zobaczyć co się dzieje, czy się broń Boże gdzie nie pali, i nim się który dowiedział o niebezpieczeństwie, już to straszne zwierze w jego własnej chacie gospodarzyć zaczęło. I byłby tak ten wilk daleko więcej ludzi o śmierć lub kalectwo przyprawił, gdyby się był nie znalazł jeden gospodarz odważny i przytomny, nazwiskiem Apanazy Rocko, który z narażeniem własnego życia drugich ocalił.

Apanazy Rocko mieszkał w środku wsi. Usłyszawszy krzyk i wrzawę, wyszedł zobaczyć co się święci i dowiedział się, że to wilk wściekły; lecz zanim miał czas pomyśleć coby tu zrobić, już wilk dobiegał z kolei do jego chaty i rzucił się na żonę Rockową, która także była wyszła. Wtedy Rocko skoczył żonę ratować tak jak był z golemi rękami. Jedną ręką złapał wilka silnie za kark, a drugą wpakował mu głęboko w gardło, wołając na cały głos:

— Bijcie czem możecie, nie puszczę go.

Jakoż niejaki Szuleszko żołnierz, poszukał prędko siekiery i kilkoma cięciami wilka na miejscu zabił. Jednak Apanazy Rocko przypłacił życiem swoją odwagę; bo choć nie bardzo był pokaleczony, przecież w pięć tygodni na wściekliznę umarł; Rockowa po czterech miesiącach także umarła, zostawiając maleńką dziecinę przy piersi, która się zdrowo we dworze chowa.

Wielka wdzięczność należy się dziedzicom wsi Ewangielewicz, którzy zaraz 58 ludzi pokaleczonych zabrali do dworu do Ussowa, gdzie dla nich umyślnie urządzili szpital. Sprowadzili trzech doktorów, pięciu cyrulików i najęli sześciu ludzi do posługi; chorych zaś pomieścili w trzech wielkich izbach: w jednej ciężko pokaleczonych, w drugiej lekko rannych, a w trzeciej same kobiety, między któremi było siedm z dziećmi przy piersiach a dwie przy nadziei.

Do dzisiejszego dnia nie znają jeszcze ludzie pewnego lekarstwa na wściekliznę, jak na inne słabości; to też pomimo najtroskliwszego starania około chorych, z 58 ludzi tylko 22 nie dostało wścieklizny, resztę wszyscy pomarli. Człowiek pokąsany przez wściekłe zwierze, po kilku dniach albo tygodniach, a nawet po pół roku może dostać wścieklizny czyli *wodowstrętu*, dla tego tak zwanego, że na samo wspomnienie wody chory się wzdryga, a wtedy już nie ma dla niego ratunku; najwięcej cztery lub pięć pni w tym okropnym stanie wytrzymać może. W szpitalu ussowskim wszyscy wścieklizną dotknięci, skarzyli się na wielkie ściskanie w gardle, suchość języka i podniebienia, i na wielkie pragnienie, prosili o napój jaki bądź byle nie wodę, więc dawano im herbatę albo kwiat lipowy. Wszyscy poddawali się chętnie opiece doktorskiej i przyjmowali lekarstwa; zjawili się jednak doktorowie nieproszeni, jak baby wiejskie, lekarki, znachory i inne włóczęgi, którzy obiecywali każdego odrazu uzdrowić.

Otóż biedni ludziska, chcąc jak najprędzej do zdrowia powrócić, prosili aby tych znachorów do nich przypuścić i próbowali także ich leków, ale im to nic nie pomogło. Jeden młody żołnierz, któremu poradzili że byle się tylko wody napił jak go wścieklizna napadnie to mu nic nie będzie, pił wodę przez gwałt i nawet dwa dzbany na siebie wylał, ale i tak życia swego nie mógł uratować.

Wścieklizna jest to najstraszniejsza choroba jaka człowieka dotknąć może; staje się on wtedy podobny wściekłemu zwierzęciu, jest dla drugich równie niebespiecznym, rzuca się i miota na wszystko co go otacza i w okropnych męczarniach życie skończyć musi. W ussowskim szpitalu przygotowali umyślnie osobną izbę dla takich, ale szczęściem zachował ich Pan Bóg od takiego strasznego stanu; wszyscy zachowali się spokojnie i żaden do samego ostatka przytomności umysłu nie był pozbawiony. Czując śmierć bliską, żegnali się spólnie rodzice z dziećmi, dzieci z rodzicami, mężowie z żonami, żony z mężami, przyjaciele z przyjaciółmi — niektórzy nawet rozporządzili swoim dobytkiem i jako prawdziwi chrześcianie rozstali się z tym światem.

Ogółem umarło 41 ludzi, wyzdrowiało 22. Z kobiet mających dzieci u piersi umarło cztery, wyzdrowiało trzy; dzieci choć ssały piersi matek są wszystkie zdrowe i chowają się.

Jedna kobieta przy nadzei będąca wyszła ze szpitalu zupełnie zdrowa; druga trzy dni przed napadem wścieklizny urodziła dziecko, które się także zdrowo chowa.

Tyle zatem nieszczęścia w jednej godzinie sprawiło jedno wściekłe zwierze, i byłoby pewnie w drugiej wsi to samo się stało, gdyby nie szlachetne poświęcenie się i wielka odwaga Apanaza Rocki, którego pamięć długo między ludem tamtejszym żyć będzie, i każdy imię jego wnukom swoim z wdzięcznością wspomni. Pamiętajcie moi ludzie na to, że zawsze lepiej siebie ofiarować, byle drugich ocalić, i że taki uczynek Pan Jezus każdemu w przyszłem życiu porachuje.

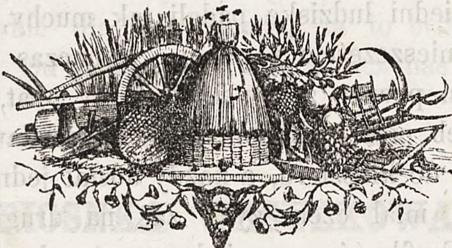
Wydawca odpowiedzialny za redakcją: E. Winiarz.

Tom VII. Nr. 5.



11. Sierpnia. 1862.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zlr. w. a., półrocznie 1 zlr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Chleb kamienny w Oliwie.

Kto nie słyszał o wielkiem i bogatem mieście Gdańsku, które znajduje się nad morzem bałtyckiem, a od niepamiętnych czasów należało do królestwa polskiego? A toć każdy o niem zasłyszał, bo do Gdańska od wieków z całej Polski pszenicę galarami spławiają flisacy, a byle zamożniejszy gospodarz, to niemało pieniędzy wywiózł z tego miasta za zboże. Przeto każdy prawie słyszał o Gdańsku, i umiałby o nim niejedno rozpowiedzieć; ale czy zna z was kto historję o cudownym chlebie kamiennym w Oliwie, który się tam znajduje na naukę miłosierdzia ludzkiego? A iż to jest przykład dziwny i cudowny, więc posłuchajcie o nim historji.

O milę od Gdańska, także nad morzem, jest klasztor zakonu cysterskiego, a ten zwie się Oliwa. Otoż w kościele tego klasztoru, po prawej stronie, jest za szkłem bułka chleba, którą cud Boski w kamień obrócił z tej przyczyny.

Będzie temu lat blisko sześć setek i pół, bo działo się to jeszcze roku pańskiego 1217, kiedy w około Gdańska okrutny głód nastał. Biedni ludziska padali jak muchy, i wszędy było srodze wielkie nieszczęście z głodu. Naonczas rządził w klasztorze oliwskim pewien zacny i miłosierny opat, który nakazał ustawicznie chleb piec i ludziom biednym rozdawać. Owoż siła ludu nachodziło do klasztoru, a każdy dostał jedną bułkę chleba, aby przez dzień miał czem żyć, zaś na drugi dzień znowu mógł dostać. Trafiło się razu jednego, że ubogi pewien wziął bułkę chleba i wyszedł z klasztoru; zaś wnet nazad powrócił i jął kłamać, że jeszcze nic nie dostał, aż mu drugą bułkę dano. Potem nazad szedł do domu do Gdańska. Na drodze spotkała go niewiasta pewna z dzieckiem na ręku, i prosiła, iżby jej dał kawał chleba na pożywienie. Rzecze człowiek ów:

— Ja sam nie mam chleba, jakże ci dać mogę?

Powie mu na to niewiasta:

— A toć masz za pazuchą bułkę chleba.

Na to rzeknie ów człowiek, dotykając palcem chleba:

— Taćto kamień a nie chleb.

— Niechże będzie kamieniem — powie ona niewiasta, i zniknęła natychmiast.

Przeląkł się chudzina strasznie, sięgnie po chleb, a tu zamiast niego znajduje kamień takiej wielkości jak był chleb, a w niem został nawet znak palca, którym go dotknął. Więc jeszcze więcej przestraszył się ów kłamca i nieużyty człowiek, bo poznał że to cud Boży na jego ukaranie. Przeto nawrócił czemprędzej do klasztoru, i przyznał się przed xiędzem opatem do całej winy, i rzecz całą rozpowiedział dokładnie. Więc na pamiątkę tego cudu, i na naukę ludziom jak mają być miłosiernymi, chowają xięża po dziśdzień ów chleb w klasztorze, i każdy go tam zobaczyć może.

Zaś ztąd jawna jest nauka, iż każdy powinien znać miłosierdzie dla biedniejszego, i wedle przykazania Bożego ostatnim kęsem chleba ma się z głodnym podzielić. Inaczej chleb wszelki i dostatek wszelki będzie mu kamieniem, i jako kamień ciężki będzie jego grzech, iż miłosierdzia nie zna. Zaś powiedział

sam pan Jezus, iż cokolwiek dobrego uczyni człek dla bliżniego i biednego, to mu będzie nagrodzonem stokrotnie; co zaś nie zechce uczynić dla złego serca, za to będzie pokaran na sądzie Bożym. Od jakiego pokarania racz nas Boże wybawić.

PIOSNKA WASYLKOWA.

W chatce u mateńki
Było dziewcząt dwoje,
W gniazdku dwie jaskółki,
W oknie dwa powoje.

W jesieni powoje
Uschły i zmarniały,
Ale znów na wiosnę
Swieże listki miały.

Na zimę jaskółki
Zamarły, zginęły;
Na wiosnę znów gniazdka
Do belki przypięły.

Ale gdy w jesieni
Pomarły dzieweczki,
Na ich grobie z wiosną
Porosły kwiateczki.

Ożyją powoje,
Śmierć jaskółki minie,
Lecz kto z ludzi umrze,
Już na wieki ginie.

Uhu! Uhu!

czyli

Jak Wojtek diabła wywoływał, i co mu za to było.

Działo się to przed laty kilkunastu we wsi Chlewie, która jest w wielkiem xięstwie Poznańskiem. Służył tam naonczas we dworze parobczak Wojtek Kaszubiński. Był to chłop sprytny, a najbardziej z końmi umiał się dobrze obchodzić, przeto wzięto go do dworu na stangreta. Rad był temu bardzo Wojtek, i służył wiernie a ochoczo, zaś koni pilnował jak oka w głowie. Jużto za żadne skarby nie byłby im urwał obroku, jak nieraz czynią źli furmani; natomiast chodził koło nich jak

koło własnych dzieci, i chędożył codzień że aż się świeciły, i napoił na czas, i o paszy nigdy nie zapomniał. Tak samo chodził koło powozu i szorów, a kiedy na rozkaz pański zaprzągł konie i huknął z bicza na kożle, to każdy przyznawał że to stangret jakich mało, a pan zawsze chwalił go i dawał za przykład innym parobkom. A iż był Wojtek także człek sumienny, spokojny i pobożny, toć go każdy lubił, i choć nie jeden zazdrościł łask i dobrego zachowania u pana, to przecież nie wychodził z tem głośno, ale chował u siebie.

Aleć taka to już nieszczęśliwa natura ludzka, że człek rzadko się trafi bez jakiej przygany i grzechu. I Wojtek miał swoje wady, bo to był łatwowiernym i zabobonnym jak baba jaka, i byle mu kto największe głupstwo rozpowiedział, brał sobie to za świętą prawdę. Jeszczeć tam po trzeźwemu było pół biedy, bo wziął rzecz na rozum i zastanowił się nad nią; ale niechno sobie trochę podpił, to już potrafił każdy wmówić w niego co chciał. Zaś choć nie był pijakiem nałogowym, ale przed kieliszkiem nie uciekał; przeto nieraz go namówiono do wódeczki, i nieraz sobie podpił w kompanii, tak że jął pomału przywykać do pijaństwa. A tym sposobem folgował sobie coraz więcej w pracy i dozorze koło koni, które zaczęły marnieć i chudnąć. Jako zaś człek nigdy złego tam nie widzi, zkąd ono przychodzi, tak i Wojtek nie zmiarkował że to jego niedbalstwo szkodzi chudobie, ale wmawiał w siebie, że to czary albo inne jakie licho. I frasował się tem, i wyrzekał przed ludźmi Bóg wie na kogo, a na frasunek coraz częściej zalewał pałkę. Kiedy zaś podpił dobrze, to gotów był Bóg wie co zrobić, a nawet z diabłem się rozmówić, byle mu dał dobrą radę na jego nieszczęście.

— Hej! hej! — wykrzyknął pijany Wojtek — żebym to ja wiedział sposób, jak diabła zczarować, tobym dopiero złupił bestyą ze skarbów, i wyspowiadał ze sekretów na moją biedę.

Na takie gadanie upominali go jedni, aby bluźnierstwem pana Boga nie obrażał, i aby pamiętał że jest chrześcijanin, i że nie godzi mu się wzywać złego ducha, od którego pan Jezus własną krwią swoją zbawił ludzi. Inni śmiali się z Wojtka

i dogadywali mu żarty różne — a Wojtek ani rozumnej mowy ani wyśmiewań nie posłuchał.

Owoż razu jednego wieczorem poszedł Wojtek do stajni, a było to już dobrym zmrokiem. Niebawem nadeszli tam dwaj inni parobcy, figlarze okrótni. Jeden zwał się Paweł, i ten do dziś dnia jeszcze, choć już jest statecznym człowiekiem i borowym, nie stracił dawnej wesołości i ochoty do żartów. Drugi zaś, podobniuteńki do Pawła, był Kuba. Że już było ciemno, nie dojrzeli Wojtka i poczną mówić do siebie.

Paweł: Powiedziałbym ci Kubo coś bardzo ważnego, jeno się boję aby Wojtek nie zasłyszał, bo to iście dla niego nowina, a nie chciałbym aby się o niej dowiedział.

Na taką mowę wcisnął się Wojtek po cichu w najciemniejszy kątek i nadstawił ucha jak zając, a Kuba odpowiedział:

— E, nie bój się, Wojtka tu nie ma, a toć sam widziałem niedawno jak szedł na wieś.

Paweł: Otoż widzisz Kubo, był tu dziś staruszek okrótny z siwiuteńką brodą po pas, co to już ze dwie setki lat chodzi po świecie. Ten mi powiedział, że ktoby dziś o północy poszedł do lasu na rozstajne drogi ku Przedborowu, toby mógł dostać diabła w swoją moc, tak żeby czarny musiał wszystko dla tego człowieka zrobić, coby mu kazał.

Kuba: Oj, aż mnie ochota zbiera pójść tam dziś, bo to też człowiek biedę klepie, a takby się niemało poratował. Toć bym sobie kazał przynieść nową sukmanę i buty i choć ze ćwierć złotych.

Paweł: At, nie gadałbyś Kubo takich rzeczy. Toć ja dla tego nie chciałem opowiedzieć Wojtkowi, boby tam wnet poszedł zaradzić się wedle koni, co mu tak mizernieją. A toć to przecie ciężki grzech zadawać się ze złym duchem.

Kuba: Aż mnie mrowie przechodzi mój Pawełku, ta jabym tego nie zrobił za nic w świecie, ot człek gada co tam język napytluje. Ale powiedz mi też co trzeba zrobić, aby diabła w swoją moc dostać, i aby on człeka posłuchał?

Paweł: Oto trzeba wziąć święconej kredy Trzechkrólowej, i nią zrobić na rozstajnych drogach wielkie koło, a potem wleźć w to koło. Gdy zaś będzie północ, trzeba zakrzyknąć: Uhu!

uhu! czarcie przychodź! Więc wnet przyleci czart jeden, albo też i więcej, i z początku będą straszyć człowieka, i pędzić go z koła, a nawet szturkać; kiedy się zaś nieda i z miejsca nie ruszy, to diabli muszą go słuchać, i wszystko zrobić co zechce.

Kuba: Ano dzięki Bogu, że o tem Wojtek nic nie wie. Ale cicho, bo zda mi się że już nadchodzi.

To rzekłszy wynieśli się obaj parobcy ze stajni. Wojtek słyszał wszystko, i aż mu się to zimno, to gorąco robiło na oną mowę. To mu się podobało, żeby się można diabłów wedle koni zaradzić a nawet pieniędzy coś wziąć, i nawet kredę Trzechkrólową włożył za pazuchę Zaś kiedy znowu pomyślał, że to sprawa z czarnym, co w żaden sposób nie uchodzi uczciwemu chrześcijaninowi, to go lęk wziął okrótny, i niczego imać się nie chciał.

Kiedy tak medytuje nad sobą, to nareszcie niby przypadkiem zaszedł do karczmy, bo mu już ta droga doskonale była znaną. Więc na frasunek i na mądrą radę wypił jeden kieliszek, i drugi, i trzeci, aż się dobrze w głowie zakręciło. Ludu w karczmie było dość, ale Wojtek dziś już ani słuchać ani rozprawiać nie chciał z nikim, i siedział w kącie jak mruk, a gorzałkę popijał jak wodę nieprzymierzając. Zaś kiedy się na dobre ściemniło, wyleciał Wojtek z karczmy jak oparzony, i pognał wprost na rozstajne drogi ku Przedborowu. A choć go wielki strach zbierał, przecież jakby nieprzytomny nakreślił kredą na rozstajnej drodze koło, i usiadł w niem czekając na północ.

Tymczasem zerwał się wiatr, i drzewa strasznie szumiały, a im więcej Wojtkowi gorzałka wylatywała z głowy, tem gorzej się bał. Włosy na głowie stanęły mu jak u jeża, a zębami dzwonił jak na nieszpor. Chciał nawet uciekać, ale bał się aby nie wpadł w moc czartowską, od której myślał że go obroni zaczarowane koło. Tak nadeszła północ, a Wojtek sam nie wiedząc co czyni, zawołał: Uhu! uhu! czarcie przychodź! Ale dopiero teraz przeląkł się setnie, kiedy powstał krzyk okropny, hałas, brzęk łańcuchów i insze okropności. Już Wojtkowi dusza na ramieniu siedziała, i na piękne chciał uciekać, kiedy nagle wypadną z lasu dwa szatany, i nuż Wojtka

okładać batami, że jeno świstało w powietrzu. Ledwie Wojtek nie oszalał ze strachu i z bolu, a tu diabli sieką i sieką, i ani myślą poprzestać. Nie mogąc wytrzymać, puści się Wojtek do wsi. A diabli za nim, i okładają go batami co żywo, i jeszcze wykrzykują po piekielnemu: A ty ladaco, a będziesz się zadawał z diabłami, a nasz ci, a ty taki i owaki. Niestało w końcu sił Wojtkowi, więc jeno klęknie wśród drogi i zacznie się w głos modlić: Boże wszechmogący ratuj mnie, a już nigdy takiego grzechu nie popełnię. I w jednej chwili uciekli diabli, a jeno zdaleka słyszał Wojtek śmiechy piekielne i przezywanie różne okropne.

Było to niedaleko kościoła, więc zawlókł się tam Wojtek i klęknął na progu i modlił się, a przysięgał ani wódki pić więcej ani się zadawać w sztuki diabelskie. A potem obity i pokaleczony wlókł się po cichu do stajni, aby drugich parobków nie pobudzić, bo mu wstyd było bardzo tej całej przygody. Aliści ledwie otworzył wrota, porwą się wszyscy parobcy jakby na niego czekali, i nuż śmiać się okrótnie i dogadywać mu poczną: A gdzieżeś to bywał Wojtku, a czyś się tam nie widział po drodze z dwoma diabłami, co tędy niedawno lecieli? A co też tobie takiego, że masz tyle sieniaków na gębie a całyś skurczony jakby pobity?

Wojtek na razie zapomniał języka w gębie, tak mu się to dziwnem wydało, że ludzie już wiedzą o jego biedzie. Zaś kiedy wnet nadeszli Paweł i Kuba z batogami i z różnemi rupieciami, i także śmiać się poczęli, domyślił się Wojtek całej sprawy, która była taka.

Obaj owi figlarze Paweł i Kuba, namówili się aby Wojtka ukarać za jego łatwowierność i zabobonność. Przeto uważali kiedy wejdzie do stajni, i tam z umysłu udali, że go nie widzą, aby ich rozmowę dobrze wysłuchał. Potem zaś uważali na niego, a kiedy z karczmy poleciał na rozstajne drogi, poszli za nim, i poprzebierani za diabłów dobrze mu na pamiątkę wyłuszczyli skórę.

Jak tedy zmiarkował Wojtek całą rzecz, jął z początku gniewać się i odgrażać, ale wnet ujrzał że mu ta nauka na dobre posłuży. Przeto udobruchał się, a na drugi dzień poszedł

do spowiedzi i wyprzysiągł się od gorzałki. Jął na nowo starannie chodzić koło koni, które wnet po dawnemu wypiękniały i poprawiły się, tak że zaprząg Wojtków znowu był najpierwszy z całej stajni dworskiej. Zaś Wojtek sam był także znowu najporządniejszym parobkiem i stangretem, a dziś, choć już człek poważny i dobry gospodarz, lubi nieraz opowiadać swoją przygodę z diabłami, i uśmieje się serdecznie zawsze z dawnej głupoty swojej. A niech mu kto pocznie rozpowiadać o strachach, któreto niby na własne oczy widział, prawi mu zaraz Wojtek o swojej przygodzie, i dodaje w końcu:

— Ej, żeby to i ciebie one strachy tak wybatożyły jak mnie diabli, tobyś bratku dziś więcej miał rozumu i nie plótł takie głupstwa.

Tworzymir.

Jak dzieci wychowywać?

Jestto rzecz bardzo ważna, aby wiedzieć, jak z dziećmi postępywać i jak je dobrze należy wychowywać. Każdy dobry przykład w tej mierze powinni znać rodzice, i powinni sobie z niego brać naukę. Przeto opiszę wam co o tem rozpowiadał pewien zacny i stareńki wieśniak, który miał dużo doświadczenia w wychowaniu dzieci.

W Niemczech jest jeden kraj niewielki, który się zwie Tyrol, a w tym Tyrolu żył ów zacny wieśniak. Niedawnemi czasy wypadło mu obchodzić złote wesele, bowiem mijało już pięćdziesiąt lat, jak się ożenił. Byłoć też to moiściewy nielada wesele, bo prócz dzieci stareńkich gospodarzy znajdowało się na niem mnóstwo wnucząt, a niektóre między niemi już dorośléjsze. Że zaś w całej okolicy bardzo ludziska poważali i kochali zacnego wieśniaka, zeszło się też ludu niemało i gości różnych, i bawili się wesoło jak rzadko. Jak to zaś bywa zazwyczaj, iż każden sobie szuka najmilszej zabawy, tak i tu jedni tańczyli, inni starsi pozasiadali sobie do gawędki przy

szklaneczce. Najwięcej zaś ludzi starszych obsiadło onego wieśniaka, i taką z nim prowadzili rozmowę.

— Miły ojcze — rzecze jeden z gości — toć was pan Bóg iście pobłogosławił szczęściem jakiego niełatwo doszukać się na świecie. Dał wam dożyć wieku pięknego w zdrowiu dobrem, co rzecz rzadka; dał wam mienie niemałe i miłość a szacunek między ludźmi, zaś największą pociechę i szczęście macie w dziatkach i wnukach, których uczciwość i zacność w całej okolicy jest znana. Oj to rzecz największa, boć całe szczęście rodziców leży w dziatkach. Jeśli te dobre, to i największa bieda nie dokuczy; ale jeśli złe, miły Boże toć na nic bogactwa największe, bo dla rodziców niema wtedy szczęścia na świecie.

— Prawdę mówicie — odrzekł stareńki wieśniak. Dzieci dobre, to największy skarb rodziców na tej ziemi. Aleć mój miły gospodarzu jestto skarb na który każdy może zapracować. Ja wiem z doświadczenia, że to jedynie od rodziców zależy, aby dziatki były dobre, i że będą z pewnością takie, jak je sobie kto wychowa. Wychowujcie dobrze wasze dziatki, a nie będziecie mnie zazdrościć, i doznacie z pewnością onego szczęścia, o którem tylko co mówiliście.

— O miły ojcze — rzecze inny gość — toćby każdy rad jak najlepiej wychować swoje maleństwo, i pracuje nadtem jak może. Aleć to nieraz nic nie pomaga, bo już jak dziecko z urodzenia niedobre, to się wszystko na nic nie przyda.

— Nie mówcie tak mój miły — rzecze stary wieśniak. Niepodobna to do prawdy, aby maluśkie dzieciątko, niewinne jak aniołek, miało w sobie coś tak złego z urodzenia. Każde dziecko jest dobre, i dopiero wychowanie robi z niego człowieka złego albo dobrego. Ja wam powtarzam z doświadczenia, że tylko złe wychowanie winno jeżeli dziecko się nie uda.

— Ha! kiedy tak mówicie ojcze — powie któryś z gospodarzy — toć wam wierzyć musimy. Ale jeśli łaska, może nam na naukę opowiecie sposób, jak wychowywaliście wasze dobre dziatki, które za przykład wszystkim innym służyć mogą.

— Najchętniej rozpowiem wam wszystko — mówił wieśniak — bo to sposób bardzo prosty i łatwy. Ja się jego nauczyłem od moich rodziców, i dziękuję Bogu za tę naukę

codziennie. Otóż moi mili, sekret jest ten, aby jedno najpierwsze dziecko dobrze wychować, a reszta już się same dobrze i cnotliwie wychowują.

— A możebyście też ojcze kochany rozpowiedzieli nam to dokładniej — rzekł jeden z gości zafrasowany — bo to jakoś nie idzie wprost do rozumu.

— Kiedy tak chcecie, to wam rozpowiem. Otoż widzicie mój Janek, to był najstarszem dzieckiem. Razem ze żoną staraliśmy się na wszelki sposób, aby go jak najlepiej wychować. Bóg pobłogosławił naszej pracy, i Jasiek był bardzo dobre i przyzwoite dziecko. Jak zaś doczekaliśmy się więcej dziatek, to Jasio był ich nauczycielem. Tylko mu powiedzieć było: uważaj na dzieci — a już całkiem bezpieczni mogliśmy pójść do pracy. Jasiek obchodził się z dziećmi dobrze, uczył ich co sam umiał, a dzieci jak że starszego naśladowali wszystko i słuchali go. Tak wychowywało się jedno dziecko po drugiem, a starsze było zawsze dla młodszego wzorem.

Owoż jak widzicie zależy najwięcej na tem, aby pierwsze dziecko było dobrze wychowane. To moi mili potrafią wszyscy rodzice najłatwiej, gdy zachowają drugi sekret. Ten zaś jest, żeby rodzice dobrym przykładem przewodniczyli dzieciom. Bo to dzieci, moi mili, są Boże odpuść istne małpięta. Samo ono ze siebie nic nie zrobi, ale niech jeno co usłyszy albo uwidzi na drugim, to wnet naśladuje, nie pytając czy dobre czy złe. Zaś przecie najwięcej widzą dzieci rodziców i od nich się wszystkiego uczą. Jeżeli więc rodzice żyją między sobą dobrze, jeżeli tylko uczciwych słów używają, to i dziatwa nigdy się nie pokłóci i nigdy brzydkie słowo z ust jej nie wyjdzie. Ale niechno rodzice poczną żyć swarami, a kląć i obrażać Boga grzesznem słowem, to i biedne maleństwo wnet nawyknie do tego, i nierozumiejąc będzie paplać, że aż włosy na głowie powstaną z takiego zgorszenia. Każda cnota, i pobożność, i miłosierdzie, i uczciwość, nie rodzą się razem z dzieckiem, ale ono do nich trzeba dopiero przyuczyć. Także też i każda grzeszna wada nie rodzi się z dzieckiem, ale je ono od starszych przyjmuje.

Tak to moi mili cięży na rodzicach wielki i święty obowiązek, aby Boże chroń nie dawali swemu maleństwu złego przykładu, ale aby wiedli je do dobrego. Zaś nic nie pomoże choć ojciec i matka będą mądre nauki dawać dziecku, jak ma ono być dobrem i poczciwem, jeżeli sami źle żyć będą. Dziecko naukę albo nie zrozumie albo zapomni, a będzie sobie taksamo poczynać jak rodzice. Bo powtarzam wam, dziecko jest istna małpeczka, z której dopiero wychowanie ma zrobić człowieka.

x. J. R. z Limanowy.

Piękne przykłady.

Wdzięczny kmieć Iwan Skawron ze Sielca.

W obwodzie żółkiewskim jest wieś Sielce, a ta należy do pani Kłobukowskiej. Owoż niedawno temu przyszedł do pani dziedziczki wieśniak jeden, Iwan Skawron ze swoją żoną Praxedą, i prosili oboje, aby im wolno było odprawiać nabożeństwo po wieczne czasy za duszę świętej pamięci pana, Adama Kłobukowskiego. A to dla tego — mówił poczciwy Iwan — bo zmarły pan ratował nas w różnych nieszczęściach gospodarskich, kiedyśmyto bardzo biedni byli. Zaś jak nas pan poratowali, to już od tego czasu zaczęło nam się dobrze powodzić, i dziś z łaski Boga i zmarłego pana jest wszystkiego dostatek. Więc chcielibyśmy okazać naszą wdzięczność dobremu panu, a kiedy już nie żyją, tobyśmy chcieli bodaj modlić się za jego duszę do pana Boga, i pamięć dobrodzieja po wieczne czasy zachować. Także chcielibyśmy tym sposobem przekazać, aby nasze dzieci i wnuki i prawnuki modliły się za naszego dobrodzieja, bo już się tak należy.

Kiedy pani dziedziczka wysłuchała mowy Iwanowej, bardzo chętnie i serdecznie pozwoliła na jego prośbę. Zaś niebawem odbyło się pierwsze takie nabożeństwo w cerkwi sieleckiej, a było na niem ludu co niemiara, bo prawie cała wieś i sama

pani dziedziczka. Po mszy i po całem nabożeństwie udał się xiądz proboszcz Józef Szajdzicki do mieszkania Skawronów, i poświęcił dom ich, całe gospodarstwo i dobytek. Sprosili Skawronowie huk gości i panią dziedziczkę, która także przyszła, i traktowali wszystkich bardzo gościnnie. Nakoniec powiedział xiądz proboszcz bardzo piękną mowę. W tej mowie pokazał on, że wdzięczność jest znaczną cnotą, i zachęcał lud do tej cnoty. A ponieważ wiejski lud najbliżej z dworem żyje, i od dworu nieraz radę i pomoc dostaje, więc też powinien znać wdzięczność dla swoich dziedziców.

Tak mówił xiądz proboszcz i takito piękny przykład wdzięczności opowiedziałem wam mili gazdowie. Powtórzcie ten przykład waszym dzieciom i parobkom i sługom, a pokażcie im, jakto człowiek cnotliwym być powinien, jeżeli ma mieć błogowieństwo boskie. Jestci to wprawdzie powinność bogatszego, aby biedniejszych ratował w potrzebie; ależ i biedny nie ma myśleć, że jemu się to tak należy, i że on przeto nie potrzebuje być szczególniej wdzięcznym swojemu dobrodziejowi. Inszy to jeszcze obgada człowieka za łaskę. Oj źle to bardzo, i takiemu pewnie pan Jezus nie będzie błogosławić, ani mu nie da dorobku; i taki będzie wiecznie żebrał i pożyczał i prosił, a nigdy nic mieć nie będzie. I dlaczego mu się tak dzieje? — oto bo nie ma u niego wdzięczności, a wdzięczność nakazał pan Bóg ludziom; kto zaś nakazania Bożego nie słucha, tenci nigdy jego błogosławieństwa mieć nie będzie.

Zaś wdzięczność należy się każdemu dobrodziejowi, czy on jest pan, czy kmieć, czy kto niebądź. A nie mówi się tu, aby koniecznie wnet nabożeństwa za nich odprawiać, albo inacz im płacić. Kto nie może i nie ma zkąd, ten niech tylko w sercu ma dobrą pamięć, a w ustach dobre słowo o swoim dobrodzieju. Kto zaś może, ten niech postąpi podobnie jak Iwan i Praxeda Skawronowie. A wszystkim wdzięcznym będzie z pewnością pan Bóg błogosławił i dopomagał, tak jak dopomógł zacnym Skawronom, których weźcie sobie także do pamięci na dobry przykład.

RADY GOSPODARSKIE.

---

1) Jakim sposobem można mieć dobrą mąkę ze zboża zrosłego?

Toćto każdej gosposi dobrze wiadomo, jaki bywa kłopot gdy przyjdzie chleb piec z mąki, która jest ze zboża zrosłego. Chleb taki nie uda się nigdy, bo będzie zawsze zakalcowaty i niesmaczny, a najbardziej że szkodzi zdrowiu. Zakalec jest niestrawny, o tem wic każdy; a objadłszy się go, można nieraz ciężko odchorować. Ale że trudno wyrzucać mąkę, choćby była i ze zrosłego zboża, a nieraz nie można marnotrawić, bo innej mąki nie ma, przeto muszą biedni ludziska jeść co mają, i narażać swoje zdrowie. Tak myśleli wszyscy przez długie czasy, i bardzo wielu dziś jeszcze nie znają sposobu do zaradzenia złemu. Ale kiedyto mądrzy ludzie zaczną nad czem medytować, to taki coś skutecznego wymyślą. Podobnie także wymyślili doskonały sposób na mąkę ze zrosłego zboża, jakby ją uczynić dobrą, i o tem dokładnie wam opiszę.

Jestto bardzo prosty i łatwy sposób, a wynalazł go niedawno jeden mądry Francuz i opisał ludziom, jak zaradzić takiej mące. Otoż miła gosposiu, jak masz mąkę ze zrosłego zboża, to łatwiusieńka rzecz aby ją dobrą uczynić, gdy tak zrobisz z nią jak tu napisano. Weż takiej mąki 13 funtów, i dodaj do niej 9 łutów soli. A potem możesz zamisić i piec chleb, a będziesz go miała aż 17 funtów, i to doskonałego. Wyrośnie że aż miło, a po zakalcu ani śladu nie będzie. Jeżeli zaś mniej albo więcej mąki na jeden raz zechcesz użyć, to trzeba w tym samym stosunku dodać soli. I tak jeżeli masz 26 funtów mąki, to także podwójnie dodasz soli, to jest 16 łutów. Jeżeli masz tylko połowę od trzynastu funtów, to jest 6 i pół, wtedy dasz tylko cztery łuty soli, i tak zawsze w równej mierze, ile będzie potrzeba. Otoż cały sekret, i pewna rzecz że bardzo tani i łatwy. Spróbujcie tylko a przekonacie się, że to nie bajki, i że sól może z takiej zepsutej mąki zrobić doskonałą. Zaś tę mąkę możesz już potem na co bądź użyć, i

zawsze do wszystkiego się przyda, tak na chleb, jak na kluski i na inne pożywienie.

2) Nawóz z kości.

Mówiłem dopiero, że jak mądrzy ludzie zaczną nad czem przemyśliwać, to nieraz coś mądrego wymyślą, i pokażą że z najlichszej rzeczy można mieć dobry użytek. Ot nie szukając daleko weźmy naprzykład kości zwierzęce. Walają ci się one po wszystkich kątach, i chyba pies się czasem do której przyczepi, a zresztą tyle pożytku, że śmieci z nich pełno, bo nikomu do głowy nie przyjdzie aby mu się na co przydały. Dopiero przypadkiem poznano, iż niema lepszego nawozu jak kości, co się stało tym sposobem. W kraju angielskim, gdzie są ludzie bardzo dowcipni i pracowici, trzymał pewien gospodarz wieś dzierzawą u wielkiego pana jednego. Owoż uważał on, że około zabudowań gospodarskich, kędy wiele kości zawsze rozrzucano, były najpiękniejsze urodzaje. Zaczął nad tem przemyśliwać, a potem na jeden i drugi łan rzucał kości, zaś wszędzie rodziło mu się dziwnie piękne zboże. Na takiem gospodarstwie zyskał on niebawem ogromne pieniądze, a sekret trzymał u siebie, i wszędy skupywał kości nie mówiąc na co. Z początku dawał mu każdy chętnie kości, myśląc sobie, a na co mnie tego śmiecia, ot dobrze że sobie zabierze. Dopiero poźniej zaczęli się ludzie czegoś domyślać, i tak pomału sekret na wierzch wylazł.

Od onego czasu w całym kraju angielskim zaczęto używać kości za nawóz, i pokazało się że nic lepiej nie użyźnia roli. Dzisiaj już i w innych krajach używają tego sposobu, a za granicą nikt kości nie rzuca na śmiecie, bo za nie bardzo dobrze płacą. Także są już takie młyny, gdzie kości na mąkę mielą, bo tak jeszcze wygodniej ugnoić ziemię. Tę mąkę mieszają z innym nawozem, najlepiej ze zwyczajną mierzwą, a taki sposób jest też najlepszy. *Gw. C.*

3) Sposób na muchy i komary.

A iż to teraz lato i słońce przypieka, człek przez dzień rady sobie nie może dać z muchami a w nocy z komarami. Niejeden też różnych próbuje sposobów, choć muchy ciągle dokuczają

a komary gryzą. Zaś niektóre sposoby udają się nieźle, przeto wam o wszystkich donosimy, a dziś doniesiemy o tych, jakie niedawno podała Szkółka niedzielna.

Na komary weźcie gąbkę, napuśćcie ją octem, i powieście niedaleko łóżka. Do tej gąbki zlecą się komary, i wyginą wszystkie razem, bo im ocet nie służy na zdrowie.

Zaś na muchy weźcie czombrowego, bzowego i kminkowego liścia, ugotujcie je w wodzie, i tą wodą izbę pokropcie, a wszystkie muchy z izby uciekną.

Albo też uwarzcie kminu samego i tą wodą obmyjecie, muchy je nie popstrzą.

4) Wrzos na paszę zimową dla bydła.

Jużto u nas zawsze najcięższy przednowek. Bieda pcha się wszystkiemi dziurami, a jeżeli stanie jeszcze na kawałek chleba, to przy złych sianokosach najczęściej dla braku paszy trza się pozbyć niejednego bydlęcia z obory. Zaś każdy wie, jaka przykra rzecz sprzedawać zwierzę, które się wychowało, a sprzedawać dla tego, bo nie ma je czem wykarmić. A kiedy chybiły siana, to innej rady nie ma, jeno trzeba je sprzedać choćby płacząc i choćby ze znaczną stratą.

Jednakowoż czasami można i temu zaradzić, zwłaszcza w okolicach, gdzie jest dużo lasów, najbardziej sosnowych. W tych lasach rośnie roślina krzaczysta, z drobniutkiemi listkami, co to we wrześniu kwitnie czerwono a zwie się wrzos. Owoż w złych latach roślina ta daje się doskonale użyć za paszę i chociaż nie tuczy bydła, przecie uchroni go od głodu, i do wiosny lepiej się przyda niż słoma owsiana albo jęczmienna.

O tym sposobie wiedzą już u nas gospodarze, i nieraz go używali. Zaś w jednym kraju angielskim, w Szkocyi, mają z tego doskonały zysk tym sposobem. Skupują oni cielęta i gotują wrzos w garnkach, gdzie jeno połowa garnka wody a reszta wrzosu. Potem wodę wygotowaną dają cielętom, co dla nich jest bardzo pożywnem. Że zaś wywar ów jest gorzki, dodają trochę miodu albo mleka, i tuczą doskonale cielęta. Wrzos na paszę dla bydła zbiera się i kosi jak zwykła trawa.

RÓŻNOŚCI.

Xiądz proboszcz w Semeginow'e. Niedaleko miasta Stryja, bo tylko ze dwie mile ku Karpatom, jest wieś Semeginów, a w niej mieszka bardzo zacny i szanowny, a także bardzo stareńki xiądz proboszcz ruski Paweł Antulski. Owoż będzie temu miesiąc prawie, bo byłoto 13. Lipca, kiedy xiędzu Antulskiemu przypadło dwie rocznice. A najpierw skończyło mu się pięćdziesiąt lat, odkąd został xiędzem i ludzi poucza w nauce wiary świętej; a także pięćdziesiąt skończyło mu się, jak się ożenił, i miał odprawiać wesele złote. Z całej okolicy znają ludzie dobrze xiędza proboszcza semeginowskiego i kochają go za zacność jego, przeto niemało zjechało się ich na uroczystość, a to nie tylko Rusinów ale i Łacinników. Była msza wielka, przy końcu której błogosławił sędziwy xiądz proboszcz wszystkich obecnych w cerkwi, a to każdego poosobnie. Xiądz Antulski ma już dziś 77 lat, więc drżącym od wzruszenia głosem błogosławił. Także nie było nikogo w cerkwi, któryby nie miał łez w oczach albo i nie płakał na dobre, tak się ludzie rozczulili. Bo też to rzecz nie mała widzieć kapłana, który tyle lat pracował na chwałę Bożą a na zbawienie dusz ludzkich, i któremu Pan Bog jakby w nagrodę za zasługi dał doczekać takiej starości i takiej pociechy.

Grad Jakoś dzięki Panu Bogu w teraźniejszym roku nie było wiele szkody od gradu. Bywałci on wprawdzie jak zawsze, ale znacznie mniej, i zaledwie w kilku miejscach szkody nieco narobił. Znaczną szkodę poczynił grad dnia 7. zeszłego miesiąca, kiedy spadł na pola gmin Kosienice, Bachów, Skopów, Krzywcze i inne.

Szarańcza. Donoszą z Bukowiny, iż tam pokazała się w wielu miejscach młoda szarańcza, a to już wylęgła z jajek, które roku przeszłego w ziemię pokładła szarańcza. Pracują tam ludziska okrótnie nad jej wyniszczeniem, i daj Boże aby się to udało, bo inaczej dziwnie wielkie szkody mogłaby ona także gdzieindziej wyrządzać, od czego Boże zachowaj.

Piorun. Dnia 10 Lipca była ogromna burza we wsiach Nowe i Stare Bohorodczany w Stanisławowskiem. Przez czas pewien niebo było ciemniusieńkie, także chmurzyska były okropne. Na ostatek uderzył piorun w stajnię dworską w Starych Bohorodczanach. Bydło uratowano szczęśliwie, ale stajnia i kilka jeszcze innych budynków ze znacznym zapasem siana zgorzały do szczętu. Według dobrego rachunku jest tam szkody na 2.500 reńskich nowych.

Wydawca odpowiedzialny za redakcję: E. Winiarz.

Tom VII.



Nr. 6.

21. Sierpnia.

1862.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Król August Trzeci.

Już to tam nie dawno napisano w Dzwonku przy królu Stanisławie Leszczyńskim, jakim sposobem Niemiec August III przyszedł na tron polski. Owoż aby wam ta historya lepiej na pamięć przyszła, powtórzę ją w krótkości.

Po śmierci Augusta II bardzo wielu Polaków obrało sobie na króla Stanisława Leszczyńskiego. Wiedzieli oni iż to jest pan mądry i zacny, i że pod jego panowaniem biedna Polska rychło przyjdzie do dawnej siły i wielkości. Zaś tego nie chcieli na żaden sposób Moskale i Niemcy, bo nie mogliby już w Polsce gospodarować i zbytki czynić, jak im się to teraz udawało. Dla tego starali się oni bardzo o to, aby Stanisław nie został królem, ale aby w Polsce panował znowu Niemiec August III, który był człek dobry, ale na króla dla Polski całkiem się nie przydawał. Jakci więc zaczęli Moskale i Niemcy chodzić kolo onej sprawy, jak zaczęli panów polskich namawiać, jednych

przekupywać, drugich zmuszać siłą, więc nareszcie skończyło się tak jak chcieli. Dobry król Stanisław musiał z kraju uciekać, a August III zaczął panować.

Był ten August synem Augusta II, a jeżeli ojciec nie bardzo się Polakom nadał, to syn tem mniej. Królowanie szło jemu bardzo nieskładnie, i on się też mało o nie troszczył. Także kraju polskiego nie kochał tak, jak to król powinien, a przeto o dobro tego kraju nie starał się, zkąd były znaczne nieszczęścia. Lubił August III bawić się dobrze, polować, bankietować; lubił także komedye różne, błaznów, także spiewania lubił słuchać — ale wziąć mu się do pracy w żaden sposób nie chciało. Za jego czasów rządził w Polsce kto chciał, zaś najbardziej królewscy faworyci, Niemcy i Moskale. Wielcy panowie polscy robili także co im się podobało, często sprawowali się źle i broili, a nikogo nie było coby ich ukarał i porządek zaprowadził. Zaś najbardziej broili Moskale, bo im już teraz nikt nie przeszkadzał, i Niemcy, którzy razem z królem naszli do Polski. Przyszło do tego, że carowa moskiewska rozkazywała królowi, a on czynił to i słuchał jej.

Sejmy bywały jak dawniejszemi czasy, ale bardzo nieszczęśliwe. Przypominacie sobie że w Polsce był zwyczaj, iż jeżeli jeden z posłów na sejmie powiedział **nie pozwalam**, to cały sejm był już na nic, i uradzić nic dobrego nie mógł. Było to bardzo wielkie nieszczęście, i zwyczaj ten był bardzo zły, bo tylko na sejmie można było coś dobrego postanowić i uradzić, coś na obronę i na pożytek kraju zrobić. Za czasów Augusta III ten zły zwyczaj bardzo był częsty, i sejmy wszystkie zrywano, tak że na 30 lat tylko jeden sejm udał się, a to ten, który wnet po obraniu Augusta III zwołano. Insze wszystkie sejmy zrywali posłowie, tak iż przez 30 lat żadnego prawa i porządku w kraju nie było.

Zaś o takie zrywanie sejmów starali się nieprzyjaciele Polski, a najbardziej Moskale. Wiedzieli oni, że byle się kilka sejmów udało, to wnet w Polsce większy ład będzie zaprowadzony, i w kraju będzie się dziać lepiej, a więc oni nie będą mogli mu szkodzić. Przeto starali się, aby do tego nie przyszło i aby się sejmy nie udawały. Sami Moskale i insi nieprzyja-

ciele nie mogli sejmy zrywać; więc do pomocy wzięli sobie niektórych złych Polaków, a ci za pieniądze zrywali sejmy na nieszczęście własnej ojczyzny. Hańba to wielka i grzech wielki; ale jakto i między najzacniejszymi ludźmi znajdzie się zawsze jaki niepoczciwiec, tak i w Polsce też znachodzili się oni.

Oprócz tego zrywali nieraz sejmy sami wielcy panowie polscy przez swoich zapłaconych posłów albo sług. Tacy wielcy panowie czynili to nieraz naumyślnie, aby dla siebie coś zyskać albo drugim przeszkodzić i na złość uczynić. Tacy panowie nikogo się nie bali i broili jak im się podobało. Kto zaś oni byli, i jacy oni byli, opowiem wam nieco dokładniej. Boć warto dowiedzieć się dobrze o tych panach wielkich, którzy tyle dobrego i tyle złego uczynili dla Polski.

Takich panów, jakimi byli wielcy panowie polscy, nie widać dzisiaj i nie słychać o nich. Było ich nie wielu, bo na całą Polskę ledwie kilkanaście rodów, jak Ostrogskich, Wiśniowieckich, Sapiehów, Potockich, Radziwiłłów i innych. Każdy taki pan był okrótnie możny i bogaty; miał najpierw zamek jeden albo kilka obronnych, i wojska miał wiele, tak iż mógł się każdemu obronić a nawet samemu królowi. Zaś różnych bogactw miał moc niezliczoną. Miast nieraz miał kilkaset, a wsi kilka tysięcy, zaś srebra i złota beczkami, a bydła nie zliczyłbyś nigdy. Takim panom sługiwali inni znaczni panowie, urzędnicy wielcy i mnóstwo ludzi, którym oni rozkazywali. Owoż jeżeli była potrzeba ojczyzny, to taki pan z swoimi ludźmi nieraz uczciwie dopomógł i kraj ratował. Ale też kiedy mu coś wlazło do głowy, to nabroił złego jak żaden inny. Toż właśnie dla tego, że tacy panowie wielcy mieli siłę wielką i nikogo się nie bali, broili oni nieraz na szkodę ojczyzny. Pokarał ich Bóg za to, tak iż jedni całkiem powymierali, a inni pobiednieli, i dziś nie ma po nich ani śladu.

Tymczasem za Augusta III działo się coraz gorzej. Mnóstwo wojsk obcych, moskiewskich i niemieckich, przechodziło przez Polskę, rabowało ją i niszczyło, a nikt temu nie sprzeciwił się, i ukrzywdzony nie miał się gdzie uskarżyć. Z królem żadnej mowy nie było, a z panami także. Zaś pomimo takich nieszczęść wyglądał cały kraj jakby mu się najlepiej działo.

Ludzie opuścili ręce i nie myśleli już o ratunku, a tylko o tem, jakby użyć świata. Panowie hulali po pańsku, stroili się, bankietowali, rozrzucali pieniądze; uboższi jak mogli tak się zabawiali, a nawet lud wiejski zapomniał o pracy, i odbywszy byle jako gospodarkę, dalej do karczmy na gorzałkę i hulankę. Od onego czasu zaczęły się w Polsce pijaństwa i różne inne grzechy, których do dziś dnia ludzie pozbyć się nie mogą.

Wprawdzie byli ludzie także pobożni, modlili się srodze i odbywali różne nabożne pielgrzymki, myśląc że to wystarczy za inne cnoty i za pracę, także iż Bóg cudami ratować ich będzie. Aleć pan Bóg wyraźnie przykazał: „módl się i pracuj", a kto się tylko modli a zamiast pracy hula i grzeszy, ten cudu i pomocy boskiej nie wart. Dlatego też tylko dla ludzi uczciwych ma pan Bóg cuda, tylko pracowitym pomaga On. Nie było naonczas pracy i uczciwości, więc i pobożność na nic się nie zdała.

Tak było w Polsce przez całe panowanie Augusta III, a ten królował lat 30. I zdało się że już Polska na wieki przepadnie. Ale pan Bóg łaskawy chciał inaczej, bo widział że temu sami Polacy nie winni, ale że ich do tego nieszczęścia najwięcej przez złość doprowadzili nieprzyjaciele, jak Moskale i inni. Przeto dał Bóg Polsce ratunek w królu Stanisławie Leszczyńskim, który mieszkając daleko od Polski zawsze myślał o niej, i o jej dobro się starał. On to wyuczył wielu Polaków jak się mają rządzić uczciwie, jak szanować prawo i jak żyć po Bożemu. Kiedy ci Polacy wrócili do Polski, i drugich także o tem nauczyli, zaczęli wszyscy przychodzić do rozumu i pracować dla dobra kraju. Przestano hulać i swawolić a wzięto się do pracy, którą Bóg błogosławił. O tem wszystkiem będzie w Dzwonku inną razę napisano, a teraz wam opowiem koniec życia króla Augusta III.

Ten król August przesiadywał zawsze spokojnie w jakiem mieście i bawił się a hulał jak mógł. Mieszkał często w Warszawie, ale jeszcze więcej lubił siedzieć w niemieckiem mieście Dreznie, bo go też do Niemców zawsze bardzo serce ciągnęło. Nażywszy się dosyć i nahulawszy, umarł tamże w Dreznie,

właśnie podonczas, kiedy Polacy już na prawdę zaczęli myśleć o poprawieniu się i o pracy dla dobra kraju.

Czarne chmury.

Spiewka lirnika.

— Dziadulu stareńki
Wstąpcie do chateńki,
I z lirą, ze starą,
I z piosnką i z wiarą,
I z głosem srebrzystym,
I z spiewem ojczystym.

Długośmy czekali,
Długo się pytali,
Gdzie dziaduś nasz siwy,
Gdzie głos jego liry,
Gdzie spiew jego Boży
Co cieszy i trwoży.

Toć kiedyście przyszli,
Kiedyście wrócili,
Naprzeciw my wyszli,
Naprzeciw pół mili, —
I znowu witamy,
Niech będzie chwalony,
Niech będzie poczczony,
My jemu cześć damy.

Lecz dziadu zagrajcie,
Pieśń nową nam dajcie,
Bo ciężko bez pieśni,
Bez pieśni dziadowej,
Więc my też boleśni
Prosim pieśni nowej.

— Ha! chcecie spiewania,
Spiewania i z lirą,
Ot patrzcie, bez grania
Za chmurką hen sirą
Dwie idą muzyki,
Dwie czarne, a dziki
O dziki spiew mają
I dziwnie też grają,
Dziwne rzeczy bają.

A czy wy słyszycie?
Czy ich rozumicie?

Ot czarne te chmury
Spłynęły od wschodu,
Od wschodu z za góry,
Ze stepów zawodu.
Tam się urodziły
Na stepie szerokiem,
Tam się wykarmiły
Jękami z mogiły,
Która płacze zmrokiem.

Hen w dali, daleko,
Jest wielka mogiła,
Wielkie grobu wieko,
Pod niem mężów siła;
A wszyscy zginęli,
I legli ofiarą
Za wiarę i z wiarą,
I wszyscy spoczęli
Pod mogiłą starą.

A wszyscy ztąd byli,
Z tych chat i z tej ziemi,

Ztąd wyszli, a z niemi
Poganie walczyli.
W tej ziemi obronie
Padli owi męże,
I jasne oręże
Złamali w obronie,
I rzekli przy skonie:

Za ojczyznę żyli,
Ojczyzny bronili,
W jej legli obronie,
W jej spoczniemy łonie.
Póki ona cała,
Będzie pokój z nami;
Gdyby stracić miała
Wolność i zmarniała,
Zapłaczem chmurami.

Długo, długo spali,
W grobie pod mogiłą,
Nagle wielką siłą
Razem zapłakali:
A z tego płakania
I z łez chmury rosły;
Wiatr je tu przygania,
Tu one przyniosły
Ojców ciężkie łkania.

Obrazek święty.

Bóg dobry opiekuje się sierotami.

I.

Wielki rozległ się hałas z domostwa Wojtaszkowej, we wsi Dąbrowie, że aż kobieciny ze sąsiednich powybiegały chałup, myśląc że gore, i dzieci przyleciały ciekawe.

Gospodyni Wojtaszkowa krzyczała gdyby opętana; z domostwa wybiegła ładna dziewucha z zawiniątkiem pod pachą, i okrótnie płakała, a za nią pokazała się rozzłoszczona kobieta, wywijając miotłą w ręku.

— A nie ukazuj mi się więcej! — wrzeszczała — bo cię roztrącę.

— Pójdę gdzie mnie oczy poniosą — odpowiedziała jej płacząca dziewucha — a wam pewno nie naprzykrzę się więcej.... Pan Bóg niechaj wam płaci za wszystko dobre, a złego nie pamięta!... Ostańcie z Bogiem! — i szlochając głośno, bo jej dziw serce nie pękło, szło biedne dziewczę, a samo nie wiedziało dokąd!

Była to Zośka, sierota, której rodzice przed parą laty umarli. Wojtaszkowa wzięła ją wtedy do siebie, a poczciwa dziewczyna przywiązała się do niej, i pracowała szczerze a ciężko, gdyby u własnych rodziców. Zośka wyrosła na ładną dziewuchę, ale mniejsza tam o to, że rażną była, skoro była poczciwą i pobożną; na mszą św. pobiegła najpierwsza, a do karczmy nie zajrzała nigdy; w polu przy pracy wyprzedzała drugie, a spiewała przytem gdyby ptaszek na gałązce; ubierała się schludnie, ubogo ale chędogo; a każdemu byłaby rada nieba przychyliła.

Wojtaszkowa miała syna jedynaka, Antka, dorodnego parobczaka. Gdy był jeszcze chłopcem, polubił go xiądz proboszcz i niejednego pouczył. To też ta nauka bardzo jemu przydała się potem, i gdy po śmierci ojca objął gospodarstwo, szło jemu wszystko gdyby z płatka. W domu mitygował nie jednę złość matczyną; pracował w polu, zgodnie żył z ludźmi, i nie wynosił się nad drugich, chociaż mu Pan Bóg szczęścił na dobytku; szedł zawsze prostą drogą i miał serce poczciwe. A pocóż tam długo opowiadać i w bawełnę obwijać: że oto Zośkę pokochał — a Zośka wszystko, co jeno uważała jako najprzedniejsze, widziała w Antku, i byłaby na kraniec świata za nim poszła.

Gdy wszelako o tem zmiarkowała Wojtaszkowa, poczęła nienawidzieć dziewuchę, i śledzić ją wszędzie, podględywać i podsłuchiwać, a dokuczać jej okrótnie. Chciało jej się gospodarskiej córy na synową, z wianem, z pieniążkami, albo nawet panny jakiej w grzebieniu, w długiej sukni, ba i w kapeluszu! Bo kiedy czart pychy opęta człeka, to już miary nie ma jego zachciankom i różnym myślom głupim a szkodliwym. Bo coby też to Antkowi po takiej było żonie? — I też on ani pomyślał o tem! A co do majątku, mój Jezu! kiedy kto pracuje i pracować umie, to przy łasce Bożej majątek najlepszy ma w ręku. Tak sobie też myślał i Antek.

Dnia jednego wspomniał coś tam o żeniaczce, a wieczorem dostrzegła matka, że jakoś młodzi szeptali sobie pod gruszą. Więc też nazajutrz, gdy Antek był w polu, rozpoczęła sądy z dziewuchą, narobiła krzyku, hałasu i wygoniła sierotę ze wsi.

Sąsiadki głowami kręciły, żal im było dziewuchy, ale że Wojtaszkowa była sekut baba, to i wolały nic nie mówić, bo się bały złej sąsiady. Jedna tylko kobiecina przenieść tego nie mogła, zawinęła się co ducha i w pole pobiegła, by Antkowi opowiedzieć co się stało.

Tymczasem Zośka za wsią pod Bożą męką przyklękła, zalewała się łzami i modliła się gorąco; dobyła obrazek Matki Boskiej, co jej go Antek był przyniósł z Częstochowy — całowała go na pocieszenie, i polecała się najświętszej naszej Orędowniczce niebieskiej. Potem powstała i szła sobie dalej. W drodze znowu chciała swój święty pocałować obrazek — aż tu widzi, że go zgubiła. Więc nawraca, a łzy jej bardziej jeszcze płynęły, boć ten obrazek — mój Boże! — był całem jej bogactwem i ukochanym serdecznie.

Wraca pod Bożą mękę, szuka, płacze — i znajduje swoją zgubę pod krzaczkiem, tuż po nad drogą. W tem coś łysnęło jej w trawie — myślała z razu że to jaszczurka, ale gdy łyszczy się ciągle a nie rusza się przytem, więc znowu myśli, że to wstęga, albo szmatek jedwabny i podnosi.... sakiewkę pełniutką złota! Dziewucha aż struchlała. Siada na ziemi i przypatruje się złotu.

„Kto też to zgubił?“ — pomyślała sobie — „i komuby to oddać?!“ — „Zanieść potrzeba do sołtysa!“ — Potem uśmiechnęła się niby, mówiąc sobie w duszy: „Gdyby to złoto było moje, zarazby Wojtaszkowa Antka ożeniła ze mną!“ — i ruszyła ramionami, i łzy jej oczy zalały, że to ludzie tak bardzo pieniądze miłują. — Otarła oczy, powstała, i zawinęła sakiewkę we fartuch, by pójść do sołtysa — bo Zośka za nic w świecie i jednego nie byłaby tknęła groszyka, jako cudzą własność.

W tem od pola nadbiegł zadyszany Antek, rad z duszy, że Zośkę spotkał.

Zośka opowiedziała mu wszystko i pokazała sakiewkę.

Antek aż się chwycił za głowę i zawołał:

— O Jezusienku! Tyle złota! Co to za bogactwo!... Jakie to szczęście!

— Ale oddać je potrzeba! — wymówiła Zośka.

— A może jaki bogacz zgubił! — zagadał znowu Antek.

— To i coż? Zawsze to cudze! — i Zośka sakiewkę znowu pod fartuch ukryła.

— Zapewne, oj, zapewne! — zastanowił się Antek — bo ludzką krzywdą nikt się nie dorobił jeszcze: ludzka krzywda to i grzech śmiertelny.

— Uchowaj Boże! — poszepnęła sierota i aż ręce złożyła niby do pacierza.

— Potrzeba, abyś do dworu tę znajdźbę zaniosła — wymówił znowu Antek.

— A ja chciałam oddać sołtysowi — odrzekła dziewucha.

— Lepiej odnieś do dworu.

— To i pójdę, jak mówisz — zgodziła się Zośka na to, jak jej Antek poradził.

Potem jeszcze zarzekł się Antek, że jej nie opuści aż do śmierci, że matkę przekona, jako z nią jedną tylko będzie szczęśliwy, i że uprosi xiędza proboszcza, aby wstawił się za nim i u matki pozwolenie wyjednał.

— Teraz idź do dworu — dodał — a ja zaczekam na ciebie przed bramą, i odprowadzę cię ku Borowcom, gdzie u Czajków pewnie służbę znajdziesz.

II.

Syn dziedziczki Dąbrowej, pan Władysław, wyjechał był rano na koniu do Borowiec, gdzie wielkie były cegielnie, ażeby cegieł zakupić. Miał kieszeń rozprutą u płaszcza i zgubił sakiewkę, w której siła była pieniędzy. Gdy więc Zośka znajdźbę odniosła, wielce się uradował i wszyscy pochwalili poczciwość dziewuchy.

Pan Władysław wyliczył jej od razu trzysta złotych polskich, jako posag; dziedziczka podarowała jej śliczną, dojną krówkę; a panna Józefa, córka dziedziczki, dała jej piękną suknię na spodnicę ślubną, i przyrzekła, że jej kupi misy, łyżki, stół, rydle, konewki i t. p. sprzęty na gospodarstwo. — Dziewucha, aż się rozpłakała z radości.

Panicz zawołał Antka — któremu dziw serce nie wyskoczyło, gdy dowiedział się o wszystkiem. Zaś panna Józefa ka-

zała przywołać Wojtaszkową, a gdy widziała przez okno, że gospodyni nadchodzi, ukryła Antka i Zośkę w drugim pokoju.

Wojtaszkowa weszła rezolutnie, lecz gdy jej państwo pokazali policzone na stole trzysta złotych i opowiedzieli wszystko, to i języka zapomniała w gębie. Panna Józefa mówiła o poczciwości Zośki, i że ją wydadzą za stangreta Macieja. Na to powiedzenie zafrasowała się Wojtaszkowa nie mało, zerkając ciągle chciwemi oczami ku stolikowi.

— Przyślijcież nam Zośkę, co prędzej — ozwała się znowu dziedziczka — ażeby co rychlej poczciwe uszczęśliwić dziewczę.

— A kiedy jej nie ma — odrzekła gospodyni, coraz więcej pomieszana.

— Ta i gdzież jest? zapytał pan Władysław.

— Była mi nie na rękę.... i odprawiłam ją — odpowiedziała Wojtaszkowa — skubiąc się za fartuch.

— Nic to nie szkodzi! — zawołała panna Józefa — poślę po Macieja, to on ją zaraz znajdzie.

— Ale.... z przeproszeniem wielmożnego państwa — pokłoniła się Wojtaszkowa, czerwona gdyby piwonija — a wszakże to.... wszakci-to mój syn, Antek, już oddawna zalecał się tej dziewusze....

— Lecz była wam nie na rękę, to i cóż wam po takiej synowej — przemówiła panna Józefa z przekąsem.

Na to gospodyni pokłoniwszy się, znowu odrzekła:

— No, boć to.... boć to dziewusze niczego, Bogiem a prawdą — i spojrzała na złotówki — ale życzyłam synowi córki gospodarskiej..... kiedyć ją wszelako miłuje, to i nie będę od tego.

— Chciało wam się synowej posażnej, a nie zważaliście na pracowitą i poczciwą dziewczynę — wymówiła panna Józefa — to też Zośka teraz pewnie także nie zechce Antka i będzie wolała Macieja stangreta.

Wojtaszkowa na to nuż w prośby, aby państwo wielmożne nie przeszkodzili synowi, i patrząc się na porachowane srebrne pieniążki, rzewnemi zalała się łzami.

— Zobaczymy co Zośka powie — ozwała się dziedziczka — niechże jej poszukają i przywołają Antka.

— Wypędziliście biedną sierotę! — zawołał pan Władysław z gniewem, wchodząc do pokoju — wygoniliście ją miotłą, i popełniliście grzech wielki! Antek ją dogonił, jak widział Sroka i Gomułkowa, kiedy załamywali ręce oboje, płakali, a potem szli przez pola.... i bodaj tylko sobie czego złego nie zrobili....

— Wielmożny panie! — krzyknęła Wojtaszkowa z przerażeniem.

— Szli w stronę jeziora, i w takiej desperacyi — mówił dalej panicz.

— O Jezu! O Jezu! — Wojtaszkowa załamała ręce.

— Może się utopili! — dodała panna Józefa i także z trwogą uderzyła w dłonie.

— O Jezu!.... O matko!.... Lecę!.... — i Wojtaszkowa biegła ku drzwiom, by na ratunek syna wieś całą zwołać.

Panna Józefa przytrzymała ją wszelako, a pan Władysław śmiejąc się, drzwi do drugiego pokoju otworzył i młodych przywołał.

— Dziękujcie Bogu — dodał — że nie tak się stało, że Opatrzność opiekowała się sierotą, a przez to i syn wasz poczciwy nie doznał zmartwienia. Zosią widocznie miłosierdzie Boże pokierowało: zgubiła obrazek św. właśnie tam, gdziem zgubił sakiewkę z wielą pieniądzmi; odniosła ją poczciwie, i zapewniła sobie szczęście, wdzięczność naszą i błogosławieństwo Boże.

Wojtaszkowa, składając dłonie, ciągle powtarzała: Istna prawda! sprawiedliwie prawda!

Potem dziedziczka mówiła, ażeby młodej pobłogosławiła parze. Antek i Zośka przyklękli — a Wojtaszkowa rozpłakała się szczerze, gdy znak krzyża św. na ich położyła głowach.

Paulina z L. Wilkońska.

RADY GOSPODARSKIE.

1. Jak naprawić stęchłe zboże?

Wiedzą już niektórzy ludzie od dawna, że na stęchłe zboże pomaga wapno palone. W dalekim kraju jednym, za granicą, próbowano teraz znowu tego sposobu, i pokazało się, że to doskonały środek, jeżeli go się używa tak, jak tu będzie opisano. Około kóp zboża stawia się wapno w koszykach plecionych, nakryte czem bądź. Trzeba go zaś rozstawić nie bardzo blisko zboża. Kiedy tak w spokoju postoi kilka tygodni, wyglądać będzie zboże bardzo pięknie i po stęchliźnie ani śladu nie zostanie. Wapno wciąga całą stęchliznę w siebie, i aż się porozpada. Kiedy zaś ono tak dobrze skutkuje przy zbożu, kto wie czyli też nie przydałoby się w czem innem. Wartoby na przykład próbować w mieszkaniach, a może poskutkuje.

Gw. C.

2. Co zrobić, aby skóra wodę nie przepuszczała.

Otoż do porady gospodarskiej muszę wam jeszcze jeden sposób na skórę opisać, a to będzie najbardziej dla szewców, choć i gospodarzom zda się wiedzieć, jakby to sobie przyrządzić skórę, aby wody nie przepuszczała. Toć to byłaby rzecz nie zła, chodzić sobie po błocie i wodzie, a nogę w bucie mieć suchuteńką, zwłaszcza iż zamoczenie bardzo zdrowiu szkodzi, i różne choroby ztąd bywają. Zaś i na to jest łatwy dość sposób.

Najpierw kupcie pół funta glejtu i 20 funtów oleju lnianego lub konopnego. Przy ogniu rozgotujcie to dobrze, i tem rozgotowaniem napuśćcie dobrze skórę z tej strony, która do mięsa była obrócona. Skórę taką wywieście na słońcu albo trzymajcie w ciepłem miejscu; zaś napuszczanie trza powtarzać dopóty, dopóki skóra nie napoi się tłustością.

Jak sobie miły człeku dasz zrobić obuwie z takiej skóry, będziesz miał buciska co się zwie, bo to i trwałe, i ani kapeczki wody nie przepuszczą, choćbyś Bóg wie po jakich chodził bajurach. Jeno trzeba aby też robota była nie ladajaka, bo

jak ci mizerne szewczysko jaki pijaczyna pozszywa kiepsko buty, to dziurami musi wejść woda, a temu już skóra nie winna.

Sz. N.

3. Aby konie miały długie ogony.

Niedawno miałem ślicznego i dobrego konia, alem się wstydził pokazać go ludziom na oczy, bo miał ogon jak kikutek, prawie wszystko włosie było wyszło. Coż tu robić? kusa rada! Przypominam sobie, żeć to dawniej panowie z angielska ucinali ogony koniom, i już mnie żyłka brała to samo zrobić. Alem się i tego wstydził, bo już we wszystkiem trzeba być Polakiem; i już chciałem go za byle co pozbyć, aby już tego sromu w domu nie mieć.

I gdy tak się biedzę, przychodzi żebrak do mnie, i narail mi, abym ogon koński mył wodą, w której się gotowała cebula. Jać jego rady usłuchał, myłem i czesałem, i patrzcież! przez to odrósł ogon memu koniowi, że się aż serce śmieje, i dla tego też ten sposób podaję, aby z niego w potrzebie mógł każdy korzystać. *Sz. N.*

4. Jak drzewu nadać podobieństwo mahoni.

Każde twarde drzewo można łatwo bez pomocy bejcy stolarskiej zupełnie do mahoni podobnem uczynić.

Dobrze wyheblowane drzewo pociąga się lekko kwasem saletrowym, a gdy wyschnie powleka się kilka razy pędzlem następującą mieszaniną: do pół kwarty mocnego spirytusu wsypuje się łót krwi smoczej, dwie drachmy korzenia wołowego języka i drachmę jednę gummi aloes, co w aptece wszystko odważą.

To się zostawia przez pięć dni w ciepłem miejscu, a potem odcedza się płyn zafarbowany, który nadaje drzewu kolor zupełnie do mahoniowego podobny. *Sz. N.*

5. Pociąganie mazią z węgla kamiennego narzędzi rolniczych, wozów, kołów i t. p. dla ich ochrony.

Wielokrotnie już nadmieniono, jak dalece pomalowanie pługów, bron, wozów itp. farbą olejną do dłuższego ich trwania się przykłada, że zatem żaden gospodarz nie powinien zanie-

dbywać chronić je tym sposobem od rychłego zniszczenia. Jednakże rzadko widzimy aby się do tego środka uciekano, co się dzieje przedwszystkiem dla wysokiej ceny farby. Zamiast farby tej, która wiele kosztuje, i którą dla tego nie każdy może kupić, zaczęto używać mazi, która nietylko o wiele jest tańszą, ale nawet ze względu na drzewo daleko jest użyteczniejszą. Pociągnięcie albowiem mazią nietylko wstrzymuje szkodliwe wpływy zewnętrznego powietrza, ale także przez wejście w pory drzewa, chroni je od wewnętrznego gnicia. Przepis użycia mazi z węgla kamiennego do tego celu, jest następujący. — Maź z węgla kamiennego służy do pociągania kamienia, drzewa i żelaza w budowlach, mostach, palach, wozach, do omazienia statków itd. dla zabezpieczenia ich od szkodliwego wpływu wody, wilgoci i powietrza. Ponieważ maź z węgla kamiennego nierównie jest tańsza (kosztuje cetnar 3 do 3½ zł., drzewna zaś 6 do 8 zł.) a równie grubą daje powłokę, w nowszych przeto czasach tej tylko używają. Rozgrzewa się oną maź najpierw dobrze w garnku prawie do zagotowania; pociąga się potem narzędzie massą gorącą, a po wyschnięciu pociąga się jeszcze 1 do 4 razy, stósownie do tego czy narzędzie cieńszej lub grubszej potrzebuje powłoki. Jeżeli przed rozgrzaniem dodamy do tej mazi $^1/_8$ część smoły, a w ciągu rozgrzewania mięszać będziemy całą massę dokładnie, to wpływ jej ochronny znacznie dłużej trwać będzie i powłoka będzie silniejsza. — Gdyby się maź zajęła płomieniem, to przykrywa się naczynie szczelnie przystającem denkiem: czego jednak najłatwiej uniknąć, rozgrzewając tylko nad żarem.

Gw. C.

6. Zaprawa nasienia do siewu.

W niektórych okolicach Francji nasienie wszelkie zbóż zaprawiają w sposób następny. Biorą ku temu na 10 litrów (1 litr tj. $^7/_8$ kwarty) czystej gnojówki obornej, 40 grammów soli kuchennej i 20 grammów utłuczonej saletry. Mieszaninę tę stawiają na ogniu i przez godzinę od zawrenia wśród ciągłego mieszania gotują, poczem gorącym tym płynem gaszą 300 grammów świeżego wapna. Po ostudzeniu przecedza się płyn przez grube płótno i zlewa w naczynie szczelnie zamknięte. Trzeciego dnia płyn ten już może być użytym, zachowuje zaś swe przy-

mioty dobre przez 10 do 12 tygodni. — W taką zaprawę kładzie się nasienie, wyjmuje z niej po 18 do 24 godzinach, osusza się następnie w cieniu, ale tylko o tyle, o ile potrzeba aby siać można. Nasienia, które się do siewu miesza z ziemią, nie potrzeba osuszać. Podług dość licznych doniesień od towarzystw rolniczych, zaprawa ta i w Niemczech zyskuje pochwały szczególniej polecają użycie jej do zamaczania korzonków roślin bezpośrednio przed zasadzeniem, gdyż ułatwia przyjęcie się, pędzi ich wzrost a podobno i broni od robactwa. — *Gw. C.*

7. Tani klajster z perek.

Weź dwa funty perek, i utrzyj je czysto na tarce jak najdrobniej; włóż je w garnek, nalej na nie 6 kwart miękkiej wody i gotój przez pół godziny, a mieszaj ciągle łyżką drewnianą. Gdy odstawisz od ognia, dosyp do tego odwaru małemi częściami dwa łuty ałunu miałko utłuczonego, ale wciąż łyżką mieszaj, dopóki ta mieszanina nie pokaże się zupełnie czystą — i oto masz już klajster gotowy do klejenia. Jest o wiele tańszy jak z mąki, a równie dobry, i można go zachować i przez pół roku w butelce dobrze zakorkowanej. *Sz. N.*

RÓŻNOŚCI.

Trąba powietrzna. W mieście Żerkowie w wielkiem xięztwie Poznańskiem zdarzyła się 30 lipca trąba powietrzna, która tam okrótne szkody poczyniła. Dzień był bardzo gorący i jasny; dopiero około południa zaczęły się na niebie pokazywać chmurki białawe. Za chwilę puścił się deszczyk drobny, a bardzo cicho było w powietrzu, i tylko zdaleka grzmiało. Zaś nagle powietrze tak się zgęściło, że ciężko było oddychać otwartemi ustami. Nad miasteczkiem zawisła od zachodniej strony ciemna chmura, a w jej środku ukazał się klin popielaty, który ostrym końcem spuszczał się ku ziemi. Prawie widać było w tym klinie jakby mieszaninę gotującej się wody. Podonczas zerwał się przed miastem wir od dołu, który świdrując coraz wyżej połączył się z onym klinem, i tak razem zaczęli tańcować po mieście. Co tylko było w drodze porywali ze sobą, a to sprzęty gospodarskie, dachówki, najpotężniejsze drzewa z ko-

rzeniami, wywracali domy, zdzierali dachy, które w swem wnętrzu jak w młynie na proch ścierali. Owoż taka to była trąba powietrzna, która w samem Żerkowie więcej jak trzydzieści domów bez śladu zniszczyła, sady z ziemią zrównała, całe miasto gruzami zasypała, co wszystko czyni okropny widok. Z Żerkowa zaś poleciała ona o kawał drogi do wsi Raszewy, gdzie wszystkie budynki dominialne bez śladu zmiotła, a nawet jednego człowieka który był podonczas na podwórzu. Powiadają ludzie starzy, iż od stu lat nie pamiętają takiej okropnej trąby powietrznej.

Pożar. Dnia 7 tego miesiąca o północy powstał pożar w Zbyszczycach pod Nowym Sączem. Zgorzały cztery domy z zabudowaniami gospodarskiemi. Mieszkańcy pobudziwszy się na czas, zdołali jeszcze uratować nieco ze swego, a tylko jeden żyd wszystko stracił, i mało mu nie zginęło dziecko w ogniu, które dopiero stara babka uratowała z wielką odwagą. Pożar skończył się na czterech domach, zwanych miasteczkiem, gdzie mieszkały rodziny szewca, krawca, stolarza i onego żyda kramarza, który tam miał sklepik. Dzięki Bogu więcej szkody nie było, choć już ogień groził kościołowi, budynkom plebańskim i dworskim. Nie doszedł ich ogień jeno dla tego, iż powietrze było bardzo ciche; inaczej mogły całkiem zgorzeć, bo lud tameczny w żaden sposób nie chce pomagać do obrony. Dziwna to rzecz, bo przecież sama religia nakazuje, aby zawsze ratować bliźniego. Ale u nas jeszcze czasem ludziska po staremu bawią się w jakieś zabobony, i kiedy im się chałupa pali, to lamentują tylko a zawodzą, zamiast aby jąć wiadro z wodą i ratować dobytek. Toć to tak samo wygląda, jakby chory nie chciał się leczyć, ale czekał na śmierć, kiedy by żyć jeszcze mógł. Taki chory to istnie grzeszy, bo Bóg zdrowie ratować każe i szanować; więc i obojętność na nieszczęście bliźniego jest grzechem, a co grzech tego się wystrzegać potrzeba.

Zbytniki. Jużto każdy prawie doświadczył w życiu, jak przykre są szkody pustych zbytników, którzy nieraz przez złość albo swawolę do wielkiego nieszczęścia się przyczyniają. Ot i teraz skarzą się ludzie na takich zbytników, którzy przy kolei żelaznej różne psoty czynią, a temsamem mogą nieraz na wielkie nieszczęście narazić jadących. Tak dnia 31 lipca pociąg jeden, który szedł ze Lwowa do Krakowa zatrzymał się w nocy między Czarną a Tarnowem na jakichciś progach, które ktoś na szyny pokładł. Szczęście że ten co kieruje lokomotywą zobaczył to zdaleka i zatrzymał, bo inaczej łatwo mogło się stać nieszczęście, i mnóstwo ludzi mogło okaleczeć albo i pozabijać się. Toćto przecie sromota wielka, aby tak na czyjeś zdrowie i życie godzić, a grzech taki sam, jakby się kto porwał na drugiego zabić.

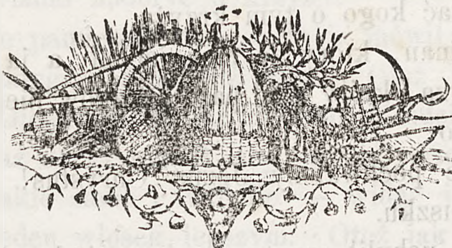
Wydawca odpowiedzialny za redakcją: E. Winiarz.

Tom VII.
1. Września.



Nr. 7.
1862.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Krzyż przy drodze.

We wsi Korzeniowicach są ludziska dobrzy, pobożni, zgodliwi i pracowici. Tam i koło cmentarza ładnie, i drogi są w porządku, i chałupy jak się patrzy ogrodzone, a kościół parafialny to tak piękny, że aż miło wejść i modlić się — bo też ci ludzie nie żałują dla kościoła Bożego, kiedy im Pan Jezus daje zarobek i urodzaje. Otoż koło drogi, co to idzie przez wieś od końca do końca, stoi krzyż nowiutki, dopiero przed dwoma laty postawiony, a na nim pod blachą wisi złoty Pan Jezus czyściutki, że aż się iskrzy i w oczach mieni, gdy słoneczko świeci a ty się na niego popatrzysz. I stoi na tym krzyżu taki napis:

„Gromada cała fundowała ten krzyż na wieczną pamiątkę nagłej i strasznej śmierci Józefa Guły roku 1860.“

Kto koło tego świętego krzyża przechodzi, to zdejmuje czapkę i mówi wieczne odpoczywanie za tym nieboszczykiem; a kto obcy i ciekawy, to się zaraz wypyta, co to ten napis znaczy, a kto bądź ze wsi opowiada wnetmu ze łzami o tym wypadku.

Otoż i ja przejeżdżałem raz przez tę wieś i jechałem koło tego krzyża i zobaczyłem ten ciekawy napis. A więc wołam na furmana: Hej człowieku! stańno trochę i zaczekaj, bo ja się muszę wypytać kogo o tym krzyżu.

I stanął furman, który ze mną jechał, a ja poszedłem do jednego gospodarza, który pasł parę byczków niedaleko na łące. I mówię do niego:

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Szczęść wam Boże! ojcze staruszku.

A staruszek uchylił czapczyny i powitał mię ładnie jak katolik katolika i zaczęliśmy rozmowę o krzyżu nowym i o napisie o nim. Jam się go zapytał:

— Co to znaczy taki niewidziany napis na tym świętym krzyżu?

A starowina poczciwy aż zapłakał na moje słowa i otarł sobie rękawem oczy i tak jął gadać:

— Oj jegomość, jegomość! to dziwne rzeczy działy się u nas z tym Gułą, to strach wielki!

A jam się zapytał dalej:

— I ktoż to był ten Guła, żeście jego imię aż na tym krzyżu wypisali?

A dziadowina mi powiedział:

— Ja tu jegomości opowiem od początku do końca, jeno niech jegomość wysłuchają cierpliwie. Otoż widzi jegomość, był ten Guła z naszej wsi rodem, ojciec mu pomarł już dawno, a on tu ma siostrę Zośkę, co się wydała już drugi raz za Walka Wronę i ma sześcioro dzieci, a to wszystko drobiazg jeszcze, bo starsze wymarły.

Ten Guła jeszcze jak był chłopakiem, to było ladaco, bo tam przed nim nie ostało się ani jabłko w ogrodzie, ani trawa na łące, ani kłosek na zagonie, ani płot koło chałupy — co on się nabrał bicia od wójta i od niejednego, toby na wołowej skórze nie spisał, ale to nic nie pomogło. I tak się to ladaco chowało na wsi, aż ta i porwali, do wojska oddali i pognali to, wie go Bóg gdzie — i był spokój wtedy we wsi, i nie było szkody ani strapienia. Ale zaraz mój jegomość, jeno pójdę byczki nawrócić, aby w szkodę nie zaszły.

I pobiegł starowina, nawrócił byczki zawczasu, aby zboża cudzego nie jadły i nie deptały, a potem do mnie się zbliżył i znowu mi opowiadał historyę o krzyżu:

— Ale nie pamiętam już, co to ja mówił; bo to taka pamięć u mnie starego. Aha! już wiem! Otoż widzi jegomość, nie było tego Guły jakie 8 lat w domu i ludzie już ani wspomnieli o nim; aż naraz zjawił się on na urlop. A jakie to ladaco było, takie samo i wróciło — widać i w wojsku nie zrobił się na jeden włosek lepszym. Otoż jak tylko przyszedł do wsi, to zaraz zaczął się bić z gospodarzami i nie było nad niego, i dalejże gadać na pana i na xiędza, i coś to szwargotało i gadało, że tego nikt nie rozumiał. Zaczął nas bałamucić, że łąki i lasy pańskie i plebańskie należą do gromady, że onby poszedł do Wiednia i przyniósł ztamtąd dekreta dla gromady i wie go tam sam Pan Jezus co już on nawygadywał się. I byli tacy w gromadzie, co ta i wierzyli temu bałamutnikowi i podobno mu coś dali pieniędzy; i łaziło to ladaco gdzieś po świecie, wie go Bóg zaczem, i przylazło z niczem odarte i bez butów do wsi znowu na naszą biedę.

A ja przerwałem staruszkowi, bo się zakaszlał: Ale że też gospodarze tutejsi tak pobożni i poczciwi i zgodni ludzie, mogli się dać obałamucić jednemu i zapomnieć już na Pana Jezusa i na jego święte przykazy...

A dziadowina mi przerwał:

— Ha! widzi jegomość, że to tak podobno wszędzie się dzieje, że jeden ladaco narobi więcej złego niż drugi dobry dobrego — bo łatwiej zbałamucić niż pouczyć. I ja też mam już blisko 100 lat i pamiętam czasy dawne bardzo, ale takiego gadania i bałamuctwa jak teraz nie zapamiętałem nigdy. Ale muszę jegomości dalej opowiedzieć o tym Gule. Otoż zaczęła się jakaś wojna w Italii i nasz Guła poszedł sobie zkąd przyszedł i nie było go dobre dwa roki. Jużmy wszyscy byli pewni, że zaginął gdzieś na wojnie. Ale złemu nie tak łatwo koniec przychodzi. I to biedactwo przylazło znowu do wsi z dalekich krain, ale kulawe i krzywe i mówili, że miało chleb łaskawy od samego cesarza. I nie było to temu cicho i spokojnie siedzieć na starość we wsi? I mógł sobie zostać u sio-

stry Zośki, bo mu dawała komorę do siedzenia i chciała go opierać i jeść dawać i byłoby to żyło jakoś! Ale gdzie tam gadać takiemu o czem dobrem! Zaraz też do procesu z siostrą o grunt. I chodziło to znowu po pisarzach i traciło darmo i poniewierało się, i mówili, że miała biedna Zośka przegrać, a on wygrać. Co się też biedne Zośczysko napłakało od rana do wieczora, co się go naprosiła, aby nie robił na swoje stare lata takiej krzywdy jej i jej dzieciom, aby jej gruntu z chałupą nie odbierał, ale to nic i nic nie pomogło, jeno daj i daj grunt a ty idź sobie z dziećmi na żebry, abym ja miał co jeść i pić, a ty sobie zdychaj z głodu. Otoż temu dwa roki kazali im się stawić ostatni raz do sądu. I szła Zośka zapłakana i cztery jej córki z nią, a dwoje dzieci zostało w domu; i coś im tam przeczytali w sądzie aby się pogodzić i kazali się za 14 dni stawić po dekreta dla nich. Otoż tu Pan Jezus naznaczył to miejsce koło krzyża na śmierć dla tego bałamutnika i kłótnika, bo już temu nie było rady i końca, i zdawało się, że nas wszystkich pożre i nie nasyci się. — I dziaduś odetchnął. Ja też teraz dorozumiałem się, dla czego to stoi ten napis na tym krzyżu, ale byłem ciekawy jaką śmiercią umarł ten Guła, i pytam dziadka: No! i coż mu się stało na tem miejscu?

A dziadowinka odkaszlnął sobie pomału i gadał:

Jak widzi jegomość poszli sobie oboje do sądu, ta Zośka biedna i on, i jak im tam przeczytali i dekreta dali, wtedy biedne Zośczysko płakało i płakało i szła do domu a nie widziała drogi przed sobą; a ten bałamutnik szedł sobie het naprzód i nic nie gadał. Aż tu w to samo miejsce przyszedł, a tu stała stara figura z frasobliwym Panem Jezusem i te drzewka jak jegomość widzą, i tu sobie usiadł i podobno usnął. A Zośka poszła do domu i zawodziła na całą wieś.

A ja przerwałem dziadkowi:

— Aha! to pewnie usnął i już więcej nie wstał bo go pokarał ten Pan Jezus, co się zafrasował tak nad nami grzesznikami i nad zaślepieniem ludzi niektórych.

A dziadowina z płaczem odpowiedział:

— Oj usnął, usnął mój jegomość, ale niech tam każdego broni Pan Jezus od takiej śmierci. Gdzieby on tam był nie

wstał, ale go zabiło od pioruna ognistego pod tem drzewkiem, tak że ani drgnął więcej.

Na to gadanie aż mi się straszno zrobiło i pytałem dalej:

— No! i jakże to było, powiedzcie no dalej.

A dziaduś mówił ze łzami:

— Koło wieczora we środę, pamiętam jak dziś, wyszła chmura straszna — u nas ludziska kropili sobie chałupy święconą wodą i pozamykali się w domu z dziećmi i chudobą. Aż tu trzasło i zrobiło się biało w naszej wsi, a deszcz lał jak z potoku jakiego. I wtedy to widać zabiło tego Gułę. Ale tak go zabiło, że przełamało figurę a sam Pan Jezus leżał koło jego głowy z utrąconą rączką, a rączka ta leżała na piersi tego nieboraka zabitego. A nikt z nas o tem nie wiedział, dopiero rano pastuchy nam powiedzieli, co to się stało. Wtedy poszliśmy po to ciało, xiądz nasz pochował go, ale nagadał nam też nie mało a sprawiedliwie, bo i tak było.

A ja zapytałem:

— Ale nacóżeście imię tego Guły niedobrego wypisali na ten święty krzyż, toć on tego nie wartał nigdy?

— A dziaduś mi powiedział:

— Mój jegomość! nie moja głowa to zrobiła, to zrobiła gromada za poradą xiędza i pana naszego. Myśmy z gromady postawili krzyż nowy z tym Panem Jezusem — pan nasz podarował dąbka na krzyż, gromada kupiła Pana Jezusa, a nasz xiądz poświęcił to w same świątki dwa roki teraz. I uradziliśmy jeszcze tak, aby tu wypisać na wieczną pamiątkę, jak to Pan Jezus pokarał tego Gułę za jego całe życie, za jego bałamuctwa i namowy do złego, za jego krzywdę dla siostry rodnej — aby każdy tędy przejeżdżający i idący mógł o tem wiedzieć i brał sobie to dobrze do głowy i do serca i nie robił coś podobnego.

I przestał dziaduś mówić, a ja na to:

— Ha! to już teraz wiem wszystko i sam to uważam, żeście dobrze zrobili z tym krzyżem i napisem, bo to takie rzeczy nie robi Pan Jezus dla jednego grzesznika ani dla jednej gromady, ale dla całego kraju, aby też wszyscy wiedzieli o tem i nie robili tak, jak robił ten nieszczęśliwy Guła.

A dziaduś odpowiedział:

— Tocto prawda święta od wiek wieków i od naszych pradziadów, że co twoje, to trzymaj sobie uczciwie, a co cudze, tego nie ruszaj ani nie pragnij, ani nie słuchaj żadnych bałamutów, bo co komu da Pan Jezus, to jest jego właściwe i sprawiedliwe i nikt nie ma prawa do tego; ale co komu nie da Pan Jezus, oho! to się nigdy nie uda! I niech jegomość zdrowi i z Panem Jezusem jadą, a ja też muszę pójść do byczków, bo w szkodę idą.

I poszedł dziaduś i ja poszedłem jeszcze raz pod ten krzyż, opatrzyłem go na około — widziałem to miejsce, gdzie Gułę zabił piorun ognisty, opowiedziałem to memu człowiekowi, co ze mną jechał; a teraz podaję to do Dzwonka, abyście kochani bracia i wy się dowiedzieli o tym wypadku i chronili się robić jakie bałamuctwa, lub słuchać namowy do grzechów łakomstwa lub zazdrości.

X. Wojciech z Medyki.

Piosnka nasza.

Parobki żwawe — wy ochocze dziewki
I ty grajku stary — słuchajcie mej śpiewki.
Porzućcie na chwilę — te wesołe tany
Bo kraj nasz rodzinny — smutkiem dziś odziany.

Z tamtej strony Wisły, słonko poczerniało,
Jakby na te gwałty patrzeć już nie chciało.
Z tamtej strony Moskal — cnotę knutem płaci,
Gnębi i morduje naszych biednych braci.
Szle na mroźny Sybir — szle młodzież w sałdaty,
Ogniem, mieczem niszczy — świątynie i chaty.
Rąbie święte krzyże — imię Maryi kala.
I co nam najświętsze, plugawi i wala.
Nie ma ni rodziny, ni chaty, ni domu,
Gdzieby nie płakano po kimś pokryjomu
Tutaj matka stara — łzami zmywa łoże.

Łzami żegna wieczór, łzami wita zorzę.
Skargi szle w niebiosa do Pana Wielkiego.
Na wroga co porwał syna jej drogiego.
Tutaj drobna dziatwa w pochylonej chacie
Płacze, lamentuje, po ojca utracie.
Dalej srebrna Wisła, krwią zarumieniona,
Posiekane ciała przytula do łona.
I na swojej fali w obce kraje wiedzie
Aby tam śpiewano o tej naszej biedzie,
Aby tam wiedziano — jak Moskal ucztuje,
Jak niewiasty, dzieci i bezbronnych kłuje.

A więc na bok grajki — na bok pieśń wesoła
Nie dla nas zabawy, na nas smutek woła.
Gdy w świętej Warszawie — krew strugą się leje,
Niech i w naszych sercach żałość wielka tleje.

Teraz na dobranoc — zamiast wodzić tany
Chórem pieśń zanóćmy za kraj nasz kochany.
Zmówmy za poległych na brukach Warszawy:
„Oby Bóg ich przyjął do wieczystej sławy!"

Stanisław ze Siedliszowa.

Świerszcz wielki prorok.

Pod lasem stoi chałupina stara, pochylona, okna w ziemię zapadłe, jednym bokiem już strzecha dosięga ziemi; dach na tej chałupinie porośnięty mchem, a gdzie niegdzie dziury już świecą, przez które wiatr świszczy i deszcz przecieka. Przy chałupie stoi stara, gruba i rozsochata grusza, o którą się chata oparła, jak pijany o płot, żeby nie runął na ziemię.

Oprócz tej gruszy jest jeszcze obok chałupiny parę młodych drzew i parę szczepów, kilka grządek zasadzonych ziemniakami; na około tych grządek kawał płotu starego poszarpanego. Z przodu szmat ziemi zamurawiony a zaraz dalej strumyk od lasu płynący.

W chałupie tej mieszkał stary wieśniak nazwiskiem Świerszcz. Mieszkał on tam sam jeden — bo nie miał ni żony ni dzieci. Całym jego majątkiem była stara buda, stara grusza i tych pare grządek. Żył z tego co zarobił, a żył nieborak nędznie, najczęściej o kawałku czarnego chleba.

Już to bardzo był szczęśliwym, jeśli nadeszło lato, a poszedłszy do którego z majętniejszych gospodarzy do żniwa, dostał lepszej strawy gotowanej a czasem i kawałek mięsa. Nieraz myślał on sobie: Żeby to człowiek jeszcze przed śmiercią choć raz dobrze sobie podjadł i napił się. Żeby choć trzy dni można dobrze jeść i wypocząć sobie — a potem niechby się tam z człowiekiem działo co chce.

Takto nięraz marzył biedny Świerszcz i takiemi myślami pocieszał się w swej biedzie.

Zdarzyło się jednego razu, że gdy Swierszcz powracał z roboty do domu, wstąpił do karczmy, co stała przy drodze. Tam dowiedział się od ludzi dworskich, że pani dziedziczka zgubiła kosztowny pierścień brylantowy, i temu któryby go odszukał, lub też powiedział gdzie się znajduje, bardzo znaczną nagrodę przyobiecała.

Świerszcz, gdy to usłyszał, pomyślał sobie w duchu: A choćbym ja też za wróża się udał? Prawda, że ja o niczem nie wiem, ani gdzie ten pierścień może się znajdować, ani go też wynalezę — ale powiem, żeby mi dali przez trzy dni dobrze jeść i pić, to ja wywróżę o pierścieniu.

Na samą myśl dobrego jedzenia i picia, serce mu z radości skoczyło i oczy mu się zaśmiały. Pomyślał jeszcze chwilę — niech się dzieje co chce — obiją mię potem, jak się wyda szalbierstwo i oszustwo, to już przynajmniej będę wiedział, żem przez trzy dni dobrze jadł i pił po pańsku.

Wstaje więc z ławy i mówi do ludzi dworskich: jabym może i wywróżył o tym pierścieniu, gdyby mi przez trzy dni dobrze jeść i pić dali.

Dworscy ludzie posłyszawszy ono gadanie Swierszczowe, donieśli o tem pani, a ta kazała przywołać Świerszcza, i umieszczono go w osobnym pokoju, i rozkazała pani dawać mu wszystko, co jest najlepsze we dworze, i czego sam zapragnie.

Sama zaś pani myślała na prawdę, że jej co na zgubę pomoże Świerszcz — a może też w utrapieniu chciała wszelkiego spróbować sposobu. Zda się iż pani myślała, że Świerszcz dowiedział się o tym, który znalazł pierścień i oddać nie chce, a za taką nagrodą wyda go; przeto kazała czynił wszystko co chudzina rozkaże.

Tymczasem Świerszcz uradowany tak nagłem szczęściem, o niczem więcej nie myślał, jak tylko o bankiecie. Żeby miał rozum, powinien się był domyśleć, że pierścień może być tylko w rękach jednego z domowników, i żeby jakim sposobem można się o tem dowiedzieć; ale jemu to ani przez myśl nie przeszło.

Ile razy sobie wspomniał na pierścień, to polecał się Bogu, a potem zabierał się do smacznego jadła i popijał wybornem winem.

Zaś z onym pierścionkiem tak się rzecz miała. Pani dziedziczka chodziła po ogrodzie i zgubiła go przy zdejmowaniu rękawiczki. Rozkazała więc szukać swym lokajom, których było trzech. Ci znalazłszy pierścień, zataili go między sobą. Gdy się więc Świerszcz zjawił na dworze, polękli się bardzo ci złodzieje i uważali pilnie, co czyni domniemany prorok.

Wieczór po sutej wieczerzy, do której mu służył jeden z lokai, rozłożywszy się Świerszcz na wygodnem, miękkiem łożu — przypomniał sobie, że to już pierwszy dzień jego rozkoszy minął, a spoglądając na lokaja zawołał głośno: „Dzięki Bogu, to już pierwszy.“

Na złodzieju czapka gore. Lokaj usłyszawszy te słowa Świerszcza przeląkł się, bo on myślał, że to do niego mowa idzie; i nic nie mówiąc, wymknął się z pokoju. Poszedł do swoich kolegów i mówi im: Źle, bracia, źle, ten chłop musi wiedzieć o wszystkiem, bo teraz oto w tej chwili, nimem tu przyszedł do was, patrzał na mnie i tak mówił: Dzięki Bogu to już jeden.

Strwożyli się tamci dwaj bardzo, i poczęli coś pomiędzy sobą radzić.

Z tej ich rady wypadło, że jutro drugi ma mu przez cały dzień usługiwać i uważać pilnie na wszystko, co chłop robi.

W drugim dniu, równie jak i w pierwszym Świerszcz ze smakiem zajadał podawane mu potrawy i napoje. A gdy na wieczór syty po dobrej wieczerzy podobnie jak wczoraj ułożył się na łożu, spogląda na lokaja a westchnąwszy ciężko rzecze: „Dzięki Bogu, to już drugi.“

Aż mrowie przeszło po ciele lokaja na słowa mniemanego proroka; myśli on sobie: jużeśmy przepadli, on pewno wie o wszystkiem. Wychodzi więc i biegnie do swoich kolegów, i ze drżeniem mówi do nich: przepadliśmy — dzięki Bogu, to już drugi — powiedział na mnie ten obmierzły chłopisko. Źle — zawołali tamci — co tu robić? czekajmy jeszcze jutra.

Na ciebie kolej, tyś jeszcze nie był na usługach tego Maćka; pójdziesz jutro do niego, co on też tobie powie — tak mówili ci dwaj, co już obsługiwali Swierszcza, do trzeciego, co mu jeszcze nie usługiwał.

Na trzeci dzień jeno świt, wróż był już na nogach i wyglądał, rychło mu co przyniosą do jedzenia — chciał się dziś najeść i napić jak najwięcej, bo to był ostatni dzień. Nagle wchodzi lokaj do niego i wnosi jedzenie na tacy a Świerszczowi już oczy się śmieją i serce mu się raduje; zawinął się i sprzątnął wszystko. Lokaj nadskakuje i podaje, czego tylko zechce pan Świerszcz.

Przepędził na bankietowaniu i ten trzeci dzień Świerszcz i ani się spostrzegł, że to już koniec jego rozkoszom i tak samo jak przez dwa pierwsze wieczory, położywszy się westchnął głęboko; zdaje się, że mu żal osiadł na sercu, bo jak jutro wyda się jego oszustwo, to będzie trzeba dobrze odpokutować, a potem znów ciężko pracować i jeść suchy, czarny chleb. Zaś na to samo wspomnienie, głębokie westchnienie wydobyło się z piersi jego i rzekł: „Dzięki Bogu to już trzeci i ostatni.“

Przytomny lokaj aż zadrżał, gdy usłyszał te słowa Świerszcza, ale nie pokazywał tego po sobie, jak gdyby się do niczego nie poczuwał, tylko zapytał wróża: Co wam to brakuje, co tak ciężko wzdychacie i tacyście smutni? — A jakże się nie mam smucić — odrzekł mniemany wróż — kiedy jutro przyjdzie ciężką i bolesną odcierpieć karę.

Już tego dosyć było dla lokaja. Na samo wspomnienie kary aż zadygotał na ciele, a nie mając już nic do czynienia u Świerszcza wyniósł się cichaczem od niego.

Wpadłszy do izby, gdzie smutni i niecierpliwi oczekiwali dwaj inni lokaje, z cicha zawołał: zginęliśmy — już on teraz pewnie wie o wszystkiem, chwała Bogu, to już trzeci i ostatni co tylko teraz wymówił ten przeklęty wróż; i jeszcze dodał, że trzeba wielką i ciężką karę ponieść.

Struchleli słudzy na tę mowę, pozierali jeden po drugim — jak gdyby chcieli powiedzieć; co tu teraz począć.

— Trzeba uciekać zawczasu — rzecze jeden.

— Lepiej się przyznać do wszystkiego, a może nam daruje pani skoro tylko będzie miała pierścień — rzeknie drugi.

Trzeci stoi, zadumał się i nic nie mówi. Po chwili namysłu spojrzał, oczy mu zabłysły, widać, że się z czegoś raduje i że wymyślił sposób, jakim się ratować od kary i wstydu.

— Słuchajcie — rzeknie do nich — ani uciekać nie myślę, ani też otwarcie się przyznawać do winy. Uciekniemy — alboż to nas nie złapią — a potem jeszcze cięższa kara. Przyznamy się dobrowolnie — to także jeszcze nie wiemy, czy nam pani daruje karę. Ja myślę, że tak najlepiej będzie: Idźmy do Świerszcza, zanieśmy mu pierścień i powiedzmy mu całą rzecz, a przytem damy mu jeszcze parę groszy, żeby nas nie wydał. On kontent że sobie jadł i pił wyśmienicie przez trzy dni — a do tego dostanie od pani nagrodę za wywróżenie, to będzie miał aż nadto za swoje proroctwo.

— Zgoda, zgoda — zawołali tamci dwaj.

— Tak nam trzeba zrobić — jak ty mówisz — zgoda.

Już całą tę noc nie spali spólnicy kradzieży, jedno że byli zawsze jeszcze strachem przejęci, a drugie, że myśleli nad dalszemi sposobami jak to zrobić co uradzili. Wydobyli pierścień z ukrycia i mieli go na pogotowiu.

Raniuteńko, jeno świt, idzie jeden i nadsłuchuje, czy już wielki prorok Świerszcz powstał. Za małą chwilę wchodzą wszyscy trzej do pokoju.

Świerszcz zobaczywszy ich pomyślał sobie: oto idą mnie ukarać, za moje oszustwo. Dadzą mi oni bobu, dadzą! — i aż drżał biedaczysko ze strachu.

Lecz gdy lokaje padli na kolana przed nim i ze złożonemi rękami proszą go, żeby ich nie wydał, oddając w jego ręce pierścień zgubiony i jeszcze jakieś papiery, podobno pieniądze, wtedybiedne chłopisko ochłódł nieco ze strachu, choć sam nie mógł zrozumieć, co to znaczy. Lecz po chwili przybrał inną minę i udając, że on o wszystkiem wie, począł im mówić, że źle zrobili, że ukradli taki drogi pierścień pani, która się tyle namartwiła.

Lecz coż zrobić z tym pierścieniem — jak teraz powiedzieć — gdzie się znajduje. Tak sobie myślał wielki prorok. W tem odwraca się i poziera w okno i zobaczył indyki, które sobie chodziły po dziedzińcu. Przywołuje on lokai do siebie i pokazuje im palcem indyka i mówi: złapcie tego największego indyka i dajcie mu połknąć ten pierścień — tylko, żeby tego nikt nie widział.

Lokaje w oka mgnieniu wybiegli, pochwycili indyka, i ledwie zmówił Zdrowaś Marya a już indyk chodził z drogim pierścieniem w żołądku.

Gdy pani dziedziczka wstała, wspomniawszy sobie, że to dzień, w którym ma jej Świerszcz wywróżyć o jej zgubionym pierścieniu, czemprędzej posyła po niego.

Świerszcz stawił się przed panią i tak pocznie mówić:

— Jaśnie wielmożna pani! zgubiony pierścień się znalazł. Gdy jaśnie wielmożna pani przechadzała się po ogrodzie, zdejmując rękawiczkę, zsunął się pierścień, a indyk połknął go. To powiedziawszy, wyszedł na dziedziniec i tam indyka największego kazał schwytać, i w oczach pani zarznąć, a rozprówszy go, wydobył pierścień. Pani wielce się uradowała i sowicie Swierszcza nagrodziła.

Gdy się to działo we dworze, pana nie było w domu. Świerszcz jeszcze był we dworze, gdy sam pan nadjechał. Teraz dopiero zaczęła opowiadać pani swemu mężowi o zgubieniu pierścienia, o wróżu Swierszczu i o swojej wielkiej radości. Pan nie łatwo dałby się oszukać, i zrozumiał zaraz że to tylko

jakieś oszustwo a nie proroctwo. Owoż myśli sobie, trza im wszystkim dać naukę, aby wiedzieli jacy to prorocy i jaki ten chłop. Więc gdy tak chodzi po pokoju, usłyszał w kominie świerszcza, który się tam odezwał. Tego kazał pan wnet złapać i nakryć talerzem, a posłał lokaja po wróża.

Gdy ten przyszedł mówi pan do niego: Słuchaj, widzisz tu talerz na stole; jeżeli mi zaraz nie powiesz co tu jest pod nim, każę cię ochłostać za twoje oszustwo, iż się za proroka udajesz.

Świerszcz nieboraczysko, ani dudu — co on mógł wiedzieć coby tam było.

Patrzy na talerz i mówi żałosnym głosem: Oj biedny Świerszczu — przecież cię schwytali. — Doskonale! woła pan, tęgiś prorok mój kochany — i to mówiąc, odkrywa talerz i pokazuje świerszcza z komina; zgadłeś, i dla tego tylko daruję ci twoje oszustwo. Ale mi na drugi raz ludzi nie bałamuć, i za proroka się nie udawaj, bo cię bizuny nie miną.

Tymczasem dał mu pan nagrodę za wynalezienie pierścienia, a wdzięczny Świerszcz rozpowiedział dokładnie całą sprawę. Pan ulitował się nad jego nędzą, i dał mu służbę przy dworze, a tak chudzina nie potrzebował więcej biedować ciężko.

I coż moiściewy — powiedzcie sami, czy Świerszcz na prawdę był prorokiem? Gdzietam, udało mu się, tąj wyprorokował, a sam nie wiedział jak i kiedy.

Tak to dzieje się z wszystkimi wróżami. Łazi próżniaczysko i opój od wsi do wsi, pracować mu się nie chce, więc nibyto wróży ludziom, a on plecie co mu ślina na język przyniesie, i patrzy tylko jakby grosik wyciągnąć z ludzi. Zaś potem czemprędzej umyka dalej, bo wie że ani słowa prawdy nie powiedział. Zaś nie każdemu uda się sztuka tak, jak Świerszczowi, co było jeno przypadkiem, boć on tylko z głodu udał się za wróża, i sam wiedział naprzód, że nic mądrego nie powie. Otoż kiedy także innemu uda się czasem przypadkiem prawdę wywróżyć, toć to tylko przypadek, którego się on sam darmojada i próżniak nie spodziewał. To jest pewna, że prorokować człek nie może, boć tylko świętym i swoim

prorokom Bóg daje moc taką, aby przepowiadali prawdę. Kto się zaś inny za takiego udaje, ten jest oszust i grzesznik, a wart na zapłatę tylko dobrego wybatożenia.

Szymon Bruzda

Pogrzeb gorzałki.

Będzie temu właśnie jakoś teraz lat ośmnaście, kiedy się zdarzył ciekawy wypadek pogrzebu gorzałki, o którym pisał niedawno taki, co tam był na miejscu i widział całą sprawę na własne oczy.

Za onych to czasów zaczęto wszędy zaprowadzać towarzystwa wstrzemięźliwości. Z początku jakoś to nie bardzo się ludziom podobało, a najbardziej takim, którzy lubią maczać gębę w kuflu dopóty, aż dopóki nie potrafią odróżnić co kufel a co gęba, bo im się w głowie wszystko bałamutnie widzi. Aleć co dobrego, to zawsze trafi między ludzi, chociaż powoli i z trudem. Tak też było z odwyknieniem od wódki.

Z początku patrzyli ludzie krzywo na zarzucenie gorzałki. Zaś kiedy jeden i drugi popróbował tego zwyczaju, i dobrze mu się udało, bo przy trzeźwej głowie gospodarstwo i każda inna sprawa lepiej idzie, a grosik zamiast do arendarza składa się do kaletki — tak wnet i drudzy poczęli próbować trzeźwości, a pomału dużo ludzi zarzuciło pijatyki i z tem dobrze im aż do dziś dnia tak, że w żaden sposób do gorzałki nie namówiłbyś ich.

Tak się działo u nas wszędy, i tak też działo się w Krzeszowie, która to wieś znajduje się w obwodzie wadowickim a ma bardzo porządnych i trzeźwych mieszkańców. Przed laty ośmnastu ludziska tameczni wzięli się na dobre do odzwyczajenia od pijaństwa, w czem nauczał ich i zachęcał xiądz proboszcz Barcik. Kiedy już znaczna część wsi porzuciła gorzałkę, przychodzi dnia pewnego kilkunastu gospodarzy na plebanię.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — rzekli do dobrodzieja.

— Na wieki wieków Amen — odpowie xiądz proboszcz i wnet zapyta:

— A co tam powiecie moi mili?

— Oto dobrodzieju — rzekną gospodarze — gromada nas tu wysłała, co by was też pięknie prosić, abyście pogrzebali gorzałkę.

— Jak powiadacie? — zapytał xiadz — pochować gorzałkę?

— Ano jacy, pochować gorzałkę — odpowiedzą gospodarze.

— Jakto? zapyta znowu xiądz.

— A tak jako chowacie umarłego w ziemi — odpowiedzą gospodarze — jużci nie na cmentarzu, ale choćby jacy w polu żeby już więcej między ludkami nie psociła, ani duszę nie dawała na ofiarę diabłowi.

— Alić moi kochani — powie xiadz — to rzecz niezwykła, aby wódkę grzebać jak umarłego, a możeby się to sprzeciwiło religii.

Na to gospodarze:

— Ej, coby się tam miało przeciwić religii, jak ludkowie nie będą pić gorzałki. Dyć nas sami dobrodziejaszku do tego namawiacie, aby zarzucić pijaństwo.

— Więc koniecznie przy tem obstajecie — pyta znowu xiądz proboszcz.

— Ano tak — odpowiedzą oni.

— I wszyscy?

— Ano wszyscy.

— A cóż potem zrobicie, jak pogrzebię gorzałkę? — pytał jeszcze xiądz proboszcz.

— Potem wystawimy jej z kamienia figurę na pamiątkę — odrzekli gospodarze.

— Ha, to ją i pochowam — rzekł xiądz.

Ucieszyli się bardzo ludziska, i przyobiecali w sobotę przywieść na pogrzeb gorzałkę. Jakoż przywieźli ją na wózku przed kościół, i zeszła się cała gromada, starce, gazdowie, niewiasty i dzieci. Xiądz proboszcz odprawił mszę, na której lud cały bardzo pięknie i gorliwie się modlił, a potem całą

procesyą poszli wszyscy w pole na miejsce oznaczone. Wykopano tam dół głęboki na sześć stóp, a w około już były przygotowane kamienie, wapno i cegły na figurę. Xiądz proboszcz miał piękną naukę, wychwalając wstrzemięźliwość i zachęcając ludzi do porzucenia gorzałki; po tej nauce zaraz wszyscy przysięgli więcej nie pić wódki, a potem spuszczono do dołu baryłkę, zasypano ziemią i wnet zaczęto stawiać figurę, która stoi do dziś dnia.

Ta figura wygląda niby słup czworograniasty, na 10 stóp wysoki, zaś u dołu nieco szerszy jak u góry. W górze jest maleńka kapliczka na czterech słupach, a na jej wierzchu krzyż pański. Zaś na słupie wypisano rok 1844, bo w tym roku stała się cała ta historya. Ten rok aż trzy razy wypisany na figurze, a u dołu jest przy nim z kamienia wyrobiona flaszka i kieliszek. Kto jechał przez Krzeszów, ten zapewne oglądał tę figurę, a kto tamtędy kiedy pojedzie, niechże się jej dobrze przypatrzy.

Na taki to sposób pochowali Krzeszowianie gorzałkę i od onego czasu już jej więcej nie pijają. Nie znajdziesz w Krzeszowie pijaka ze świecą, a tylko samych trzeźwych i porządnych gospodarzy. Także i ludzie tameczni są poczciwi i zacni, a kiedy gdzieindziej w czasach pożniejszych dopuszczali się różnych psot i grzechów, w Krzeszowie zawsze po Bożemu i po sprawiedliwości żyli ludziska.

RÓŻNOŚCI.

Pożary. W Żółkiewskiem było niedawno dwa znaczne pożary. A najpierw w Choronowie spaliły się zabudowania folwarczne ze zbożem i sprzętami gospodarskiemi, w czem jest szkody na 10.000 reńskich. Był ten pożar dnia 17 sierpnia. Zaś d. 22 tego miesiąca w samo południe wybuchł ogień w miasteczku Rawie, także w Żółkiewskiem, od którego zgorzała większa część miasteczka z obydwoma kościołami parafialnemi. Ratunek był niepodobny, bo ogień w jednej prawie chwili ogarnął całe miasto; nawet wszystkie sprzęty drewniane, które powynoszono z domów na ulice, zgorzały także; dwoje ludzi zginęło w ogniu, a wiele rodzin zostało bez przytułku i bez sposobu do życia.

Wydawca odpowiedzialny za redakcją: E. Winiarz.

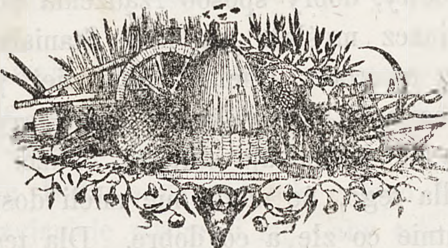
Tom VII. Nr. 8.

11. Września. 1862.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zlr. w. a., półrocznie 1 zlr. w. a.





DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Król Stanisław August Poniatowski.

1. Jak go carowa narzuciła Polakom na króla.

Pisałem wam, moi mili, w przedostatnim numerku Dzwonka o zasługach króla Stanisława Leszczyńskiego. Pisałem wam jak on przez całe życie starał się o dobro Polski, jak nauczał Polaków i dawał im mądre rady, wedle których mieli dobrze rządzić w kraju i ojczyznę ratować. Pisałem wam także, iż te rady i nauki króla Stanisława wiele pomogły Polsce, i uratowały ją od zguby. Zaś o tej sprawie opowiem wam dzisiaj nieco więcej.

Owoż ci Polacy, którzy się przy królu Stanisławie Leszczyńskim wychowali i wyuczyli, wrócili potem nazad do Polski. Tu rozpowiadali drugim o tem, co widzieli i czego ich nauczono, a co także w Polsce trzebaby zaprowadzić dla dobra całego kraju. Najbardziej zaś potrzeba było w Polsce, aby król miał większą moc, i aby każdy pan nie mógł robić tego wszystkiego, coby mu się podobało, a więc zrywać sejmy i inne psoty czynić. O tej potrzebie nauczali ci Polacy drugich i starali się aby tak postanowiono prawem.

A że w Polsce nie można było nic uczynić, zanimby cały naród na to pozwolił, więc wszystkich trza było przywieść do tego, aby taki nowy, dobry sposób rządzenia postanowili. Zaś wielu Polaków inacz myślało jak król Stanisław Leszczyński i ci, których on nauczał. Wielu najbardziej panów wielkich myślało, że to najlepiej kiedy każdy może czynić co chce, i kiedy nikt króla nie potrzebuje słuchać. Jużci myśleli oni źle, a myśleli tak dla tego, że nauki nie mieli dosyć dobrej, aby poznać dokumentnie co złe a co dobre. Dla tego trzeba było naprzód wyuczyć wszystkich dobrze, i pokazać im że tak będzie najlepiej, jak dobry król Stanisław Leszczyński doradzał.

Przeto też ci Polacy, którzy od tego króla powrócili do Polski, jęli najpierw drugich nauczać. I tak dla starszych pisali mądre xiążki jak król Stanisław, gdzie pokazywali ile złego dzieje się przeto, iż każdy może sejmy zrywać i króla niesłuchać, także iż w kraju taka swawola jest i hulanka, a pracy uczciwej mało. Zaś dla młodszych zakładali szkoły dobre, gdzie już od maleńkości dawano tylko same mądre nauki i rady, i wiedziono do dobrego.

Takimto sposobem pracowało w Polsce wielu zacnych Polaków. Najsławniejszym z nich jest xiądz Szymon Konarski, a ten był zakonnik. Pisał on wiele xiąg mądrych, i dobre szkoły zakładał, a w tych nauczał, i sam jeden bardzo wiele dobrego uczynił. Temu xiędzu pomagał drugi, xiądz Jordan, i wielu innych. Zaś także insi panowie i biskupi nauczali naród i prowadzili go do dobrego, jak biskup Józef Andrzej Załuski, znaczni panowie Czartoryscy, i bardzo wielki a sławny pan Stanisław Poniatowski, który za młodu był wielki chudzina, bo jak powiadają syn ekonomski, zaś przez pracę i zasługi został znakomitym panem, a syn jego nawet królem polskim. Także jeszcze wielu innych takich było Polaków, którzy bardzo gorliwie pracowali nad dobrem ojczyzny.

Działo się to wszystko jeszcze za życia króla Augusta Trzeciego, a kiedy tenże umierał, wyglądało już w Polsce całkiem inaczej. Już wielka część całego narodu poprawiła się, i Polacy wszelkim sposobem chcieli u siebie lepszy porządek i rząd lepszy zaprowadzić. Zaś wiedzieli oni, że do tego trzeba

najpierw jakiego króla dobrego, cobyto był człek mądry i zacny a także rycerz dobry, aby sobie z każdym umiał dać rady, tak iżby go naród szanował i kochał, a nieprzyjaciele żeby się go bali. Takiego to szukali sobie Polacy i chcieli wziąć na pana.

Aleć nie zawsze dzieje się tak, jakby człowiek chciał najlepiej. Podobnie stało się i w Polsce. Chcieli Polacy jak najlepiej, i najlepszego chcieli sobie wziąć króla, któryby panował na chwałę Bożą a na pożytek całego kraju. Tymczasem różni nieprzyjaciele postarali się, aby tak nie było, i aby żaden dzielny król nie został obrany w Polsce, także aby Polska do dawnej siły i wielkości nie przyszła.

Największym nieprzyjacielem Polski była carowa moskiewska Katarzyna druga. Ta kobieta przez całe życie starała się o zgubę Polski, a teraz w żaden sposób nie chciała dopuścić, aby się co dobrego w naszym kraju stało. Owoż kiedy Polacy myśleli nad obraniem dzielnego króla jakiego, carowa siła wojska przysłała do Polski i narzuciła Polakom na króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, tak iż go obrać musiano.

Ten Stanisław August był synem onego zacnego pana polskiego, Stanisława Poniatowskiego. Był zaś Stanisław August człek dobry bardzo i uczony, także polski kraj i naród kochał i rad im był uczynić najlepiej; ale był też człek słaby i nie rycerski, tak iż na swojem postawić nie umiał, a drugich słuchał, najbardziej carowej, z którą się znał od dawna. To zaś nie było dobrze dla Polski, o czem będą jeszcze historye w Dzwonku inną razą.

Pieśń kołodziejska.

Koło goni, koło dzwoni,
Aż pęknie i stanie.
Serce boli, myślą goni
Aż i bić przestanie.

Bo przez różne progi, drogi
Koło się potoczy;
Czyś bogaty, czy ubogi,
Śmierć cię w grób zaskoczy.

Różne szprychy w mojem kole,
Różne w życiu chwile.
Różne szczęścia, różne bole
Ucichną w mogile.

Sz. N.

Cudza krzywda nie grzeje,

czyli:

Historya prawdziwa o wieprzaku Józefowej, do którego ona przyszła nieuczciwym sposobem.

Niedawnym czasem wypadło mi jechać po interesie na Ruś, któráto ziemia dobrze mi jest znana, bom tam za młodu nie mało czasu strawił między krewniakami, których na Rusi mam dość. Owoż po kilku dniach drogi zajechałem ci aż do miasta pewnego, gdzie na górze jest śliczny klasztor ojców Bernardynów, w którym co rok na święty Antoni bywa wielki odpust. Stary to już klasztor, bo i całe miasto nie dzisiejsze, ale jeszcze za bardzo dawnych czasów polskich zbudowane. I jeszcze do dziś dnia stoi tu ogromne zamczysko, które panowie Sieniawscy pobudowali na obronę miasta i kraju od pogan. Zacni to byli panowie, kraj kochali i o jego całość mieli staranie, o czem kiedyś da Bóg łaskawy obszerniej opiszę w Dzwonku. Został się po nich ten stary zamek z murami, z wałami, ale okolica inacz już wygląda jak niegdyś. Dawniej w około zamku płynęła rzeka Złota Lipa, i była mu na obronę. Zaś poźniej, kiedy pogaństwo przestało kraj napadać, puszczono ową rzekę w staw ogromny przed zamkiem, a ze stawu płynie ona tylko jedną stroną około zamku przez wielkie błonia i łąki, gdzie błota jest nie mało i trzęsawice ogromne.

Owoż przed temi błotami jest kęs dobry przedmieścia, na którem mieszka także mój kum Antoni, człek bardzo zacny i z którym się oba bardzo kochamy. Więc jużci do niego chciałem zajechać, boby się srodze gniewał gdybym w gospodzie stanął — i jadę sobie wedle grobli ponad one błocka. Aż tu patrzę hen na sto kroków od grobli, na błotach, jakieś zbie-

gowisko ludzi, taj jakieś płacze i narzekania. Ciekawość mnie wzięła, więc przystanąłem z boku drogi, a że mam koniska spokojne, zostawiłem je i sam dalej na one błocko do ludzi. Ledwie też uszedłem kilkanaście kroków, aż tu biegnie ktoś naprzeciw mnie. Patrzę aż to sam Antoni, który mnie poznał z daleka.

— A witajcie kumie — zawołał całując mnie serdecznie — dzięki Bogu który was znowu do nas przyprowadził. A jak się też macie? a wasza i dzieci? a czy na długo do nas przyjechaliście?

Ja też rad byłem serdecznie Antoniemu, i odpowiedziawszy na wszystko jak należy, ta zapytawszy kuma o zdrowie, o żonę i dziatki, wspomniałem sobie wnet na ono zbiegowisko i rzeknę:

— Mój Antoni cożeście tam robili z tymi ludźmi na błocku, ta co za płacze tam słychać?

— Wartałoby mój Wasylku, abyście sami na oczy zobaczyli oną sprawę, a potem opowiem wam całą historyę, wedle której idzie żywa nauka dla ludzi, iż krzywda cudza nie grzeje ani też nigdy na dobre nie wyjdzie.

Powiedziawszy tak pociągnął mnie Antoni za sukmanę, i niebawem zbliżyliśmy się do onej gromady ludzi. Stali oni tuż obok wielkiej trzęsawicy, na którą broń Boże nogą stąpić, boby człek zapadł po uszy w błoto. Naonczas sturknie mię Antoni jedną ręką lekko, a drugą wskazał na oną trzęsawicę. Patrzę aż tu ogromne wieprzysko, któremu tylko grzbiet widać było, zanurzony w błocku tak, że się ani ruszy.

— O dla Boga — zawołałem — a toć nieszczęście prawdziwe! Czyby też nie można wyratować?

— A co tam po ratunku — powie Antoni — toć już cuchnie, że go aż tu słychać, bo tak leży od trzech dni.

— I czyjażto szkoda taka mój kumie — pytam znowu.

— Ano Józefowej, co tam z boku zawodzi — odpowie Antoni.

— Biedne kobicisko — rzekłem, bo mi się jej żal zrobiło, a wiem dobrze co to za nieszczęście stracić takie piękne bydlę.

— Jużcić biedna — rzecze Antoni — ale widać już tak pan Bóg chciał ją ukarać za krzywdę drugich.

— Wielki Boże — zawołałem — toć przecie nie ukradła onego wieprza?

— Nie ukradłaci go tak po prostu, ale też żadnym uczciwym sposobem do niego nie przyszła — odpowiedział mój kum. Ale chodźcie już, to wam opowiem po drodze całą sprawę dokładnie.

Kiedyśmy wyszli na groblę i siedli oba na wóz, zaczął Antoni tak opowiadać:

Przecież wy sami kumie znacie Józefowę. Prawdę mówiąc jestto gospodyni jakich mało, a taka oszczędna jak żadna na naszem przedmieściu. Choć tam u niej nie zbyt bogato, ale przy dobrem gospodarstwie biedy nie znać, zaś od czasu jakeście tu u nas byli, przybyło jej nie mało dostatku. Coś od lat kilku przerobiła się Józefowa na mleczarkę, i z mleka też żyje najwięcej, bo państwo tamci wedle fary i na miasteczku regularnie codzień od niej biorą. Jakoż było jej z tem dobrze. Ale diabeł nigdy nie spi, i teraz babie spokoju nie dał. Rozłakomiła się na większy zysk, i zachciało jej się z niczego przyjść do dorobku. I patrzcie jaki sobie na to sposób wymyśliła.

Do mleka które codzień przedawała, zaczęła dolewać po kwarcie wody, i codzień też kwartę wody za mleko sprzedawała. Pieniądze za tę wodę składała osobno, a jak ich już nazbierała kilka cwancygierów, kupiła sobie prosiaka. Tego też prosiaka wykarmiła znowu za szachrajskie pieniądze, które miasto za mleko brała za wodę — zaś on prosiak chował się jej nad spodziewanie pięknie, i wyrósł na ono ogromne wieprzysko, któreście w błocku widzieli.

Będzie temu jakoś z tydzień, kiedy zaszedł do Józefowej kum Jacenty rzeźnik z Adamówki, i chciał kupić wieprza. Dawał jej już 35 reńskich nowych i funt słoniny z niego obiecał, a nawet kiszkę jednę i kiełbasę. Ale Józefowę jakby coś opętało, że ani rusz oddać za te pieniądze, zaś koniecznie chciała 40 reńskich, zaklinając się że ją tyle wieprz kosztuje.

— Ha! jeżeli was tyle kosztuje, to da Bóg i tyle weźmiecie za niego od innych ale nie odemnie — powiedział Jacenty. Zaś niedaj Boże, abyście się pomylili w rachunku, bo gotów wam jeszcze zmarnieć wieprzak, a szkodaby było.

Na to powiedzenie zaczęła wygadywać Józefowa, która też jest baba niepomiarkowana w gębie, a Jacenty nic więcej nie mówiąc poszedł swoją drogą.

Zaś o tem wszystkiem powiadała mi pod sekretem kuma Walentowa, która z Józefową ma dobrą znajomość, tak iż nic przed sobą nie ukrywają. Powiadała Walentowa, że chciała kumie odradzać, aby tak nie cyganiła, ale Józefowa nie tylko jej nie usłuchała, zaś jeszcze nakrzyczała na nią. Owoż Walentowa jako baba nie mogła długo utrzymać sekretu, i pomału rozgadała po całem przedmieściu historyę o wieprzaku Józefowej. Przyganiali ludzie takiej nieuczciwości, ale do Józefowej ani przystąpić z rozumnem słowem. Więc tylko czekaliśmy jak się to skończy, bo jużci cudza krzywda nikomu na dobre wyjść nie może, a Bóg za nią zawsze zeszle ukaranie.

Jakoż nie długo czekaliśmy. Dziś temu właśnie trzeci dzień, kiedy wieczorem zaczęła Józefowa po całem przedmieściu wielki hałas za wieprzem, który jej się gdzieś podział. Szukali go przez całe trzy dni, a co było pomstowania, i podejrzenia i obrazy Boskiej — tegoby nie zliczył. Zaś dopiero dziś wieczorem, nimeście przyjechali, dojrzał Hryćko Kowalów na błocku wieprza, i dał znać Józefowej. Ale to już za pożno i wychowanek zatopił się w rzece, jakby na pokazanie, że co nieuczciwym sposobem z wody powstało, to też i przez wodę zginie.

Kiedy tak kończył opowiadać Antoni, stanęliśmy właśnie przed jego domem. Bawiłem u poczciwego kuma całe dwa dni, i o różnych rozprawialiśmy rzeczach, ale mnie w żaden sposób nie mogła wyjść z pamięci historya o wieprzaku Józefowej. Toć skoro powróciłem do domu, rozpowiadałem o niej moim znajomym, a nakoniec zebrała mnie chęć opisania do Dzwonka, aby z tego inni także ludziska mieli naukę, że cudza krzywda nie grzeje, i że pan Jezus nigdy nie błogosławi nieuczciwemu dorobkowi.

Piękne przykłady.

Pisanie Jacentego z Magierowa do Grzesia z Mogiły, w którem jest opisanie szkółki i obrzynków w Kalnikowie.

Dzwonicie tam Grzesiu miły o tem wszystkiem na waszem Dzwoneczku, co jeno piękne i szlachetne, dlatego też godzi się sumiennie, aby i to, o czem wam teraz napiszę, znalazło rozgłos i posłuch wszędzie, gdzie jeno głos tego papierowego Dzwonka dochodzi.

Przed parą jakoś tygodniami wypadło mi odwiedzić moich krewniaków w Kalnikowie ta i samą panię dziedziczkę we dworze, która, że wam tak powiem sekretnie i niechwaliwszy się, jest moją chrzestną matką. Dość tam człowiek chleba z różnych pieców jadał, ta i świata widział nie mało, ale co takiego państwa, jak jest pan Karol Janko i jego żona Izabella, dziedzice Kalnikowa, to już chyba w dzień jasny szukaj ze świecą. Toć to są prawdziwi rodzice naszego ludu wiejskiego, bo czy to w biedzie, czy w chorobie, czy w sieroctwie, znajdzie tam każdy zapomogę, radę i opiekę. Dość się jeno popytać o to owych gumiennych, polowych, gajowych, co to dawniej byli prostymi zarobnikami, a teraz za łaską pana mieszkają sobie w białych chatach z kominami niby to jacyś z waszecia, a gospodarstwa mają śliczne, jak się patrzy. A zajrzyj no tam do izby, to zaraz na półce uwidzisz i Dzwonek, i ową Złotą księgę, i historyę szewca Jana Kilińskiego, i Ludzie z pod słomianej strzechy, i wiele innych xiążeczek, które pan co poczciwszym i piśmiennym ludziom porozdawał, a z których oni w jaką wolną chwilę nie mało zabawy i nauki mają. A ponieważ wielu jest takich, co to za poradą pana przysięgli na trzeźwość, i w karczmie nie mają co robić, to jak tylko zakosztowali owego czytania, to już tak nawykli do niego, że w niedzielę bez xiążki ani rusz. Ot przy mnie przychodzi Jacko Sadowy, co to już teraz nieboszczyk, a był on od niedawna leśnym u pana Janka, i wyjąwszy dwa reńskich, co to je był sobie z dochodów lasowych uzbierał, prosi pana, aby

mu za to jaką xiążkę zapisał. Z największą chęcią wysłuchał pan jego prośby, i już za parę dni miałci Jacko Sadowy Dzwonek u siebie.

Wiele musiałbym pisać, abym chciał o wszystkiem szczególnie wam donieść, a to jak na nieszczęście mój kumie nie wiele tam miejsca w tym naszym Dzwoneczku; a więc zaniechawszy dłuższego opisu, choć mnie bardzo do tego korci, opowiem wam po krótce jeszcze o tamtejszej szkółce i obżynkach.

Owoż od czasu jak tylko państwo Jankowie nastali do Kalnikowa, założyli oni tam szkółkę wiejską, w ktorej się sama pani Jankowa wychowaniem wiejskich dzieci zajmuje. Nie dalibyście mi wiary może kumie mój miły, gdybym wam to tak sam na sam w cztery oczy opowiadał, ale jużcić tak być musi, kiedy się wam tego publicznie nie waham powiedzieć. Ale słuchajcie no dalej, jak to w tej szkółce idzie. Skoro się jeno sierota jaka we wsi pojawi, która się nie ma do kogo przytulić, zabiera ją pani Jankowa do dworu, i staje się dla niej rodzoną matką. W młodym wieku zaprawia ona te sieroty do xiążki, a gdy się wszystkiego wyuczą co im na ich stan potrzeba, i gdy które z nich chęć ma pozostać przy dworze, to wedle upodobania praktykuje na kucharza, lokaja, ogrodnika lub pokojowę, a które przy dworze ostać się nie może, to wyposażone z łaski pani idzie za mąż lub w świat między ludzi. Ot teraz za mojej bytności w Kalnikowie było tam coś sześcioro takich małych sierot we dworze, co to jeszcze chodzą do szkoły. Aż się dusza radowała, gdym widział, jak to rano po pacierzach i śniadaniu wyszły owe sierotki czyściutko poubierane rzędem z pałacu a sama pani Jankowa za nimi, i wszyscy prosto udali się do szkółki, która się w pięknym umyślnie na to wymurowanym domku, o kilka kroków od pałacu znajduje. Tamto sama pani Jankowa uczy ich wszystkiego, co jeno które z nich pojąć może. Jedno czyta, drugie rachuje, trzecie pisze, inne znowu haftuje, szyje, słowem, każde z nich czemś innem zatrudnione. Przyznam się wam szczerze, aż mi się wierzyć nie chciało, gdy mi pani Jankowa pokazała setny zeszyt papieru, na którym była przepisana cała „Pieśń o ziemi naszej,“ a to tak pięknie, że i tam u was we Lwowie nie po-

wstydziłby się z takiem pismem. Każdy, co tę pieśń czytał drukowaną wie doskonale, że to jest dosyć spora xiążeczka, a przecież przepisali ją całą owe dzieci po kawałeczku. I toć była najlepsza próbka jak każde z nich pisze, bo na każdej kartce było podpisano, że to pisała Basiunia, a tamto Karolcia. a to znowu Marysia. Połosia, Tymcio, Jacio, Grzesio i t. d. Ten ostatni mój kumie, wasz imiennik, jest już tęgi chłopczyk, i ma też nielada spryt do kucharstwa. Gdybym zaś znowu na własne oczy był nie widział owego szycia i haftowania, tobym był nigdy nie wierzył na słowo, że to i nasze wiejskie dzieci są takie zdatne i zmyślne do takiej cieńkiej roboty. I tak codziennie, wyjąwszy dnie świąteczne, trudni się sama pani Jankowa rano i popołudniu po dwie godzin z temi dziećmi, i uczy je co może. A już gdy nadejdzie święto lub niedziela, to wszystkie dzieci z xiążeczkami jadą do kościoła do Krakowca, gdzie im się ludziska napatrzyć nie mogą, bo takie to twarzyczki pokorne i pobożne. Po południu znowu zabiera pani kilkoro co grzeczniejszych dzieci ze sobą na spacer, bierze pełne kosze jabłek i gruszek i jedzie na wieś. Tutaj wychodzą dzieci z chałup i kłaniają się swojej dobrej pani, krzyczą pa! pa! a pani Jankowa ze swemi sierotami sypie im pełnemi garściami owoce. I takci całą wieś objedzie, i wszystkich do syta obdzieli owocami. Wieczorem zaś po kolacyi klękają wszystkie wychowanki pod przewodnictwem najstarszej, a odmówiwszy pacierze, zaczynają społem jaką pieśń świętą jak n. p. Boże Ojcze.. Matko Chrystusa... Serdeczna Matko... i t. p. Gdym ci raz pierwszy ten spiew usłyszał, co się w ciszy nocnej daleko rozlegał, to aż sam upadłem na kolana, i prosiłem Boga o zdrowie i powodzenie dla takiej pani, co to się tak pięknie sierotami opiekuje. Ma ci przytem ta pani Jankowa apteczkę u siebie, i dla tego to jak do jakiego lekarza cisną się do niej chorzy nawet ze stron dalszych, i znajdują serdeczną pomoc.

A teraz jeszcze słów parę o obżynkach.

Za mojej bytności odbyły się tam także 7 sierpnia t. r. obżynki. Już od dawna przygotował się pan Janko na to, aby swoim ludziom jaką miłą niespodziankę sprawić. I tak wieczorem, gdy już nadeszli ze żniwa i królowa oddała wianek żytni,

zaczęła się serdeczna zabawa. Już tam pijatyki wielkiej nie było, ale za to wyniósł pan Janko na dwór cały kosz z różnemi pięknemi rzeczami, i zaczął owe upominki co pilniejszym żeńcom rozdawać. Jedni dostali piękne xiążeczki, drudzy obrazy, inni znowu korale, fajki, zwierciadła, wstęgi... a coś kilkanaścioro nawet takie metaliki, co to je wybito na pamiątkę owego obchodu pogrzebowego w Żółkwi. Po rozdaniu tych upominków zaczęto znowu sypać z koszów jabłka pomiędzy ludzi, a wtedy to już radości wielkiej nie było końca. Tylko was tam brakowało Grzesiu nasz miły, abyście własnemi oczyma wszystko to widzieli, i jakiego krakowiaka zaśpiewali, bo to wam wszystko składnie idzie jak z płatka. Myślałem ja wtedy sobie:

wezmę ja skrzypki
z zielonej lipki

i zagram im na uciechę, ale nie miałem jakoś tych skrzypek na podorędziu. Ale i bezemnie wyszpertali sobie parobczaki jakiegoś grajka, i przed pałacem z dziewuchami raźnie i ochoczo wywijali obertasa, krakowiaka i Bóg wie co tam jeszcze. Gdzieś aż o północy podziękowawszy państwu za podarki i zabawę, porozchodzili się do domów. A ja długo, długo jeszcze usnąć nie mogłem, tak mi różne myśli skakały po głowie, jakby tam nieprzymierzając także jakiego obertasa wywijały, aż w końcu mówię do siebie: ej napiszę ja chyba o tem wszystkiem do naszego Grzesia miłego, a spodziewam się że to wszystkim nie małą radość sprawi, i ot jakoś zaraz usnąłem.

Obyście w modlitwach waszych pamiętali o takich panach co to się tak szczerze ludkiem naszym zajmują, a przez zgodę, miłość, posłuszeństwo i przychylność, zasługiwali sobie u nich na taką dobroć i łaskawość. Zatrzymajcie też na zawsze w pamięci imię tego szlachetnego państwa, o którem wam piszę, i zostańcie mi z Bogiem.

Jacenty z Magierowa.

Drugie pisanie Walka Bartnika z nad Obry.

(Niedawno było w Dzwonku pierwsze pisanie tego Walka do Szkółki Niedzielnej, więc i to drugie bierzemy do Dzwonka, gdyż niezawadzi ono pewnie naszym czytelnikom).

Kochany Jegomość był tak dobry, że moje pierwsze pisanie w Szkółce wydrukował. To mię tak ucieszyło, że do drugiego pisania nabrałem ochoty, bo taką mam naturę, żebym chciał, aby to co ja wiem, zaraz cały świat wiedział. Ale niech się Jegomość nie dziwi, że zamiast o pszczołach, to ja o gospodarstwie piszę, gdyż ja był pierw gospodarzem aniżeli bartnikiem, bo moja Kaśka przeszło 35 mórg roli po swych ojcach odziedziczyła.

Oj ciężko nam też to było na początku, chociaż od świtu do zmroku pracowalim, bo też nasza rola nietęga, a chociaż niedaleko Obry mieszkamy, gdzie śliczne są łąki, to jednakowoż my nie mamy ani krzty; a tu trzeba ojców utrzymać, i budynki poprawić, i rodzeństwo wypłacić, a tu czynsz, podatki, to jak młyńskie kamienie na biednym człowieku ciążą. To też trzeba się było kręcić, aby wystać. Aby grosz zarobić, wyjeżdżałem często, najczęściej z żydami, i nie pytałem się czy dobra czy zła droga, wynajmowałem się, i zawszem tęgo jechał. Mojej Kaśce się to nie podobało. Mówiła często do mnie: Walek, nie jeżdżaj na zarobki, bo zmarniejesz. Zarobisz kilka złotych, a za to konie wszystko zboże zjedzą, mierzwę po świecie rozniosą, ty roli nie dojrzysz, a co najgorsza, że przez targi i jarmarki przyzwyczaisz się do próżnowania i pijaństwa.

Alem ja na to wcale nie zważał, bom już w domu nie miał miru, i kieliszkiem też nie pogardziłem. Widziała moja Kaśka, że ze mną coraz gorzej, więc zaczęła na mnie nalegać, żebym poprzestał furmanić. Zawszem jej to przyobiecał, ale gdy żyd przyszedł po konie i to z niepróżną butelką, tom nie dbał o żonę, żeby była i pękła z płaczu, tylkom żyda słuchał, i jechałem gdzie tylko chciał za psie pieniądze.

Trwało to tak dosyć długo. Raz przyjechałem z jarmarku jak zwykle w nocy, a tak pijany, żem bicz, miech od obroku

i czapkę z głowy zgubił. Moja Kaśka tego dnia nic mi nie rzekła, tylko okrutnie płakała. Dopiero nazajutrz gdym leżał chory, tak mi mówiła: Walek, pięć lat furmanisz, i co z tego masz? rola zaniedbana, budynki i płoty lecą, bydło i konie ledwo nogi wleką, pełne kąty biedy. A jeżeli nie przestaniesz furmanić, próżnować i pić, to ta ziemia, którą naszych ojców i nas żywiła, pójdzie w obce ręce; a ty pójdziesz w służbę do tych, których teraz wozisz, a ja tego nie przeżyję — i zaczęła okrutnie płakać, aż mi się mdławo na sercu zrobiło, i zacząłem też płakać, i przyobiecałem jej, że już zaniecham furmanek, i od wódki się odpiszę. I dotrzymałem słowa, bom zaraz poszedł do naszego Jegomości, a kiedym mu powiedział mój zamiar, ucieszył się bardzo, do bractwa wstrzemięźliwości mię wpisał, i tak mi powiedział: Mój kochany Walenty, sprzedaj konie, a kup krowy, a ziarno oszczędzisz, rolę uprawisz i mleko mieć będziesz. O tem możesz się przekonać z przeszłorocznej Szkółki, a potem jak nie będziesz miał koni, to ci się o nie nikt nie będzie naprzykrzał, a przez to unikniesz sposobności do złego. Ta rada mi się spodobała, sprzedałem konie, i orałem krowami. Odtąd chociaż z wielkim uporem zaczęła bieda z kątów ustępować, a teraz dzięki Bogu jużby jej i ze świecą u mnie nie znalazł. Prawda że pszczółki, które zaraz po odpisaniu się od wódki nabyłem, dużo mi przynoszą, ale i gospodarstwo moje trzy razy mi tyle przynosi co dawniej. Zapyta się może jegomość: jakim to sposobem? Trochę cierpliwości kochany jegomościnku, a zaraz opowiem.

Jest temu sześć lat, pamiętam jakby dzisiaj, lato było bardzo mokre, nie było więc widoku, aby sobie pszczoły mogły tyle zarobić, ile na wyżywienie przez zimę potrzebują. Trzeba było im dopomódz, a że z tatarki wiele miodu znoszą, więc skorom sprzątnął żyto, zaraz na kawałku najlepiej wymierzwionego życiska zasiałem tatarkę. Zaraz po Matce Boskiej Siewnej zakwitła bardzo ładnie; pszczoły dla częstych deszczów nie miały z niej pociechy, ale za to sprzątnąłem ją zielono, i miałem wyborną paszę. Tak wcześnie zaorane i tatarką obsiane życisko, porosło wykruszonem żytem, które po zesieczeniu tatarki znacznie się rozkrzewiło, i po zimie ślicznie

mi rosnąć zaczęło; więc było mi żal je zaraz zaorać, chociaż na tem miejscu przypadały perki. Zostawiłem więc to żyto aż tydzień po św. Stanisławie, a że dobrze wyrosło, zesiekłem je dla krów, i po niem perki ładnie mi się udały. Odtąd zawsze wybierałem kawał dobrze wymierzwionego życiska, i zaraz na św. Jakób obsiewałem mieszaniną z żytem. Z mieszaniny miałem w jesieni a z żyta rychłą z wiosny paszę, a po niem sadziłem perki tydzień po św. Stanisławie, i dobrze mi się udawały. Tym sposobem miałem dużo paszy i mierzwy, a rola rodziła mi śliczne żyto i perki. Lecz jarzyny nie chciały mi się udawać. Łamałem sobie głowę, żeby wcale jarzyn nie siewać, tylko takie zboże, które się najlepiej udaje, i żeby to zboże nie za często po sobie następowało. Ale nie mogłem nic wymyślić, poszedłem więc do naszego pana, bo to jest dobry pan i gospodarz zawołany, a on mi tak powiedział: Mój Walenty, jeżeli mojej rady chcecie słuchać, to podzielcie rolę na pięć równych części czyli pól. Na jednem polu będziecie mieli żyto; na drugiem perki, ćwikłę i marchew; na trzeciem groch i mieszaninę; na czwartem znowu żyto; a na piątem trawę. Żebyście to zrozumieli, uważajcie jak macie sobie postępować:

W pierwszym roku uprawcie i dobrze wygnojcie jedno pole, i zasiejcie żyto. Po sprzęcie zaraz na św. Jakób zasiejcie jak dotąd mieszaninę z żytem, a będziecie mieli i ziarno i paszę. W drugim roku na tem samem polu po zesieczeniu żyta na zieloną paszę, a więc w tydzień po św. Stanisławie zasadzicie perki i ćwikłę. W trzecim roku pognojcie to pole i zasiejcie groch i mieszaninę, ale mieszaninę nie naraz, żebyście z niej mieli dłużej świeżą paszę — a potem przychodzi znowu żyto, ale w niem zasiejcie zaraz w jesieni trawę, tymoteusz albo rajgras, ale gęsto. W czwartym roku sprzątniecie żyto, a na tem życisku będziecie mieli w jesieni ładne pastwisko, albo też i nieco siana. W piątym roku zostawicie połowę na pastwisko, albo też wszystko na siano lub zieloną paszę, jeżeli będziecie chcieli mieć krowy przez lato na oborze. Trawę na siano sprzątniecie dwa razy, to jest po połowie maja i lipca; a potem znów uprawicie pod żyto, i znów sobie tak postąpicie, jak przez pierwsze pięć lat.

Len możecie siać w polu warzywnem, owies razem z grochem tak, że do wiertela grochu przybierzecie 3 lub 4 garnce owsa, a przy wianiu owies od grochu się odłączy.

Ten sposób gospodarowania jest dla was najlepszy, bo tu siejecie tylko takie zboże, które się wam najlepiej udaje, i na paszy wam nie zbędzie, bo jak się mogliście przekonać, macie od wczesnej wiosny aż do poźnej jesieni ciągle zieloną paszę; a na zimę macie dużo siana z mieszaniny i z trawy, a przytem i dużo warzywa.

Radziłbym wam siać trawę, a nie czerwoną koniczynę, boby się na słabej roli nie udała, trawa prędzej rośnie i łatwiejsza do ususzenia; toć też i rolę prędzej możecie pod żyto uprawić. Prawda, że trawa zaperza rolę, ale dla tego macie ją siać gęsto, przez jedno lato trzymać, a potem dobrze uprawić.

Tak mi dobry nasz pan poradził, i niech mu za to Bóg zapłaci, bo dopiero trzy lata w ten sposób gospodaruję, a już mi gospodarstwo więcej przynosi jak dawniej.

Rozpisałem się szeroko, bo to nasz Jegomość nam często powtarza: dzieci moje, trzeba nam Nieba, ale i chleba nam trzeba, abyśmy nie cierpieli głodu, i nie wyszli z ojcowizny. Więc ja też tak wiele pisałem, jak ja do chleba przyszedłem, bobym chciał aby wszyscy moi bracia mieli go podostatkiem.

Nie myślę, żeby mój sposób gospodarowania był najlepszy; owszem byłbym rad, gdyby kto jeszcze lepszy do Szkółki podał, żebym i ja z niego krzystał, bo to teraz taki świat, że każdy chce iść dalej.

Pod pierwszem mojem pisaniem podpisałem się Walek Bartnik, bom nie myślał, że drugi raz do Jegomości pisać będę; a że się może jeszcze zdarzy napisać, i kiedy nietylko bartnikiem, ale i gospodarzem jestem, więc odtąd moje prawdziwe nazwisko kładę, a tymczasem bądź Jegomość zdrów!

Walek Buczak z nad Obry.

RÓŻNOŚCI.

Piękne ofiary. Pisaliśmy wam niedawno moiściewy o strasznym pożarze, który zniszczył miasteczko Rawę w Żółkiewskiem. Był to naprawdę ogień, jakiego nie daj Boże widzieć po raz drugi. Za kilka go-

dzin zniszczył całe prawie miasto do szczętu, bo nic a nic wyratować nie można było, i każdy był rad, jeżeli cało z życiem uciekł za miasto. Powynosili ludzie rzeczy na ulice, i tam zgorzało — a niejednemu w rękach zapaliły się sprzęty, które chciał uratować.

Jużcić ogień taki narobił szkody niemało, i gdyby nie miłosierdzie ludzkie, to wiele mieszkańców poginęłoby z samego głodu. Lecz u nas przecie po chrześcijańsku żyją ludzie, i wedle nauki pana Jezusa ratują bliźnich w biedzie. Siła różnych datków zwożą jeszcze ciągle do Rawy, a po całym kraju są składki dla biednych pogorzelców.

Otóż niedaleko Rawy jest Monastyr Magierowski, gdzie przed dwoma tygodniami był odpust znaczny. Na tym odpuście pewien zacny xiądz ruski, Paweł Leontowicz, miał kazanie do ludu, a w niem bardzo pięknie nauczał o cnocie miłosierdzia, jako każdy powinien być dla bliźniego bratem, i jak brat pomagać mu w nieszczęściu. Cudneż to było kazanie! i tak wam już powtórzyć nie potrafię dokładnie, ale to pewna, że wszyscy ludziska spłakali się rzewnie. Wiemci że i mnie z oczu jak groch lały się łzy, a w sercu tak rzewnie zię zrobiło, żebym taki zaraz był w ogień skoczył dla każdego chudziny.

Takto kochany xiądz Paweł Leontowicz rozczulił ludzi i zbudował nauką świętą, że co kto miał, to zaraz dawał na pogorzelców w Rawie. Dobywali ludziska ostatni grosik z kaletki, aby jeno także swoją ofiarę złożyć. Widziałem na własne oczy, jak biedne dziady żebraki swoją jałmużnę oddawali. Zaś najwięcej rozczuliła mnie biedna babina staruszka, dziadowina jakaś poczciwa, która ze łzami ostatni kaftan zrzuciła i oddawała na ofiarę. Kiedy zaś ją pytano, na co sobie taką szkodę robi, odrzekła poczciwa: Toć to wszystko co mam, i nic lepszego dać nie mogę.

Niechże im poczciwym Bóg łaskawy wynagrodzi stokrotnie za dobre serce, a zacnemu xiędzu Leontowiczowi użyczy dobrego zdrowia i błogosławieństwa swego, aby mógł jeszcze długo tak pięknie i zbawiennie lud nauczać.

Pożary. Zaś kiedy mowa o nieszczęściach ogniowych, to wam jeszcze dopiszemy, jakie były najnowsze pożary, których tego roku nieskąpo jest u nas. Dnia 3 września wybuchł ogień w gospodzie na Podgórzu pod Krakowem, i pomimo prędkiego ratunku spaliło się do szczętu 10 domów. Znowu jeszcze 23 sierpnia w pośród nocy wszczął się pożar w mieście Tarnopolu, gdzie na jednej ulicy spłonęło 3 domy. Byłoby się pewnie więcej spaliło, gdyby nie odwaga żydów, którzy bardzo żwawo i dzielnie ogień gasili. Także innych mniejszych pożarów bywa dość, ale o wszystkich nie możemy pisać, bo jak widzicie brak już miejsca w Dzwonku.

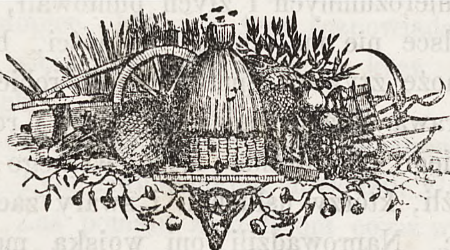
Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.

Tom VII. Nr. 9.

21. Września. 1862.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Król Stanisław August Poniatowski.

II. Konfederacya Barska.

Napisano już o królu Stanisławie Auguście, iż był pan dobry i uczony, także iż naród i kraj polski kochał, a wszystko dobre chciał dla nich uczynić. To samo pokazywał on też na początku panowania swojego. Zakładał szkoły różne, a między niemi jedną założył, gdzie młodych uczono na dzielnych żołnierzy i oficerów, którzyby kraj walecznie bronili. Zakładał król także pożyteczne fabryki, i budował wiele, a najbardziej w Warszawie. Nauki wszelkie wspomagał i zachęcał, a przytem ludzki był bardzo, i łagodnie obchodził się ze wszystkimi. Tym sposobem dawał dobry przykład, i potrafił różnych panów między sobą pogodzić, którzy się pierwej kłócili, a naród cały przywiódł do zgody i miłości. Szło więc wszystko na lepsze, i byłoby się najlepiej skończyło, gdyby nie Moskale i insi nieprzyjaciele, którzy koniecznie pracowali na zgubę Polski.

Każdy o tem dobrze wie, iż gdzie jest między ludźmi zgoda i miłość, takim nikt szkodzić nie potrafi, i u takich zawsze będzie dobrze. Wiedzieli o tem Moskale i postarali się,

aby taką miłość i zgodę zepsuć w Polsce. Przeto buntowali jednych na drugich, zaś najbardziej ludzi innej wiary na katolików. Także nierozumnych i złych buntowali, powiadając im, że teraz w Polsce nie ma dobrej wolności, bo lada poseł i szlachcic nie może zrywać sejmu i burdy robić, ale musi słuchać króla i prawa. Jużcić żaden poczciwy i rozumny człowiek nie słuchał takiego buntowania moskiewskiego, ale byli także ludzie głupi i źli, którzy usłuchali i swary zaczęli, a tym pomagali Moskale. Naprowadzili oni wojska moskiewskiego do Polski, cały ład i porządek zepsuli, królowi nic dobrego robić nie dali, i po dawnemu nieuczciwie z uciskiem ludu całego w Polsce gwałtowali.

Były to bardzo smutne i ciężkie czasy, więc Polacy postanowili ratować się od zguby. Zaś do takiego ratunku trzeba było najpierw wygnać Moskali z kraju, i tak chcieli zrobić Polacy. Dlatego pewien zacny biskup polski Adam Krasiński z bratem Michałem, także zacni panowie Puławscy i inni zjechali się do małego miasteczka Bar na Podolu, i przysięgli sobie bronić Polski, i ze wszystkimi dobrymi Polakami związek na tę obronę od Moskali uczynili. Ten związek nazywał się Konfederacya Barska, i zaczął od roku pańskiego 1768, więc temu prawie sto lat.

Tak zaczęto bić Moskali. Wszędzie w kraju brali Polacy za broń i walczyli. Po różnych miejscach zbierano się do związku Barskiego. Był zaś w tym związku i w mieście Barze pewien zacny i święty xiądz, Marek, który jakby prorok przepowiadał, i w całej Polsce był za świętego uważany. Na jego zachętę szli ludzie do obrony kraju, i zwyciężano nieraz Moskali, którzy xiędza Marka okrótnie się bali, bo wierzyli iż jest świętym, więc przeciw niemu wojować nie chcieli.

Zaś Moskale, chcąc różnemi sposobami szkodzić Polakom, wzięli się do takiej nieuczciwej sprawy. Na Ukrainie, kędy żyli Kozacy, zaczęli ich Moskale podmawiać przeciw Polsce i Polakom. Kozacy dali się zbałamucić, i zaczęli mordować na Ukrainie panów, Żydów i wszystkich, którzy nie byli Kozakami. Popi tameczni, przekupieni od carowej moskiewskiej, zachęcali lud do mordów i błogosławili mu noże. Rzecz straszna co się

działo. Razu jednego miasto jedno zdobyli Humań, i tam wymordowali wszystkich, bo 20 tysięcy ludzi, a uratował się tylko jeden chłopiec, który o tem rozpowiadał poźniej Tam mordowali oni xięży przy ołtarzach, a krew płynęła strumieniami po ulicach.

Na takie okrócieństwa namówili Kozaków czyli Hajdamaków Moskale. Tym Hajdamakom dowodzili Gonta, Żeleźniak i inni okrótnicy. Zaś pomału zaczęli oni coraz więcej dokazywać, i sami Moskale ich się przelękli. Owoż zaczęto bić Hajdamaków, i carowa moskiewska dawnych Kozaków wolnych zamieniła w poddanych, którzy musieli odrabiać pańszczyznę i cierpieć wielki ucisk, a tak zmarnieli na zawsze. Patrzcie co to za sprawa moskiewska, aby kogoś najpierw podmówić do buntu i do złego, a potem za to przyprowadzić go do ostatniej nędzy.

Tymczasem Konfederaci bronili się jak mogli Moskalom. Byli między nimi bardzo zacni i rycerscy ludzie. Najznaczniejszym był jeden z jenerałów, Kazimierz Puławski, pan bardzo zacny, który wszystko poświęcił na obronę Ojczyzny. Był on waleczny bardzo, i nieraz okrótnie bił Moskali. Razu jednego zamknął się on z małem wojskiem w klasztorze Częstochowskim, gdzie jest obraz cudowny Najświętszej Panny Maryi królowej polskiej. Długo szturmował do tego klasztoru jenerał moskiewski Drewicz z wojskiem wielkiem, a ten jenerał był jakby zwierz dziki, bo ludzi męczył strasznie, i jak Polaka jakiego złapał, to mu nos i uszy i ręce obcinał. Owoż mimo siły wielkiej nie mógł on zdobyć klasztoru, którego bronił pan Puławski i Matka Boska cudami, i z wielką stratą a wstydem precz sobie poszedł Moskalisko.

Inszy dzielny konfederat był kozak jeden prosty Sawa, który wyszedł na jenerała i którego najwięksi panowie słuchali. Albo znowu rzeźnik z Gniezna Morawski i szewczyk Szczygieł bardzo waleczni i dzielni byli, a Moskale okrótnie się ich bali, bo im nieraz dokuczyli. O tych rycerzach napiszę wam obszerniej osobno.

Działo się więc tym konfederatom różnie, i nieraz dobrze im było. Ale na nieszczęście nie mogli sobie dać rady z ogromnem wojskiem moskiewskiem, którego było kilka razy więcej

jak polskiego. Także było nieszczęście, iż król Stanisław August słuchał Moskali, i konfederatom nie pomagał, a nawet sam z Moskalami dla nich był złej woli. Powoli zaczęło iść źle Konfederatom, Moskale ich bili, mordowali i na Sybir wywozili. Kto został cały, uciekał z kraju za granicę, jak musiał zrobić pan Kazimierz Puławski, który aż na inną część świata pojechał, to jest do Ameryki, i tam zginął. Zaś cała Konfederacya Barska na nieszczęście Polski zmarniała i skończyła się, a to stało się w roku pańskim 1772.

Xiądz Marek.

Legienda.

Będzie temu ze sto lat,
Więc był inny lud i świat.
I inaczej wszystko było,
Bo już wiele się zmieniło.

W miłej Polsce był czas srogi,
Kraj niszczyli ciężkie wrogi,
Więc Moskale i Prusacy,
I inni tam byli tacy.

Ciężko było; więc coż robić?
Trza obronę przysposobić,
Wygnać z Polski precz Moskali,
A toć lepiej będzie dalej.

Tak Polacy pomyśleli,
I do dzieła wnet się wzięli,
A więc cicho i bez gwaru,
Pozjeżdżali się do Baru.

Tam przysięgli Polskę bronić,
Nieprzyjaciół z kraju gonić,
Walczyć ile starczą siły,
Tak dopomóż Boże miły.

I jak tylko uradzili,
Związek wielki uczynili,
W którym każdy rycerz dziarski,
Zwał się konfederat barski.

Poprzysięgli a w kościele,
Ile ich tam było, wiele,
Zaś xiądz Marek błogosławił,
Aby Bóg ojczyznę zbawił.

O bili też Moskwę, bili,
Jak się patrzy i gonili,
Pan Puławski, kozak Sawa,
Także innych dzielna sprawa.

Aż tu naraz Moskwy siła,
Na kraj Polski się zwaliła,
I obległa klasztor święty,
Panny Maryi wniebowziętej,

Gdzie cudowny obraz Boskiej
Matki świętej Częstochowskiej,
Która Polsce i króluje,
I wrogów za nią wojuje.

Tento klasztor Jasnej góry,
Obległy Moskali chmury,
Chcąc go dostać na zhańbienie,
I Polaków potępienie.

Zaś klasztoru bronił dziarsko
Pan Puławski z małą garstką,
Którym znowu błogosławił
Xiądz Marek i klasztor zbawił.

A dziwny to był xiądz iście,
Więc i święty oczywiście,
Bo proroctwa święte gadał,
Różne rzeczy przepowiadał.

Także nieraz tak bywało,
Że się z nim cudownie działo;
Kule przed nim niby liście —
Więc był świętym oczywiście.

Owoż klasztor zdobywali
Raz Moskale, ognia dali
Z armat więc i z broni różnej,
Było to zaś w porze późnej.

Wieczór był już ciemny, mglisty,
Trochę niby już słocisty,
Zaś moskiewskie kule biły,
I szkodę wielką czyniły.

Pan Puławski wołał jeden:
Mężnie bracia klasztor bieden
Nie trza dać na pastwę wroga,
Bracia a bójcież się Boga.

Ale Moskwy taka siła,
Taka wielka liczba była,
Że już dobyć klasztor mieli,
I Polaków wyciąć chcieli.

Wtedy Marek xiądz zakonny
Wszedł na wielki mur obronny,
A tam widny był wokoło:
Wszedł i podniósł w górę czoło,

Ręce tak jak aniołowie,
A kolana zgiął i powie:
Maryo, polska królowo,
O! zachowaj że nas zdrowo!

Nagle jasny promień długi,
Padł na xiędza, światła strugi,
A xiądz klęczał, kornie zgięty,
I wyglądał iście święty.

Co Moskale gdy ujrzeli,
W wielkim strachu potruchleli,
I w ucieczkę się rzucili,
A tak klasztor obronili.

Odkąd Marek klasztor zbawił,
Wielce się u ludzi wsławił,
Że na jego przyczynienie,
Matka Boska da zbawienie.

I od tego czasu wszędzie
Marek polski świętym będzie,
Więc i w Polsce, u Moskali,
I na całym świecie dalej.

Nie pragnij cudzego!

Tego roku na podniesienie św. Krzyża zeszło się dużo ludzi na Kalwaryę. Jakto na świętem miejscu bywa, to tam każdy jak brat bratu w oczy patrzy, i przy lada stacyi poznaje jeden drugiego, choćby byli i z różnych wsi. A po odbytych do stacyj drożkach i po św. spowiedzi i komunii, usiada sobie znajomy i nieznajomy pod drzewem, spyta się jeden drugiego zkąd? jak? co? i dalejże do pogadanki o swoich stronach i ludziach. Otoż i na tym odpuście było dwoch gazdów, jeden od Lwowa, a drugi od Tarnowa. Ten z pod Lwowa zwał się Jacek Dugiełło, a ten drugi od Tarnowa Maciek Kozyra; a obaj

gazdowie co się nazywa, i pobożni i trzeźwi i przykładni i bojący się Boga. Oni też usiedli sobie przypadkiem jeden koło drugiego, powyciągali chleb, masło, ser i nożyki, i zaczęli sobie pożywać dary boże tem smaczniej, że to już było i po nabożeństwie i po św. komunii. I pyta się Jacek Macieja, ocierając sobie gębę od masła:

— Mój gazduniu! powiedzcie no mi, czy też tam koło was gadają co o lasach, łąkach i pastwiskach pańskich, jak to u nas pletą i pletą, aż temu i końca nie ma?

A Maciej posmarowawszy sobie chleb serem i masłem tak się odzywa:

Ej! dalibyście sobie już raz spokój z temi łąkami i lasami — na co bo nowych grzechów dla ludzi, kiedy już i tak jest ich dosyć. Ot pokarał pan Jezus już niejednego za to, jak to się stało i w naszych stronach temu dopiero rok teraz.

A ciekawy Jacek zaraz się zapytał:

No! i cóż to się takiego stało, gadajcie no prędko.

A Maciej zawiązał sobie garnuszek z masłem i złożył chleb z nożykiem do torby, i tak gadał:

Toć może tam u was było także słychać, co to się stało u nas z niejakim Frankiem Dudkiem; toć to nierozumne stworzenie zaczęło coś ni w pięć ni w dziewięć pleść i między ludźmi bajać i zawsze gadało i gadało, że chłopom należą się dworskie i kościelne grunta. I uwierzyli mu niektórzy i cicho złożyli wielkie pieniądze i ten Dudek próżniaczysko poszedł to niby do Wiednia, do samego cesarza o te grunta. A została w domu biedna jego babina i ośmioro dziatek prawie nagie i bez sposobu życia.

Na to westchnął Jacek, bo mu się przypomniało, że i on zostawił w domu żonę i prawie tyle dzieci.

A Maciej opowiadał dalej tak:

I poszedł ten Dudek niby do Wiednia, a on jak się to potem wydało, nie był dalej jeno w Krakowie, tam sobie hasał i pił za ludzkie pieniądze dobre dwie niedziele, i jak już połowę przehultaił, wtedy wrócił i opowiadał ludziskom głupim to o cesarzu, to o cesarzowej, że ich widział i gadał z nimi i płakał przed nimi i przeróżne niesłyszane rzeczy nawygadywał,

a ludziska durne mu wierzyli, jakby tej świętej Ewanielii, co xiądz z kazalnicy czyta. I co jeszcze zrobił — za resztę pieniędzy co mu zostało, kupił sobie zaraz na jarmarku w Dąbrowy taką śliczną krowę, żeby ją i za sto reńskich teraz nie dostał.

A Jacek pokiwał głową i dodał:

— Ba! bo miał i za co kupić, jeszczeby też nie miał za co, kiedy mu ludziska tak jak podarowali.

A Maciej odpowiedział:

— Toć lepiej by było te pieniądze w studnię wrzucić, toby choć w wodzie chlupło, albo nareszcie i w błoto, toby choć plusło, a to zabrał taki zbijaczysko i zmarnował trochę i sam się zbogacił. Ale to niedosyć na tem, bo ten Dudek zaczął znowu gadać, że mu kazali z Wiednia jeszcze raz tam przyjść i dużo przynieść pieniędzy na stemple i papiery, a wydadzą mu dekreta. I patrzcie się! ci ludzie raz oszukani, znowu mu uwierzyli i pieniądze złożyli, i poszedł sobie Dudek znowu do Wiednia.

A Jacek skrobiąc się po głowie dodał:

— Aha! był on tam w Wiedniu jak i ja, a choćby i był, to coż tam taki chłop może zrobić? tam lada włóczęga może go oszukać, zabrać pieniądze i przepadło jak kamień w wodę wrzucił.

A Maciej na to powie:

— Toć się tak samo stało, jak gadacie. Bo za drugim razem to ten Dudek miał jeszcze więcej pieniędzy przy sobie — bo widzicie, gdzie szedł po wsiach, to wszędzie stawał w karczmie albo u wujtów, i gadał że idzie do Wiednia, pokazywał różne papiery cygańskie i obiecywał het gromadom wyrobić grunta dworskie i kościelne, a ludzie mu dawali co jeno mogli. I już teraz miał za co, to sobie jechał na tych żelaznych wozach aż do samego Wiednia — a jak się przebrał? w jakie suknie bogate? to wyglądał, powiadają, jak u naszego pana ekonom, kiedy w święto idzie do kościoła — a to wszystko ludzka praca i krzywda i nic więcej.

A Jacek mu na to mówi:

— Ja na mój prosty rozum to sobie tak uważam, że to

przecie wszystkiem Bóg rządzi i Bóg każdemu daje co jeno potrzeba, jednemu więcej, drugiemu mniej, aby każdy żył i z głodu nie umarł — a jeźli to Bóg tak urządził, to musi być wielki grzech, jeżeli kto chce to zmieniać i zabierać drugim bez prawa żadnego. I zobaczycie Macieju, że to niedługo będzie kara boska za to łakomstwo, i niejeden za to ucierpi wiele złego.

A Maciej na to nagle w ten sens mówi:

— Ale na co tam czekać długo kary boskiej, kiedy już ukarał Bóg tego samego Dudka, jeno posłuchajcie dalej, co ja tu opowiem. I widzicie, ten Dudek zajechał sobie do Wiednia jak jaki pan, co to wiezie tysiące wołow na sprzedaż — a jak prosty chłop w takiem wielkiem mieście zaraz się dał oszukać, bo ta i tam mają także ludzie rozum zły i dobry. Wygadał się przed jakimś cyganem tak jak on sam. że chce być u cesarza i ma pieniądze od gromad — w to graj cyganowi jednemu i drugiemu, jeno tamten był jeszcze lepszy cygan. Zaraz mu powiedział że on jest cesarskim urzędnikiem, że go sam zaprowadzi do samego cesarza, i tak pomału wybrał od Dudka krajcar po krajcarze, aż Dudkowi nic nie zostało w kieszeni. Połapał się Dudek na końcu, i nuż rada w radę co tu robić? miasto wielkie, i gdzie tu odszukać cygana owego? A więc tak sobie ułożył, że napisał list do gromady, że mu pieniądze z papierami ukradli na drodze, a on sam teraz nie ma o czem wrócić i jeszcze prosił o pieniądze. Ale mu teraz nic nie dali ludzie, bo przecie raz do rozumu przyszli, a nasz pan Dudkoski, bo tak się sam przezwał potem, musiał jak niepyszny wracać do domu i to jeszcze pieszo, bo nie było za co jechać na żelaznych wozach.

A Jacek słuchał z zadziwieniem tego wszystkiego i mówił:

— Patrzajcieno! moi dobrzy ludzie, co to się dzieje na tym świecie, żeby już chłop chłopa cyganił i tak oszukiwał, i żeby też gromady nie wierzyły nikomu ani swemu panu, ani boskiemu kapłanowi, jeno takim cyganom i drabom, co to nic nie robią jeno się włóczą, bałamucą i z cygaństwa żyją, a ty człeku biedny rób jeszcze ciężko na tych cyganów i cierp za nich.

A Maciej mu rzecze:

— Toć to strasznie dziwno teraz na świecie — a widzicie co tu luda na Kalwaryi, jakie tu kazania i nauki, a to przecie złemu i głupiemu nic nie pomaga. Ale słuchajcie dalej o panu Dudkoskim. Otoż nieboraczek do Wiednia jechał jak pan, a z Wiednia drapał pieszo, aż się kurzyło za nim. Już przejadł buty i swoje łachy pańskie, i został w jednej koszuli, i zachorował w jakiemś mieście za granicą, którego nazwania zapomniałem, i tam pomarł w największej nędzy, tak, że go robactwo zjadło i tylko w słomę zawinęli ludzie jego grzeszne ciało i tak go pochowali bez wszystkiego.

A Jacek westchnął na to: Ach dla Boga!

I Maciej się zadumał na to i dodał:

— Ale jak był jeszcze przy pamięci ten Dudek, to prosił tamtych ludzi, aby napisali do tej i do tej parafii do naszego kraju i jeżliby umarł, to żeby i o tem donieśli. I widzicie, takimto sposobem dowiedzieliśmy się o śmierci tego Dudka, a znowu furmani i wolarze nam opowiadali, jakto on hulał po Krakowie za ludzką krzywdę. I macie już gotową karę boską nad nami!

A Jacek się odezwał:

— To może niejeden jeszcze odpokutuje za to, bo i dziś mówił xiądz na kazaniu: „Nie pragnij cudzego a pilnuj swego“ i słyszeliście jak mówił dalej, że hersztów do złego karze Bóg najpierwej, a potem i tych, co to pomagają i radzi i z ochotą słuchają, jak im kto głupstwa gada i do grzechu kusi.

A Maciej podniósł oczy do nieba i mówił:

— Oj prawda! prawda mój gazduniu dobry, tak to się dzieje pod rządem Pana Jezusa i tej Najświętszej Panny Kalwaryjskiej — ale, ale, co to się stało z temi dziećmi sierotami po tym Dudku, Boże! odpuść mu tam jego winy! Widzicie, że jak Dudek list przysłał, to biedna jego baba tak się zaturbowała, że w tydzień pomarła, a ta krowa kupiona za ludzką krzywdę zdechła z ochwatu na koniczynie, i zostało ośmioro sierot bez ojca, matki i opieki.

A Jackowi stanęły łzy w oczach na te słowa, bo sobie wspomniał na swoje drobiazgi w domu i pytał się Macieja:

— No! i coż to biedactwo osierocone robiło potem?

A Maciej mu powiedział:

— O! gdyby nie dwór i ludzie, toby było pewnie naraz jakie ośm pogrzebów w naszej wsi — ale dwór podarował to Dudkowi zmarłemu, że buntował gromadę na niego i zaraz pani wzięła dwie dziewcząt na służbę, jedno małe dziecko dała na wieś, a znowu jedno większe kazała przyprowadzić do kuchni, aby się tam chowało, a siostry go pilnowały i opierały — najstarszy chłopak został w chałupie, ale dostawał wszystkiego to z plebanii, to od pani, a troje znowu rozebrali xiądz i ludzie między siebie. I przecież nie dał Pan Jezus zaginąć temu biedactwu, choć ukarał ojca a może matkę za niego. A od tego czasu mamy cicho w gromadzie, i nikt nas nie buntuje.

I skończyli rozmowę Jacek z Maciejem, pożegnali się jak katolicy i jednej ziemi dzieci i rozeszli się każdy w swoją stronę, a to dobre co oni sobie pogadali, słyszał Pan Jezus i wynagrodzi im kiedyś za takie dobre słowa.

X. Wojciech z Medyki.

Piękne przykłady.

Nowe szkółki wiejskie.

Już nieraz pisano w naszym Dzwonku o tem, jaka jest potrzeba aby zakładać szkółki i uczyć dziatki czytania, pisania i innych mądrych rzeczy. Także widzi mi się, iż wielu wieśniaków poznało tę potrzebę, i że ludzie nie gadają już tyle po staremu: E! na co mi tych mądrości, dyć i bez czytania można dobrze gospodarstwo prowadzić i uczciwie pana Boga chwalić.

Boże odpuść takie gadanie, któremu niewiele rozumu się patrzy. Prawda to, że Pan Bóg nie potrzebuje koniecznie modlenia z drukowanego, i że go można uczciwie pochwalić bez czytania. Aleć miły gospodarzu pomiarkuj sobie, że idziesz do kościoła na wielką mszę świętą. Skoro wejdziesz, więc jak pobożny człek uklękniesz i odmawiasz „Ojcze nasz“ i Zdro-

waśki, i co tam jeszcze za modlitwy umiesz na pamięć, jak cię je nauczyła jeszcze matula. Niezabawem jużeś skończył swoje modlenie, ba ale msza ledwo się zaczęła. Co tu robić? Do około ludzie klęczą i modlą się z xiążek aż miło, i coraz inszą modlitwą chwalą Pana Boga aż rado — zaś ty miły gospodarzu jeno wzdychasz i żałujesz, że się tak nie możesz modlić jak drudzy. Nakoniec i wstyd bierze, że na świętem miejscu, gdzie wszyscy modlą się gorąco, ty jeden zawracasz oczyma i nie wiesz co z sobą począć. No i cóż? czy podonczas także powiecie, że czytanie na nic się zdało?

Zaś koło gospodarstwa to mało nie co dzień przydałoby się, aby umieć czytać. Ot przychodzi pismo z urzędu, a człek tylko w głowę zachodzi, czegoby tam znowu chcieli. Aż tu niema komu przeczytać, więc lament srogi i dalej rzuć pracę a biegaj szukać piśmiennego, zaś w końcu i zapłać jeszcze za czytanie.

Inną razą przyjdzie pisanie od syna, co go wzięli do wojska i hen popędzili światami. Toż dopiero ciekawość, i człek rady sobie dać nie może, takby chciał wiedzieć co się tam dzieje z kochanem dzieckiem. Tymczasem zdarzy się nieraz, że niema komu przeczytać. Państwo z dworu wyjechali do miasta, dobrodziej powrócą aż jutro, nawet i pan wokonom gdzieś poszli; więc czekaj aż do jutra, i całą noc męcz się i przemyśliwaj, co tam w liście napisano.

Dopieroż jak przyjdzie niedziela albo inny dzień święty, nie zawadziłoby czytanie. Człek rano odprawi swoje nabożeństwo, potem się naje, a dalej to już nie wie co ze sobą robić. Więc pomału nibyto na gawędkę wylezie do karczmy, i znowu niby na ochoty przewróci do gardła jeden i drugi kieliszek, a nareszcie upije się i wygląda nieprzymierzając jak nieboskie stworzenie. Otóżto pożytek z niedzieli! Chwała Bogu jeśli się obeszło bez bójki i poranienia, o co nietrudno między pijanymi; zaś straty zawsze dość, bo i grosza niemało za napój, a na cały drugi dzień niemoc i osłabienie pijatyckie, nareszcie często gęsto i guz jeden abo drugi porządny na czole i wedle oka, jakby na pokazanie całemu światu, że to sobie opój i zawadyaka. A dlaczego tak się dzieje? — Oto z nudoty.

Zaś całkiem inaczej i piękniej ma się rzecz, kiedy człek zna się na czytaniu i na nauce. Wtedy przy wolnym dniu zasiada sobie cała rodzina pięknie wedle stołu, i zabawia czytaniem aż miło. Już to więc słuchają jakiej pięknej historyi o świętych pańskich i męczennikach, a potem historyi o tej miłej ziemi, na której się urodzili, i o tych zacnych królach polskich, którzy ich ojcom i dziadom łaskawie panowali, i innych ślicznych historyj słuchają. Także nie zawadzi przeczytać sobie jaką dobrą radę gospodarską i sposób na niejedno, o czem się człeku ani śniło, żeby z tego korzystać i sobie w gospodarstwie dopomódz. Zaś i to rzecz dobra, kiedy się można dowiedzieć, co tam słychać na świecie, co się tam dzieje i co czynić wypada, aby człek przecież wiedział i o drugich niejedno, i aby się lada włóczędze nie dał bałamucić. Każdy przyzna, że to rzecz ważna, i że każdy o tem chciałby coś wiedzieć. A już najlepiej dowie się z jakiej gazety albo xiążeczki, i sam na własne oczy przekona się dokumentnie jak co jest.

Ot niema gadania, że czytanie i nauka zawsze się przydadzą, i że z niemi całkiem inaczej a lepiej jest człowiekowi. Poznają to sami ludziska i dla tego wedle możności starają się o oświatę, i zakładają u siebie szkółki, aby dzieci już były uczeńsze i rozumniejsze na chwałę Boga i na pożytek ludzki. Otoż pomyślałem, aby zawsze w Dzwonku donosić o założeniu takich szkółek, iżby to sobie drudzy brali na pamięć i na piękny przykład. Dzisiaj spiszę tu wszystkie gminy, które od czerwca i poźniej pozakładały u siebie szkółki, a zobaczycie że takich jest dość.

Chciałbym ja dokładnie opisać jak każda gmina swoją szkółkę założyła, jak szkołę zbudowała albo urządziła, i jak płaci nauczyciela. Ale na to trzebaby dużo miejsca i papieru, tak żeby się z pewnością wszystko w Dzwonku nie zmieściło. Przeto tylko w krótkości o tem napiszę.

Owoż na ten krótki czas założono w 9 obwodach 28 nowych szkółek parafialnych, a dwie ulepszono.

I tak: w obwodzie złoczowskim założyło nowe szkółki gmin dziesięć, a te są: Środopolce, Chołochów, Balicze, Re-

miszowce, Szpikłosy, Bałuczyn, Dernów, Boniszyn, Niemiłów, Połonice i Werchobuż, każda dla siebie osobno.

W obwodzie stanisławowskim założyło 7 gmin 6 szkółek, a te są: Stary Łysiec, Stebnik, Czuchałówka, Drohomirczany i Zaborze, każda dla siebie osobno, zaś Posiecz i Majdan razem jedną szkółkę.

W obwodzie stryjskim pięć gmin założyło nowe szkółki, jak: Nadziejów i Hoffnungsau razem jedną w Nadziejowie; zaś Rożanka wyżna, Cissów i Polanica osobne trzy szkółki. Do tego gmina w miasteczku Mikołajowie zamieniła swoją trywialną szkółkę na główną szkołę.

W obwodzie brzeżańskim dwie gminy, to jest Korzelnica i Hulków założyły osobne szkółki.

W obwodzie czortkowskim uczyniły tak również dwie gminy Piszczałyńce i Drohyczówka.

W obwodzie kołomyjskim założyła gmina Kniaźdwór nowę szkółkę, a gmina Sniatyń swoją szkółkę powiększyła i drugiego nauczyciela wzięła.

W obwodzie sanockim założyła szkółkę gmina Malinówka, w obwodzie samborskim gmina Uherce zapłatyńskie, a w obwodzie żółkiewskim gmina Chotyłub.

Zaś wszędzie gromada obowiązała się budynek szkolny wystawić, jeżeli takiego niema, a budulca pozwalał nieraz pan dziedzic. Budynek ma być znaczny, tak iżby tam i szkoła zmieściła się, i pomieszkanie nauczyciela, także komora dla niego i spiżarnia wedle potrzeby. A szkolne porządki, jak ławki i inne rzeczy, obiecała gmina posprawiać i zawsze utrzymywać. Także drzewo na opał obiecała wozić i rąbać.

Zaś płacić nauczyciela postanowiła każda gmina wedle możności, i wedle tego jak wielka wieś każda. Więc jedne płacą po kilkadziesiąt reńskich rocznie panu nauczycielowi, inne po sto i więcej, tak iż na każdą chałupę wypada na rok małoco płacić, bo ledwie kilkadziesiąt krajcarów na cały rok. Czasem dodają jeszcze po parę korcy zboża, więc na każdą chałupę przypadnie garniec albo mało co więcej na rok dawać. Często jeszcze pan dziedzic i xiądz dobrodziej dają z dobrej

woli po kilka albo i kilkanaście reńskich rocznie na nauczyciela, czasem kawał ogrodu dadzą jemu albo nieco zboża.

Takimto łatwym sposobem urządzi sobie każda gmina szkołę i ma już dla dzieci naukę. Toć kilkadziesiąt krajcarów potrafi na rok każdy chudzina zapłacić, a garniec zboża jakiego i najbiedniejszy gospodarz dać może w jesieni. Zaś gospodarz zamożny jak się patrzy mógłby i dziesięć razy tyle dać, a jeszczeby mu nie było trudno. Lecz niech tylko każdy weźmie na siebie do płacenia taką malutką część, a wszędy będą dobre szkółki i o naukę będzie łatwo.

Rady lekarskie.

Na wściekliznę.

Pisaliśmy wam niedawno o okropnym wypadku z wilka wściekłego w Ewangielewicach, który tyle ludzi o śmierć przyprawił a tyle o sieroctwo. Straszny to wypadek, i tem boleśniejszy, że nie było sposobu zaradzić mu. Także pisaliśmy, iż na wściekliznę niema dobrego ratunku, a tak też wielu myślało. Zaś niedawno pisali różni w gazetach, iż są dobre bardzo sposoby na wściekliznę, i że z pewnością wyleczyć od niej można. Przeto i w Dzwonku opiszemy te sposoby, aby każdemu na wypadek się przydały, a jużcić musi być w nich coś dobrego, kiedy ludzie tyle o tem prawią.

Owoż doskonałym sposobem na wściekliznę ma być roślina Ostromlecz, którą różnie nazywają, bo w jednem miejscu Bojan, indziej Wilcze mleko albo Wilczy mlecz i inaczej jeszcze. Ta roślina rośnie między krzakami, ponad wodą, a czasem i na miedzach. Ma gruby korzeń, tak jak mały palec, a ten z wierzchu jest brunatny, i wypuszcza dużo małych korzonków. Łodyga tego Bojanu jest wyższa jak na łokieć, i jest pokryta włoskami, które są znowu tak małe, że je ledwo dojrzeć można. Liście zaś są gęste i powzdłużne.

Ta roślina jest bardzo przydatna na ratunek od wścieklizny, i dla tego wam opisałem ją dokładnie. Teraz opiszę je-

szcze sposób jak się ona używa, i co robić należy po ukąszeniu.

Najpierw trzeba ranę dobrze wymyć odwarem wody z solą, i to aż do rozjątrzenia rany. Zaś przy tem należy uważać, aby na ręce którą się myje nie było zadziergów albo jakiej rany, bo natenczas można się zarazić wścieklizną. Potem całą ranę trzeba dobrze wypiec kamieniem piekielnym, którego dostanie w każdej aptece. Zaś w dobę poźniej, kiedy wypalona powłoka odpadnie, trzeba przyłożyć na ranę maść terpentynową, a tej także dostanie w aptece. Tę maść przykłada się świeżą rano i wieczór przez dni 50 od ukąszenia, a przed każdem przyłożeniem trzeba ranę dobrze wymyć odwarem z Bojanu. Także i na to trzeba uważać, aby się rana nie zagoiła, nim przeminie 50 dni, gdyby się zaś chciała zagoić, trzeba ją rozjątrzyć wizykatoryą.

Zaś po ukąszeniu zaraz należy wziąć korzeni Bojanu dobrą garść, opłukać w wodzie źródłowej, utłuc obuchem, ażeby się trochę popaździerzyły, potem na kawałki calowe posiekać, i wsypać do garnka nowego i polewanego. Tym korzeniem trzeba choć ze trzy części garnka zapełnić, a potem wodą czystą dolać, iżby jej choć na cal było nad korzeniem. Wtedy nakryć garnek krążkiem, który ma dobrze przystawać, i oblepić ciastem, a potem wsadzić do pieca wolno napalonego, i piec także zatkać a gliną zalepić, i tak na całą dobę zostawić. Zaś potem wyjąć garnek, przecedzić przez czyste płótno i złać do szklannego naczynia. Aby się nie zepsuł płyn, trza go chować w piwnicy; zaś skoro tylko spleśnieje, to już na nic, i nowy ugotować należy.

Tego wywaru dawać należy choremu w ten sposób. Jeśli jest człek starszy, dawać mu przez pierwszych dni pięć, co rano naczczo po jednej łyżce stołowej. Gdy chory nie będzie miał nudności, można mu cokolwiek więcej dawać, gdyby zaś chorował od tego, to dawać mniej. Po pięciu dniach przestać, i dopiero siódmego i ósmego dnia znowu dać po łyżce. Potem już ciągle tylko siódmego i ósmego dnia dawać po łyżce, aż się skończy 50 dni. Jeżeli chory jest małe dziecko, to mu da-

wać taksamo, ale zawsze mniej, tylko połowę. Po każdem zażyciu trzeba bogdaj godzinę czekać na jedzenie.

Otoż cały sposób na wściekliznę. Opisał go pan Wolański z Rzemna, który powiada, że sam takim sposobem przed dwudziestu sześciu laty wyleczył się od wścieklizny. Także pisze on, iż każdy tym sposobem wyratuje się od śmierci i nieszczęścia, byle tylko dokumentnie czynił tak, jak napisano. Niezawadzi przytem nigdy poradzić się pana doktora, bo życie ludzkie to rzecz bardzo ważna, a doktor już najlepiej pokaże jak leczyć tym Bojanem.

Lecz są także inne jeszcze sposoby na wściekliznę, a o tych już wam napiszę w drugim numerku, także jak psy wściekłe i inne bydle leczyć Bojanem.

RÓŻNOŚCI.

Dobre panienki w Tymowej. Jeszcze na wiosnę było w Dzwonku opisanie poczciwych i zacnych włościan z Tymowej, którzy nowego xiędza swojego serdeczną poratowali zapomogą. Otóż dowiadujemy się, że w Tymowej nietylko włościanie ale i pan dziedzic z całym dworem i zgoła wieś cała są wszystko ludzie zacni, których warto sobie brać za przykład. I tak są tam we dworze panienki Stobnickie, córki pana dziedzica, które się przez cały rok bardzo gorliwie zajmują nauczaniem dzieci wiejskich, wspomaganiem i ratunkiem chorych i podobnemi sprawami pięknemi. To też dziatwa biega z największą radością i ochotą codzień do dworu na naukę, bo wie że tam znajdzie i dobre słowo, i nagrodę, na które panienki nie szczędzą kosztów. A choć szkółka parafialna dopiero od roku jest we wsi, dziatki niejedno już umieją, i piszą wcale pięknie, bo nietylko w szkółce ale i we dworze uczą ich panienki. Słowem idzie tam wszystko bardzo pięknie, a xiądz proboszcz cieszy się i chwali swoimi dobrymi parafianami.

Tak to moiściewy można sobie życie uprzyjemnić, że nawet bieda nie tyle dokuczy. Bo jużcić wszelka bieda i wszelkie smutki nie zkądinąd biorą się, jak tylko ze złości ludzkiej. Niech ludzie żyją między sobą wedle przykazania bożego, niech się miłują a jeden drugiemu tylko dobrze życzy, więc inaczej zaraz będzie na świecie, i złe nigdy nie dokuczy. I dlaczegoż ludziom tak dobrze w Tymowej? Oto bo gospodarze pracowici i trzeźwi, a przytem serce mają uczciwe, bo nie łakomią się na cudze, na własność dworską, po głowach nie chodzi im żadna myśl grzeszna. Więc i pan dziedzic dobrym jest dla włościan, bo widzi że oni na to zasługują, i chętnie dla ich dobra niejedno uczyni. Zaś i panienki dlatego zajmują się chętnie dziećmi i chorymi, bo wiedzą że to pójdzie na chwałę Bożą i na pożytek dobrych ludzi.

Niech więc każda gromada tak uczciwie sobie postępuje, niech wszędzie będzie miłość i zgoda, a wszędy też będzie tyle szczęścia i powodzenia dobrego jak w Tymowej.

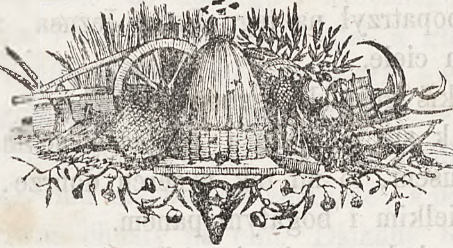
Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.

Tom VII. **Nr. 10.**



1. Października. **1862.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

ODPUST.

We wsi Kobylance jest śliczny murowany kościoł, fundacyi jakiegoś polskiego pana. Jest tam w wielkim ołtarzu cudowny Pan Jezus. Jak kto wejdzie od wielkich drzwi do kościoła i popatrzy na tego Pana Jezusa, to się niejednemu zrobi tak miło na sercu, jakby go jakie wielkie szczęście spotkało; ale nie jeden to zblednieje jak chusta na płocie. Już ci tam nie ten obraz malowany robi cuda, bo obraz ani widzi, ani słyszy, ani myśli, ani żyje; ale to robi Pan Jezus, co jest na niebie, na ziemi i na każdem miejscu — o czem wie każdy dobrze i bez długiego gadania.

W tej Kobylance bywają przez lato odpusty, jest tam zawsze ludu jak mrowia — codzień nabożeństwo, aż się dusza raduje. Kto tam z wiarą przychodził po co, to mu dawał Pan Jezus cudowny: ślepy niejeden przejrzał, kulawy i chorowity wyzdrowiał i inne przeróżne cuda tam się działy, jak sobie ludzie pobożni rozpowiadają.

Otoż raz na Przemienienie Pańskie zeszło się tam ludu co niemiara, to od Krakowa, to od Bochni, to od Tarnowa, to od Krosna, i była taka ciżba, żebyś i palca nigdzie nie

włożył. Stanęło sobie trzech ludzi koło bramy i nuż gawędzić to o tem, to o owem, aż jeden z nich mówi:

— Ja sam nie wiem dla czego to, ale mię taki strach przejął, gdym popatrzył na tego Pana Jezusa, że mi się zimno zrobiło na całem ciele.

A drugi jakiś gospodarz znowu mówi:

— A ja jak się pomodlę i popłaczę sobie szczerze pod tym Panem Jezusem, to mi tak w sercu dobrze, jakbym został dorazu jakim wielkim i bogatym panem.

Na to odpowiada trzeci wieśniak, a widać było po nim, że to jakiś człek mądry a nawet piśmienny:

— Kto ma czyste sumienie i tu przychodzi bez wielkich grzechów, temu pewnie miło w sercu koło tego Pana Jezusu, bo czegoż się ma obawiać taki? A jak sobie jeszcze zajdzie do kapliczki Panny Najświętszej i tam się ofiaruje tej matce w obronę i tym aniołkom śliczotkom, co to latają sobie na skrzydełkach około Najświętszej Panny, i odejdzie czysty ztąd, ten już może być spokojny i szczęśliwy, byle tylko nic złego nie robił. Grzesznik zaś, co go tam w środku mól gryzie, to ma się tu i wszędzie czego lękać, boć wszędzie jest sprawiedliwa ręka Pana Jezusa nad nami. Ale i taki może dostąpić odpustu, jeżli się szczerze wyspowiada i nawróci do Pana Jezusa.

Popatrzyli po sobie ci ludzie i przypatrzyli się dobrze temu, co na ostatku tak ładnie i nabożnie mówił. Aż tu nadszedł jakiś dziaduś, którego pierwszy raz na odpuście widzieli i ten im gada dalej:

— Moiściewy ludzie! powiadacie, że się boicie tego Pana Jezusa w kościele, a jakże to będzie z nami, kiedy na sądzie przed żywym staniemy i to jeden wedle drugiego, ile nas jest na tym świecie? Tu się boicie! to prawda, ależ można się jeszcze jakoś ratować, bo jest czas i do poprawy i do zmazania grzechu — jest kościoł, xiądz i są Sakramenta św.; zaś na sądzie bożym czy tak samo będzie? Tu na ziemi robią sobie ludzie co im się podoba, ale to nie długo trwa, bo Pan Jezus to zmienia i ludzie muszą ustąpić, a jeno Pan Jezus zostanie niezmienny; ale na tamtym świecie to inaczej idzie, tam kara lub zapłata za życie nasze.

I chciał dziaduś odejść dalej, ale gospodarze mówią:

— Zostańcie dziadusiu z nami, wszak nam tu dobrze razem. Ot! gadajcieno co dobrego i nabożnego, bo wy widać bywalec nie lada i macie już swoje lata, a główka wasza siwa jak śnieg. I każdy sięgnął do zawiniątka swego i wyjęli ten chleba, ten gomołkę i dali dziadusiowi, a trzeci dał mu dwa trojaki do torbiny. Ale gdy dziaduś kładł tę jałmużnę do torbiny, odwinęły mu się suknie żebracze, a pod spodem widać było jakieś dziwne chusty na nim. Dziaduś ten wszędzie chodził na odpuście, to do kościoła między ludzi i w największą ciżbę się wsunął, to chodził koło kościoła i uważał sobie dobrze każdego na odpuście, to stał razem z dziadami innymi, to chodził i pytał się o ludzi, których nie było na odpuście, a widać było, że sobie coś znaczył, to niby pisał, a zaś nieraz strasznie płakał i lamentował. Otoż gdy go znowu spotkali ci trzej ludzie i widzieli, że płacze, pytają:

— Czego wy tak dziadusiu płaczecie? na co wam płakać? dla was już grób o łokieć tylko od was, co wam brakuje?

A dziaduś podniósł oczy do nieba i mówi:

— Ot widzicie co to ludzie wyrabiają tutaj! Zamiast chwały bożej, to się robi Sodoma! — a gdy to mówił, widzieli ludzie na oczy, że mu nie para ale jakaś jasność jakby malowana wstęga wychodziła z ust. I mówi im dalej tak:

Patrzcie co to koło świątyni bożej się dzieje! jedni kupują na odpuście buty, żarna, beczki, fajeczki i inne drobiazgi — otoż to modlitwa i odpust. Drudzy znowu przyszli tu, aby się zobaczyć z krewnymi, zabawić się z nimi i napić się na końcu — otoż to odpust! A patrzcie tam na targowicę co się tam dzieje? ta to ostatnie cygany i złodzieje ci ludzie, a nie Chrześciany! słuchajcie jaki tam pod kościołem pisk i krzyk — otoż to nabożeństwo! Idźcie tam za górkę do lasu i do karczmy, a co tam robią ludzie?

I zakrył sobie dziaduś obiema rękami twarz, a łzy mu ciekły aż przez szpary od palców i leciały na ziemię, a znowu ci ludzie widzieli, że każda łza zmieniała się w prochu na ziemi w śliczny świecący paciorek, a palce jego wyglądały jak malowane złotem.

I zadzwonili na sumę. Jedni poszli do kościoła, a drudzy zostali na dworze, a dziaduś poszedł także do kościoła — oj trącali go źli ludzie, a ktoś go uderzył pięścią, gdy dziaduś cisnął się między ludzi. I kląkł sobie dziaduś, wyjął xiążeczkę z torbiny, nachylił się ku ziemi i modlił się, a czasem się zdało, że jakieś gwiazdy świeciły mu nad głową. A zawsze patrzył on na ludzi — jedni szli na kolanach od drzwi do ołtarza, drudzy leżeli krzyżem, inni się spowiadali i komunikowali, inni czytali sobie różne litanie i modlitwy, a bardzo często kiwał dziaduś głową i rzewnie płakał. Po nabożeństwie skończonem wysypali się ludzie z kościoła z krzykami i śmiechami i zaczęli się rozchodzić. Od kościoła szła droga szeroka, aż tu nagle stają ludzie i nikt nie idzie dalej — cicho jak mak siał! a każdy pyta, co tam takiego?

Oto na górce, gdzie się drogi rozchodziły i schodziły, stała figura, pod nią siedział sobie dziaduś niby pustelnik, niby zakonnik, niby xiądz staruszek z koronką na szyi, z krzyżykiem w ręce, u niego broda połyskująca a czapeczka jasna na głowie, a koło niego stało duże pudełko malowane, a w niem były różne jakieś gałeczki to białe, to czarne, to czerwone.

Jak kto z ludzi odpustowych przechodził, to dziaduś kładł dla niego gałki albo białe, albo czarne, albo czerwone — dla niektórych kładł dwie i trzy gałek. A na nikogo on tam nie zważał, czy na xięży, czy na panów, czy chłopów, czy dziadów, dla każdego przechodzącego dobywał gałki z pudełka i kładł je tak, że na przodzie niego i po prawej były same białe, a na lewej i pozanim były czarne i czerwone. Każdy widział, jaka mu się gałka dostała, a potem stanął każdy i nie śmiał dalej iść koło dziadusia, bo się bał. Otoż szedł tam dziad z odpustu, a ten dziaduś odłożył mu trzy czarne gałki. Szła tam jakaś niby pustelnica, a jej odłożył dziaduś dwie czarne — szedł znowu jakiś gospodarz niczego z ubrania, a jemu rzucił dziaduś trzy czerwone — szli tam i xięża, a dziaduś im rzucał rozmaicie to białe to czarne — a bardzo mało było takich, co dostali po dwie białych. Gdy dziaduś już wszystkie gałki wydobył, wtedy policzył najprzód białe i rozpłakał się mówiąc:

— Oto tyle tylko białych, tyle ludzi podobnych do Aniołów!

A potem znowu policzył czarne i czerwone, i rzekł:

— Oto tyle czarnych i czerwonych podobnych do potępieńców!

Na to spytał się ktoś śmielszy:

— Mój dziadusiu! czy wy czarownik jaki? czy co? co wy tu robicie z temi kulkami?

A dziaduś rzecze:

— Obliczyłem dobrze odpustowych ludzi — patrzcie, jak mało było tu pobożnych i panu Jezusowi miłych! Ile tu czarnych i białych?

A znowu ktoś pyta?

— Dlączegoto daliście niejednemu po kilka kulek na raz?

A dziaduś rzecze:

— Jak kto dobry i pobożny, ten dostał i dwie białych — jak kto zły i bezbożny, ten dostał znowu dwie i trzy czarnych.

I miał dziaduś odejść, dmuchnął na gałki i wszystkie gdzieś zginęły.

I mówił do ludzi, co się niemało zadumali:

— Wam się zdaje, że grzechy ludzi przepadają tak, jak woda w morzu, albo jak wiatr w górach i lasach. Ale gdzie tam! To przepada czasem na ziemi, ale nigdy na tamtym świecie u Pana Jezusa; on płaci tak jak sobie kto zasłuży, on mierzy taką miarką, jaką mu kto mierzy.

I zmieniły się nagle szaty dziadusia, aż się wszyscy przelękli; ale ktoś go spytał:

— Dla czegoście dali dwie kulki czarne jednej babie, którą my tu uważamy za pobożną i pustelnicę?

Na to dziaduś powie:

— Wy ludzie patrzycie tylko na wierzch i z tego zaraz sądzicie, a Pan Jezus patrzy na serce — wy widzicie co nieco, a Pan Jezus zna wszystko. Ta pustelnica to cyganka u Boga, bo ona udaje pobożną, chodzi po odpustach, odziewa się naumyślnie w podarte łachy, chodzi niby do spowiedzi, ale w domu to nikt z nią nie wytrzyma, to ogada, to ośmieje, to ocygani, to się czasem i napije, a jest pobożną dla tego, że jej

z tem dobrze i ludzie ją chwalą za to, a czasem to coś gorszego zrobi. Wy nie wiecie, jaką ona była za młodu. A Pan Jezus nie lubi strasznie obłudy w mowie, a tem bardziej, gdy się kto obłudnie modli, albo obłudnie pości, albo obłudnie idzie do św. spowiedzi! — o! Pan Jezus nie lubi takich co to są jezuskami na oko, a gadzinami w sercu. Dla tego to dałem jej dwie czarne kulki, jednę za złe życie, a drugą za odpust zły!

A znowu ktoś zapytał:

— Dlaczego dziad z torbami dostał aż trzy czarne kulki?

Na to dziadek odpowiedział:

— Ten rudy dziad z torbami skulony, to najgorszy drab! on w domu nigdy się nie żegna, ani myje, ani się modli, a na odpustach to udaje pobożnego — on nie kulawy, a naumyślnie utyka, czasem się naumyślnie skaleczy i wapnem ranę zasypuje. Na odpuście to śpiewa i gada pięknie, a jak go nikt nie widzi i nie słyszy, to gwizda i krakowiaki śpiewa. On się już dawno nie spowiadał, a idąc koło figury, to ani czapki nie ruszy. Ten chlebuś zebrany składa u żyda i pije za to od odpustu do odpustu — chłopów bałamuci, do złego namawia — choć mocny chłop to idzie po żebraninie, bo mu się robić nie chce — gada różne plotki po wsi, a co on wyrabia w karczmie, jak sobie podchmieli po dobrym zarobku na odpuście! Otoż to strasznie niedobry człek u Boga, i dałem mu za to trzy czarne kulki.

Na to podumali się ludzie, bo to prawdą było, i pytali:

— A jakże? czy takim drabom dać jałmużnę?

Na to dziaduś powiedział:

— I ja jestem biednym, a Pan Jezus kazał się litować nad każdym biedakiem, ale dla takich drabów nie warta podać i kawałka chleba — juści to Pan Jezus przyjmuje, ale taki drab się przez to psuje i leniuchuje tylko. Takich gnać kosturem do roboty!

Ale znowu ktoś ciekawy spytał:

— Dlaczegoście jednemu gospodarzowi rzucili trzy czerwone kulki? Ta to dobry gazda!

A dziaduś się rozpłakał i mówił:

— Onci niby teraz dobry, ale trzy sieroty i biedna wdowa poszły przez niego ze świata, a on zagarnął ich pracę i siedzi na niej — onci postawił na wsi figurę malowaną, ale to z cudzej sierocej krzywdy — onci daje na mszę bardzo często, ale to cudzy grosz — onci się spowiada i chodzi na odpust i daje jałmużnę, ale z grzechów dawnych nie chce się oczyścić, nie chce oddać, co zabrał niesprawiedliwie — on testament pofałszował, świadków przekupił, ale świadkowie w roku pomarli, a na jego poprawę czeka Pan Jezus miłosierny. Otoż to taki pobożny człowiek z niego, dla tego dałem mu trzy czerwone kulki, bo są łzy sieroce, jak ogień czerwone, na jego sumieniu dotąd.

Na takie cuda i mowy poniemieli wszyscy, a każdemu było strachu nie mało, jeżeli widział, że dostał kulkę niedobrą. Ale ktoś zapytał:

Dla czegoście rzucili takiemu, co tu ledwo raz był na odpuście w Kobylance, aż dwie czy trzy białe kulki?

A dziaduś znowu gada:

— Toci człowiek dobry u Boga — on święci święto, robi pilnie w tygodniu, sąsiada poratuje, chorego odwidzi, ubogiemu poda co może, nie krzywdzi nikogo, codzień jest na mszy świętej, posyła dziatki do kościoła i do szkoły — onci posyła w dalekie kraje pieniądze na ubogich, choć nikt o tem nie wie, on chwili nie próżnuje, a co tylko może, to robi dobrego — onci mówi i pacierz święty, ale nie zrobi nikomu na włos krzywdy. I tu na odpuście ani krzyczy, ani targuje co, ani się upija; tylko się modli i jest cichy i pokorny, a do mojej torbiny rzucił trzy trojaki ostatnie, i sobie nawet na drogę nie zostawił. Otoż i życie jego w chałupie pobożne i odpust u niego święty, a za to dałem mu trzy białe kulki.

I ruszył się dziaduś z miejsca, podniósł prawą nóżkę do góry, obrócił oczy ku niebu i uniósł się w powietrze, a ludzie przestraszeni wołali:

— Powiedz nam dziadusiu co my mamy czynić?

A dziaduś rzecze:

— Żyjcie w zgodzie — czyńcie jak was uczy xiądz z Ewanielii świętej — nie słuchajcie złych namów — kochaj-

cie ludzi — kochajcie Pana Jezusa — a będziecie mieli spokojne sumienie i żywot wieczny.

I znikł dziaduś w powietrzu! I było wiele o nim gadania. Jedni mówili, że to był Anioł, drudzy, że to dusza fundatora kościoła, inni zaś powiadali:

— Dla czegożby cudowny Pan Jezus nie mógł się pokazać ludziom grzesznym, aby ich ostrzedz, co mają czynić dla zbawienia duszy.

X. Wojciech z Medyki.

Śpiewka na jesień.

Lecą liście z drzewa, żółknieją i lecą,
A na wszystkie strony wiatry je rozmiecą;
Smutne drzewka stoją z gałęźmi suchemi,
Patrzą jak zieloność usycha na ziemi;
Głucho wiatry wieją, o gałęzie dzwonią,
I z żalem do ziemi badyle się kłonią.

Hej! hej! niezabawem śnieg ziemię pobieli,
I zginie co żyje we śniegu topieli,
Skostnieje co jeszcze niedawno się śmiało,
Zczernieje choć z wierzchu będzie jasno, biało;
Zmarnieją kwiateczki, murawa i liście,
I cały świat będzie niby cmentarz iście.

A potem, o! potem znów słonko zaświeci,
Z wiosenną piosenką skowronek nadleci,
I będzie zielono, i wiosna znów będzie,
I piękne kwiateczki zakwitną na grzędzie,
I róże przecudne, i białe lilije —
Aleź czy każdy tej wiosny dożyje?

Dobry sługa.

Muszę wam tu opowiedzieć piękny przykład o wiernym i dobrym słudze, zaś przykład prawdziwy, o czem zaręczyć wam mogę. Sługa ów bowiem dobry i przykładny służył u mego rodzonego ojca; i to tak było:

Tak to tam bywało po dworach, ta i dotąd jest, że jak jaki swarny parobczak we wsi ma ochotę do służby, to naj-

prędzej idzie do dworu na fornala, albo młodszy na poganiacza do wołów, albo na stróża, albo co swarniejszy i do pokoju do kredensu. Tak też i memu ojcu, ale to już będzie temu z jakie 50 lat z okładem, udał się był niezmiernie jeden chłopiec (nawet bez mała, jeżeli się nie mylę, ze wsi Lubiczko, co jest za Żabnem), no i wziął go też duchem za wolarczyka. Chłopiec ten zwał się Kazimierz Kieroński.

Otoż ten Kazimirek jak tylko przyszedł do służby, to mój ojciec poznał za kilka dni, że to chłopak dubelt; bo to jak pogania, to wydziałka jego największa, a jak znów nocą woły w pole wygoni na paszę, to przyjdą najedzone, że aż brykają. Za kilka tygodni to wołów nie poznać było, tak się były poprawiły.

Jak zima nadeszła, to taki wolarczyk miał obowiązek w piecach palić. Bo to widzicie w tych tam stronach koło Żabna, koło Dąbrowy, to jest tam taki obyczaj, że słomą w piecach palą, a to temu, że od lasów daleko, to też drzewo drogie; a znów słomy jest moc wielka, że się aż po stertach psuje, bo tam grunta okrutnie dobre i zboża w pas rosną. Przynajmniej tak tam bywało za mego rodzica.

Otoż takie palenie w piecach to długo zabawi, bo to musi sobie słomę w takie małe ociepeczki wiązać, i dopiero pomału do pieca wrzucać, aby uchowaj Boże jakowego nieszczęścia nie było.

Do tego to najswarniejszy ze wszystkich był ten Kazimirek; ale nietylko do palenia w piecu, bo i do wszelakiej rzeczy wielką rezolutność pokazował. Jak na przykład panienka albo panicz wyszli z pokoju, a zawołali aby im co podał, albo bót ochędożył, albo co, to ów Kazimierz zrobił wszystko tak swarnie, jakby się właśnie pokojowym urodził.

Więc niezmiernie się memu ojcu ten chłopak spodobał, i myśli sobie, trza tu z nim inny zrobić interes, szkoda jego do palenia w piecu i do wołów. Przywołał go więc raz przed siebie, i tak mu rzecze: „Chłopcze! jesteś sierota, ale ja z ciebie chcę zrobić człowieka i dopomódz, abyś się dobrze pokierował. Więc jeżeli przystaniesz, to cię od dziś biorę do pokoju, będziesz lokajczykiem, nie będziesz już w piecu palił,

ale będziesz szczotką pokoje zamiatał, do stołu nakrywał, i inne pokojowe porządki sprawiał. A jak zechcesz, to ci panicz pokaże litery, byś coś trochę znał na xiążce. Dostaniesz ładny ubior, i będziesz jadał lepiej; ale ci do razu powiadam, a znasz mnie chłopcze, bo ja nie żartuję, że jak mi co będziesz broił i robił nie po mojej woli, to dla tego, że chcę ci na dobre, batem cię złoję jak się patrzy. No gadaj, masz wóz i przewóz."

Chłopcu się spodobała taka mowa okrutnie, skłonił się pięknie do nóg memu ojcu i podziękował mu za jego łaskę. Na drugi dzień mój Kazimierz już w pokoju, podaje talerze do stołu, zamiata, a wszystko tak swarnie, że aż miło patrzeć na niego. Zaś gdy mu panicz tylko dwa czy trzy razy pokazał litery, to za pół roku Kazimirek czytał już modlitwy z drukowanego. Radował się też mój ojciec onym chłopcem, który tylko czasem lubił wybiegnąć, i jaką psotę gdzie komu wyrządzić, bo był z natury bardzo żywy. Ale jak raz i drugi mój ojciec dotrzymał mu obietnicy i batożka nie żałował, to ci się taki chłopiec zrobił, że nie było mu ni jakiej przygany.

Jak za tego pokojowca posłużył dwa roki, tak wyrósł jak lalka, udatny i ładny co się zowie chłopiec. Mój ojciec chwalił się nim wszędy, bo go cieszył niezmiernie; do tego jeszcze był taki wierny, że okruszyny chleba byłby nie tknął z kredensu, i nie dałby drugiemu bez wiedzy państwa.

Więc jak przyszła branka i Kazimierka chcieli gwałtem wziąć do wojska ta popędzić światami, ojciec mój w żaden sposób tego dopuścić nie chcieli. Otoż zaraz ukrył Kazimierka, a sam pojechał do miasta, i to prośbami, to pieniądzmi dokazał, że poczciwego sługę uznał doktor za niezdatnego i uwolnili go od wojska ze wszystkiem.

Tym czasem Kazimierz niezmiernie wdzięczny, że go to mój ojciec tak wybawił, starał się coraz lepiej we wszelakiej rzeczy sprawować, tak że wam mówię, myśli by był chciał swego pana zgadywać. Co mój ojciec widząc, wziął sobie to do serca, i tak pomyślał: Muszę ja też tego chłopca na człowieka jak się patrzy wyprowadzić. Więc wziął go z kredensu a zrobił pisarzem.

Pilnował on też dobra pańskiego. Mój ojciec mówił, że przez całe życie nie miał takiego oficjalisty, jak Kieroński. Gdzie trza było odwieść i największe pieniądze jakie, albo co najtrudniejsze sprawy, to jemu ojciec powierzał. No i jak ci tak kilka lat u mego ojca posłużył, więc jeden bogaty bardzo pan, widząc to jego sprawowanie, tak mu rzecze: „Panie Kieroński, odmawiać drugiemu oficjalistę — jest to grzech, dla tego ja bym cię też od twego pana, co cię na człowieka wyprowadził, nie odmawiał nigdy, ale poradź się go — jako swego pierwszego dobrodzieja. Jeżeli to będzie z jego wolą, to ja cię wezmę do siebie, i rządcą cię w moich dobrach zrobię, gdzie będziesz miał piękną płacę i możesz sobie rok w rok przychować bydła, więc i dorobić się czegoś.

Na tę mowę łzy zakręciły się w oczach Kazimierza, bo żal by przecie był okrutny dla niego opuszczać swego pana, swego dobroczyńcę. Ale jak się mój ojciec o tem dowiedział, tak sam kazał mu duchem, aby łaską tego pana nie gardził. No i stało się; poszedł mój Kieroński na rządcę na wielką wieś, a że służył temu drugiemu panu tak wiernie jak i pierwszemu, to mu się okrutnie wiodło.

I kiedy tam już kilka lat zostawał, to jednego dnia patrzy mój ojciec przez okno, a tu zajeżdża przed ganek bryczka z parą kasztanami ślicznemi, właśnie ogiery. Ciekawy ojciec, kto do niego jedzie w gościnę, przygląda się, a to Kazimierz Kieroński, ubrany jak jaki wielki pan, wyskoczył z bryczki i bieży prosto do ojca mego, i upadł mu do nóg z taką samą pokorą jak wtedy — kiedy jeszcze w piecu palał. Taką wdzięcznością i miłością było jego serce dla swego dobroczyńcy przepełnione. Ojciec mój podniósł go, uściskał, i aż zapłakali oba od wielkiej radości.

Dopiero Kazimierz jął rozpowiadać, jak mu się to dobrze powodzi, jak mu na niczem nie zbywa, i że to wszystko winien naprzód Panu Jezusowi, a potem memu ojcu; ale że też ma jeszcze jedną prośbę, która gdyby się spełniła, to by był zupełnie szczęśliwy.

A trzeba wam tu wiedzieć, że moi rodzice jak się pobrali, tak długie lata dzieci nie mieli. Dla tego brali sobie zawsze

jakich krewniaków na wychowanie. Tak ci i teraz mieli u siebie swarną panienkę, której było ze dwadzieścia lat. Była to krewniaczka mego ojca, urodna dziewczyna, ale bez żadnego majątku. Otoż ona bardzo się udała temu Kierońskiemu, i przyjechał prosić o nią mego ojca.

Ojciec mój rad był z takiej rzeczy, i nic nie miał przeciw temu, jako że znał poczciwość Kierońskiego. Ale jak panienkę przywołali i wszystko jej rozpowiedzieli, to ona nie chciała przystać na to, bo już była po zmówinach z innym, więc o drugim myśleć nie mogła.

Na to rady nie było, i mój ojciec nie chciał się jej sprzeciwiać, choćby rad serdecznie Kazimierzowi dopomódz.

Za to trafiła się nieco poźniej naszemu Kierońskiemu panna, co nie pytaj, urodna, i kilkanaście tysięcy wziął po niej. I jak ci się tak dobrze ożenił, to już i służbę porzucił, i wziął piękną wieś w posesyą. Zaś na swojem gospodarstwie tak mu szło dobrze, że kiedym go ostatni raz widziała, to już był dziedzicem na wiosce. Dziś on już zapewne nie żyje, bo to temu kawał czasu, ale dzieci jego żyją, i są panami.

Otoż macie i dwie dobre nauki z tego przykładu. Jedną — jak to Pan Jezus wierne sługi nagradza, i błogosławi im; a drugą — zkąd się to i jakim sposobem biorą panowie. Bo to nieraz myślą ludzie, że panowie inni ludzie, albo z ziemi wyrastają czy co? Że jak już pan to do niego takiej ufności nie macie, i zdaje wam się, że to nie wasz brat.

A wszakże to każdy poprzednik, i największego pana, musiał być pierwej chłopem, i dopiero za swoje dobre czyny, za rzetelność i cnotę został szlachcicem i panem. Niejeden to się tak uczciwie dorobił majątku i państwa, jak ten Kieroński. A najczęściej na wojaczce, lub w jakiej innej sprawie krajowej, tak się zasłużył, że mu król polski dał szlachectwo i majętności, i został z chłopa panem; a dzieci, wnuki i prawnuki jego już są i będą panami.

Tylko że takich rzeczy trudno zapamiętać dobrze, bo temu nieraz kilka setek lat; zaś podobne przykłady mieliście w onej xiążce co to ją spisał Walenty ze Smolnicy, i którą łońskiego roku dostaliście razem z Dzwonkiem. Xiążka ta zwie się:

Ludzie z pod słomianej strzechy, a kto chce się o takich przykładach dokumentnie przekonać, niech do niej zaglądnie i przeczyta niejedno.

Ludka z Myślenic.

Piękne przykłady.

Naprawa kościołów w Szynwałdzie i Skrzyszowie.

W obwodzie tarnowskim jest wieś Szynwałd, kędy w jesieni roku zeszłego stary kościoł już bardzo był się zepsował. Jużcić rzecz to przykra tak dla parafian jak i dla xiędza proboszcza, jeżeli nie mają pięknego kościoła, jaki się panu Bogu należy. Dlatego też xiądz Stański, proboszcz ze Szynwałdu jął przemyśliwać nad sposobami, jakby temu zaradzić. Że zaś naprawa kościoła należy wespół do gromady i do pana dziedzica, udał się do nich i namawiał, aby temu raz koniec uczynić.

Wieś Szynwałd należy do xięcia Sanguszki, a jego zastępcą jest pan M. z Gumnisk. Ten pan naznaczył termin i prosił, aby się wszyscy gospodarze pewnego dnia zebrali i z nim razem o naprawie kościoła pomiarkowali. Tak się też stało. Kiedy tegoż dnia przyjechał pan z Gumnisk, zeszło się około sześćdziesięciu gospodarzy. Więc razem oglądali kościoł i trupiarnię, gdzie się pokazało, iż naprawa będzie znaczna, bo ściany kościelne trzeba brać w klamry, cały dach nowym gątem pobić, a trupiarnię to całkiem na nowo odbudować. Kiedy już oglądnęli, poszli wszyscy do szkółki, i pousiadawszy zaczęli radzić. Najpierw pan nauczyciel obrachował na tablicy wszystkie wydatki do krajcara, i pokazało się że trzeba będzie 906 reńskich i 85 centów na naprawę. Potem wyrachowali wiele na gromadę a wiele na dziedzica przypadnie, i wyszło tak, że gromada zapłaci 661 reńskich i 36 centów, a pan dziedzic 245 reńskich i 49 centów.

Kiedy już tak zgodnie skończył się obrachunek, wybrali wszyscy czterech gospodarzy, którzy mieli się zająć kupnem materyałów i prowadzeniem fabryki pod nadzorem xiędza pro-

boszcza. Ci gospodarze są: Jędrzej Mazur wójt, Maciej Szczęcha, Tomasz Krakowski i Józef Zięba.

I jeszcze rok nie minął, a fabryka prawie ukończona, i wszystko odbyło się jak najpiękniej, bez swarów i bez urzędu. Pokazało się, że najlepiej każdą sprawę między sobą skończyć, a nie dopraszać się trzeciego aby sądził, bo taki sąd nieraz na licho się przyda, a kosztuje znaczne pieniądze. Poznali się też na tem ludzie, i kiedy zobaczyli że w Szynwałdzie sprawa cała tak łatwo i tak dobrze poszła, więc i po innych wsiach podobnie spróbowali.

Niedaleko Szynwałdu jest wieś Skrzyszów, bo tylko o granicę. W tym Skrzyszowie jest duży kościół drewniany, do którego należą trzy wsie, to jest Skrzyszów, Wola Rzędzińska i Wałki z Jodłówką. Wszystkie te wsie należą także do xięcia Sanguszki a folwark skrzyszowski ma w posesyi pan Artwiński. Owoż będzie temu ze cztery tygodnie, jak gromady owe zaprosiły pana z Gumnisk, aby z nim naradzić się wedle naprawy kościoła. Przyjechał ten pan na dzień oznaczony, i zeszli się gospodarze ze wszystkich tych wsi. Znowu więc oglądnęli kościoł, a potem obrachowali wiele naprawa będzie kosztować, więc pokazało się że aż 1515 reńskich i 5 centów. Że zaś już był wieczór, więc na drugi dzień mieli się znowu zejść, i każda wieś miała przynieść tabele podatkowe, wedle których możnaby naznaczyć, ile na każdą gromadę przypadnie płacić.

Jakoż zeszli się wszyscy na drugi dzień, ale pokazało się, że gromada Wałki z Jodłówką ma swoją tabelę w urzędzie, który niechce jej oddać. Dla tego nie można było znowu nic zrobić, i trzeba było inszy dzień na zejście się naznaczyć, zanimby pan z Gumnisk wystarał się w urzędzie o ową tabelę, jak to obiecał.

Na trzeci raz, kiedy się zeszli, było już wszystko gotowe. Więc zrobiono obrachunek, i na każdą gromadę tyle wypadło. Na Wolę Rzędzińską 513 reńskich i 45 centów, na Skrzyszów 498 reńskich i 5 centów, na Wałki z Jodłówką 101 reńskich i 50 centów, zaś reszta, 402 reńskich i 5 centów przypadła na pana dziedzica.

Wszyscy zgodzili się na ten rachunek chętnie, bo go sami robili, i wiedzieli, że jest sprawiedliwy. Po tem znowu wybrali gospodarzy do prowadzenia budowli, a zaś tych: pana Mieczysława Artwińskiego, Stanisława Bika, Jana Jaworskiego, Jędrzeja Smołę i Wojciecha Pęcaka. Do dziś dnia już nie tylko pieniądze są złożone, ale nawet i gąty zakupione, a da Bóg łaskawy zdrowia i błogosławieństwa, pójdzie cała robota i gładko i prędko jak się patrzy.

Opisałem wam moiściewy dokumentnie całą sprawę, abyście wiedzieli jak sobie postępować. Zaś pamiętajcie, iż w każdym razie najlepiej jest między sobą zgodnie sprawę uczynić, a nie przywoływać sądu cudzego, bo gdzie się dwaj wadzą, tam trzeci korzysta. Każda gromada ma przecież swój własny rozum, i sama sobie rady dać potrafi, a kiej się jeszcze z panem dziedzicem i z xiędzem dobrodziejem poradzi, to już lepszego sądu w żadnym urzędzie nie dostanie. Zaś takito rzecz piękna, aby ze swoimi żyć jak z braćmi, a obcego nie puszczać między siebie, bo ten na nic dobrego się nie nada. Pamiętajcie też o tem, i na przypadek róbcie tak jak Szynwałdzianie i Skrzyszowianie — zaś teraz Panu Bogu was oddaję.

Rady gospodarskie.

1. Jak odstraszyć ptaki od owoców.

W Szkółce Niedzielnej opisał niedawno ogrodowy z pod Szamotuł sposób na ptaki, aby je odstraszyć od owoców, a ten jest bardzo prosty. Dwa kawałki szkła uwiązać na nitkach długich, i zaczepić wysoko na drzewie. Lada maleńki wietrzyk porusza szkła, a te tykając jedno o drugie wydają brzęk, którego ptaki nie mogą znieść, i przeto z daleka mijają drzewo.

2. Doskonała zaprawa mularska.

Najlepiej zaprawia się wapno popiołem z węgla kamiennego. Jestto jeszcze dogodny sposób dlatego, że nie wszędzie jest dobry piasek. Ale i tam nawet gdzie piasek jest najlepszy, nie wadzi zaprawiać wapno popiołem, bo taka zaprawa i twar-

dnieje wnet, i z czasem jeszcze twardszą się staje. Więc i pożytek z niej nieraz większy, jak na przykład do tynkowania murów w oborze, gdzie wyprawa z piaskiem zawsze bywa nie trwała, albo też na podłogę czyli nalepę i w innych razach.

3. Kapłony dobre do wysiadania jaj.

Bywa to nie mały kłopot dla gospodyń, kiedy nie stanie kur do wysiadania jaj. Najbardziej jeśli jaj jest dostatek, to na prawdę żałość nieraz bierze, że tak niby marnieją. Owoż miła gosposiu na to łatwa rada. Weź tylko darmojada kapłona, i nakarm go najpierw chlebem w wódce moczonym, a potem posadź w koszyku na jajach, zamknij ten koszyk i postaw w ciemne miejsce. W dobę poźniej zdejmuje się kapłona i daje mu ziarna na pokarm, a on ledwie wyzbiera, to spiesznie powraca na gniazdo i ciągle już spokojnie wysiaduje. Zaś kiedy się wylęgną młode kurczęta, to kapłon jakby najlepsza kura opiekuje się niemi, wodzi je, zwołuje kwokaniem i broni.

RÓŻNOŚCI.

Pacanów gdzie kozy kują. W Krakowskiem jest miasto Pacanów, które dziś sławne jest ogórkami, a z dawna znane z przysłowia: gdzie kozy kują. A wiecie zkąd poszło ono przysłowie? Oto Pacanów dawniej nie miał żadnej szkoły dobrej, i ludziska tameczni mało co o bożym świecie wiedzieli. Wyśmiewali ich za to inni, a Pacanowianie mówili: Choć ta u nas nie wiele rozumu z xiążki, ale za to majstry doskonałe. Tak też i było. Razu jednego kowalowi pacanowskiemu robiła koza szkodę w ogrodzie, a ten rady sobie z nią dać nie mógł. Owoż przychodzi kowaliskowi do głowy koncept, a koncept pacanowski, więc nie koniecznie mądry. Pochwycił on kozę, i okuł ją, ale bez skaleczenia. Potem się chwalił ze swego majsterstwa, a ludzie wnet pochwycili oną gadkę, i przedrwiwali, że Pacanow sławne miasto, gdzie kozy kują. Takci przysłowie to zostało po dziś dzień.

Poprawka. W przedostatnim numerku Dzwonka, kędy jest pisanie Jacentego z Magierowa o zacnej pani Jankowej, wydrukowano iż teraz u niej tylko sześcioro sierot jest na wychowaniu. Zaś to mylnie wydrukowano, bo tam więcej niż szesnaścioro sierotek żyje teraz i wychowuje się we dworze. Więc poprawcie tam sobie moiściewy to pomylenie, aby w naszym Dzwonku tylko sama prawda była.

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.

Tom VII. Nr. 11.

11. Października. 1862.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiaca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Cudowna Matka Boska Gidelska.

W wielkiem xięztwie Poznańskiem nad rzeką Wartą jest wieś Gidle, a od tej wsi do Częstochowy nie ma jak sześć mil drogi. Owoż za bardzo dawnych czasów były Gidle wioska mała i nieszczególna. Panowie Gidelscy, dziedzice wsi, bywali ludzie pobożni i uczciwi, a już dla ludu wiejskiego prawdziwi bywali ojcowie. Włościanie także byli tacy, więc i chwała Boża była uczciwa i ludzkiego powodzenia dodatek.

W tej to wsi za panowania króla Zygmunta Pierwszego, który taki sławny jest z dobroci i uczciwości, żył w Gidlach kmieć pewien, a ten się zwał Jan Czeczek. Kmieć ten był człek gospodarny i pracowity, a miał gruntu kawał na onem miejscu, gdzie dziś kościoł Najświętszej Panny Maryi. Dnia pewnego wyszedł Czeczek na ono pole z pługiem, a temu będzie już lat trzy sétki i pół, gdyż stało się to roku pańskiego 1515. Owoż orał on sobie pilnie, i woły szły składnie jak się patrzy; aż naraz w połowie zagonu klękną oba woły, i ani rusz wstać do dalszej roboty, choć gospodarz i batogiem i wołaniem popędzał. Dziwnato rzecz — myśli sobie Jan Czeczek, bo woły spokojne i nałożne nigdy mu jeszcze nic takiego nie

uczyniły. Więc od pługa idzie do wołów, aby pomiarkować co im się stało. Patrzy więc, aż tu przed wołami leży mały obrazek kamienny Najświętszej Panny Maryi, przed którym woły uklękły. i nastąpić nań w żaden sposób nie chciały. Przeżegnał się Jan Czeczek, a potem wziął obrazek i zaniósł go do domu, i schował do skrzyni między chusty i suknie świąteczne, i tylko żonie rozpowiedział wszystko, a nikomu innemu.

Zaś niebawem zachorzał on wieśniak z żoną i z całym domem na oczy, tak iż wszyscy poślepli. Dziwowali się ludzie temu nieszczęściu, które tak nagle nastąpiło na Czeczka, i dali mu ze wsi pewną zacną niewiastę, aby koło chorych była. Ta razu jednego poszła do onej skrzyni, aby dla chorych świeże chusty wyjąć. Natenczas ujrzała w skrzyni obraz Najświętszej Panny kamienny, a wielka światłość była koło niego. Pyta więc gospodarzów, zkąd mają ów obraz. Gospodarze rozpowiedzieli jej całą sprawę dokładnie. Wtedy powie im owa niewiasta: Otoż zgrzeszyliście, bo świętemu obrazowi święte miejsce należy, a nie schowek między chustami. I za ten grzech nawiedził was Pan Bóg za karę ślepotą. Potem szła do xiędza proboszcza tejże wsi, i rozpowiedziała mu rzecz całą. Xiądz poszedł do chaty, obraz cudowny w procesyi zaniósł do kościoła, i tam w ołtarzu wielkim, w cymboryum pod klucz schował. Jan Częczek natychmiast cudownie ozdrowiał z całą rodziną.

W niejaki czas poźniej widzieli ludzie, iż na onem miejscu, gdzie Czeczek znalazł obraz cudowny, wielka jasność bywa, a w nocy światło niebieskie, i że tam znowu obraz ten jest. Powiadali xiędzu proboszczowi, a ten zaprosił innych xięży, i pana dziedzica i innych panów, a także lud cały okoliczny i ze wsi, i z nimi wielką procesyą poszedł na ono miejsce. Tam też znaleźli obraz cudowny, w wielkiej jasności, i cud to był wielki, bo w kościele pod kluczem był zamknięty, i próżne było cymboryum. Więc wszyscy ujrzeli, iż Najświętsza Panna chce, aby na onem miejscu była, gdzie ją znaleziono.

Otoż pan dziedzic Gidelski kazał na onem miejscu postawić słup, a na tym umieszczono obraz cudowny, zaś w około słupa zbudowano kapliczkę. Poźniej zaś zbudowano tam także

kościoł wielki, i w tym kościele byli xięża zakonnicy Dominikanie i są także aż po dziś dzień.

Od tego czasu zaczął obraz Najświętszej Panny Maryi Gidelskiej słynąć wielkiemi cudami. Z dalekich stron Polski ofiarowywali się tam ludzie i otrzymywali zbawienie. Ofiarowywali się królowie polscy, jak zacny król Władysław IV i brat jego król Jan Kazimierz, którego ofiara tamże jest. Król Michał Wiśniowiecki zawiesił u ołtarza swój złoty relikwiarz, i oddawał się w opiekę Najświętszej Pannie Gidelskiej. Także inszych ludzi moc niezliczona, panów wielkich, szlachty, mieszczan i wieśniaków z różnych stron Polski szukało ratunku u cudownego obrazu w Gidlach i tam go znaleźli. Jest w tym kościele kaplica świętego Jacka, a cała zawieszona tabliczkami, na których opisano różne cudowne sprawy tego obrazu. Gdzie jaki chory, kaleka lub inaczej nieszczęśliwy udawał się do obrazu, uzdrowiony i pocieszony został. Konający i umarli przychodzili do zdrowia, i zgoła dziwne cuda się tam działy. Jest cała xięga drukowana, gdzie opisane wszystkie cuda tego obrazu, i okrótny spis owych ludzi, którzy cudów doznali. Trzebaby dużo papieru, aby wszystkie opisać; ale na to nie ma w Dzwonku miejsca. Kto zaś ciekawy, kto ma dobrą chęć katolicką i może tak uczynić, niech się wybierze kiedy do onego obrazu w pobożną pielgrzymkę, a tam na własne oczy obaczy i usłyszy dokumentnie, co tu w krótkości opisano.

Takich cudownych obrazów Matki Boskiej, która jest Królową Polską, i miłą ojczyzną naszą najbardziej się opiekuje, jest w kraju całym bardzo wiele. O innych napiszemy wam poźniej, a teraz westchnijcie pobożnie do cudownej Panny Maryi Gidelskiej, aby raczyła poratować kraj polski, i odwrócić nieszczęścia od niego. Za dawnych, polskich czasów więcej łask i więcej cudów bywało u świętych obrazów naszej Królowej: daj Boże, aby znowu nie opuszczała nas święta Królowa Polska, i aby znowu ojczyźnie naszej panowała, jak za czasów dawnych, bo dawniej było lepiej we wszystkiem jak dziś.

*

Prośba wieśniaka.

Boże niebios! o wejrzyj na polską krainę,
Która w swem ucisku Ciebie wielbi Panie!
I nieszczęść naszych Boże zmień przyczynę,
Niech gniew Twój srogi zmiękczy błaganie.
Racz wrócić szczęście ojczyźnie strapionej,
Która od tylu lat w niedoli płacze,
Niechaj ten smutek w wesele zmieniony,
Nie skargą lecz podzięką do Ciebie kołacze.
Boże coś Polsce dawniej błogosławił,
Dawałeś męztwo idącym na wrogi,
Boże Tyś wszystko wszechmocą Twą sprawił,
Tyś mężnych przodków wziął w niebiosa progi,
A nas potomków karzesz sprawiedliwie,
I my i dziatki nasze uciśnione —
Ale racz Panie wejrzeć litościwie,
I dawne szczęście niech będzie wrócone.

Ignacy Ślusarczyk,
wieśniak.

O porządku i czystości

napisał
Stach Sandomierzak.

— I o czemże tak myślicie? Coście tacy zaturbowani, rzekł Grzegorz Pakuła do Bartosza Zagroby, stojącego przed chatą.

— Ba! wbił mi panicz nie lada sęk w głowę. Ale gdzie zaś, mówił machając rękami, gdzie tu człeku samemu poradzić.

— No, ale coż to takiego?

— E! powiada panicz, że chata powinna być czysta jak szkło, a podwórko niby pokój — bo to, powiada, człek zaraz zdrowszy, krzepciejszy.

— Tak, juścić panicz może pięknie mieszkać, jest komu obrządzić koło domu, ale niechno mu przyjdzie pójść w pole do żniwa, albo z kosą na łąkę, albo z cepami do stodoły, albo i na swoje zawlec, zaorać i zasiać, a jeszcze i bydła dojrzeć, i gnój wyrzucić, i drzewa uciupać albo i chałupę poszyć; wtenczas ani myśleć o porządku, ino z większego, odrzucić śmiecie i gnój od chałupy i dosyć.

— Otoż i ja sam to mówię — i zda mi się, że mam racyę.

Kiedy tak rozmawiają ze sobą, nadchodzi na to Jędrzej, jeden z zamożniejszych wieśniaków, a wielce surowy na leniuchów i próżniaków.

— Niech będzie pochwalony! A o czem gadka?

— Na wieki wieków, odpowiada Grzegorz. A o czemżeby, jeżeli nie o naszych turbacyach.

— Turbacyi nie odgadasz mój Grzegorzu, nie odpędzisz jak psa, krzyknąwszy: „*A nie pójdziesz!*“ ino pracą i staraniem; jak się zapoci, jak się zasapie od trudu, to i pójdzie sobie z Bogiem, a człek rzeźwiejszy i weselszy podrygnie nieraz i zaśpiewa czasem z radości.

— Wiem ja żeście wy mądrzy Jędrzeju; aż się serce raduje słuchać jak mówicie. Ale są ludzie co nic do rzeczy prawią, ot jak nasz panicz. I Grzegorz opowiadał słowa panicza.

— Coż wy na to Bartoszu?

— Nie chwyta mi się to wcale głowy.

— A wiecie dla czego? Oto dla tego, że my wszyscy to jak te owce, nic więcej; jedna skoczy przez patyk, dalejże wszystkie, mało sobie karków nie pokręcą; ale niechno to będzie duża szczapa lub kłoda, śmielsza przyjdzie obwącha, oskubie, a inne wąchają zdaleka i dalejże potem w nogi.

— Powiedzcie no to jeszcze raz, rzekł Grzegorz, przesuwając kapelusz na ucho, bo nie wiem do czego stosujecie.

— Ot wam powiem wyraźniej, do wyrozumienia, że nie wszyscy my rozumni i oględni. Siedzieli nasi ojcowie w błocie i my też, pili nasi bracia na zabój w karczmie i my też; jak wieś wsią, nie znalazł się żaden, coby zrobił inaczej, ino tak jak i inni. Komu się nie chciało robić, ha! to próżniaczył i turbował się o chleb, a rad go był wziąć zkąd niebądź, choćby z jałmużny, aby tylko nie robić. — A jeśli czasem jaki mądrzejszy człowiek co poradził, a broń Boże ktoś ze dworu, hej! obces na niego: a co on za nowości nam prawi? albo my to nie pamiętamy że nasi ojcowie tak czynili? a to zły pan, a to taki, a to owaki. Dalej do karczmy na pocieszenie, na rady i zwady. I źle było chłopom i gorzej jeszcze będzie. Bo choć

to tam w naszej gromadzie bije jedno serce, i wszyscy się jakoś rozumieją, jak krzyknie starszy wiekiem, to choćby w piekło za nim. Ale nie wszystko to dobre, co mówi gromada i nie wszystko to rozumne i poczciwe, co myśli; a najgorsze pono to, co im mówią przybłędy.

— Bójcie się Boga!

— Ja się boję Boga i dla tego wam to mówię. Widzieliście mię przecie, że tak samo i u mnie było, jak u was: błoto w podwórzu, smród w chacie, gorąco zawsze we łbie i swędziała też ręka; ale kiedym raz posłuchał rozumniejszego od siebie, tom się zaraz odróżnił od innych i dobrze mi z tym i dziękuję serdecznie Bogu, że choć na starość przyszło wyrozumienie.

— Juścić prawda, mówił Grzegorz, że tam u was wszystko inaczej, choć tyle macie pieniędzy co i my, ludzi tyle co i my, i pracujecie dniem i nocą. My też także nie próżniaki, a wszystko jakoś opak idzie.

— E! bo wy niby ten podróżny, co to wolał leźć przez błoto, po kamieniach i krzakach, dla tego że tak zawsze chodził, jak pójść przez kładkę, co było bliżej, dla tego że nigdy jej tam nie widział. Radzili mu inni, usłuchał, wszedł na kładkę zrobił kilka kroków i znów się wrócił, i znów na kładkę wstąpił i dumał, i medytował, aż wreszcie machnął ręką i poszedł swoją drogą, spóźnił się do miejsca i rzekł sobie: Piękna mi rada, i zabłociłem się jak zawsze i dwa razy tyle drogi zrobiłem. Bież go kat z taką radą.

— Więc powiadacie, żeby usłuchać panicza i zmieść gnój w kupę i błoto het odrzucić i okna otwierać od chałupy? Co?

— A posłuchacie mię, jak poradzę? rzekł stary.

— Toć bym was nie pytał napróżno.

— No dobrze — więc wam powiem, że człek zawsze odróżniać się powinien od bydląt, bo człek ma duszę i Boga w sercu, więc człek wyższy od zwierzęcia. Popatrzcie sami! Świnia z ochotą nurza się w błocie i tyle też z niej użytku, że człowiek ma jadło, a nieraz i złe robi ryjąc po ogrodach i psując płoty. Więc jest złem bydlęciem, gdyż więcej przynosi szkody jak dobrego. Koń znowu, nie będzie się walał w bło-

cie, ale owszem chce słomy na podściełkę i lubi stać w suchości, bo też koń szlachetne zwierzę, dopomaga człeku w pracy, niesie go na sobie i pamięta dobrodziejstwa. Weźcie sobie teraz człowieka, człowieka co modli się do Boga, ma mowę, którą porozumiewa się z innymi, ma serce, którem kocha innych, ma ręce do obrony i pomocy innym, jest więc najszlachetniejszem ze wszystkich stworzeń, boć to niby włodarz Boski, co wolę Jego roznosi po świecie, za miłosierdzie Jego, miłuje swych braci, za dobroć Jego, płaci sercem innym, nie powinienże zatem mieć lepszego przytuliska, żywić się lepszemi pokarmami? Wszak to wszystko w Jego ręku, w Jego mocy. Bóg stwarzając człeka, dał mu wszystkie środki do tego. Czemże będzie ów człowiek mieszkający w błocie, smrodzie i w niechlujstwie? Powiedźcie!

— Ha, juścić bydlęciem.

— A widzicie, nie miał że panicz racyi? Co?

— Miał mój Jędrzeju; ale to pracy potrzeba ogromnej; zachodów i starania.

— Pamiętajcie sobie przysłowie: *Nie święci garnki lepią i nie od razu Kraków zbudowano.* Kiedy wezwiecie Boga na pomoc, a przyłożycie pilnie pracy, niedługo wszystko będzie dobrze i pięknie. No! a teraz Bóg z wami moi ludzie, czas i mnie do domu.

Jędrzej odszedł, a dwaj gospodarze długo patrzyli w ziemię nic nie mówiąc, aż nareszcie jeden rzekł do drugiego:

— Jakże Grzegorzu?

— A wy Bartoszu?

— Ja się zaraz zabieram do porządku.

— I ja też. No! dajcie rękę, w imię Boże! pomaluśku, pomaluśku Bóg da za rok, takich jak Jędrzej więcej będzie na wsi, a ludzie też może i wszyscy wkrótce się uprzytomnią.

Poczciwi wieśniacy rozeszli się z mocnem postanowieniem i wolą.

Coż wam więcej powiem? Zgadniecie sami, bo i łatwo zgadnąć, że *gdzie dobra rada, a chętna praca, tam wszystko poczciwe i po Bogu.*

W rok potem, stali także Grzegorz i Bartosz przed swemi chatami, nie poznalibyście tych dawniej błotnych dziur. W około chałupy czyściutko jakby na Zielone Swietki, pięknie i sucho; w rogu mały ogródek; czysto pomyte okna i obielone świeżutko ściany; w izbie sucho i zdrowe powietrze; przed Matką Boską Częstochowską pali się lampka dzień i noc, a kiedy czasem nocną porą przechodzisz wedle chałupy takiej, to światełko błyszczące przez okno świeci ci niby Duch Boży, niby poczciwy duch lepszego szczęścia i doli dla wioski.

Grzegorz i Bartosz cieszyli się, że poszli za radą starego Jędrzeja, i wieczorem klęknąwszy przed obrazem Najświętszej Panny, dziękowali za dary Boże. *Z Kmiotka.*

Piękne przykłady.

Pisanie wójta Antoniego do Dzwonka.

Będzie to właśnie teraz rok temu, jakem pojechał dla dworu naszego po furę szkła do huty w Miłkowie; boć to zawsze nasz pan, jak przyjdzie gdzie jechać, to do mnie. Prawda też, że człowiek z nie jednego pieca chleb jadł; było się od małego dziecka dworskim, nauczyło się czytać i pisać, jeździło się do Lwowa i do Krakowa, teraz dał Bóg gospodarstwo, żonę i dzieci, za co niech mu chwała będzie; a choć to żyje się w nienajlepszych czasach, to kawałka chleba i dla siebie i dla drugiego nigdy nie zabraknie. Ale o tem potem, a teraz chcę wam tylko opowiedzieć o mojej podróży do Miłkowa.

Kto jedzie z Narola do huty szkła w Miłkowie, musi przejeżdżać przez miasteczko Oleszyce. Do tego miasteczka zajechałem wieczorem, kiedy lud od roboty do domu powracał. Zajechawszy do zajazdu żydowskiego i nasypawszy koniom obroku, stanąłem sobie przed karczmą i przypatrywałem się ludziom, którzy właśnie od roboty z dworu powracali. Piękny to lud w tych Oleszycach, bo to koszule i malowanki dziewcząt czyste i schludne, tożsamo płótnianki i inna odzież u mężczyzn — zdrowy lud, rumiany, a wejrzenie wesołe i przyje-

mne, nie tak jak to w niektórych wsiach, gdzie to kobiety brudne, rozczochrane, a bielizna kiejby w kominie wędzona. Co mi się jednakowoż najbardziej podobało, to to, że lud ów przechodząc koło mnie pochwalił Pana Boga, jedni po polsku a drudzy po rusku, a potem znowu przechodząc koło kościoła, to dziewczęta żegnały się wszystkie pobożnie, a mężczyźni jeden jak drugi zdejmowali z uszanowaniem słomiane kapeluchy i przeżegnali się. Pomiędzy chłopami, którzy z kosami szli, widziałem jednego zgarbionego staruszka, który już jakie 70 lat mieć mógł i także z kosą na ramieniu z tak ciężkiej pracy z drugimi powracał. Zapytałem się więc żydka, który koło mnie stał;

— Coż to za biedny staruszek, który jeszcze tak ciężko pracować musi? pewno nie dochował się dzieci, i przezto zeszedł na biedę na stare lata, albo też może lubi wódkę pić i przez to podupadł?

— Gdzie tam — odpowiedział mi żyd — to stary skąpiąc, win by też wódkę pił, ten co koło niego idzie z kosą, to jego syn, a ten parobczak od przodu przed nim, to jego wnuk także już żonaty. To wszystkie takie skąpcy, oni przysięgowali na to głupie strzemieśliwość, to też od tych galganów żaden żyd nic nie zarobi.

— Bodajbyś nie brechał żydzie — odezwał się mieszczan jakiś — i nie krzywdził uczciwych ludzi — a potem mówił dalej do mnie: Ten staruszek to jest uczciwy i pobożny gospodarz z przysiółka Zabiały, i nazywa się Petranik, a jego syn, który teraz gospodarzem, także cichy, spokojny, pracowity i pobożny człowiek. Tego zaś syn, a starego wnuk, nietylko że się nie wyrodził z tej rodziny, ale jeszcze umie dobrze czytać i cokolwiek pisać. Jest to uczciwa i pracowita rodzina tych Petraników, nikomu w drogę nie wnijdą, pracują w zgodzie i po bożemu; wszyscy przysięgli na wstrzemięźliwość i nie złamali przysięgi, to im też Pan Bóg błogosławi i lubi ich każdy, i dwór i cała gromada. Staruszek ten mógłby sobie już spocząć, bo go nikt do roboty nie namawia, ale gdzieby tam stary siedział w domu; w zimie ciągnie go jak wilka do lasu, on musi sągi rąbać, aby także jak mówi, na tytoń zarobił, a w le-

cie to bodaj kilka razy musi się pokazać z kosą na pańskiej łące, aby widział jak tam na folwarku wygląda, i pomówić z rządzcą o dawnych czasach, któren go też zwykle na szklankę piwa do siebie zaprasza, bo to nasz rządzca nie cierpi pijaków i ludzi niespokojnych, ale za to też szanuje każdego porządnego i uczciwego człowieka, czy on chłop albo pan, to mu wszystko jedno. To też tego starego Petranika i całą jego rodzinę bardzo lubi, i jeszcze wielu innych w gromadzie.

Bardzo mi to opowiadanie onego mieszczana przypadło do serca, a że mi się trochę nudziło, więc zaprosiłem go do szynku na szklankę piwa, i tak ciągnęliśmy naszą rozmowę dalej.

— Powiedzcie mi też panie mieszczan — mówię ja — kto to tu tę wstrzemięźliwość zaprowadził, i jakim to sposobem. Boć ja jestem wójtem naszej gromady, i po głowie mi chodzi, jak by to coś takiego w naszej wsi zaprowadzić.

— Ha jużcić nie kto inny tylko nasza pani dziedziczka; a to się tak robiło: Który chciał do wstrzemięźliwości przystąpić, poszedł do kościoła albo cerkwi, wyspowiadał się, przyjął najświętszy Sakrament, a potem przysięgał przed ołtarzem, że już nie będzie wódki pił. Potem xiądz proboszcz wpisał go do złotej xięgi, która w naszym kościele zachowana, a takim sposobem należał już do towarzystwa wstrzemięźliwości. Co roku na świętą Trójcę odprawia się w naszym kościele nabożeństwo na tę pamiątkę, gdzie też xiądz miewa kazanie o wstrzemięźliwości, którem nie jednemu sumienie porusza, jeźli przysięgi nie dochował. Jużcić to nasza pani hrabina, dobra pani, nie ma co mówić, bo każden człowiek uczciwy przyznać jej musi, że wiele dobrego zrobiła. Ot kazała wymurować porządną szkołę w Starych Oleszycach, w miasteczku naszem zaś była zawsze szkółka parafialna; w przysiołku wynajęła chałupę na szkółkę, a wszędzie utrzymywała nauczycieli na własny koszt. Ale co to mowić, że utrzymywała nauczycieli — ona bo sama każden dzień Boży jeździła do wsi, ściągała dziatki jak mogła do szkółek, to podarunkami to dobrem słowem, sama uczyła i pilnowała nauczycieli. To znowu chodziła od chaty do chaty najczęściej z lekarzem, odwiedzała chorych, starała się o lekarstwa, przysyłała pożywienia, patrzyła czy czego nie potrzeba,

i tak każdemu pomagała kto był potrzebnym, pocieszała w smutku, dawała rady, a nawet pokumała się z całą wsią, bo też najczęściej kobiety ją pani kuma nazywały. Zaprowadziła ona też tu kasę pożyczkową, gdzie każden mógł na mały procent pieniądze pożyczać, aby spekulantom nie wpaść w ręce, a nawet założyła sklep, w którym było można dostać rzeczy potrzebnych. Ale wszystko to jakoś przy ciemnocie ludu nie darzyło się, bo to w gromadzie są zawsze różni ludzie. Prawda, że po największej części są tu ludzie uczciwi, którzy co wzięli lub pożyczyli znowu też oddali, ale jest i wielu takich, którzy myśleli tylko aby dostać, zaś o oddaniu nie pamiętali. Słyszałem od kasjera tutejszego, że jeszcze do tysiąca należy się do dziś dworowi za zapomogi dawane przed 12tu laty, i kilka set, które z kasy pożyczkowej wzięto, a nie oddano. Tak tedy nierzetelni ludzie psują zawsze wszystko i rzetelnym, bo gdyby byli uczciwie oddawali, mielibyśmy do dziś dnia tu kasę pożyczkową i nie byłoby potrzeba udawać się do żyda, przez co wielu na biedę zeszło, tak że grunta sprzedali, albo też pozastawiali.

— Bóg wam zapłać panie mieszczan — odrzeknę na to — za tak piękne opowiadanie, ale godzina jeszcze nie pożna, może bylibyście łaskawi mi też powiedzieć, czy ta wstrzemięźliwość się jeszcze utrzymuje, bo mnie to bardzo po głowie chodzi, prosić naszego pana, aby dopomógł mi taką w naszej wsi zaprowadzić. Już to ja z natury wódki nie lubię, a szklanka piwa to posili i pragnienie ugasi, więc bez tego wódczyska można się obejść.

— Prawdę mówicie panie wójcie, ja już od 12 lat wódkę nie piję i nie tęsknię za nią — a przytem jestem jakoś zdrowszy i weselszy. My mieszczanie mamy tu szynk piwny, tam się czasem schodzimy, na gawędkę albo na radę, wypijemy sobie szklankę piwa, i dobrze nam z tym. Takbym i wam radził zaprowadzić u was w karczmie szynk piwny, a gorzałkę wyrzucić precz, aby nie kusiła ludzi. Dla takiej pokusy złamali tu niektórzy przysięgę. Ale jak wam mówię, mało jest tu takich ladaco, którzy po szynkach przesiadują, złych ludzi słuchają, którzy ich do procesów namawiają, na których się

zawsze najgorzej wychodzi. Więcej jest zawsze porządnych gospodarzy, którzy ani skarbowi ani żydowi nic nie winni i którym w domu bieda nie dobodzie, a przecież zarabiają tak jak owa familia Petraników, o których mówiliśmy. Ci oglądają się zawsze na tylne koła; bo choć to jest i dobytek a nawet trochę pieniędzy w skrzynce, to przecież Pan Bóg może dopuścić nieurodzaj albo pomorek, gdzie się to bardzo przyda, co się zaoszczędziło. Także przyszli ludzie tu już i do lepszego rozumu, posprawiali sobie pługi żelazne jak we dworze, wozy kute, a więc rolę lepiej obrabiają, przez co im się i lepiej rodzi; kto ma mało siana, zasieje sobie już kawałek koniczyny, a co tu dopiero mówić o gnoju? Dawniej nie dbał, wyrzucił go na kupę gdzie się połowa spaliła, a gnojówka ściekała na drogę taj i do rowu, i poszła bez pożytku światami. A dziś już i z gnojem umieją się lepiej obchodzić, a nawet takie jamy we wsi, które się dawniej zdaleka obchodziły, o których dziad i pradziad nie pomyślał, dziś się stawarka z tych dołów powywoziły w polu, na której piękne zboże rośnie. Przyjdzie jeszcze i czas, gdzie kopiny po łąkach i pastwiskach porozrzucają, gdzie za mokro tam wodę pospuszczają, a gdzie za sucho wody napuszczą; pastwiska, które lichą trawę mają, poruszą, zasieją owsem i trawami, i znowu na pastwisko zapuszczą. Słowem, z kawałka gruntu można wiele zrobić — można z niego wygodnie żyć, aby tylko pracować, a nie myśleć, jakby przez proces innemu co wydrzeć. — Ale już pożno, a więc bądźcie zdrowi panie wójcie, a może jak będziecie jutro powracali, wstąpcie do mnie na obiad, to jeszcze sobie pogawędzimy.

Rady gospodarskie.

O kurach.

Nie ma dla gosposi lepszego i milszego dorobku, jak na kurach. Każdy wie, ile to z nich zysku bywa; a także dziwnie wygląda chałupa bez drobiu, i gdzie się po podwórku nie uwija tego dostatek, to najczęściej źle mówią o gospodyni. Przeto też, że chowem drobiu prawie wszędzie się zajmują, do-

piszę wam tu kilka porad, które niedawno słyszałem od staruszki, a bardzo dobrej gospodyni, i które daj Boże, aby się nam jak najlepiej przydały.

Owoż jak przy wszystkiem tak i tu jest najważniejszą rzeczą czystość. U porządnej gospodyni powinien być kurnik jakby izba, najmniej raz w tygodniu czysto wyczyszczona. Jeżeli w kurniku będzie brud i nieporządek, to się wnet kurom wylęgnie robactwo, i zniszczy je tak, że pochudną na nic i nie niosą się. Na takie robactwo dobry jest olej, najbardziej lniany, którym trzeba nacierać kury nieczyste pod skrzydłami i pod ogonem. Co się zaś ma do tego, gdzie kurnik ustawić, to bywa nieźle, jeżeli można w stajni krowiej, bo tam ciepło, a kury lubią ciepło i niosą się w cieple dobrze.

Dalsza sprawa jest znowu o tem, jak kury wykarmiać. Przez dzień, w lecie, znajdują one sobie dość pokarmu na podwórzu albo w polu, gdzie zbierają ziarno, a nawet robaki i czerwy, co dla ogrodu jest rzecz pożyteczna. Jednakowoż na noc trzebaby im zawsze dodać nieco ziarna, aby miały co trawić, a tak utuczą się doskonale. Zaś te kury, które chowają się pod zamknięciem, potrzebują coraz innego ziarna, więc raz jęczmień, potem kukurudza i tam dalej. Także wody muszą mieć zawsze dostatek, ale świeżej i czystej.

Tak chowane kury niosą się doskonale. Młoda kura zniesie do dwoch lat ze 200 jaj, tylko trzeba jej zawsze wybierać z gniazda jaja, i pilnie przestrzegać, aby się które w gnieździe nie zaśmierdziało, bo kura nie będzie się dalej nieść. Takie jaja, które wnet po zniesieniu wybierzecie z gniazda, przechowują się daleko lepiej. Po dwoch latach już kura mniej niesie, ale że ma jeszcze dobre mięso, więc najlepsza do zabicia, i chyba do wysiadania kurcząt przyda się jeszcze, tak jak kapłony, o czem mieliście w przeszłym Dzwonku.

A teraz nieco o kurczętach. Te potrzebują bardzo wiele ciepła, więc potrzeba koniecznie uważać, aby nie zaziębły, a także i przed deszczem chronić je trzeba, aż dobrze podrosną. Zaś maleńkie kurczęta to każdy wie, jak wykarmiać. Najpierw dać im drobno posiekane jaja na twardo, kaszę gotowaną w słodkiem mleku albo bułkę. Po dwoch tygodniach przyda się już chleb

namoczony w wodzie albo mleku, mięso dobrze posiekane, a najlepiej wykarmiają się one robaczkami mącznemi i ślimakami. Dobrze jest także, gdy mogą w suchym piasku pogrzebać, i na ciepłem słońcu wygrzewać się. Także jest nieźle, jeżeli do kurnika zielonej macierzanki nakładziesz, bo żadne robactwo nie czepi się kurcząt. A kiedy zaczniesz je karmić ziarnem, to uważać trzeba, aby między zbożem nie było szkodliwego ziarna, jak kąkol, bo to im szkodzi okrótnie.

Nie ma co mówić, że z tem wszystkiem jest dużo zachodu. Ale też uważcie, że niemało zysku bywa z dobrego starania, kto zaś lubi zysk dobry i zarobek, to niech się nie lęka zachodu.

Rady lekarskie.

Na wściekliznę.

Niedawno opisywałem wam sposób na wściekliznę u ludzi, jak na nią można dobrze ludzi leczyć bojanem. Otoż tymże bojanem można także doskonale leczyć zwierzęta domowe, dając im zażywać naczczo onego płynu, którego wygotowanie z bojanu dokładnie mieliście opisane. Różnym zwierzętom różnie się daje; i tak psu dorosłemu i wielkiemu daje się pełną łyżkę stołową, zaś młodemu albo małemu mniej; koniowi daje się pół kwaterki, a bydlęciu rogatemu trzy ćwierci kwaterki. Świniom i innym zwierzętom daje się łyżek dwie, a wszystkim przez dni 40 albo i 50 dawać należy.

Teraz jeszcze należy się dobrze przekonać, czy bydlę także jest istotnie wściekłe, aby go nie męczyć długiem leczeniem. Najtrudniejsza sprawa jest z psem. Tego więc trzeba w dobrem miejscu zamknąć, i uważać najpierw czy jest na prawdę wściekłym, bo nieraz zdrowy psisko bywa taki zajadły jak wściekły. Otoż trza się przekonać o jego zdrowiu, a na to powiadają że taki sposób jest dobry. Upiąć psa na łańcuchu, i bryzgać mu w oczy zimną wodą, a potem kijem długim drażnić, nadstawiać mu do pyska i umykać. Jeżeli pies zdrów, to spokojnie będzie patrzał; jeżeli wściekły, to będzie

się rzucał zajadle i będzie chwytać koniec kija zębami. Tak trzeba kilka razy spróbować.

Zaś dawać psu lekarstwo potrzeba bardzo ostrożnie, aby nie ukąsił. Przeto nie można go zalewać, ale trzeba ugotować wywar z kości i do tego dolać płynu z bojanu, a potem dać psu. Jeżeli pies niechce jeść, to trzeba jeszcze dodać pół kwarty mleka, choć ona przeszkadza do wyleczenia prędkiego, ale na to już nie ma innej rady. Inne zwierzęta należy zalewać z flaszki z długą szyjką, ale dobrze uważać, aby nie było jakiego przypadku.

Otoż macie moiściewy sposoby na wściekliznę. Daj Boże, abyście nie mieli nigdy potrzeby używać ich, a jeżeli już kogo nieszczęście spotka, to niechże nie leni się i leczy porządnie. Bo wścieklizna to ogromne nieszczęście, jak widzieliście z przykładu w Ewangielewicach, i żartować z nią nie można. Lepiej już ściągnąć ostatni grosz na dobre wyleczenie i na doktora, a jak Bóg powróci zdrowie, to się więcej jeszcze zapracuje.

RÓŻNOŚCI.

Nieszczęśliwy gwoźdź. Był jeden kupiec na jarmarku, i zarobił znaczne pieniądze. Więc naładował dobrze trzos, siądzie na konia i dalej do domu. Koło południa zajechał do miasteczka, aby popaść. Stróż w gospodzie powiada mu, że koniowi jednego gwoździa brakuje w podkowie, więc zawoła kowala aby przybił.

— Et co tam jeden gwoźdź — powiada kupiec — mniejsza o niego. Już tylko trzy mile mam do domu, więc i tak zajadę. Pojechał dalej. We dwie godzin stanął koło gospody, aby trochę odpocząć. Kowal jeden wyszedł przed karczmę, i oglądnąwszy konia, powiada do kupca:

— Zgubiliście panie podkowę; mam właśnie nową, co się dobrze przyda. Nie zabawicie z przybiciem.

— Nic to nie wadzi — odpowie kupiec — mniejsza o jedną podkowę. Mam już tylko półtora mili do domu, więc i tak zajadę.

Pojechał znowu, a w pół mili koń zaczął kuleć, coraz mocniej, bo droga była niegodziwa, okrótnie kamienista. Jeszcze większą połowę drogi miał kupiec do domu, kiedy konisko upadł, i ani rusz iść dalej. Nastała do tego burza okrótna z deszczem i z piorunami, a kupiec musiał zostawić konia i piechotą dobierać się do domu. Zmęczony, prze-

mokły, doszedł wreszcie, i powtarzał sobie ciągle: Ktoby się spodziewał, że takiego licha jeden gwóźdź narobi.

Otoż i nauka dobra, że przezorność nie wadzi, a niepotrzebne skąpstwo zaszkodzi. Niechciał kupiec zaczekać chwilkę na przybicie gwoździa, żałował na niego grosza, a potem niemało stracił złotych na konia.

Miasto w wodzie. W kraju hiszpańskim, gdzie niejeden ze starych wiarusów polskich walczył pod cesarzem Napoleonem, jest miasto okrótnie wielkie, które się zwie Barcelona. Owoż niedawno było tam przerwanie chmury, i w trzech godzinach całe miasto stanęło w wodzie. Domy wielkie poniszczały, bo woda naniosła różne ciężary, kamienie, belki i insze, któremi porozbijała ściany domów. Szkody tam rachują na miliony. Co też to może uczynić taka woda.

Natura ciągnie wilka do lasu. Pewien pan chwalił się, że potrafi ze zwierzęciem uczynić co zechce, to jest tak go wyuczyć, że dawnej natury zupełnie zapomni. Ot nieszukając daleko — mówił ów pan — mam kota, który mi służy doskonale, trzyma w łapach świecę przy czytaniu albo przy jedzeniu, i nic takiego nie czyni, co zwykle koty. Jeśli się chcesz przekonać mój kochany, to przyjdź dziś do mnie na wieczerzę, a zobaczysz te sztuki na własne oczy.

— Dobrze, przyjdę — odpowiedział mu drugi, i wieczorem przyniósł ze sobą miskę nakrytą, powiadając, że ma szczególniejszą potrawę, ale jej nie pokaże aż po wieczerzy. Usiedli jeść, a kot pięknie trzyma świecę. Nagle ów drugi odkrywa miskę, z której wybiegają dwie myszy. Kot rzucił świecę, i dalej za myszkami. A co? — powie ów pan śmiejąc się — takto wyuczyłeś kota? Widzisz, że natura ciągnie wilka do lasu, choćbyś go jak wyedukował. Nie na darmo stworzył Pan Bóg różne zwierzęta, i dał każdemu inszą naturę, aby wedle niej służył człowiekowi. Kot na myszy a nie na lokaja, i tego z nim nigdy nie zrobisz, aby on się stał innym, niż się urodził.

Przypowieści.

1. Dla przyjaciela nowego, nie opuszczaj starego.
2. Dobry chleb, gdy nie ma kołacza.
3. Co głowa, to rozum.
4. Jak sobie pościelesz, tak się wyspisz; jaka praca, taka płaca.
5. Każdy dudek ma swój czubek.
6. Im dalej w las, tem więcej drzew.
7. Kto doje, dopije, ten w rozum nie tyje.
8. Trudno tego wodzić, co sam niechce chodzić.
9. Ze śmiechu wielkiego, poznać głupiego.
10. Cicha woda brzegi rwie; chodzi jak owieczka, a tryka jak baran.

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.

Tom VII. Nr. 12.

21. Października 1862.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Król Stanisław August Poniatowski.

III. Pierwsze rozerwanie Polski.

W tym samym roku, kiedy obrano Stanisława Augusta na króla polskiego, carowa moskiewska i król pruski uczynili Polakom przysięgę, iż nigdy nie będą krajów polskich wojować i sobie zabierać. Zaś kiedy konfederatom Barskim źle się dziać poczęło, wojowali ich Moskale i Prusacy. Kiedy zaś całkiem zniszczała konfederacya, i nie było komu bronić Polski, natenczas zapomnieli Moskale i Prusacy całkiem na swoją przysięgę, i chcieli koniecznie rozerwać między siebie kraje polskie.

Owoż nie bacząc na prawo i uczciwość, wprowadzili Prusacy swoje wojsko do Polski, i zajęli znaczny kęs kraju w Wielkiej Polsce. Tak samo uczynili Moskale, i zajęli kraj litewski, kędy są miasta Witebsk, Mścisław, Połock i inne. Zaś potem zaczęli namawiać cesarzowę austryacką, aby sobie także jaki kawał kraju polskiego wzięła.

Ta cesarzowa zwała się Marya Teresa, i była bardzo pobożna niewiasta. Więc nie chciała w żaden sposób uczynić

tak, jak jej radzili król pruski i carowa moskiewska. I jużci nie miał nikt prawa, aby tak czynić. Toć byłoby jednako, gdyby jaki silny gospodarz napadł swojego sąsiada chorego, i wydarł mu kawał gruntu, powiadając iż to czyni takiem prawem, że chory nie może się bronić. Tak i tu było. Polska była niby on chory człowiek, a Prusak i Moskal sąsiady. Iż się Polska bronić nie mogła, wydarli jej kawał ziemi i gospodarstwa, i jeszcze trzeciego namawiali do takiego grzechu. Sama więc cesarzowa Marya Teresa mówiła, że to jest grzech wielki tak czynić, i mówiła także, że Pan Bóg będzie karał okrótnie za ten grzech. Kiedy zaś król pruski i carowa moskiewska ciągle ją namawiali, i grozili jej nawet, to cesarzowa bardzo płakała, i zawsze przypominała na karę Bożą. Także mówiła cesarzowa tak: jeżeli Pan Bóg nie będzie karał nas, to nasze dzieci za ten grzech pokarze — i znowu okrótnie płakała, bo była nabożna niewiasta. Zaś na ostatku wzięła sobie także kawał kraju polskiego, to jest Ruś Czerwoną i Podola kawał i inszy kawał ziemi w Krakowskiem.

Po takiem rozszarpaniu krajów polskich, które nazywają pierwszy podział Polski, chcieli jeszcze aby Polacy na to wszystko przystali i zgodzili się ochotnie. Owoż zebrał się sejm, aby nad tem radzić, a Moskale moc okrótną wojska sprowadzili, i grozili każdemu śmiercią i okrócieństwami, ktoby niechciał wedle ich myśli radzić. Niektórzy panowie zlękli się, i nic nie mówili; zaś inni bardzo zacni i świętobliwi, jak pan Tadeusz Rejtan, Samuel Korsak, Bohuszewicz, Wilczewski i inni zacni, głośno i mężnie powiedzieli, że nigdy na taką krzywdę i na takie szarpanie Polski nie pozwolą, i prędzej umrzeć chcą i dać się zabić. Zacni ci panowie dawali swoje majątki i wszystko co mieli, aby tylko Polska była spokojna i szczęśliwa. Ale Moskale porwali ich, i wywieźli precz, i mało nie pozabijali. Jednakowoż sam król Stanisław August niechciał przystać na ten podział Polski, i wszyscy Polacy tak powiedzieli: Nie mamy siły, aby sprzeciwić się temu, co Moskale i inni uczynili, ale my Panu Bogu oddajemy tę sprawę, i niech on sądzi, kto ma prawo i uczciwość. Bo Pan Bog jest łaska-

wy i sprawiedliwy, a choć długi czas nie karze za grzechy, to na ostatku zawsze uczyni sprawiedliwość.

Taki to był pierwszy podział Polski.

Jałmużna.

W lichej sukmance na słagi i szrony,
 Ślepego ojca podpora jedyna,
Głodem i trudem chłopak wycieńczony,
 Siadł na kamieniu i śpiewać zaczyna.

„O! wy na których niebo dary zlało,
 Ślepego starca podratujcie dolę,
Wszystko już stracił — tylko mu zostało,
 Ciężkie kalectwo, i słabe pacholę.

„Póki mógł zdrowiem i mieniem swem służył,
 Z braćmi podzielał zaszczyty i znoje:
W nieszczęściu dotrwał, szczęścia nie nadużył
 I dobro bliźnich przenosił nad swoje.

„Łakomy sąsiad naszedł jego niwy,
 Pola stratował, domy ogniem strawił:
A równie srogi jak nielitościwy
 Skatował starca i wzroku pozbawił.

„O! wy na których niebo dary zlało,
 Ślepego starca ratujcie niedolę,
Wszystko już stracił — tylko mu zostało,
 Ciężkie kalectwo i słabe pacholę.“

Tak śpiewał chłopak w łudzącym widoku,
 Że litość w którym z przechodzących wzbudzi.
Przejeżdżał bogacz, z oburzeniem w oku
 Złajał natręctwo włóczących się ludzi.

Wózek kupiecki niebawem się toczy,
 Znacznem bogactwem wypchane rogoże.
Ten westchnął ciężko, wzniósł do nieba oczy
 I rzekł pobożnie: „Niech was Bóg wspomoże.“

Szedł żołnierz polski w wytartej odzieży,
 Żebraczką kończąc trud swój półwiekowy:
Spostrzega starca — z czułością doń bieży,
 Dobył chleb z torby i dał mu połowę.

X. G.

Przyszła kreska na Matyska.

Różni bywają ludzie na tym bożym świecie, a więc i figlarzów jest też między nimi niemało. Jeszcze mniejsza o takiego, co to sobie niewinnie i nie ze szkodą drugiego pożartuje, bo tym sposobem często gęsto kogoś w jego frasunku rozweselić może; ale takiemu, co to oczywiście tylko na poszkodowanie drugiego dybie, nigdy to nie ujdzie na sucho.

Owoż do takich figlarzów należał także Matysek. Gdzie i kiedy się urodził, nikt o tem nie wiedział: dosyć że się włóczył od wsi do wsi, ze służby na służbę, a nigdzie jakoś długo miejsca nie zagrzał. Ale bo też to był figlarz nie lada: kroku nie postąpił, aby jakiego figla nie wypłatał. Bywało nie raz dziewczęta kąpią się w rzece, a Matysek przechodząc tamtędy pozabiera im odzienie z brzegu, i dotąd nie położy na miejscu, aż one niebożęta obiecają postawić mu kwartę lub więcej obrzydłej gorzałki. Albo nieraz znowu wyśle Matyska gospodarz na furmankę, a on zajechawszy do karczmy na popas, zajdzie sobie w rozmowę z innymi furmanami, i w szczerości mówi im, aby kazali żydowi dostawiać napitku, a on za wszystko zapłaci. Uradowani chłopi każą na rachunek Matyska dawać co niemiara, a on tymczasem podpiwszy sobie do woli, wystrychnie wszystkich jak to mówią na dudków, bo wyszedłszy po cichu z karczmy ucieka tak prędko, żeby go i wiater nie dognał, a biedni chłopi muszą płacić za cały poczęstunek.

Nie będę ja tu wam wszystkich takich figlów naszego Matyska opowiadał, bo tegoby i na wołowej skórze nie spisał; dosyć na tem, że w końcu znał go każdy tak dobrze jak zły szeląg i unikał jak powietrza, a nareszcie to i na służbę nie chciał nikt przyjąć takiego próżniaka i darmojada, bo roboty z niego ani za dziewkę, a jeść to jadł za czterech chłopów.

Ale że to nasz Matysek był sobie zmyślny jak mało, więc znowu przemyśliwał nad tem, jakiego by to figla wypłatać, ażeby sobie coś zarobić. Prędko jakoś rozmyślił się, bo aż sam do siebie na głos się roześmiał, i niebawem poszedł w drogę. Skoro świt stanął na pewnym gościńcu, którędy wiele ludu na jarmark do pobliskiego miasteczka przejeżdżać

miało. Tutaj wyjął wielki wór z pod płótnianki, wlazł do niego, a zawiązawszy się w nim, położył się obok pod drzewem i krzyczy w niebogłosy; „Oj ratujcie mnie dobrzy ludzie, ratujcie, ja nie umiem ani czytać ani pisać, a mnie chcą wybrać do Wiednia na deputowanego!“ Niedługo tak krzyczał, bo wnet nadjechał jakiś niemiecki kolonista z opakowaną furą, na której wiózł przeróżne rzeczy do miasteczka na sprzedaż, a usłyszawszy ono wołanie Matyska, przystanął trochę, i zlazłszy z fury przybliża się do onego worka, i pyta, co to wołanie ma znaczyć.

— Ej rozwiążcie no z łaski swojej worek miły człeku — odzywa się Matysek — a wszystko wam opowiem.

Niemiec wahał się z razu, ale wnet przemogła w nim ciekawość, i rozwiązał worek pytając się Matyska:

— A coż wy tu robicie mój człowieku?

— Oj bieda, oczywista bieda uczepiła się mnie mój dobrodzieju — odrzeknie Matysek i prawi dalej — ni ztąd ni z owąd chce mnie gromada z tej wsi co tu podle leży, obrać gwałtem na deputowanego, i tu mnie położyła, abym poszcząc przez trzy dni, mógł się dobrze do tego przygotować. A ja mój dobrodziejaszku nie potrafiłbym tam ani gęby otworzyć, a leżąc tutaj dopiero jedną dobę o głodzie, tak osłabłem, że mi się już do śmierci patrzy. Ulitujcie się więc nademną moiściewy kochani, i dajcie mi się czem posilić, a jeszcze tych dwa dni przecierpię, kiedy tak być musi.

— Spuść się jeno na mnie biedny człowieku — odrzeknie Niemiec — a ja cię całkowicie z tej biedy wyratuję. Oto jeżeli chcecie, to ja się całkiem przebiorę w twoje łachmany, a ponieważ pan Bóg tak nadarzył, że jestem trochę do ciebie podobny, to i zostanę w tym worku na twojem miejscu; ty zaś ubierz się w moje odzienie, siadaj na mój wóz, i rób sobie co zechcesz.

Wahał się nibyto z razu nasz Matysek tłómacząc Niemcowi, że to jest wielki honor być deputowanym, że to w Wiedniu dobrze za to płacą, a gdy mu Niemiec jeszcze coś gotowego grosza wsunął do kieszeni, wsiadł sobie Matysek na wóz, zaciął konie, i jako kolonista porządnie ubrany pojechał

na jarmark, a łakomego Niemca w podartych łachmanach zawiązawszy mocno we worku, zostawił wedle drogi pod drzewem.

Przyjechawszy na jarmark posprzedawał Matysek wszystkie rzeczy, nakoniec nawet wóz i konie, i za uzyskane pieniądze hulał sobie przez parę tygodni, że aż ha!

Gdy się już pieniądze minęły, Matysek widząc, że mu się raz sztuczka udała, miarkował że i drugi raz taksamo pójdzie. Poszedł więc znowu o parę mil dalej, gdzie jeszcze ludzie o tym wypadku nie słyszeli, i zawiązany we worku położył się koło drogi, kędy wiele luda przechodziło, krzycząc co chwila: „Oj ratujcie mnie dobrzy ludzie, ratujcie, ja nie umiem ani czytać ani pisać, a mnie chcą wybrać do Wiednia na deputowanego!“ Ale tą razą nie poszło jakoś tak szczęśliwie Matyskowi jak pierwej. Już dobrze było po południu, a jeszcze się nikt taki głupi nie znalazł, coby mu uwierzył. Dosyć prawda ludzi tamtędy przechodziło, ale każdy myśląc o Matysku, że mu się w głowie przewróciło, pożartował sobie z nim trochę i poszedł swoją drogą.

Przed samym wieczorem nareszcie szedł sobie tamtędy prędkim krokiem jakiś urlopnik, a zobaczywszy ów worek przy drodze, rozwiązał go prędko i pyta się Matyska, co on tu porabia, a gdy mu tenże znowu te same słowa co i Niemcowi powtórzył, ofiaruje się urlopnik, że jego miejsce zastąpi.

Matysek zaczął się targować, ale widząc że od urlopnika nie wiele może wyciągnąć, zgodził się nareszcie za parę dudków, a wdziawszy na siebie porządny mundur urlopnika, dał temu swoje podarte łachmany, a zawiązawszy go we worku, poszedł sobie do miasta. W lesie jednak zastępuje mu drogę parę żandarmów, i chwyciwszy go za kołnierz mówią do niego:

— A przecież cię mamy ty hultaju, złodzieju, coś na jarmarku różnych ludzi poobkradał — i nuż zaczynają naszemu Matyskowi szukać po kieszeniach, gdzie też w samej rzeczy znaleźli parę fajek, nożyków i innych drobnych rzeczy, o których Matysek nawet nie wiedział, bo spiesząc się do miasteczka nie miał nawet czasu macać się po kieszeniach.

Matysek przestraszony klnie duszę i ciało, że o niczem nie wie, że nawet nie był na jarmarku, i opowiada żandarmom swoją przygodę z owym urlopnikiem. Ale żandarmi trzymając to wszystko za wybieg złodziejski, zakuli naszego Matyska w łańcuszki, i odprowadzili do becyrku. Tu dopiero poschodzili się różni oskarzyciele i mówią: Owoż ten, ten w tym siwym płaszczu i w tych niebieskich spodniach porwał mi zegarek złoty, i wmieszał się prędko między ludzi, żem go i ścigać nie mógł. A mnie znowu, prawi drugi, ukradł spory woreczek drobnych pieniędzy, co stały na boku. A mnie, woła znowu inny, ściągnął on parę fajek i nożyków — i tak każdy się na coś uskarzał. Tłómaczył się nasz Matysek jak mógł, ale już nie potrzeba było lepszego dowodu jak to, że wszyscy go poznali, bo mówili, że tak samo był ubrany, i ponieważ jeszcze parę drobnostek przy nim znaleźli. Tu dopiero poznał Matysek, że ów urlopnik nie był nikt inny, jeno ów złodziej, co to wiele ludzi w mieście poobkradał, i który co lepsze rzeczy przy sobie zatrzymał, a resztę zaś drobnostek wraz z odzieniem dał Matyskowi i tym sposobem wydał go na poszlakę, a sam zaś ukrył się przed pogonią. Prosił więc Matysek wysokich sędziów, aby kogo z nim wysłali, a on im prawdziwego złodzieja i resztę skradzionych rzeczy odkryje. Udało się więc parę urzędników na to miejsce, gdzie Matysek wskazywał, i nie znalazłszy tam nikogo, bo urlopnik wylazłszy z worka, Bóg wie za którą już był górą, — rozsierdzili się jeszcze gorzej, i zamknęli naszego Matyska na cały rok do aresztu, a co go się nabili, tego nawet nie rachowali. Dopiero w kilka miesięcy złapali prawdziwego urlopnika i złodzieja, i gdy ten wydał prawdę, puścili Matyska na wolność, ale co wziął na skórę i co odsiedział w kozie, to taki przepadło na wieki.

Tak to moiściewy, dopóty dzban wodę nosi, dopóki mu się ucho nie urwie — dopóty i figlarz zwodzi ludzi, dopóki mu się za to wszystko dobrze nie upiecze.

Jacenty z Magierowa.

Śpiewka ułana.

Hej piko moja piko — szabelko jedyna,
Hej coś mi się ta bardzo bójka przypomina,
Bójka z kozakami, z innymi szłapaki,
Oj pójdę bić to drańctwo, bo już ja zuch taki.

Hej pójdę ja pod Grochów, wezmę szczyptę ziemi,
Hej pójdę pod Olszynę, zerwę coś zieleni,
I razem ze szkaplerzem na sercu zawieszę,
I pójdę pobić wrogów, więc się coś pocieszę.

A jużci że pocieszę niemało, oj wiele,
I modlić się już będę mógł nawet w kościele,
I w sercu lżej mi będzie i już mniej boleśnie,
Bo może ją zapomnę w dzień, może i we śnie...

Historya o Jackowym kącie i o świętym buku.

Opowiedział
Sierota z Manajowa.

Będzie temu lat nie mało, jak w ogromnym lesie koło Skolego mieszkał Jacko Czarny, zbój okrutny. Nazywali tego Jacka czarnym dla włosów czarnych na głowie i na brodzie, których miał tęgi snop. Zaś był on zbój wielki, i był hersztem całej bandy łotrów, z którymi napadał dwory, wsie i kościoły, łupił wszystkich i mordował ludzi jak barany. Bali się go wszyscy długi czas, i nikt nie śmiał zajść do jego siedziby, którą ludzie nazwali Jackowym kątem. Także z wojskiem chodzili złapać go nieraz, ale nigdy im się to nie udało, a Jacek jeszcze gorzej potem łupił mieszkańców okolicznych i palił. Na ostatek zapowiedział, aby mu wszyscy składali okup jak daninę, i musieli tak czynić, bo inaczej nikt nie był pewnym życia.

Owoż razu jednego przyszedł jakiś żebrak do wsi sąsiedniej, i prosił xiędza aby poszedł wyspowiadać leśnego z Pobuka, który ciężko zachorował. Mieszkał ten leśny na końcu wsi, i trza było iść do niego wedle Jackowego kąta. Był ten leśny także człek zły, od wielu lat nie chodził do cerkwi i ciągle zapijał się w karczmie. Gadali nawet ludzie, że pienią-

dze na gorzałkę ma z rozbojów, i że należy do bandy Jackowej. Niktby więc do niego nie poszedł, ale poczciwy dobrodziej, chociaż stary i chory, zaraz wybrał się w drogę, i nie uważał że była okrótna zamieć śnieżna, i że iść przychodziło wedle Jackowego kąta, a naostatek że do zbója prawdziwego miał iść. Zacny xiądz więcej dbał o zbawienie duszy ludzkiej jak o własne zdrowie i życie, a nawet ucieszył się, że bezbożnika nawróci. Wziął więc z cerkwi kielich złoty i najświętsze ciało i krew pana Jezusa, a diak z latarką i z dzwonkiem szedł naprzód za owym dziadem przewodnikiem.

Szli tak po śniegach okrótnych i po bezdrożach. Wiatr wielki sypał w oczy śniegiem. Diak dzwonił zębami ze zimna i ze strachu, oglądał się często na xiędza, a ten spokojnie i z wielkim trudem szedł dalej. Diak był chłop wielki i silny, a xiądz chory i stary.

Byli już blisko Jackowego kąta, którędy przechodzić musieli, a tam wielki ruch był i dużo gadaniny. Sam Jacek ze sześciu zbójami wylazł z nory swojej, kazał naniecić ogień, i jął rozkazywać.

— Hej ty Hrycku — zawołał na zbója garbatego z rudą brodą i z jednem ślepem okiem, a z powybijanemi zębami — staniesz tu przy drodze, i będziesz czekał z toporem. Jak nadejdzie xiądz, zaraz diakowi uczyń koniec, a wal w sam łeb toporem. Potem z przewodnikiem xiędza przyprowadzisz do mnie.

Potem zawołał Jacek na inszego, który był chłop wielki a z jedną krzywą nogą, w łachmanach niby dziad, bo za takiego udawał się po odpustach i jarmarkach, gdzie setnie ludzi okradał.

— Ty kulasie — mówił do niego Jacek — położysz się w rowie i będziesz uważał na wszystko. Jak zabiją diaka i przyprowadzą xiędza, będziesz u wchodu pilnował; a jakby było jakie niebezpieczeństwo, dasz znak na świstawce.

Stało się wszystko jak rozkazał Jacek. Garbaty rabuś ubił diaka i przyprowadził xiędza do Jacka. Wtedy ów zbój okrótny wziął pistolet nabity, przystąpił do xiędza i przyłożył mu pistolet do piersi. Xiądz trzymał mocno kielich, i zaczął odmawiać głośno modlitwę: „Pod Twoją obronę“. Wtedy za-

wołał Jacek okrótnym głosem: Xięże, daj zaraz rozgrzeszenie mnie i moim towarzyszom, albo cię wnet ubiję.

Xiądz nie odpowiedział nic, jeno w górę podniósł kielich, i zawołał: „Wszelkie kolano ugina się przed panem zastępów“.

Kiedy to powie, wszyscy zbóje padli na kolana, i broń z ręki upuścili. Tylko Jacek stał ciągle, i wołał okropnym głosem: Albo daj odpuszczenie grzechów, albo zginiesz.

Na to rzeknie xiądz: Tylko tym odpuszczam grzechy, którzy w pokorze proszą o to, i żałują za swoje winy.

Jacek na to krzyknął: giń — i strzelił. Xiądz upadł, potem na chwilę jeszcze podniósł się, pobłogosławił klęczącym zbójom, a wnet bez ducha upadł znowu na ziemię.

Wtedy wyleciał kielich z jego ręki, i potoczył się daleko aż pod drzewo bukowe. Jacek zobaczył to, i pobiegł aby kielich wziąć. Zaś kiedy ręką sięgnął, buchnął jasny płomień z kielicha, i kielich stopniał na węgiel. A pod nogami Jacka rozstąpiła się ziemia i pochłonęła go żywcem.

Zwaliła się nora Jackowa, a owa skała, na którą padła krew xiędza zamordowanego, jeszcze do dziś dnia ma czerwone znaki.

Zaś reszta onych zbójów przestała łotrować, i zaczęli żyć uczciwie. Sługiwali po świętych miejscach, i pomarli nawróceni. Jeden z nich dał na wieczną ofiarę do cerkwi tamecznej, gdzie do dziś dnia odprawia się msza co roku pod onem drzewem bukowem, którego liście krwawo połyskują, i w którem ma być do dziś dnia owa krew święta, jaka się rozlała pod nim z kielicha.

GAWĘDA NIEDZIELNA

profesora szkółki wiejskiej z gromadą.

Wawrzyniec. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Profesor. Na wieki wieków, amen.

Grzegorz. Zaraz po nieszporze ciągniemy do pana profesora na gawędkę, żeby czasu i chwilki nie stracić.

Profesor. Więc wam się kochani bracia tak podobają nasze gawędy.

Wawrzyniec. To się rozumie; człowiek tu się takich ciekawych rzeczy nasłucha, że przybiegłby nawet z końca świata, żeby się coś nowego dowiedzieć.

Profesor. A powiedzcie mi miły Wawrzyńcze, gdzie to jest ten koniec świata.

Wawrzyniec. Ktoż tam wiedzieć może, pewno gdzieś za górami, za morzami, za przepaściami; wypadałoby może iść jaki rok żeby zajść aż na koniec świata.

Profesor. Otoż widzicie mój bracie, że choćbyście i tysiąc lat wędrowali, to na koniec świata nie zajdziecie.

Wawrzyniec. O święty Panie, to świat taki wielki.

Profesor. Nie to żeby miał być wielki, ale to że końca nie ma.

Grzegorz. No, jużci jak jaka rzecz końca nie ma, to musi być okrutnie wielka.

Profesor. Ja wam pokażę rzecz nie mającą *końca*, chociaż bardzo maleńką.

To rzekłszy wyjął profesor z kieszeni kulę z drewna wyrobioną i podawszy gospodarzom, rzekł: No moi przyjaciele powiedzcie mi, gdzie tu jest koniec?

Gospodarze rozśmieli się, a Grzegorz rzekł: Ba, jakże może być koniec, kiedy to kula. A na to powiada profesor: Ba, jakże może być koniec na ziemi, kiedy ziemia jest kulą?

Grzegorz. Juścić trzeba panu profesorowi wierzyć, kiedy tak mówi, ale mnie się to w żaden sposób w głowie pomieścić nie może, bo gdyby ziemia była kulą, tobyśmy z niej pospadali wszyscy.

Profesor. Uważajcież Grzegorzu co wam powiem. Będzie temu lat z górą trzysta, jak jeden człowiek zwany Magiellan, wyprawił się na morze i płynął ciągle na zachód. Okręt z ludem, na którym się znajdował, po półtrzecia roku przybił do tego samego brzegu, chociaż wciąż płynęli przed siebie, tak prawie jak gdybyście palcem oprowadzili kulę w około. Otoż tu macie dowód, że ziemia jest okrągłą, bo gdyby była płaszczyzną, toby coraz bardziej oddalali się od rodzinnego miasta.

Wawrzyniec. To dziwna rzecz.

Profesor. Jeszcze wam powiem jeden dowód, że ziemia jest okrągłą. Oto jeżeli idziecie równiną do jakiej wsi, to widzicie najprzód wieżę kościelną, potem dach kościelny, wreszcie domostwa. A to dlatego, że wypukłość i okrągłość kulistej ziemi zasłania spód oddalonych budowli. Że zaś nie możemy objąć okiem tej kulistości, to dla tego, że to jest tak ogromna kula, iż ma pięć tysięcy czterysta mil w około, a na jej obejście zwykłym krokiem idąc po sześć mil na dzień, trzebaby blisko trzy lata.

Wreszcie obejrzyjcie się do koła stojąc wśród równiny, zdaje się że w okoluteńko, daleko od nas ziemia styka się z niebem.

Grzegorz. To jest prawda.

Profesor. Ale idźcie na to miejsce, kędy się wydaje, że ziemia dotyka nieba, to ujrzycie, że niebo tak wysoko jak i tam zkąd odeszliście.

Wawrzyniec. Toć i prawda.

Profesor. Otoż to dla tego, że ziemia jako kula zagina się, gdyby zaś była płaska i równiuteńka, toćbyśmy ją mogli przejrzeć i kilkadziesiąt i więcej mil.

Wawrzyniec. Nieinaczej.

Profesor. Tym więc sposobem przekonajcie się, że ziemia jest kulą, a że z niej nie spadamy to dla tego, że nas przyciąga do siebie. Ot naprzykład rzucam kamień do góry, a on zaraz spada na ziemię.

Wawrzyniec. A no, bo ciężki.

Profesor. A coż jest ciężar, jeżeli nie przyciąganie ziemi, toć i wy Wawrzyńcze jak was pociągnę, mimo ciężaru musicie się na mnie potoczyć, bo was moja siła pociąga.

Grzegorz. Ale przecież ludzie od razu poznaliby, że ziemia jest kulą, a tymczasem każdemu się zdaje że jest równa.

Profesor. Powiedzcie mi, czy też robaczek, jak go zaniesiecie na wielką górę okrągławą, a ciągnącą się na parę mil wzdłuż i wszerz; czy też ten robaczek pełzając powolnie, może wiedzieć, że ta góra zagina się ku dołowi, kiedy on ledwie na kilka kroków przed sobą widzi; tąk też i człowiek, który le-

dwie parę mil kraju przejrzeć może, nie zmiarkuje wcale kulistości ziemi.

Grzegorz. Już też wierzę co pan profesor mówią, ale pięćdziesiąt łat blizko żyję na świecie, a nie słyszałem nigdy, żeby ziemia miała być kulą.

Profesor. Na dziś tyle dość żeście się przekonali o tem, jako jest ziemia okrągła, na przyszły tydzień powiem wam więcej moi kochami przyjaciele, rozmyślcie sobie to dobrze i zapamiętajcie.

Z Kmiotka.

Piękne przykłady.

1. Wzorowa gromada w Ropie.

Jest między górami Karpackiemi nad rzeką Ropie wieś, która się nazywa także Ropie. Biedna to wioska, glebę ma zimną, w pagórkach mokrą, a na górach urodzajnej ziemi ledwie na dwa cale. Aby z niej coś mieć, muszą ludzie palić łany, i tak ledwie przez rok albo dwa coś się urodzi, a potem znów na ugor zarasta krzakami. W niższych miejscach wilgoć okropna. Przeto dawniejszemi laty były tu okropne głody i ludzie marli jak muchy. A teraz jest tu dostatek, i wszystko nawet dość bogato, choć okolica ta sama. Opowiem wam jakim się to stało sposobem.

Przed sześciu laty wystawiła gromada wspólny szpichlerz, i zsypała tam wiele było można, więc 100 korcy owsa a 20 korcy jęczmienia. Otoż było bezpieczeństwo od głodu. Na drugi rok wystawiła gromada stajnię plebańską. Na trzeci rok zbudowali szkołę z pomieszkaniem dla nauczyciela, któremu rocznie płacą 150 reńskich nowych. Więc nauka dała im rozum lepszy, a gdzie jest rozum, tam i szczęście się znajdzie. Na czwarty rok znowu dali nowy dach na kościoł, i zrobili składkę, a za te pieniądze obili cynkiem kopuły na wieżach i sygnaturce. Owoż pamiętali ludzie o Bogu, więc i pan Bóg o nich nie zapomniał, ale im wciąż błogosławił, tak iż dziś nie znajdziesz tam dawnej biedy ani śladu. Naostatek tego roku wybudowali całkiem nową plebanię i zabudowania gospodarskie, a wioska wygląda pięknie jak miasteczko jakie.

Na te wszystkie budowania dawał pan dziedzic drzewo budulcowe, gonty i deski, a to na szpichlerz, potem na plebanię i kościoł, zaś za pomalowanie dachu kościelnego i na insze potrzeby dał tenże pan niemało własnych pieniędzy.

Zaś na tem jeszcze nie koniec. Gromada sprawiła do kościoła dwie chorągwie proporcowe i prześliczny kielich na ciało i krew Pańską, a naostatek uczyniła kasę oszczędności, czyli towarzystwo wzajemnej pomocy. Każdy daje tam wedle możności grosz, a kiedy bieda, kiedy potrzeba albo nieszczęście na kogo przyjdzie, to ma swoje pieniądze i ratunek od drugich gotowy, tak że niczego obawiać się nie potrzebuje. Dopiero rok jak ta kasa jest, a już ma w niej gromada 314 reńskich srebrnych, które sobie złożyli.

Toć nie ma większej radości, jak patrzyć na taką wioskę i na taką gromadę. Wszystko tam pięknie, wszystko dostatnio jak się patrzy, wszystko uczciwie i bogobojnie jak Pan Bóg przykazał. Ludzie pobożni, pracowici i biedy nie znają: dziatki dobre i uczone, z xiążki się modlą w kościele, a w domu uczą się z niej miłości Boga i uczciwego życia. Wszędzie widać błogosławieństwo Boże. A toć cudem prawie stało się, i tylko za łaską Boga, aby taka biedna wiosczyna mogła w krótkim czasie przyjść do takich dostatków.

Daj wielki Panie Boże, aby ten piękny przykład brali sobie ludzie na uwagę, aby na naszej ukochanej ziemi polskiej coraz więcej było takich zacnych gromad i takich pięknych wsi. Daj wielka królowo Polska, Najświętsza Panno Maryo, aby Twój kraj i naród Twój coraz więcej miał błogosławieństwa Bożego, aby pod Twoją świętą opieką przyszedł do szczęścia i dostatków. O Najświętsza Królowo Polska daj to i uproś nam u Pana Boga, aby tym sposobem powróciły dawne dobre czasy jak były za królów naszych miłościwych, za których czasów Najświętsza Marya była królową Polski.

2. Włościanie z Bussowny.

W królestwie Polskiem w powiecie Krasnostawskim jest wieś Bussowna, której dziedzic daje następującą wiadomość o poczciwych włościanach tamecznych. Powiada on iż tego roku

przy żniwie było bardzo trudno o robotnika, tak że go za żadne pieniądze dostać nie mógł. Zboże dojrzałe marniało na pniu, aż rozpacz było patrzeć. Otoż włościanie tameczni i okoliczni pomiarkowawszy to, postanowili aby panu dać pomoc. Więc z własnej chęci dali mu co dzień 300 albo 400 robotników, a tak za kilka dni żniwa całkiem ukończyli. Potem zapłatę nie chcieli wziąć tylko najmniejszą, jaką w okolicy dawano.

Otóż macie przykład, jak ludzie powinni dbać na dary Boże, i nie dać im zmarnieć. Kiedy tak oni panu serdecznie pomogli, toć i pan im rad będzie odwdzięczyć się każdą pomocą, jakiej od niego będą potrzebować. Tak będzie miłość i zgoda między nimi, i po chrześciańsku żyć będą między sobą, jak Bóg kazał żyć braciom, a przecież i panowie i kmiecie są braćmi. I będzie błogosławieństwo Boże z nimi, którego życzymy wszystkim, i o które dla wszystkich prośmy Pana Boga.

3. Włościanie na Litwie.

Piszą nam z Litwy, że tam ludzie wiejscy bardzo ochotnie biorą się do nauki, i coraz im lepiej dlatego się dzieje. Zaś najbardziej na Żmudzi, która jest część kraju litewskiego, kochają się ludzie bardzo w nauce, i rzadko znaleść wieśniaka, któryby czytać nie umiał. A choć tam jest ucisk okrótny od Moskali, przeto ludzie jakoś żyją i Bóg im błogosławi. Nie słychać tam o swarach różnych jak gdzie indziej, nie słychać o żadnych psotnikach i złych ludziach. Dziedzice żyją z kmiećmi w zgodzie i w braterstwie, pijaństwa nie ma ani śladu, a wszędzie pięknie i zgodnie aż miło. Jak nam znowu ztamtąd nowiny napiszą, to wam je wydrukujemy, abyście moi mili wiedzieli co się dzieje po wszystkich ziemiach polskich. Zaś teraz proście Boga, aby raczył naszych braci litewskich i innych wybawić od ucisku moskiewskiego, który jest okrótny dla ludzi.

4. Zacny kmieć Jan Godek.

W miasteczku Frysztaku w powiecie Jasielskim był niedawno jarmark. Mnóstwo ludu było na nim, a między tymi tak-

że pewien żyd ubogi z Wysoki. Ten miał przy sobie cały majątek, tj. 110 reńskich w pularesie, z którego majątku utrzymywał swoją liczną rodzinę. Na nieszczęście zgubił on ten pulares z pieniędzmi, i na żaden sposób nie mógł go odszukać. Pomagał mu urząd szukać, ale wszystko daremnie. Biedny żyd poszedł nakoniec do xiędza proboszcza we Frysztaku, i prosił go, aby w kościele ogłosił ludowi jego zgubę. Uczynił tak xiądz proboszcz, i po kazaniu opowiedział o biednym żydzie i o jego zgubie, także o nędzy, którą on dla tego cierpieć musi.

Na drugi dzień przyszedł do xiędza kmieć pewien ze wsi Stępiny, który się nazywa Jan Godek. Otoż opowiedział on, że słyszał od ludzi, którzy byli w kościele, o zgubionych pieniądzach żyda. Znalazłem je — powiada Godek — ale nie wiedziałem komu oddać, bo byłbym to zaraz uczynił. Więc proszę xiędza dobrodzieja oddać je żydowi biednemu. Xiądz dobrodziej bierze pulares, patrzy, aż tu wszyściutkie pieniądze i karteczki, tak że ani grosza nie brakowało. Uradowany powiada Janowi, że mu się należy znaleźne w nagrodę. Ale poczciwy Godek odpowiedział, że ma tyle, wiele mu potrzeba, a biednemu krzywdy czynić niechce. Także powiedział, iż nic mu się nie należy, bo oddać cudzą rzecz powinien każdy uczciwy człowiek, a znalezione schować i nie oddać, to znaczy tak jakby ukraść.

Za to zacne serce Jana Godka niech mu Pan Bóg błogosławi, i niech da ludziom ochotę, aby także takimi byli.

RÓŻNOŚCI.

Cudowne uzdrowienie. Niedawno stało się takie we Lwowie. Był odpust w kościele ojców Dominikanów, a na nim ludzi nie mało. Między nimi pewna panienka młoda, a ta nazywa się Emilia Majer, i przyjechała do Lwowa ze Stanisławowa, aby się na oczy wyleczyć, bo bardzo chorowała i całkiem już oślepła. Ponieważ jej już nic nie pomagało, więc zdała się na łaskę Bożą, i prosiła aby ją zaprowadzić do kościoła. Tam upadła na kolana przed cudowną Matką Boską królową polską i ofiarowała jej siebie w opiekę, a modląc się długo i pobożnie, płakała serdecznie. Kiedy powstała, przejrzała nagle, i zawołała w wielkiej radości: Ja widzę. Byli tam inni ludzie, którzy to wszystko widzieli, i łaskę Matki Boskiej królowej polskiej dla dobrej panienki.

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.

Tom VII. Nr. 13.

1. Listopada. 1862.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zlr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Święta Jadwiga.

Już to temu dobre siedmset roczków, jak był w naszym polskim kraju król jeden, co się zwał Leszek Biały, o którym była już historya w Dzwonku. Miałci ten król rodnego brata, któremu było na imię Konrad, a ten sobie siedział w kraju polskim, tam gdzie to nasza wielka Warszawa stoi, i żył sobie spokojnie i szczęśliwie z ludźmi i kochał króla brata swego rodnego. Ale prócz tego brata był jeszcze jeden brat stryjeczny, co także siedział na ojcowiźnie, ale aż daleko za Krakowem, a ten kraj polski zowie się Szlązkiem, i panują jemu na pół cesarz, a na pół Prusak, co to z katolika przeszedł do Lutra. Jak to nieraz bywa, że i bracia są niejednacy, tak to i ci bracia tak byli. Król polski z rodnym bratem Konradem byli Polakami co się zowie i bronili kraju od Niemców, ale stryjeczny brat za Krakowem trzymał sobie we dworze Niemców, a ci mu często na złe poradzili. To też król mu nieraz gadał jako bratu:

— Na co ty kochany braciszku przystajesz z tymi Niemcami, kiedy ty masz swojaków i krajanów w domu — toć Niemiec nie chce twego dobra ale swego zysku — toć oni tyle

kraju zabrali naszym dziadkom, tyle ludzi naszych wycięli na wojnie niejednej, a i teraz patrzą krzywo na naszą pracę — toć Bóg nam każe razem trzymać i pilnować ojcowizny, a nie dać się komubądź poniewierać!

A byłci wtedy ten brat jeszcze młodym, to też dawał się łatwo bałamucić, ale czasem posłuchał także dobrej rady brata króla i było dobrze w Polsce całej, boć gdzie między braćmi jedność i zgoda, gdzie jeden stoi o drugiego i gdzie się wszyscy trzymają sercem i rękami, tam musi być dobrze: bo tam Pan Bóg błogosławi.

Więc choć było trzech panów w Polsce, to było tam dobrze, bo wszędy była święta sprawiedliwość i pobożność: co wieś i co miasto to byli rozmaici święci i święte Boże, a lud polski to żył nieprzymierzając jakby sami świątobliwi ludzie. Panowie fundowali klasztory, i tam szły stare matki jakby na pokutę przed śmiercią; całe gromady składały wielkie pieniądze i fundowały kościoły, które do dziś stoją na wieczną pamiątkę; a królowie sprowadzali zakonników, dawali im lasy i pola, a ci wycinali lasy i budowali szkoły i klasztory dla ciała i duszy. I było w one czasy bardzo dobrze w Polsce dla każdego, nikt tam nie ginął z utrapienia i biedy, sieroty się nie poniewierały, dziadowie nie chodziły po żebraninie, bo każdy miał jeżli nie w domu to w szpitalu przytułek, okrycie i pożywienie.

Otoż król Leszek i brat Konrad byli wtedy żonaci, jeno ich brat za Krakowem był sobie sam w domu. A było mu na imię Henryk. Wtedy to żyła daleko od Polski za granicą święta Jadwiga, a była jeszcze małą. Jej matka Jagusia była Niemką, ale bez przymowy była dobrą i pobożną matką. I widzicie, że Jadwiga święta nie narodziła się na naszej polskiej ziemi, ani z ojców polskich jeno z Niemców, i była prawie w jednych latach z polskim królewicem Henrykiem. Henryk chował się w Polsce, a Jadwiga między Niemcami, i nikt wtedy nie wiedział o tem, że to Bóg przeznaczył Jadwigę dla polskiego królewica.

Matka świętej Jadwigi była bardzo bogatą i miała jakby jaka królowa pałace i dużo wsi i miast — ale choć ta i taka

bogata, to miała dobry rozum. Ona też wychowała swoją córkę Jadwisię bardzo dobrze, od maleństwa zaraz. Otoż mawiała jej nieraz: Hej, hej! moje dziecko! nie uważaj na to że ja bogata, i ty będziesz bogatą, bo praca ludzi to popioł, to mamona, nie pysznij się z tego, ale obróć to na dobre dla siebie i dla drugich. Skąpy i marnotrawnik to źli ludzie, ale miłosierny człowiek to najlepszy. Nie pysznij się z rodu twego, bo każdy człowiek jest prochem i w proch się obróci; my ludzie wszyscy jednacy z gliny, jeno dusza nasza warta mniej lub więcej dla uczynków naszych. Nie pysznij się z nauki i rozumu, boć to wszystko pochodzi od ducha świętego i dane na to, abyśmy szli prosto do Boga, i drugich za nami ciągli. A jeżli masz na sobie chusty lepsze, toć to od wiatru, zimna i deszczu, ale nie od parady lub pychy na tobie; wszystko zostanie się w grobie i jeno dusza pójdzie na inny świat. Otoż dusza twoja i serduszko dobre to grunt — a co dobrego pomyślisz, powiesz i zrobisz zaraz, to mi dopiero rozum nad rozumy, to droga prościutka do wysokiego nieba!

Mała Jadwisia brała sobie do serca takie dobre słowa matki, i dziękując za nie, mówiła: Jak mi Pan Jezus i Najświętsza Panna da szczęśliwie doczekać, to zobaczy mama, jak ja będę żyła.

I była Jadwisia pokorną, nie gardziła nikim, nie uciekała przed dziadami, ani nie krzyczała, jak do dworu przyszli po jałmużnę, ale i mamę za nimi prosiła, i sama dzieliła się śniadaniem i obiadem tak, że zawsze szła połowa na ubogich, a czasem i całe jedzenie, i to tak cichutko, że ze dworu mało kto o tem wiedział. Nie raz dała jej matka coś do kieszónki, a ona znów dała to ubogiemu do ręki tak, że i matka o tem nie wiedziała. Cieszyła się mocno, jeżli drugim co dobrego zrobiła, a płakała wieczór, jeżeli nie widziała ubogiego i nie podzieliła się z nim z swojem jedzeniem.

Matka jej była bardzo pobożną, to też modliła się sama w domu i w kościele, uczyła Jadwisię i mawiała jej po modlitwie tak:

— O moje dziecko dobre! zmów sobie zawsze paciorek czy kto patrzy na cię czy nie — bo modlitwę naszą ma jeden

Bóg widzieć i słyszeć, a nie ludzie. Zaś módl się zawsze szczerze, abyś miała rączki złożone, oczka na dół spuszczone, albo do nieba podniesione; myśl sobie wtedy jeno o Bogu, a nie o świecie, popłacz sobie nad twojemi grzechami i nad biedą drugich ludzi. Bo kto się modli nietylko gębą samą ale i serduszkiem, składa ręce i leci myślą do Boga samego, i zaleje się łzami, to wtedy otwiera sam Pan Jezus okienko z nieba, i spuszcza mu co potrzeba. A jeżli mówisz na xiążce modlitwę, to miarkuj sobie dobrze, abyś to zrozumiała i w sercu czuła, co sobie czytasz.

A Jadwisia znowu sobie dobrze brała do pamięci takie słowa matki, i modliła się szczerze rano, wieczór, w południe, przy nauce i robocie, a w kościele to sobie klęczała cicho koło krzyża albo pod chórem albo w kaplicy, i odmawiała modlitwy to z pamięci to z xiążki, i nieraz było widać mokre kartki od jej łez, albo mokre nóżki Pana Jezusa na krzyżu jak ona odchodząc całowała je, a potem biła czołem o ziemię przed Najświętszym Sakramentem. W domu nieraz było cicho w nocy, a w izdebce Jadwisi świeciło się, a ona albo układała jakie chusty dla sierot, które im miała rozdać na drugi dzień, albo się modliła nachylona ku ziemi, albo się uczyła w nocy, aby miała czas we dnie pójść do chorych albo do ubogich albo do kościoła. Ile razy szła spać albo wstawała rano, to mówiła na końcu modlitwy:

— O daj mi też Boże taki rozum, abym ja sama robiła dobrze i drugim dawała dobry przykład.

Matka jej była sprawiedliwą i nie robiła na włos jeden nikomu szkody ani krzywdy żadnej — to też mówiła ona do Jadwisi:

— Moje dziecko! uważaj sobie dobrze, abyś nie pomyślała nawet zrobić komu szkodę jaką; bo ta głowa u ludzi jest grzeszną, która przemyśliwa, jakby to komu co złego wyrządzić; i ta ręka jest grzeszną, co to rano podnosi się przy pacierzu do nieba, a potem robi różne cygaństwa drugim; i ta gęba jest grzeszną, co to pości i modli się, a drugich gadaniem krzywdzi i kłamie. Zły taki człowiek, co to ukradkiem szkodzi drugiemu, a potem płacze nad nim, albo gada do kogo

pięknie, a myśli mu źle uczynić. Ty moje dziecko bądź dobrą dla Boga i dla ludzi, miej serce dla Boga i dla biednych, a całe twe życie niech będzie miłe Bogu a ludziom pożyteczne.

Takie dobre gadanie od dobrej matki zostało w główce Jadwisi; to też ona składała swoje złote pierścioneczki na kupki, potem kładła i dukaty, które miała od matki i tak sobie mówiła:

— To dam na sierotki, które nie mają ojca, matki; a to dam tym ludziom, którzy się spalili, aby sobie co kupili — a to znowu dam na xiążeczki do szkoły, aby się biedne dziatki uczyły — a to poszlę jutro tym, których woda zniszczyła, choć oni daleko od nas — a muszę też dać co na ołtarz, co go malują w kościele — i tak sobie gadając popatrzyła w niebo i westchnęła:

— Bo cożby mi z tego przyszło, żebym ja miała wszystko, a inni byliby głodni i bez okrycia? żebym ja nosiła na palcach od parady te pierścioneczki, a tutaj aby chodziły po pod dwór biedne, odarte i bose sierotki? Kiedy mi Pan Jezus daje, to niech się koło mnie gromadzą biedni, jak się tulili do Pana Jezusa, boć tak kazał Pan Jezus robić.

I poszły dukaty na dobry uczynek, a biedni nawet nie wiedzieli, że to przyszło od dobrej Jadwisi dla nich. Ażeby mogła jeszcze więcej dobrego robić, to sobie złożyła niejeden krajcar z tego, że sobie sprawiła chusty tanie a dobre i czyste, że jadła proste i ubogie jedzenie, że nawet spała na prostem łóżku i na sienniku albo też na gołej ziemi koło Pana Jezusa ukrzyżowanego, a jeźli się bez czego obejść mogła, to się obeszła, aby jeno mogła drugim podać ratunek i ulżyć ich biedzie.

To też chowała się Jadwisia we dworze bogatym, ale jakby uboga jaka panna; było tam wszystkiego aż nadto, ale ona nie roskoszowała w niczem; były tam i zabawy różne, ale dla niej było uciechą pomodlić się, poratować biednego, odwiedzić, a w domu robić to koszulki dla sierot, to dla matki i dla krewnych co robić, to się uczyć czego dobrego, to pomyśleć o czem dobrem. Tak była ona we dworze jakby gwiazdeczka, jakby Aniołek, a potulna, cicha, pobożna, dla każdego usłużna na zawołanie albo i bez zawołania, i rosła sobie w łasce u

Boga jakby lilia i pachnąca róża i doszła w takiem bogobojnem życiu do 20 latek.

Ale Bóg wynagradza zawsze ojców za dobre nauki i przykłady dla dzieci ich. I matka Jadwisi doczekała się na stare lata tej pociechy, że jej dzieci wyszły na biskupów i panów wielkich, córki poszły dobrze za mąż, a ostatnia córka Jadwisia jako najlepsza i najpobożniejsza została polską królewną, wydała się za polskiego królewica, a potem została większą nad króle i pany świata, bo została świętą na wieki w niebie, i patronką naszej ziemi.

Gdy Jadwisia miała już 20 latek, a ludzie gadali na około dużo o jej dobroci i pobożności, wtedy też dowiedzieli się Polacy o tem, i zaraz posłał królewic polski Henryk, co to siedział na ojcowiznie za Krakowem, do rodziców Jadwisi, aby mu dali w małżeństwo tak dobrą i pobożną córkę. I sam król polski Leszek cieszył się bardzo, że taka dobra panna przyjdzie do Polski, i będzie dobrą matką dla ludu polskiego. A drużbowie polscy przyszli do dworu niemieckiego gdzie była Jadwisia, i tak mówili do niej:

— Choć do nas, do naszych krajów, pobożna Jadwigo, a będzie ci u nas jeszcze lepiej niż w domu — bo u nas wszystko dobre się dzieje: król to nasz ojciec a my jego dzieci, ale nie niewolnicy, jak to jest u was Niemców — u nas jest król jeden, a my wszyscy równi tak pany jak kmiecie, i kochamy się i żyjemy sobie jak u Boga za piecem. My z naszym królem naradzamy się nad tem, co mamy robić, aby nam było wszystkim dobrze; u nas pszeniczka jak las, chleb biały i pytlowany, a ryby jak kloce, a pasieki jak ogrody, a pieniądze rachujemy na kopy i mierzymy ćwierciami i garcami, a po wsiach żyją sobie ludziska uczciwie i nabożnie jakby zakonnicy.

A matka Jadwisi odpowiedziała na to:

— Chętnie dam moje ostatnie dziecko waszemu królewicowi Henrykowi, bo to poczciwy ród z dziada pradziada i tyle świętych wyszło z niego, a i dziadek tego królewica miał od nas żonę, i jak wiem, to już niejedna od nas była królową w Polsce. Była tam niejedna złą królową, ale moja Jadwisia

nie będzie taką, ona wam będzie matką, bo ma dobry przykład odemnie i dobre nauki.

I spytała się matka Jadwisi samej, co zamyśla z tem zrobić, a ona mówiła ucieszona:

— Pójdę do Polaków, bo to dobrzy ludzie, Ojciec święty lubi ich za ich pobożność — a że królewic Henryk będzie dobrym, to sobie miarkuję ztąd, bo i król Kazimierz II był sprawiedliwym, a i król Leszek Biały jego rodny syn jest pobożnym, tak samo była i jego matka Helena, tak samo jest i jego żona Grzymisława i jego córka Salusia, i tacy są i bracia jego Konrad, co to sprowadził zakonników czarnych i dał im dużo kraju, aby nawracali pogany. A są tam tacy i biskupi, bo biskup Iwon wyfundował kościoł bogaty w Krakowie Panny Maryi, a krewni jego Jacek i Czesław byli aż w Rzymie, a znowu biskup Wicek Kadłubek tyle robił dobrego i siedzi w klasztorze, a sami zaś Polacy byli u Ojca świętego niedawno i sprowadzili sobie ciało św. Florjana do Krakowa i wyszli 7 mil z procesyą po niego: a kiedy taki król i xięża pobożni, to musi być taki i wszystek lud po wsiach.

I tak gadając co jeno wiedziała dobrego o polskich krajach, gotowała się do podróży, i przyjechała do Polski i została żoną królewica Henryka. A biskup pobłogosławił ich małżeństwo. I była ona dobrą żoną, miłosierną dla ubogich, wstawiała się nieraz za winnymi do męża, żyła jakby jaka uboga, chodziła boso, nieraz nie jadła ani piła, ani się stroiła, jak to robili żli ludzie, ale wszystko dawała biednym, fundowała kilka kościołów, szkoły, szpitale, i tak była dobrą i przystępną dla każdego, że ją znali po imieniu aż po Lwów, Warszawę i do morza dalekiego, choć ona mieszkała sobie za Krakowem w swojem polskiem mieście Wrocławiu.

Jak się o co pokłócili inni z jej mężem, to ona zawsze pięknie i ładnie pogodziła ich i nauczała:

— Ja z innych krajów i obca między wami, a żyję ładnie w zgodzie, a wy jednej ziemi dzieci macie się gniewać na siebie? Toć gniewem nie komu innemu jeno sami sobie szkodzicie i Boga obrażacie.

Gdy król Leszek Biały był zdradliwie w mieście Gąsawie zabity, pozostała po nim mała sześcioletnia sierota, mały Bolcio. A jak to bywa na świecie, że dla bogatej sieroty każdy chciałby być opiekunem, a dla ubogiej sieroty to trudno uprosić kogo na opiekuna, tak też i wtedy było. Zaraz też obaj stryjowie tego Bolcia tj. Konrad, rodny brat króla nieboszczyka, i Henryk stryjeczny brat a mąż świętej Jadwigi, zaczęli się dobijać o opiekę nad małym królewskim synkiem, i byłoby może przyszło do jakiej biedy, jeno święta Jadwiga to pogodziła, i wzięła to dziecię pod swoją opiekę i dobrze zrobiła. Bo jako święta królowa nie chciała krzywdy żadnej dla sieroty, a jako pobożna matka wychowała tę sierotę razem ze swemi dziatkami na dobrego króla. I gdy Bolcio urosł i został już królem, to mu święta Jadwiga wybrała za żonę z Węgier pobożną Kunegundę. która potem została świętą i tyle pamiątek mamy po niej, a sam Bolesław jest nazwany Wstydliwym i błogosławionym dla świętego i czystego życia.

Gdy święta Jadwiga przeżyła 20 lat z mężem i już była spokojną o dzieci swoje, wtedy prosiła męża, aby jej pozwolił wstąpić do jakiego zakonu, aby tam mogła służyć Bogu modlitwą i postami. I poszła sobie święta Jadwiga do klasztoru, który wyfundowała sama w Trzebnicy, i tam razem z trzema córkami była, a córka najstarsza Gertruda została tam potem przełożoną klasztoru. Ale niedługo potem umarł jej mąż Henryk Brodaty, umarło jej dwoch synów, jeno jeden pozostał na ojcowiźnie, także Henryk, a był to bardzo dobry i pobożny królewic, wdał się całkiem w matkę. W trzy lata po śmierci ojca spadła jakaś kara Boża na polski kraj, bo oto Tatary pogany wpadli do kraju, i het od Lwowa zrujnowali kościoły i wioski, a ludzi zabijali aż strach o tem mówić. Król Bolesław uciekł z Krakowa do Węgier, a żona jego Kunegunda skryła się w góry i lasy koło Sącza, a co jeno żyło i było dobre, to uchodziło do krajów świętej Jadwigi. Tam zbierał wojsko polskie królewic młody Henryk, syn świętej Jadwigi, a matka dobra doradzała synowi aby się bronił, i mówiła mu:

— Ty moje dziecko, nie uciekaj z ojcowizny od twego ludu, ale razem z ludem twoim bij poganina, aby ztąd nie wy-

szedł tak lekko, jak tu wlazł. I pobłogosławiła syna i wyprawiła go na wojaczkę. Syn ten dobry stanął z ludem swoim do obrony pod Lignicą na Tatarów, ale Tatarów było 50 na jednego Polaka, to też porąbali tam Tatarzy niejednego naszego, a na końcu zabili i królewica. Otoż i syn świętej Jadwigi Henryk został jakby świętym męczennikiem za swoją ojczyznę, bo bronił i kraju i świętej wiary z kościołami. Jak się o tem dowiedziała święta Jadwiga, rozpłakała się ale nie narzekała i modląc się mówiła:

— Dziękuję ci Boże! że mój syn był dobrem dzieckiem, że mię szanował jako matkę i kochał swój lud polski i swój kraj. Żal mi że umarł tak młody, ale cieszę się, że umarł na takiej wojnie, gdzie razem z swoim ludem bronił i kraju i wiary świętej. Daj mu tam Boże za to niebo na wieki.

I żyła jeszcze święta Jadwiga 30 lat jako zakonnica w Trzebnicy, ale nie na darmo, bo nietylko się modliła i pościła sama, ale dawała z siebie dobry przykład innym zakonnicom, posyłała ciągle jałmużnę ubogim, chorym, i mówiła:

— Trza się modlić, trza pościć i do kościoła chodzić, ale to jeszcze nie wszystko, bo trza jeszcze tyle dobrego robić co jeno można, a wystrzegać się grzechu każdego, a dopiero takie życie podoba się Bogu samemu i ludziom uczciwym.

I przeżyła ona 70 lat; 20 lat była w domu u matki między Niemcami, a 50 lat była w polskim kraju. I wsławił ją Bóg cudami różnemi jeszcze za życia, i umarła z Bogiem tak jak żyła z Bogiem, roku 1243 w klasztorze Trzebnickim dnia 15 października. A gdy miała konać prosiła jeszcze, aby ją pochowano bez parady i na cmentarzu między grobami ludu polskiego, mówiąc:

— Ja za życia nie byłam nic lepszego od drugich jeno grzesznica, jeno stworzenie Boże jak każdy człowiek, a po śmierci zostanę tak prochem jak każdy najbiedniejszy. Ja kochałam Boga i lud polski, to niech mię pochowają koło krzyża na cmentarzu między grobami ludu polskiego.

Po jej śmierci za jakie 20 lat ogłosił ją Ojciec święty za Świętą i za patronkę polskiej krainy.

Otoż módlmy się do niej, aby się przyczyniła za nami do Najświętszej Panny i do Pana Jezusa:

— Święta Jadwigo wstaw się za nami, aby nam dał Pan Jezus takie szczęście, jakie mieli nasi ojce za twego życia, aby było tyle pobożnych i świętych w naszym polskim kraju, ile ich było wtedy, kiedyś ty była na ziemi, i aby była zgoda i miłość braterska między Polakami. Amen.

X. Wojciech z Medyki.

Śpiewka o naszej ziemi.

Prawdać wielka, prawda święta,
Co mówili starzy,
Taka ziemia jak jest Polska,
Nigdzie się nie zdarzy!

Co nie zdarzy, to nie zdarzy
Każdy mi to przyzna,
Komu w sercu zawsze miła
I droga ojczyzna!

Niech kraj cudzy i przemysłem
I pięknością słynie,
Ale za to w naszej ziemi
Miód i mleko płynie.

Pola żyżne, wody rybne,
Jak nasz umysł czyste,
Lasy gęste pełne zwierza,
I łąki paszniste.

Chleba, soli, podostatkiem
Jak Polska szeroka,
Głodu tutaj nikt nie zaznał,
Swój czyli zawłoka!

Oj żywili się i żywią
Jeszcze naszem zbożem,
Cudzoziemskie inne ludy
Gdzieś aż het za morzem!

Złota wprawdzie my nie mamy,
Co się tylko łyska,
Lecz żelaza nam nie braknie
Na pług i szabliska.

Lud odwagę i hartowność
Z gościnnością łączy,
Jeśliś przypadł mu do serca,
Krwi ci swej usączy.

Młodzież skora, jak to mówią:
Do tańca, różańca,
Do modlitwy, do wybitki,
By gromić pohańca!

A dziewczęta hoże, skromne,
I urodne ciałem,
Jeśli cię raz pokochają
To już sercem całem.

Jeśli miłość zaprzysięgły
To i dochowają,
Jako matki, gospodynie
Innym przykład dają.

Polska mowa, święta mowa
Sercom naszym droga,
Miło piosnkę nią zaśpiewać
I pochwalić Boga!

Piosnki nasze takie rzewne
I miłe dla ucha,
Serce, dusza się rozpływa,
Gdy je człowiek słucha.

Prawdać wielka, prawda święta,
Co mówili starzy:
Taka ziemia, jak jest Polska,
Nigdzie się nie zdarzy!

O! w rodzinnej, drogiej ziemi
Pozwól mocny Boże,
Niechaj także między swemi,
Kiedyś kości złożę! —

Jacenty z Magierowa.

Niedźwiedź gadający.

Będzie temu kilkadziesiąt lat, jak we wsi Przybysławskiej Woli pomarli rodzice Wojtka Zaciery. Zaś Wojtek był naonczas małym chłopakiem, dziecko jeszcze, więc go ludzie z miłosierdzia wzięli na wychowanie, bo sam nie umiał sobie dać rady. Owoż chował się Wojtek to u kowala Bartka, to u Jędrzejów Zapłotyńskich, którzy mu byli chrzestnymi, a także u innych z gromady. Każdy byłby sierotce nie pożałował chleba, i wszyscy chętni byli dla niego, choć Wojtek miał bardzo niedobrą naturę dla łakomstwa. Owoż nic się przed nim nie ostało, a choć miał jedzenia dostatek, to codzień robił szkody po ogrodach. Gdzie jaka marchew, rzepa albo groch, tam Wojtek pewnie był w odwidzinach; zaś kędy tylko znalazł się pasternak, tego musiał dostać Wojtek, bo go okrótnie lubił.

Owoż razu jednego wyszukał Wojtek cały zagon pasternaku. Skoro był pewnym że nikt nie widzi, pobiegł i nakopał sobie dobrą wiązkę, a potem ugotował w garnku w kuźni Bartkowej. Kiedy sobie podjadł, chwyciły go wnet okrótne boleści i waryacye, bo to nie był pasternak ale trucizna. Na szczęście był we dworze pan doktor, i ten zaraz począł leczyć Wojtka, a tak uratował go od śmierci. Dawał mu mleka z oliwą, a tak trucizna moc swoją straciła, i Wojtek wyzdrowiał. Została mu tylko ogromna ospałość, tak iż przebudzić się nie mógł, i że go zawsze paliczkami budzono, bo inszej rady nie było.

Owoż porzucił on wnet łakomstwo, i kiedy dorósł, wzięto go na pastucha gromadzkiego, bo był uczciwy i pilny, także rozumu miał właśnie tyle, aby bydło w szkodę nie puszczać. Jeno z owem ospalstwem była turbacya, ale Wojtek chronił się zawsze w polu od spania, i choć na całą okolicę znany był ze spiączki, nigdy gromadzie nie uczynił psoty.

Pastuchował tak dość długo i dobrze. Aż tu razu jednego powraca samo bydło do wsi bez Wojtka, i brakuje z trzody dwoch baranów i jednego wieprzaka rocznego. We wsi gwałt i lament okrótny, ludziska pobiegli po pod lasek, gdzie zwykle Wojtek bydło pasał, wołają, hukają, i wszystko nadaremnie. Poszli więc w las, i tam znaleźli ślady krwi, także kości różne, niby ludzkie, niby zwierzęce. Polękli się więc wszyscy, zaczęli domyślać się i radzić, a w końcu powiedzieli, że pewnie wilki zakradły się, porwały barana i wieprzaka z trzody, a nawet Wojtka zagryzły, kiedy ich chciał bronić.

Owoż pożałowali wszyscy Wojtka, dali na mszę świętą za jego duszę, a potem obrali nowego pastucha. Niezadługo zaginął słuch o Wojtku i przestano o nim gadać, zaś każdy był pewnym, że Wojtka wilki zjadły i że go nie ma na świecie.

We dwa lata poźniej był jarmark w Markuszowie. Ludu było siła, z różnych stron, różne komedye, a także cygani z niedźwiedziem uczonym. Zaś był ten niedźwiedź okrótnie uczony, umiał tańczyć krakowiaka i inne tańce, grał na fujarze, a chodził na dwoch łapach niby człowiek. Dziwowali się ludziska, biegli za niedźwiednikiem, a cyganie kradli tymczasem z wozów i z kieszeń jak się patrzy sprytnym złodziejom. Między ludźmi była tam także Bartkowa kowalka z Przybysławskiej Woli, i gapiła się na niedźwiedzia jak wszyscy inni. Zaś niedźwiedź wyskakiwał różne sztuki, zajadał kiełbasy, wypijał gorzałkę z flaszki, aż się nakoniec upił trochę i począł zataczać. Cygan palnął go batem, a niedźwiedź chcąc zgrabnie skoczyć, trącił się o Bartkowę, popatrzył na nią i nie wiele myśląc zawołał:

— Jak się macie Bartkowa!

Gwałt ogromny między ludźmi, wszyscy wrzeszczą: niedźwiedź zagadał, niedźwiedź gada!

Cygan za kij i do niedźwiedzia, powiada iż się upił, więc pozwala sobie za wiele. Pocznie smarować niedźwiedziowi boki paliczką, a niedźwiedź wrzeszczy w niebogłosy:

— Jezus Marya, a za cóż ty mnie tak katujesz!

Jeszcze większy gwałt i krzyk między ludźmi, aż nadszedł pan burmistrz, zawołał pachołków, i kazał aresztować

niedźwiedzia i cygana, który tak doskonale wyuczył gadać zwierzę. Cyganie w nogi, i uciekli z miasta, a sam tylko niedźwiedź dostał się do kozy.

Kazał go pan burmistrz przyprowadzić przed siebie i pyta:

— Coś ty za jeden?

Niedźwiedź mówi:

— Teraz to już jestem niedźwiedź, jak wielmożny pan widzą; zaś dawniej byłem pastuchem w Przybysławskiej Woli, i zwano mnie Wojtek Zaciera.

Zdziwili się wszyscy okrótnie, a pan burmistrz znowu pyta:

— A jakimże sposobem zostałeś niedźwiedziem?

Na to począł Wojtek rozpowiadać dziwne historye, jak razu jednego pasł bydło, a cyganie przyszli, zaczęli go traktować wódką i upoili dobrze. Zaś kiedy się obudził i wytrzeźwił, już był niedźwiedziem, i musiał różne sztuki robić, a gadać mu nie wolno było, bo cygani zaraz paliczką smarowali. I tak już przywykł do tego, że jest niedźwiedziem, i słuchał ich pięknie zawsze. Dopiero kiedy sobie podpił na jarmarku, zapomniał na zakaz i pozdrowił Bartkowę, bo to jego dawna znajoma i dzieckiem u niej się wychował.

Poznał z tego pan burmistrz i przekonał się, że wtedy, kiedy cyganie Bartka upoili, zdechł im był stary niedźwiedź. Więc zdjęli z niego skórę, i zaszyli w nią Bartka, a pianego na kilka mil od wsi uwieźli, razem z baranami i z prosiakiem. Owe kości i krew, które ludzie z Przybysławskiej Woli w lesie widzieli, były ze zdechłego niedźwiedzia. Zaś Wojtek, któremu od owego otrucia się nie wiele zostało rozumu, dał sobie łatwo wmówić, że się przemienił w niedźwiedzia, i wierzył że zczarowany musi słuchać cyganów.

Kazał więc pan burmistrz odpróć z niego skórę niedźwiedzią, a dać mu koszulę i spodnie, a potem wracać do Przybysławskiej Woli. Tamże został Wojtek znowu pastuchem, ale wyprzysiągł się od wódki, i jako człek porządny a uczciwy i nabożny żył dalej, i pasł bydło jak należy, zaś czasem opowiadał drugim swoją historyę, jak był niedźwiedziem. Opowiadał mi kum Antoni, który w tamte strony jeździł roku łońskiego za różnemi sprawami, że widział jeszcze Wojtka stareńkie-

go, który dziś siedzi przy najstarszym synie na gospodarstwie, i jest człek całkiem zacny i uczciwy, a także w żadne zwierze już się nie przemienia, bo wódki nie pija. Zaś dzieciom i młodszym powiada zawsze, że nie czary ale wódka przemienia ludzi w zwierzęta, w wilkołaki i insze, że wódka różne strachy wyrabia, a każdy co ją pije i upija się to zaraz jest na połowę owem zwierzęciem, co ma znaczny ryj a najlepiej lubi walać się w błocie.

Tę historyę słyszałem ja od Wojtka samego przed kilku laty, i spisałem wam moiściewy w Dzwonku na dobrą naukę. Zaś teraz oddaję was Panu Bogu.

Piękne przykłady.

Miłość synowska.

Często się zdarza, że dzieci są wyrodne, niegodziwe, nie pamiętają na trudy i mozoły rodziców, które dla nich ponosić musieli. Ale są także dzieci pełne dobrych przymiotów i cnót dziecięcych. Posłuchajcie, moi mili, historyi o pewnym chłopcu, którego miłość serdeczna może być dla dziatek pięknym przykładem. Jestto szczera prawda, i dlatego piszę o tem, aby niejedno dziecko wasze miało przykład, jak w podobnej sprawie ma czynić.

W Krakowie, tem ukochanem mieście naszem, nie dawno temu, bo tej oto dopiero zimy, szedłem sobie poźną już godziną do domu plantacyami, które niby wieńcem wspaniały gród opasują do koła.

Skuliłem się chociaż dobrze otulony i szedłem o różnych rzeczach rozmyślając. Mróz był porządny, śnieg prószył gęstemi płatkami, nie we wszystkich już oknach błyszczały światła, a tuż obok mnie nikogo nie było. Nagle doleciało uszu moich ciche a rzewne westchnienie:

— Ach, ach!... Boże, Boże!...

Spojrzawszy za siebie, spostrzegłem biegnącego a widać biednego chłopca, bo go okrywał letni surdut, nie ciepły i nie

cały. Zdziwiłem się mocno dlaczego tak często wzdycha i prędko bieży; czy zimno dokuczliwe, czy go popycha zmartwienie jakie, myślałem sobie i zamiast skręcić na bok w ulicę, szedłem za nim aby się dowiedzieć, dokąd idzie i co on za jeden. Po chwili drogi weszliśmy do jednej wązkiej ulicy. Tu znikł mi chłopiec i wpadł do sieni jednego mizernego domu. Cicho było w około. Mimo zimna zatrzymałem się przed tym domem i podsłuchiwałem, co się dalej stanie. Nagłe posłyszałem boleśne szlochanie i głuche jęczenie:

— To ty Jasiu?... Bądź zdrów — bądź zdrów, już mię nie zobaczysz!...

— O Boże!... co tobie matko?... powiedz, co tobie?...

— Choram... o boli mię... tu!... tu!...

— O rany! — Czy jadłaś mateczko co dzisiaj?

— Jadłam!... był tu doktor, zapisał léki — umrę, nie mam pieniędzy!...

— Biedna matko przestań, przestań, bo i ja zachoruję! —

— Drogi synu! — cóż pocznę?...

— Kto się Bogu poda w opiekę, nie zginie. Wiesz matko, jam w terminie, sam biedę cierpię, ale już nie długo skończy się, zostanę bowiem czeladnikiem.

Wtem zajaśniało światło. Przybliżyłem się do okienka i patrzyłem przezeń do ubogiej izdebki, gdzie leżała chora kobieta, a przy niej płakał jej syn. Wreszcie ściągnąwszy surdut zdejmuje on kamizelkę i koszulę. Wkłada potem tylko surdut na siebie, a koszulę z kamizelką podając matce, tak się odzywa:

— Tę koszulę i kamizelkę, obie niedawno sprawione, każ sprzedać kochana matko, kup lekarstwo, a Bóg miłosierny zlituje się nad nami, zeszle poczciwych ludzi ku pomocy — a ja więcej ci dać teraz nie mogę.

— Będzie ci zimno moje dziecko, jak zajdziesz do domu?...

— Nie matko! Więcej cierpiałaś dla mnie — odpowiedział chłopak — ja mogę choć trochę cierpieć dla ciebie. Wszak życie chętniebym dał za ciebie!...

Po tych słowach zgasło światło, słyszałem tylko płacz i wzdychania. Nie długo wybiegł chłopiec, a widać czas był na

niego, i tylko zapewnie po ukończeniu dziennej roboty wybiedz musiał na chwilę aby odwiedzić matkę.

Przejęty tak wielką miłością synowską — szedłem znowu za nim, chcąc się dowiedzieć, gdzie zostaje w terminie — ale on gdyby lotem strzały znikł mi przed oczyma.

Dowiadywałem się o nim potem, nie mogłem jednak zaspokoić ciekawości mojej, bo matki już nie było w owym domu, gospodarz nie wiedział, gdzie się podziała, a o jej synu nie miałem się kogo zapytać, zresztą i czasu nie miałem za tem chodzić. I tak upłynęło kilka miesięcy. Dzięki sposobności dowiedziałem się o nim. Został już czeladnikiem i dotąd nie zapomina o swojej matce. Ona zdrowa, mieszka z nim razem — a syn co zarobi, to do domu przynosi i przy łasce Boga, u którego pomocy szukali, żyją weseli.

Tak to Bóg dobrym ludziom błogosławi jeśli się zgadzają z jego wolą świętą i spuszczają się na jego opiekę, a osobliwie zaś tym dzieciom, które umią matki i ojców swoich w starości szanować i im dopomagać.

Bierzcie więc przykład miłe dziatki, pamiętając na rodzicielskie prace i starania, bądźcie pomocą rodzicom waszym i posłuszni szanujcie ich wolę jak to biedny Jaś czynił, a niech Bóg zachowa, byście ich opuścili kiedy, wiedząc, że za złe bywa kara, a za dobre uczynki nagroda często na ziemi, a po śmierci w niebie, kędy już najpewniej. Zaś pamiętajcie zawsze na czwarte przykazanie Boże, które powiada: Czcij ojca i matkę twoją, abyś długo i szczęśliwie żył na świecie.

Józef z Bochni.

RÓŻNOŚCI.

Pożary. Dnia 13 października w nocy wybuchł ogień w Wielkich Bronowicach pod Krakowem. Spaliła się stodoła ze zbożem, ale ogień ugaszono niezadługo za pomocą pana dziedzica i xiędza proboszcza, tak że wielkiej szkody nie było.

Ale gorsze było zdarzenie w Trzcnosznie w obwodzie dobczyckim. Kobieta jedna wyszła w pole, a w domu zostawiła dwoje małych dzieci, jedno cztery lat a drugie jeden rok tylko miało. Niedaleko łóżka były siarniki, które dzieci zapaliły. Matka zobaczyła dym z chałupy, pobiegła tam i znalazła oboje dzieci uduszone w dymie i wewnątrz chałupy zgorzało wszystko. Ogień wprawdzie nie poszedł dalej, i w chałupie na środku ugasł, ale śmierć dwojga dzieci to okropna rzecz. Na miłość Boga uważajcie lepiej i chowajcie siarniki, bo już niejedno takie było z nich nieszczęście.

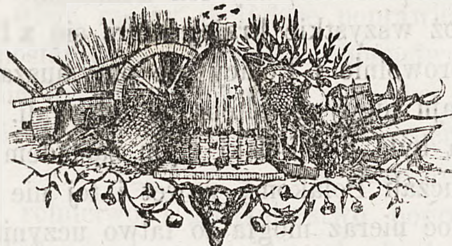
Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.

Tom VII. **Nr. 14.**



11. Listopada. **1862.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Król Stanisław August Poniatowski.

IV. Konstytucya Trzeciego Maja.

Pierwsze rozerwanie Polski była rzecz sromotna i niegodziwa. Polska nigdy sobie na taką sprawę nie zasłużyła. Polacy i królowie polscy byli zawsze ludzie uczciwi i bogobojni, więc nikomu krzywdy takiej nie czynili, nigdy cudzych krajów nie rabowali i nie zdobywali sobie. Każdy sąsiad Polski był bezpieczny, i byle sam nie zaczepiał, to mógł z Polakami żyć zawsze zgodnie jakby z braćmi. Tak bywała zawsze u Polaków wielka uczciwość, i wszyscy o tem wiedzieli i dziwowali się nawet, bo to zazwyczaj ludzie różnie wyrabiają z uczciwością, a najbardziej jeżeli coś zyskać można, to już o nią nie wiele dbają.

Była w Polsce także inna rzecz, a to wielka wolność, bo każdy mógł żyć wedle swego upodobania i chwalić Pana Boga jak umiał, zaś nie uciskano ludzi podatkami, ani rekrutacyą i niczem innem. Owoż było z dawnych czasów w Polsce tak dobrze, jak nigdzie indziej, i dlatego wiele bardzo ludzi przychodziło do Polski na mieszkanie, a każdy naród chciał tak

dobrego rządu jak w Polsce. Dlatego łączyły się z Polską sąsiednie kraje jak Ruś i Litwa, dlatego prosili Prusacy i Inflantczycy królów polskich, aby ich koniecznie wzięli pod swoje panowanie. Owoż wszystkie kraje, które się z Polską złączyły, uczyniły to dobrowolnie i Polacy nie przymuszali ich do tego, ani cudzego kraju nigdy gwałtem nie dobywali. Nawet Moskwę, która od dawna była dla Polski złym sąsiadem, i której carowie ciągle dokuczali Polakom, nawet i tej nie zawojowała nigdy Polska, choć nieraz mogła to łatwo uczynić, jak za króla Stefana, za Zygmunta III, za Władysława IV i innych.

Każdy człek uczciwy powiedziałby, iż za taką uczciwość Polaków należy im wdzięczność od carów moskiewskich. A ci carowie myśleli tylko o tem, jakby krzywdę uczynić Polsce. Takato ich uczciwość była zawsze. Kiedy więc Polska była w różnych biedach, i dobrze obronić się nie mogła, namówił się Moskal z niemieckim Prusakiem, i zrabowali sobie po kawałku kraju polskiego.

Zaś i Prusak ów był taki, któremu najbardziej nie wypadało mieszać się do takiej sprawy. Toćto król polski Zygmunt najpierwej utworzył kraj pruski, którego nie było, i tylko byli rabusie Krzyżacy, którzy naród pruski uciskali. Otóż królowie polscy Łokietek i Jagiełło wyniszczyli Krzyżaków i pobili ich, oswobodzili Prusaków z niewoli ciężkiej, a potem król Kazimierz Jagiellończyk a najbardziej król Zygmunt opiekowali się nimi. Zaś król Zygmunt dał im nawet osobnego xięcia i osobny kraj z nich uczynił, którym się zawsze opiekować mieli królowie polscy. Potem król Jan Kazimierz pozwolił, aby u Prusaków był osobny monarcha. Tak więc były Prusy iście dzieckiem Polski, które królowie polscy wykarmili i wyhodowali, a kiedy to dziecko urosło, a matka jego Polska rozchorzała, to ono z Moskalem przysięgło na zgubę swej matki, i rabowało kraje polskie.

Takato jest prawdziwa sprawa o pierwszem rozerwaniu Polski.

Kiedy się już to nieszczęście stało, jęli Polacy przemyśliwać, jakby temu zaradzić na przyszłość, jakby przyprowadzić Polskę do dawnego znaczenia i do dawnej siły, aby ją

nikt więcej nie mógł szarpać i krzywdzić. Owoż przekonali się, iż według rady i nauki zacnego króla Stanisława Leszczyńskiego trzeba wiele rzeczy w Polsce poprawić. A najpierw potrzeba było postarać się o większe bogactwo i o zamożność, bo do rządzenia krajem trzeba dużo pieniędzy, aby można wszystko to czynić, co jest dla narodu pożytecznem. Dlatego poprawiono handel, bo z tego bywa zysk znaczny i bogactwa niemało. Także rolnictwo i gospodarstwo poprawiano, a to tym sposobem, iż lud wiejski uwalniano od robocizny i pańszczyzny, która podówczas była jeszcze na całym świecie, także iż gospodarstwo dobre zaprowadzono. Najwięcej starali się o to Andrzej Zamojski, Joachim Chreptowicz, Czartoryscy i inni zacni panowie.

Wiele także zasłużył się pewien zacny pan litewski Antoni Tyzenhaus. Ten starał się wszystkiemi sposobami, aby gospodarstwo i przemysł w Polsce poprawić. A iż był człek setnie bogaty, więc najpierw wiele dróg pobudował, bo i to rzecz ważna najbardziej dla handlu. Dalej zakładał bardzo dużo fabryk, gdzie mnóstwo ludzi znajdowało zarobek, a z których wielkie bardzo były bogactwa. Pan ten wiele się zasłużył, i godzien jest przeto dobrej pamięci u wszystkich Polaków.

Zaś najbardziej starano się, aby zaprowadzić dobre nauki, bo nauka znaczy najwięcej. Nauka daje rozum, a kiedy ludzie mają rozum, to sobie zawsze na wszystko dobrą radę znajdą. Owoż tak sam król jak i różni panowie polscy starali się o zaprowadzenie dobrej nauki, zakładali dużo szkół, a w tych uczono wszędzie mądrych rzeczy, jak Pana Boga chwalić uczciwie a żyć na świecie dobrze i szczęśliwie. Król Stanisław August kochał się w mądrości i w ludziach uczonych, więc pomagał im, a tak rosła w Polsce oświata i kwitnął wszelki rozum.

Naostatku jeszcze jedną rzecz trzeba było naprawić, a to prawa polskie, aby rząd był już całkiem dobry i sprawiedliwy. Więc różni panowie różne rady dawali, a najlepszą dał ów zacny pan Andrzej Zamojski, który tak radził. Ponieważ wszyscy ludzie są dziećmi bożemi, więc należy aby wszyscy mieli prawo i wolność jednaką, a to tak pan jak każdy szlachcic

i mieszczanin i wieśniak a nawet żyd. Potem wszyscy włościanie i kmiecie mają być całkiem wolni, i żadnej pańszczyzny nie mają odrabiać. Także radził aby zakładać szkółki dla ludu wiejskiego, gdzieby się dziatki uczyły, a któreby miało dobrą chęć i zdatność, aby mogło także wyjść na xiędza albo i na jakiego pana znacznego. Te rady bardzo się podobały królowi, ale dla różnych przeszkód nie można było zaraz takie dobre prawa zaprowadzić. Dopiero w ośm lat poźniej zebrał król wielki sejm, który aż cztery lata ciągle trwał, i na którym bardzo wiele mądrych i zbawiennych rzeczy postanowiono. Ten sejm zaczął się roku pańskiego 1788 więc temu lat siedmdziesiąt, i nazywa się sejm czteroletni z tej racyi, że przez cztery lata ciągle radził.

Owoż na tym sejmie postanowiono wiele nowych praw, ktore wypracowali różni zacni panowie polscy, więc oprócz Andrzeja Zamojskiego także xiądz Hugo Kołłątaj, Ignacy Potocki, Małachowski i inni, a nawet sam król Stanisław August pracował razem z nimi i pomagał im. Owoż te prawa nazwano Konstytucyą Trzeciego Maja, a były one takie.

Najpierw co do religii i wiary świętej postanowiono, aby każdy chwalił Pana Boga jak umie, gdyż sumienie ludzkie tylko sam Pan Bóg sądzić może, a żaden człowiek. Zaś najpierwsza będzie religia katolicka, wedle której z dawiendawna Polacy żyją, i tylko katolik może być królem polskim. Co się zaś tknie króla, ten odtąd ma sam rządzić w Polsce, a panowie nie mają wichrzyć i sprzeciwiać się jemu. Także ma być król dziedziczny, to jest iż zawsze następuje w panowaniu syn królewski, a już innego obierać nie będą.

Potem ustanowiono, aby w Polsce była równość i wolność dla wszystkich, także aby wszyscy byli sobie braćmi, więc panowie, szlachta, mieszczanie i kmiecie, i dla wszystkich aby było jedno prawo i jedna sprawiedliwość. Zaś najbardziej uważano na to, aby lud wiejski miał wolność dobrą i sprawiedliwość, i aby się nim opiekował sam król polski. Jakoż pewna jest rzecz, że takie wolności i dobre prawa, jakie Polacy dali kmieciom w Konstytucyi Trzeciego Maja, jeszcze dziś nie mają nigdzie wieśniacy. Zaś podówczas była jeszcze wszędzie pań-

szczyzna i inne ciężary, a w Polsce daleko mniej jak w innych krajach, bo u Niemców i indziej niesłychane były uciski. A kiedy w Polsce dano wolność kmieciom, to w żadnym kraju nie chcieli jej dać ludowi. Więc pierwsi Polacy powiedzieli, że lud wiejski to nasi bracia, i należy im taka wolność i takie prawo jak nam, bo oni także są Polakami jak my.

Stało się to w roku pańskim 1791. Był właśnie dzień trzeciego Maja, kiedy na zamku królewskim zebrał się sejm, aby ogłosić konstytucyę. Od rana mnóstwo ludzi zgromadziło się na korytarzach, na dziedzińcu i w całem mieście. Naostatek przyszedł król, zasiadł w sali sejmowej, i wnet odczytano konstytucyę. Potem przysiągł król, że i on i jego następcy wedle nowego prawa panować będą, a po nim cały naród przysięgał w kościele. Wszyscy modlili się gorąco i dziękowali Bogu, a w całym kraju była radość ogromna. Wszyscy bowiem widzieli że owa konstytucya tylko na dobre wyjdzie Polakom, że pod takim rządem ojczyzna nasza przyjdzie znowu do dawnej potęgi i świetności.

Śpiewka sieroty.

Albo ja wiem co się dzieje?
Wszystko się radośnie śmieje,
Wszystko szczęśliwe na świecie —
A ja jeden smutny przecie.

Śpiewa ptaszek we wiklinie,
Śpiewał wczoraj, śpiewa ninie,
Jutro znowu śpiewać będzie —
Tylko ja sam smutny wszędzie.

Wesół kwiatek pije rosę,
A wierzba rozplata kosę,
Wciąż weselsze, wciąż ruchawsze —
A ja jeden smutny zawsze.

Wesolutko słońce grzeje,
Jasność na świat boży sieje,
Wciąż ogniste w nieba stoku —
A ja przecie łzy mam w oku.

O dla Boga co się dzieje!
Czemu serce się nie śmieje!
Czemu smutno jest sierocie!
Czemu braknie na ochocie!...

NAWIEDZONA
czyli od djabła opętana.

(Zdarzenie prawdziwe.)

Tyle razy już wam drukowaliśmy, że gorzałka jest przyczyną wszelkiego nieszczęścia, że z pijaństwa tylko jest obraza Boża i nienawiść ludzka, bo nigdy żaden gospodarz nie pokłóci się z gospodarzem, brat z bratem, kum z kumem, nigdy nie będzie wyzywał bliźniego nieuczciwie, jeżeli mu półkwaterek w głowie nie zaszumi. My wszyscy ludzie na tym świecie wiemy o tem, a jednak otrząsnąć się nie możemy z tego brzydkiego nałogu, i choć xięża nam to naganiają, my niby to słuchamy, obiecujemy poprawę na świętej spowiedzi, a jak tylko odejdziemy od konfesjonału, zaraz na drodze do domu mówi kum do kuma: a wartoby wstąpić do karczmy, bo jakoś mi dziś niedobrze, coś mi kruczy po żołądku. Gdyby tam jeszcze skończyć na jednym kieliszku, nie byłoby nic od rzeczy, bo jak zimno, mróz tęgi, dobrze się i rozgrzać, albo jak człek spracowany to jeden kieliszek orzeźwi, ale nieraz za jednym, drugi, trzeci, czwarty i dalsze; niedarmo też to ludzie gadają, że co nadto to i trzoda nie lubi — a jak też sobie kwaterkę który golnie, to z pewnością nie pójdzie na orzeźwienie, ale na pociechę djabłu.

A jeżelibyście byli radzi posłuchać, to ja wam to tak wytłómaczę: są tacy co powiadają, że gorzałka nikomu zdrowia nie odbiera, a ja im na to tak odpowiem — wybierzcie sobie jaką rzecz, którą najlepiej jeść lubicie co kto chce, ja zaś wezmę za przykład chleb, co go z łaski Pana Boga codziennie pożywamy i starzy i młodzi, zjedzcie tego chleba duży bochenek lub więcej na próbę i zobaczcie co będzie — każdy co go zje zadużo, rozchoruje się i bez leków się nie obejdzie — a przecież wszyscy ludzie chleb jedzą i nikomu nie szkodzi. To prawda, ale tylko dotąd, póki w mierze użyty; tak samo to

i z wódką, wypić jeden kieliszek to zdrowiu nie zaszkodzi, a kto całego nie może to niech pół wypije, a komu kapka szkodzi, niech kropli do ust nie weźmie, a nie będzie pijaństwa między ludźmi. Przecież w siedmiu grzechach głównych, co je każden katolik umie na pamięć, jest wykazane i pijaństwo, więc to się Panu Bogu sprzeciwia i jest śmiertelnym grzechem.

I cóż to za pociecha z tej wódki! Z początku człeka rozwesela, pożniej głowa robi się ociężałą, a gdy wyjdzie z karczmy i ulicą taki człek idzie, tacza się na wszystkie strony, a ludzie wyśmiewają się i omijając z pogardą wołają: a to pijaczysko jakiś! A kiedy już do reszty go rozmarzy, legnie gdzie w rowie albo kałuży i leży jak zwierzę bezrozumne, dopóki jaki litościwy człowiek nie nadejdzie i jeżeli zna, do domu nie doprowadzi. Każdemu uczciwemu człowiekowi serce się kraje z żałości, jak ujrzy swego bliźniego w takiej bydlęcej zapamiętałości. A że mnie Pan Bóg w Trójcy jedyny i Najświętsza Panienka królowa nasza polska od takiej bezpamięci i sromoty chroni, a ludzi dużo znam takich, co w tym brzydkim nałogu trwają, więc dla nauki i opamiętania wszystkich braci Polaków opowiem wam jedno zdarzenie, com je słyszał z ust jednego xiędza, który dzisiaj już nie żyje — Panie świeć nad duszą jego.

W pewnej wsi, której nazwiska zapomniałem, mieszkał gospodarz nazwiskiem Święcina Mateusz, bardzo poczciwy i nabożny człowiek, lubiony od całej gromady, a miał żonę Baśkę, jak to powiadają sekutnicę babę, złą jak czarownicę, która mu nigdy spokoju nie dawała, jeno ciągle kłótnie z nim rozpoczynała, o czem on wiedząc najstaranniej tego unikał — ale czasem wyszedł z cierpliwości i poturbowali się trochę. Tak to uchodziło lat kilka. A wiecie wy też zkąd to była ta złość? odpowiecie mi pewnie, że już taką naturę miała, o nie! jak się to przy końcu okaże nie była to natura, ale gorzałka przez nią takie licho sprowadzała, bo dzień do dnia pijaną była. Raz więc gdy mąż nie chciał dać na gorzałkę, pobiegła do karczmy, wypiła na kredyt kwaterkę od razu i rozmarzona wróciła do domu. Mateusz poszedł w pole z sierpem. Baśka nie miała na kogo złości swej obrócić, więc porwała łuczywo, zapaliła je

i podłożyła ogień pod chałupę, sama zaś ledwie już na nogach utrzymać się mogąc, położyła się w łóżko pod pierzynę i jak zabita usnęła; ogień ogarnął chatę, która będąc drewnianą paliła się prędko, a nim ludzie nadbiegli na ratunek z pola i zdołali wynieść z izby małe dzieci, już poparzone okropnie w męczarniach wkrótce życia dokonały; z samą nie wiedzieli co się stało, ratując jednak rzeczy z ognia wynieśli także zaczynające się już od spodu palić łóżko, i ze zdziwieniem ujrzeli Baśkę leżącą pod pierzyną nawet niepoparzoną, ale pijaniuteńką i nic o Bożym świecie niewiedzącą. Gdy się po kilku godzinach obudziła i otrzeźwiała cokolwiek, natychmiast spostrzegła złe, którego była powodem, a nie wiedząc sposobu jak się ma z tego wykręcić, zaczęła udawać nawiedzoną, to jest od djabła opętaną.

Jak to zwyczajnie ze wsi ludziska, choć poczciwi i katolicy, a jednak w gusła, zażegnywania i opętania przez djabła wierzą — choć się to sprzeciwia świętej religii i temu co Pan Jezus przyszedłszy na świat nauczał, choć xięża za to na spowiedzi gromią. A żeby się nauczyli czytać i pisać, toby w rozmaitych mądrych xiążkach wyczytali, że takim głupstwom wiary nie trzeba dawać. Baśka udawała ciągle nawiedzoną, to jest opętaną; wykrzywiając twarz, przewracając oczy, wykrzykując różne brednie; jak zaś kto krzyżem świętym ją przeżegnał, to się przewracała i tarzała po ziemi jakby w najokropniejszych konwulsjach i krzyczała, że ma w sobie zadanego djabła, co ciągle jej wołał, żeby mu gorzałki dawała. Poczciwy Mateusz zesmutniały na prawdę, myślał że jego żona ma zadanego, i ciągle jej gorzałkę kupował. Tak to potrwało ze dwa lata, a choć był zamożnym gospodarzem, jednak takie niepotrzebne wydatki niszczyły go, znowu więc przez swoją ciemnotę, nie wiedząc co począć i nie słuchając perswazyi ludzi rozumnych, jeździł od owczarzy do owczarzy, od guślarzy do guślarzy, a gdy to nie pomagało, zaczął jeździć po świętych miejscach, do Częstochowy, Łagiewnik i innych klasztorów gdzie odpusty się odbywały — ale coż kiedy na każdym musiał z kwaterkę wódki kupić. Gdy już kabza się wypróżniła, a baba coraz więcej wołała: wódki! wódki! pić! pić!— nasz Mateusz udał się

w końcu do własnego proboszcza i opowiedział mu wszystko. Poczciwy i litościwy dla biednych proboszcz zastanowił się chwilę, potem kazał przywołać organistę, sołtysa i dwoch gospodarzy ze wsi. Organiście polecił przynieść ampułkę nieużywaną jeszcze do niczego, co to służy do mszy św. do wina, i z kuchni wziął denko od faski od masła, niby patenę i kadzidła jeszcze niepoświęcanego, to wszystko obecnym pokazał. W ampułkę kazał nabrać wody ze strumienia, denko od faski obwinął w serwetę białą i tak wszyscy poszli do chaty Mateusza. Baba latała po izbie i dokazywała, a xiądz i obecni wchodząc powiedzieli: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus,“ baba gdy to usłyszała z wielkim krzykiem schowała się pod łóżko. Xiądz wziął ampułkę z wodą ze strugi i pokropił ją, a ona zaczęła krzyczeć bez przestanku: nie parz święconą wodą! Xiądz obrócił się do obecnych i powiedział: widzicie że to nieświęcona, boć sami ją z potoku przynieśliście. Teraz wszyscy opętani od djabła, to rozumieją i umieją mówić wszyskiemi językami, więc naprzód zaczyna do niej po niemiecku mówić, bo ten język djabli najlepiej lubią — a ona powiada że go nie rozumie, i woła ciągle: nie parz! nie parz! Poźniej po francuzku i po polsku, a baba ciągle krzyczy — nachyla się xiądz pod łóżko, dotyka ją denkiem niby pateną święconą, a ona swoje ciągle — prosi jej by wylazła z pod łóżka, nic nie pomoże — okadza kadzidłem niepoświęconem, ta jeszcze więcej krzyczy. Wtedy xiądz wyprowadził wszystkich z chałupy i przekonywał, że nie ma w sobie djabła tylko udaje, bo rzeczy nie były poświęcone, a ona gadała że ją parzy, i nie ma innej rady, tylko Mateuszu przyprowadźcie ją jutro na mszę świętą, proście Boga gorąco, może to nieszczęście odmienić raczy.

Nazajutrz cała gromada zbiera się do kościoła prowadząc tam Baśkę, trzymają podczas mszy świętej, żeby nie uciekła, a jak przyszło podniesienie, to ona najwięcej krzyczała. Proboszcz spokojnie nabożeństwo odprawił, a po skończeniu którego kazał ją wyprowadzić w pole za cmentarz, tam się zebrali wszyscy. Xiądz kazał ją położyć na ziemi i trzymać. Mateusz zaczął prosić, że ona taka chora, nie wytrzyma cięgów; ale

proboszcz nieuważając na jego prośby, rzekł: „innego sposobu nie widzę na wyleczenie jej z tej choroby udanej, jak ten.“ Więc na znak dobrodzieja organista zaczął okładać rózgami, a xiądz proboszcz mówił: a nie obrażaj Pana Boga i wszystkich świętych! a nie okpiwaj ludzi! a nie męcz ich swojemi dokazywaniami i za każdym razem okładał. Z początku baba krzyczała, ale gdy już ją poczynało boleć, krzyknęła: Dobrodzieju! ojcze! już nie mam w sobie djabła, już uciekł ze mnie djabeł! Cała gromada zaczęła się śmiać, a proboszcz powiedział do obecnych: jakoś djabłu naprzykrzyła się gorzałka w tej kobiecie z takiemi delicjami jak te, pokazując na rózgę.

Baba padła do nóg xiędzu, zaczęła przepraszać że ona sama nie wie co się z nią robiło, ale że przyrzeka poprawę i że już djabeł w niej nie będzie siedział. Proboszcz powiedział przy tej okazji naukę, wykazując do czego ta gorzałka doprowadzić może, a Mateusz ze wszystkich najwięcej xiędzu dziękował. Ale kobiecie tak się żal i wstyd zrobiło, że w nocy uciekła ze wsi i przepadła jak kamień w wodę. Trzy lata upływało, a jej jak nie widać tak nie widać. Dobrodziejowi markotno było, a Mateuszowi jeszcze bardziej, aż tu jednego dnia wchodzi Baśka do chałupy męża: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus woła, i rzucając mu się na szyję, wita go i powiada: że uciekła ze wsi, chodziła długo po świętych miejscach, poźniej na wyrobek, ale jej tęskno było do męża — i powróciła i była odtąd najlepszą żoną i gospodynią; nigdy kieliszka wódki do ust nie wzięła.

Z Kmiotka. *Piotr Nalasko.*

Piękne przykłady.

Parafia w Mościskach.

Miarkuję ja sam po sobie, że jušci tam nauka choćby najlepsza nie tyle skutkuje jak dobry przykład. Jeżeli to człowiek sam uwidzi albo usłyszy, jak to ludziska tu i owdzie pięknie sobie poczynają, to i ucieszy się setnie, i zaraz ochota zbiera człowieka, aby także nie pozostać w tyle. A iż to znowu we-

dle mego rozumienia powinnością jest każdego człowieka udzielić tego chętnie i drugiemu, co się pięknego uwidzi lub zasłyszy, jak to nieprzymierzając dzieli się chlebem i solą, toć też moiściewy kochani podaję wam z tej racyi krótkie pisanie o Mościskach.

W lecie jeszcze na Matkę Boską zielną ofiarowałem się pójść na Kalwaryę, a idąc na drugi dzień w sobotę z powrotem, zatrzymała się cała kompanja przed wieczorem w Mościskach, gdzie to nas wszystkich, jak za zwyczaj co roku, tamtejszy proboszcz xiądz kanonik Jan Szafrański przyjął na probostwo na nocleg. Wielce byłem rad temu, że mi się nadarzyła sposobność rozpatrzyć się trochę w Mościskach, o których już nie raz i nie jedno dobre słyszałem.

Owoż miasteczko Mościska ma bardzo wielką parafję, bo liczy kilkanaście wsi i przysiółek na okół. Ależ bo to nietylko wielka ta parafja, i nie dla swej wielkości słynie tak wszędzie, jeno dla swych cnót, co to o nich głośno mówią po całej przemyskiej ziemi i dalej jeszcze. Jedź sobie człowiecze z której chcesz strony, a skoro jeno obaczysz całe gromady czyściutko i bialutko poubierane, z xiążeczkami i koronkami w rękach, które ujrzawszy cię pochwalą Pana Boga, to bądź pewnym, że jesteś blisko Mościsk, i że przed czasem jeszcze staniesz na służbę Bożą. Myślałby sobie niejeden uwidziawszy tak wszystkich mężczyzn co do jednego poustrajanych w bieluśkie płótnianki, niebieskie kamizelki i czarne niskie kapeluchy, a kobiety i dziewuchy także w białe spodnice i rańtuchy — że to iście albo wesele albo jaka wielka uroczystość, a to tymczasem nic innego, jeno zwykła niedziela.

— Hej, hej! mocny Boże — pomyślałem sobie — czemu to tak nie wszędzie. Jak to często na wielu miejscach można zobaczyć jeszcze, że chłop w podartej, zamazionej i zabłoconej płótniance, z czarnemi od gnoju i niemytemi przez tydzień rękami, a baba znowu w smolnej jak sadza i od miesiąca niezmienianej koszuli, a w czarnej jak cholewa malowance, suną do domu Bożego nieprzymierzając jak bydlęta do chlewu. Między takimi niechlujami porządnemu człowiekowi nawet i stać niemiło, i temu też czy to pan dziedzic, czy wokonom, czy

nawet dworski jaki nie rad z nimi przystają. A pytam się was teraz moiściewy kochani, czy to tak trudno porzucić to niechlujstwo, co to innych obrzydza, a stać się czystym i ochędożnym jak się patrzy. A niech się nikt nie zastawia, że go nie stać na to, boć to do utrzymania czystości nie potrzeba nic innego, jeno zdrowych rąk, a tych widzi mi się, mało komu brakuje. Już tam gdzie jak gdzie, ale w kościele potrzeba koniecznie na to uważać, bo jeżeli idąc do pana wciągamy z uszanowania jaki czysty łach na siebie, toć tem bardziej i Panu Bogu takie uszanowanie się należy.

Odstąpiłem trochę od rzeczy, ale wybaczcie mi łaskawie, boć to trudno utrzymać coś takiego za zębami, i koniecznie korci człowieka wypowiedzieć to co go boli, a pióro to ot tak samo uwija się po papierze, że go ani rusz powstrzymać.

Owoż w tej parafji Mościskiej, o której wam pisać począłem, odznacza się lud szczególną pobożnością. Zajrzyj jeno kiedybądź do kościoła, a będziesz myślał że to jaki odpust, tak tam ludu nabito, iżbyś nawet i palca nigdzie nie wściubił. Rozglądniesz się człeku bliżej po kościele, to aż osłupiejesz, gdy obaczysz jak to wszyscy od małego do wielkiego modlą się pięknie na xiążeczkach, a jeżeliś sam nie piśmienny, to spuściwszy oczy w dół wyniesiesz się ze wstydem z kościoła. Przedwszystkiem zaś ukochali sobie ci pobożni ludzie Mateńkę Boską, i szczególne mają do niej nabożeństwo. Gdym po raz pierwszy uwidział, jak to wszyscy klęcząc nabożnie wyśpiewywali z xiążeczek godzinki, różaniec i litanię do Matki Boskiej, to aż łzy puściły mi się z ócz ciurkiem, a gdy między innemi doleciały mnie słowa: Królowo korony polskiej, to tak mi z rozczulenia parło coś na sercu, że mało mi piersi nie pękły. Na taki widok przypomniały mi się czasy owe, gdzie to z wielką ufnością czczono i miłowano najśw. Pannę Maryę, a ta najmożniejsza i najmiłościwsza Pani i Królowa z turbacyi naród polski wyratowała. Nie pozostaje i teraz ta nasza Orędowniczka być na nas łaskawą, jeno cobyśmy się wszyscy idąc za dobrym przykładem w każdym ucisku do niej uciekali, i jako patronce naszej prawdziwą cześć oddawali.

Widząc taką przykładną pobożność tego ludu, rad byłem też dowiedzieć się, kto to wszystko tak pięknie prowadzi. Wyszedłszy więc z kościoła zaszedłem sobie z ciekawości z jakimś gazdą w rozmowę, a ten mnie dopiero z największą chęcią we wszystkiem oświecił. I tak powiadał mi, że choć to lud sam z pokolenia w pokolenie ową pobożność utrzymuje, toć prawie najwięcej do tego się przyczyniają tamtejsi xięża wikarjusze x. Niedzielski i x. Radecki. I mówił mi dalej, jak to owi xięża garną lud do siebie, jak go troskliwie nauczają i jak to małe dzieci ową historyę polską i inne powieści z Dzwonka z wielką ochotą powtarzają, a wszystkie pieśni ułożone przez xiędza Wojciecha z Medyki umieją jak pacierz na pamięć.

Słysząc tyle dobrego o tych niezmordowanych xiężach, umyśliłem także za jednym zachodem udać się jeszcze do nich, abym sobie potem tego nie wyrzucał, że byłem w Rzymie a nie widziałem Ojca św. I tak sobie pomyślawszy poszedłem do xiędza Niedzielskiego, który mię też bardzo przyjął łaskawie. Napatrzył ja się tam dopiero, jak to ów wierny ludek swego pasterza szanuje. Drzwi się nie zamykały od tego natłoku, co tu się pchał po radę, pociechę lub pogodzenie jakiej sprawy. A już najwięcej zadziwiła mnie jedna wiejska kobieta, co to przychodzi do xiędza i wyjmuje 50 nowych reńskich, ofiarując takowe na sprawienie czarnej kapy do kościoła, a w końcu dodaje: niech jeno dobrodziej będą łaskawi nikomu o tem nie powiadać, od kogo ta ofiara pochodzi. Podziękowawszy jej pięknie xiądz Niedzielski dodał także, że choć tego przed ludźmi nie wyjawi, toć za to Pan Bóg zapisze sobie imię jej w xiędze zasług, według onych słów z pisma świętego: Jeżeli ofiarę czynisz, nie trąb tego przed światem, jak to czynią obłudnicy, ty zaś, jeżeli czynisz ofiarę to dawaj tak, aby prawica nie widziała, co lewica robi, aby tak ofiara twoja została w skrytości, a Pan Bóg, który wszystko widzi, pewnie ci ją wynagrodzi. A gdym ja podziwiał ową ofiarę biednej wieśniaczki, która nie mały czas musiała czekać, nim tyle pieniędzy uciułała — powiedział mi xiądz, że to nic dziwnego, bo on często takie dowody pobożności swych owieczek odbiera. Wnet też nadeszli starsi z bractwa, którym xiądz Niedzielski także ten

wypadek opowiedział, nie wymieniając jednak nazwiska owej kobiety, i dając sam na początek dwa reńskich, prosił ich, aby pomiędzy sobą zrobili składkę, bo zebrawszy jeszcze ze 20 zł., można sprawić porządną kapę, a owa biedaczka będzie miała ztąd wielką radość. Z największą chęcią obiecało bractwo złożyć te pieniądze, a xiądz Niedzielski znowu przyrzekł napisać do pani Wężykowej do Krakowa, gdzie to istnieje takie towarzystwo pobożnych pań, które się zajmują robotą kościelnych rzeczy, nie żądając oprócz zwrócenia kosztów za materyę, żadnego wynadgrodzenia za swoje trudy.

Czas było już na nieszpory, więc i ja pożegnałem szanownego xiędza, a wychodząc z Mościsk, pomyślałem sobie: czemu to tak nie wszędzie!...

Opisałem wam ten lud Mościski, bracia kochani, abyście go sobie wzięli za przykład, a przytem czasem westchnęli do Boga, aby tych gorliwych xięży wspierał swą łaską i opieką.

Jacenty z Magierowa.

Rady lekarskie.

1. Na zapalenie śledziony u bydła.

Bardzo przykra słabość dla bydła jest zapalenie śledziony. Jak się gdzie ta choroba pokaże, to w całej okolicy wyginie bydło, i żadnego na to nie ma sposobu. A iż to nieszczęście co roku prawie w jakiem miejscu następuje, więc i co roku nowy bywa lament i nowe kłopoty, i zawsze po dawnemu skarzą się ludzie, że nie ma na to dobrego ratunku. Zaś niedawno znalazł się sposób przypadkiem, a to się tak stało.

Gospodarz pewien miał łąkę za rzeką, a tę wypasano mu co nocy. Biedaczysko nie wiedział żadnej na to rady, bo łotrzyki pastuchy dobrze uważali aby ich nie schwytał. Owoż myśli on sobie: Mają mi drudzy wypasać łąkę, to ja sam wolę wykarmić na niej moje bydło. Toć i tak innego pożytku mieć nie będę, i siana w żaden sposób nie dochowam się. Potem co rana pędził bydło przez rzekę na oną łąkę, a wieczorem nazad znowu przez rzekę przypędzał do domu.

Zaś niebawem powstała w całej okolicy straszna choroba na bydło, zapalenie śledziony, i w całej też okolicy padało bydło jak muchy. Ów gospodarz czeka jeno, rychło i na niego padnie nieszczęście. Tymczasem przechowało mu się bydełko zdrowiuteńkie, i ani jedno nie zachorzało. Dziwowali się temu wszyscy jakby cudowi jakiemu, i sam gospodarz nie mógł zmiarkować, z jakiej to racyi tak mu się szczęści. Naostatek domyślił się ktoś mądrzejszy, że to pławienie bydła ochroniło go od choroby. Zaś tak jest na prawdę, i choroba nie czepi się nigdy bydlęcia, które często we wodzie bywa pławione.

2. Na ból głowy.

Do Szkółki niedzielnej podał Antek Gołaś doskonały sposób na ból głowy, o którym ja wiem dobrze, że on nie jednemu pomaga, bo i mnie razu jednego pomógł także. Zaś jestto bardzo łatwy sposób. Trzeba utrzeć trochę chrzanu i nakryć go szklanką albo kieliszkiem, a kiedy tak jakiś czas postoi, dać oną szklankę powąchać temu, którego boli głowa. Tym sposobem tęgo w nosie zakręci, i aż świeczki staną w oczach, ale ból głowy ustanie. Prawdać to, że ten sposób nie zawsze pomaga, bo nieraz boli głowa z inszej jakiej przyczyny. Ale spróbować nie zawadzi i nie zaszkodzi, najbardziej wedle tego, że łatwo może pomódz.

RÓŻNOŚCI.

List Józefa Grzegorzaka. Pewien kmieć z Przedmieścia, wsi w obwodzie Sanockim, który się zwie Józef Grzegorzak, napisał list, w którym donosi o takim pięknym wypadku. Pan hrabia Alexander Krasicki ze Siecina podarował dawnym swoim poddanym z gromad Przedmieścia, Czerwonki i Śliwnicy, więcej jak sześć tysięcy reńskich nowych, które mu oni byli winni. Za taką dobroć i łaskę chciały się wywdzięczyć gromady, i zakupiły w kościele parafialnym w Dubiecku żałobne nabożeństwo za duszę świętej pamięci ojca pana hrabiego, Macieja. Dnia 31. października odbyło się to nabożeństwo bardzo pięknie, i wiele ludu było na niem. Był także pan hrabia ze Siecina, który bardzo wdzięczny jest gromadom owym za ich dobre serce i za ich pamięć. Jużci takim wdzięcznym ludziom warto dobrze uczynić i pomódz im w każdej biedzie.

Chłopiec zbłąkany. We wsi Bramury w Płockiem zdarzył się przed kilku tygodniami następny wypadek. Mieszkają tam gospodarze pewni, którzy mają kilkoro dzieci. Jednego dnia poszli do miasta na jarmark, a w domu zostawili pięcioletniego chłopaka; zaś starsi bracia poszli paść bydło. W południe wyszedł ów malec z domu, aby pójść do braci w pole. Tymczasem zaszedł do lasu, zaczął zbierać kwiatki, i zapomniał całkiem że w inną stronę poszedł jak byli bracia. Hukał czasem do braci a oni do niego, ale w końcu sprzykrzyło się małemu krzyczeć i był cicho a szedł ciągle w las. Bracia myśleli że poszedł do domu, i wieczór powracają także. Aż tu w domu nie było go. Nadchodzą rodzice, zbierają sąsiadów, i wszyscy idą do lasu szukać małego, ale nadaremnie. Co się tam kobiety napłakały, a najbardziej matka, to aż serce się krajało. Na drugi dzień znowu wszyscy szukają, i znowu go nie ma. Dowiedzieli się o tem nieszczęściu ludzie w okolicy, dowiedzieli różni panowie, więc z ludźmi chodzili szukać, robili obławy i Bóg wie co, a malca jak nie ma tak nie ma. W końcu wszyscy pomyśleli że już przepadł, i naszukawszy się przez sześć dni, w końcu przestali. Biedni rodzice z wielkiego smutku pochorowali się bardzo, i smutek był wielki.

Siódmego dnia poźniej pastuszek jeden z okolicznej wioski pasł bydło pod lasem. Jedna jałówka uciekła mu w las, a on za nią pobiegł. Szedł coraz dalej za klekotką w gęstwinę, i tak zaszedł w bardzo dzikie zarośla. Wtedy usłyszał jakieś ciche jęczenie, więc pobiegł do onego miejsca i zobaczył leżące dziecko, z twarzą siną i tak omdlałe, że się nie mogło ani podnieść, ani odpowiedzieć na pytania. Pastuszek domyślał się, że to owo zbłąkane dziecko, i zaniósł je do Bramur. Tam oddał je rodzicom, a chłopak w kilka dni wyzdrowiał.

Wtedy dopiero opowiedział, że zaszedłszy w las i nazbierawszy dosyć kwiatków, usnął bardzo mocno, i dopiero o zmroku się obudził. Zabłąkany nie wiedział którędy pójść. Chciał wołać, ale zmrok, szum drzew i krzyki ptaków, a naostatek jakieś wołanie z daleka nastraszyło go tak, że zaczął uciekać. Słyszał właśnie wołanie ludzi, którzy go szukali, ale mały nastraszył się tylko. Potem biegł ciągle i wyszedł na błotnistą łąkę, gdzie upadł zmęczony na ziemię i usnął. Spał bardzo długo. Kiedy się obudził, ciągle mu się widziały jakieś strachy i zbójce, przed którymi chował się pod krzaki. Przez cały czas tylko trzy razy listkiem zaczerpnął sobie wody, a jak się już nie mógł ruszyć z miejsca, to mu się i jeść nie chciało, tak był osłabiony. Dalej nic nie wie, co się z nim działo, i dopiero wtenczas przyszedł do przytomności, kiedy usłyszał głos matki.

Dzięki Bogu że się na strachu tylko skończyło.

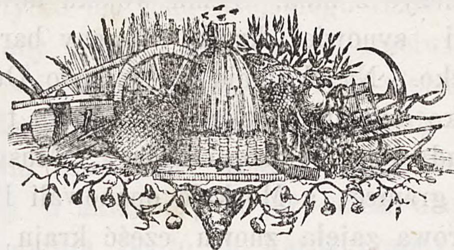
Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.

Tom VII.



Nr. 15.

21. Listopada. 1862.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Król Stanisław August Poniatowski.

V. Drugie rozerwanie Polski.

Kiedy ogłoszono Konstytucyę Trzeciego Maja, chwalili ją ludzie bardzo. A najpierw wszyscy Polacy dobrzy cieszyli się nią, zaś nawet inne narody i obcy królowie bardzo ją chwalili. Tak Francuzi, Anglicy, Niemcy różni i król pruski, który należał do pierwszego rozerwania Polski, wszyscy ci przysłali swoich posłów do Polski, aby pochwalić konstytucyę, i wszyscy obiecywali, że będą tej konstytucyi bronić, aby jej żaden nieprzyjaciel nie przeszkadzał.

Tymczasem byli jeszcze i źli ludziska, którym się nic dobrego nie mogło podobać. A do tych należeli najpierw Moskale. Owoż ci Moskale i ich carowa zaczęli buntować niektórych panów polskich, że ta konstytucya nie wyjdzie na dobre, bo panowie nie mają już takiej wolności jak dawniej, i insze rzeczy. Zbuntowali tak dwoch złych panów polskich, którzy się zwali Szczęsny Potocki i Seweryn Rzewuski. Ci panowie zrobili konfederacyę Targowicką, aby konstytucyę zniszczyć, a carowa przysłała im na pomoc okrutną liczbę wojska moskiewskiego.

Owoż zaczęły się nowe nieszczęścia. Moskale zaczęli dawnym obyczajem rabować i niszczyć kraj polski. Wojsko polskie poszło walczyć z nimi. Temu wojsku dowodził xiążę Józef Poniatowski, synowiec króla, i zacny bardzo jenerał Tadeusz Kościuszko. Na Wołyniu jest miasto Dubienka, a tam pobił Kościuszko dzielnie Moskali. Ale było tych Moskali tak wiele, że im rady dać nie mogli Polacy. Musieli znowu ustąpić i pójść za granicę, a Moskale opanowali Polskę.

Wtedy carowa zajęła znowu część kraju, to jest kawał Podola i Wołynia. Dopiero natenczas poznali owi obaj panowie, którzy się dali zbałamucić carowej, dla czego ona ich buntowała i pomagała im. Obaj też ze zgryzoty i smutku zginęli poźniej marnie. Zaś ów król pruski, który chwalił Konstytucyę i obiecywał bronić Polskę, także naonczas posłał wojsko swoje do Polski, i zajął dla siebie Wielkopolskę, a nawet miasto Gdańsk. Taka to była uczciwość u Prusaka, i takie było drugie rozerwanie Polski.

Stało się to w roku pańskim 1793.

Piosnki wiejskie.

Wydrukowano teraz bardzo piękną xiążeczkę, która się zwie: „Piosnki wiejskie dla ochronek z przygrywką Teofila Lenartowicza". Ułożył je więc tenci Lenartowicz, który jest człek bardzo zacny, i którego różne piękne piosenki już nieraz drukowaliśmy wam w Dzwonku. Zaś teraz mieszka on daleko za granicą, aż w kraju włoskim, gdzieto była wojna dwa roki temu. Ten Lenartowicz urodził się w Polsce, i Polskę też nad wszystko miłuje, i tęskni ciągle okrótnie za tą kochaną ojczyzną, a z tej wielkiej tęsknoty choruje nawet ciągle. Zaś najgorsza rzecz, iż nie ma pociechy, aby mógł wrócić do kraju, który tak bardzo ukochał. Daj Boże aby się to odmieniło. Bo też to rzadko tak poczciwego człowieka jak Lenartowicz. Choć sam ciągle w biedzie i w nieszczęściu, to zaś ciągle tylko myśli o swoich braciach polskich, a najbardziej o ludziach wiejskich, których on bardzo kocha i dla ich dobra przez całe życie pracuje. A iż mu Bóg wszechmogący i najświętsza Pan-

na Marya królowa polska dali taki rozum i dowcip, że cudnie piękne wierszyki potrafi składać, owoż układa on przez całe życie prawie tylko dla ludu wiejskiego różne piękne wierszyki i modlitwy, aby niemi i Pana Boga uczciwie mogli chwalić, a także rozweselić się i nauczyć z nich niejednego.

Zaś pewna rzecz, iż kiedy człek umie piękną modlitwę jaką, to mu się wnet lepiej modli do Pana Boga. A dla piosenki nabożnej a składnej, to już człek niepotrafiłby pożałować spiewu i gardła. Bo to nie każdy uczony, i nie każdy potrafi rzecz jaką pięknie opowiedzieć jakby chciał i jak się patrzy. Idąc do pana albo do xiędza dobrodzieja, to niejeden turbuje się i głowę suszy, jakby się ta opowiedzieć pięknie i wyraźnie, żeby nie było sromoty, iż człek gębę ma tylko do jedzenia a nic mądrego z niej nie wypuści. A coż dopiero kiedy przyjdzie do rozmowy z panem Bogiem. Tu radby już człek jak najskładniej prosić i modlić się. Prawda to, że Pan Bóg rozumie każde gadanie, że nawet wie co sobie tylko człek pomyśli, a więc nie potrzebuje wielkich mądrości i pięknych słów, ale serca pięknego i dobrych uczynków. Przecieć to zawsze człeku milej i przyjemniej, jeżeli umie chwalić Pana Boga nietylko dobrem sercem ale i piękną mową, i każdy ma to sobie za honor i za uczciwość, aby do Pana Boga nie gadać tak po prostu jak do równego sobie.

Tak bywało z dawna, i z tych racyj są już ułożone dla ludzi różne pacierze i różne modlitwy. Są także wedle tego xiążki do nabożeństwa z modlitwami i różnemi pieśniami. Są więc i pieśni różne piękne, które ludzie śpiewają po kościołach na chwałę Bożą. Owoż takie modlitwy i takie pieśni nie każdy umie układać. Układali je różni święci i bogobojni xięża, zaś dziś układają je ludzie, którym Pan Bóg dał już na to rozum szczególny i dowcip taki. Do takich ludzi należy Lenartowicz, który spisał już wiele bardzo różnych pięknych piosenek na chwałę Boga i na pożytek ludzi, a którego powinniście moiściewy mieć zato w dobrej pamięci, i kochać serdecznie, a jużci i poprosić nieraz Pana Boga i Najświętszej Panienki królowej polskiej, aby mu dali pociechę i pomoc za jego dobre serce i za jego poczciwą pracę.

Otož i teraz ułożył on całą xiążeczkę piosnek dla małych dziatek. Są tu różne piosenki, i przygodzą się na każdy trafunek w życiu. Dla przykładu jakie one są piękne, wydrukujemy tutaj kilka; zaś komu się te spodobają a będzie mógł, niech sobie kupi całą xiążeczkę. Jeżeliby dla jednego była za droga, to niech kilku złożą się i kupią na współkę. Toćto warto zawsze, mieć na każdą chwilę takie piękne czytanie, a nieraz rozweselić się niem w kłopotach albo i nauczyć niejednej poczciwości.

Mówiłem wam że w tej xiążeczce różne są piosenki, więc jedne na wiosnę do spiewania, drugie na lato i na insze okazye. Na wiosnę są tam takie spiewki:

Na rannem niebie
Miesiączek biały
Ze stróży nocnej
Schodził zaspały.

Bystre słoneczko
Wzeszło na górki,
A deszczyk rosił
Z majowej chmurki.

Miesiączek mówi:
Nie ma jak to ja,
Kiedy się w nocy
Przejrzę u zdroja.

Groble, wąwozy
Stoją w jasności,
I jak w dzień widna
Droga dla gości.

A słonko mówi:
Gadasz daremnie,
Ja bystre słonko,
Nie ma nademnie.

Kiedy zarankiem
W niedzielę wstanę,
Błyszczą w promieniach
Pola ogrzane.

I Boża męka
Za wsią na końcu,
Czerwona z daszkiem
Błyszczy we słońcu.

A deszczyk szemrze
W pola dąbrowy,
Idę ja, idę,
Deszczyk majowy.

Roszę pszeniczkę,
Drzewa i ziele,
Weselę pola,
Sady weselę.

Zielenią, kwitną,
Pachną przyjemnie,
Nie ma nademnie,
Nie ma nademnie.

Albo znowu inna bardzo piękna piosenka o kraju naszym:

Nie ma jak nasz kraj!
To nam skrzypku graj!
Nie wiemy jak komu,

Nam najlepiej w domu,
Nasz kraj, to nasz raj!
To nam graj i znaj!

Nie ma jak nasz kraj!
To nam skrzypku graj!
Miła swoja chatka,
Jak rodzona matka,
Nasz kraj, to nasz raj!
To nam graj i znaj!

Nie ma jak nasz kraj!
To nam skrzypku graj!
Tu mąka i łąka,
Tu ryby i grzyby,
Nasz kraj, to nasz raj!
To nam graj i znaj!

Nie ma jak nasz kraj!
To nam skrzypku graj!
Tu len do płótna,
I owce do sukna,
Nasz kraj, to nasz kraj!
To nam graj i znaj!

Nie ma jak nasz kraj!
To nam skrzypku graj!
Tu stada koni,
Żelaza do broni,
Nasz kraj, to nasz raj!
To nam graj i znaj!

Nie ma jak nasz kraj!
To nam skrzypku graj!
Cudze kraje znajmy,
Ale swój kochajmy,
Nasz kraj, to nasz raj!
To nam graj i znaj!

I jeszcze inna piosenka o domku, jak go wybudować sobie:

Ptaszek gniazdko wije,
Zwierz się w jamie kryje.
Ja biedny człowieczek,
Zbuduję domeczek.

Sosny wybujały,
A ja jeszcze mały,
Jak jeno urosnę,
Zetnę w boru sosnę.

Narznę z niej deseczek,
Uklecę domeczek,
Mały, malusieńki,
Cały nowiusieńki.

Dam w nim okieneczka,
Od wschodu słoneczka,
Żeby nas budziło,
Jak będzie wschodziło.

Dam w domku i drzwiczki,
Prosto od uliczki,
Żeby i ubogi
Miał wnijście od drogi

A prosto w okienka,
Będzie Boża męka,
Żeby Bóg łaskawy
Patrzał w nasze sprawy.

Także są różne śpiewki o biednych sierotkach, jak te:

1.

Oj sierota tam pod płotem
Wyrzeka z płaczem:
— Nie mam ci ja mojej główki
Położyć na czem.

— Połoź ci ją na kamieniu,
Niebogie dziecię,
A choćby był najtwardszy,
Zmiękczysz go przecie.

2.

Wzeszła gwiazdka nad kościółkiem,
Pod kościółkiem rosa.
I sierotka na grób matki
Co noc przyszła bosa.

Na kalinach spiące ptaszki
Kwileniem budziła,
Tłukła główkę, włosy rwała,
Długo nie pożyła.

Między bluszczem i barwinkiem,
Ostem i pokrzywą,
Kopacz znalazł na tym grobie
Sierotkę nieżywą.

Po trzech dniach ją pochowali
W dołku pod kościołem:
Ale szkoda — pochowali,
Nie przy matce społem.

Grób matczynin przy kościółku
Był po stronie jednej,
A po drugiej za kościółkiem.
Grób sierotki biednej

Tam na grobie na matczynym
Lipka wyrastała,
A sierotce zkądsiś brzózka
Sama się zasiała.

I choć matka ze sierotką
Nie leżały społem,
Wszelako się lipa z brzózką,
Zrosły nad kościołem.

Na ostatku są różne śpiewki do tańca i inne. Kilka z nich także wydrukujemy.

1.

Prawdę ptaszek gada,
Co na drzewku siada:
Kto Boga nie chwali.
Praca mu nie nada.

2.

Nie wszystko trawa.
Co się zieleni.
Nie każdy taki,
Jakim się mieni.

3.

Uleję ja świeczkę z wosku,
Do kościółka dam,
Żeby Pan Bóg w naszym domku
Błogosławił nam.

4.

Oj w naszej wsi jest dziweczka,
Wielki darmojadek.
Do taneczka — wiewióreczka,
Do pracy — niedzwiadek.

5.

Oj robisz ty robisz,
Jakby nie robiący.
Oczy prawie bolą,
Na ciebie patrzący.

6.

Oj karczemka mimo woli,
Niejednego wygna z roli.
Tobie chłopcze także będzie,
Jeno siadaj w karczmie wszędzie.

7.

Co mi to za pole,
Kiedy niezorane?
Co mi to za życie.
Kiedy spróżnowane?

8.

Z próżnującej roli
Tylko oset wschodzi;
Wszystko złe na świecie,
Z próżniactwa się rodzi.

Nagroda poczciwości.

Opowiedział Józef z Bochni.

Pewno niejeden z was, co ten Dzwonek czytacie, słyszał już o mieście Bochni, w którem są kopalnie soli. A więc o pół ćwierci mili od tego solnego miasta leży wieś Wójtostwo zwana, cała przez kolonistów Niemców zamieszkana, chociaż zdarzy się także, że mieszkają między nimi Polacy, którzy są górnikami, co chodzą sól kopać do kopalni w Bochni.

Otoż o jednym takim górniku, który w tej wiosce mieszka, opowiem wam dzisiaj zdarzenie.

Nie ma to podobno nic piękniejszego nad łagodne obejście się z każdym, poczciwe serce i pracowitość. Takie przymioty posiada ów górnik, a zdaje mi się, że mu Jędrzej na imię. I żona jego bardzo pracowita i nabożna kobieta, od świtu do nocy krząta się koło dobytku, jaki sobie przy pracy i pilności przysporzyli, i około trojga własnych dziatek.

Długo Jędrzejowie żyli spokojnie, skromnie i bez zmartwienia, aż tu niespodziewanie choroba nawiedza dwoch ich chłopców. Stroskana Jędrzejowa radzi co może i zamiast rozpaczać, klęcząc modli się codziennie z mężem swoim przed świętym obrazem; lecz coż powiecie, zamiast pomocy spotyka biednych Jędrzejów nowe nieszczęście.

Było to prawie z początkiem miesiąca października tego roku, gdy Jędrzej poszedł wczas rano na dół do pracy, a Jędrzejowa do pola ścinać kapustę. Dwaj zaś chorzy chłopcy zostali w łóżku i trzeci przy nich najmłodszy braciszek — zresztą nie było żywej duszy. A że się malcowi przy chorych znudziło, bierze on pokryjomu kilka siarniczek, wychodzi na podwórze i tam się bawiąc, nieostrożnie zapala psią budę. Nagle wszczyna się ogromny ogień i zaraz rzuca się na strzechę, potem na chałupę sąsiedzką. W tej zaś chacie nie było także nikogo, szczęście więc, że spostrzegli to inni ludzie i wołali zaraz:

— Gore! gore! — Jędrzej się pali, ratujcie! — gwałtu!

A że wszyscy znali poczciwego Jędrzeja, nagromadziło się wkrótce dużo ludzi i obstąpili obie chaty górników.

Jeden odważny parobek wpada do Jędrzejowej chaty, wyciąga chorych chłopców, a inni wyprowadzają krowy, wyrzucają sprzęty, skrzynki ze zbożem, grochem, ziemniakami; słowem co się tylko dało. Inni zaś ratowali sąsiednią chatę.

Wtem słychać ogromne wycie. Szukają psa i znajdują go w palącej się budzie na łańcuchu uwiązanego. Odcina go pewien gospodarz, lecz wierne psisko chcąc niby ratować mienie swego dobrego pana, wpada napowrót do ognia i ginie w płomieniach.

Owoż niezadługo przybywają sikawki z Bochni, urzędnicy, żandarmi i pełno miastowych ludzi, chwytają konewki i zalewają ogień, odzierają osękami słomę, noszą wodę, pomagają przy sikawkach i szczerze ratują biednego Jędrzeja i sąsiada jego.

Wtem nadchodzi Jędrzej i żona jego z załamanemi rękami.

— O Boże! o Boże! — cóż teraz poczniemy my biedni ludzie bez chaty i przytułku! — wołali oboje patrząc na niknący dobytek i wybladłe dzieci.

— Nie martwcie się miły Jędrzeju, bo Bóg jak was zasmucił, tak was pocieszyć raczy — i ludzie o was nie zapomną! — Temi słowy pocieszali ludzie nieszczęśliwego Jędrzeja.

Jędrzej zdawał się uspokajać, ale i tak mimowolnie łzy kręciły mu się w oczach — bo komużby nie żal było utracać krwawo zapracowane mienie? Wzdychał i jęczał, i dziękował ludziom za pomoc, bo sam ze zmartwienia omdlały nie miał siły pójść ratować.

I tak dzięki bocheńskim ludziom ugaszono pożar. U Jędrzejowej chaty cały dach zgorzał i gdzieniegdzie wypaliła się powała, chata sąsiednia tak samo uszkodzoną została, tylko stajnie najbardziej ucierpiały.

Poczciwi ludzie do samego wieczora pilnowali ogorzałych chat i gdy tylko pokazał się ogień, natychmiast go tłumiono, tak że wieczór już uprzątnięto rumowisko ze środka.

Nie koniec na tem, że ludzie ratowali dobrego Jędrzeja, ale z miłości bliźniego wspierali go różnemi datkami. Między wszystkimi odznaczyli się szczególnie dwaj panowie. Jeden, to jest najwyższy przełożony kopalni, i drugi pan, który

na kasynie, gdzie się na obiady i kolacye schodzą, zrobił składkę, z której uzbierane pieniądze znanemu z poczciwości Jędrzejowi i sąsiadowi jego przeznaczył. I tak obaj pożarem dotknięci ponaprawiali sobie mieszkania i na nowo z Bogiem pracować poczęli. Szczęść im Boże!

Otoż opisałem wam tutaj wypadek Jędrzeja, bo mi się zdaje, że godny jest tego. Widzicie tu, jak dobremu i poczciwemu człowiekowi ludzie chętnie dopomagają, a i Bóg o takim nie zapomni. Bądźcież i wy takimi, mili czytelnicy, jak Jędrzej, a nie sarkajcie nigdy, lecz zgadzajcie się z wolą Boga, który niech was błogosławi i strzeże od podobnego wypadku.

Piękne przykłady.

Pisanie Józefa z Bochni do Dzwonka o zaprowadzeniu szkółki w Zawadowie.

Czytam ja pilnie Dzwoneczek, a wyczytuję z niego same ładne rzeczy. Otoż i to co teraz do was piszę, godziłoby się, abyście rozgłosili jako piękny przykład do naśladowania. Czytałem ci ja już nieraz w Dzwonku o szkółkach, które poczciwi ludzie zakładają, więc nie zawadzi znowu donieść o zaprowadzeniu i poświęceniu nowej takiej szkółki.

Cieszyć się trzeba, że ludzie poznają dobry pożytek ze szkółek i zakładają takowe już częściej niż kiedyindziej. Wiedzą oni, że w szkółce nauczywszy się czytać, można lepiej chwalić Boga, być drugim użyteczniejszym: przeczytać mu to i owo, a i sobie ładną xiążeczkę w niedzielę; wiedzą, że w szkółce można się nauczyć pisać, a czyż pisanie każdemu nie potrzebne? A co już w gospodarstwie, to bardzo przydatne. Wydałeś na przykład na to tyle, kupiłeś znowu to i to, sprzedałeś to i tamto a umiejąc pisać, zapiszesz sobie, a potem wydatki i przychód zrachujesz, bo i rachować uczy w szkółce pan nauczyciel. Czyż to moi bracia nie ładne rzeczy? A potem, że w gospodarskich rzeczach są teraz różne sposoby, zapomocą których można mieć większe korzyści, a o tem donoszą gazety

i różne xiążki, a jakże to miło i pożytecznie gdy to niejeden przeczytać umie, a niejedno dla lepszego zapamiętania zapisać może? Otoż kto dzieci swoje do szkółki posyła, spodziewać się może, że ich takie wygody czekają — a przytem będą mieć i przyszłość lepszą, szczęśliwszą i weselszą.

Zrazu i gromada w Zawadowie, wsi w obwodzie stryjskim, o trzy ćwierci mili od Stryja położonej, nie chciała wierzyć w pożytek szkoły, aż po długich przedstawieniach szanownego xiędza proboszcza przystała na otworzenie szkoły. Otoż nareszcie naznaczył xiądz proboszcz dzień 5 listopada, aby się wszyscy gospodarze z Hołobutowa, Nieżuchowa i Zawadowa, włości do pani hrabiny Tarnowskiej należących, razem zgromadzili na nabożeństwo. Mówię z trzech wsi, bo dla wszystkich trzech razem jedna będzie szkoła, gdyż mają blizko do Zawadowa, a każda wioska z osobna nie mogłaby utrzymać szkółki. Jakoż na oznaczonym dniu zeszli się ludzie do cerkwi, gdzie odbyła się msza święta. Byli także na niej dwaj xięża ze Stryja, młody pan dziedzic hrabia Tarnowski i także inni panowie.

Po ukończeniu nabożeństwa miał jeden z xięży ze Stryja przemowę do ludu w tych słowach:

— Kochani ludzie! uwierzcie słowom waszego kapłana, który się do was dziś odzywa w sprawie was dotyczącej. Wierzcie mi, że wszystkie narody garną się do nauk, kwitną przeto przemysłem i zamożnością, tylko my jeszcze nie chcemy poznać korzyści z nauk i dla tego żyjemy w ciemnocie i ubóstwie. Ciemnota i ubóstwo są matkami wielu nieszczęść, a nawet wielu zbrodni. Ciemnota prowadzi człowieka na bezdroża i równa go z bydlęciem, mało co od ciemnego człowieka się różniącem. Albowiem tak taki człowiek jak i bydle o nic więcej się nie troszczy, jak tylko aby miał jeść i aby zaszedł do karczmy, bo myśli że tam jego szczęście, nie umiejąc się piękniej i szlachetniej zabawić. Człowiek wyuczony takby nie robił, wolałby xiążkę przeczytać i w ten sposób się zabawić. O jakże szczęśliwi jesteście, że macie szkółkę dla waszych dziatek! Z niej będą one czerpały mądrość, bogobojność, pracowitość i poszanowanie dla starszych, a także inny jeszcze od-

niosą pożytek. Będzie ona pamiątką dla wnuków, żeście byli życzliwi dzieciom waszym, żeście dbali o ich przyszłość. Niejedno nie dostanie majątku, niechże dostanie choć rozum, naukę, a wtenczas znajdzie u ludzi pomieszczenie. O cześć wam za to — jeszcze raz powtarzam — cześć wam!

Wszystkim błyszczały łzy w oczach z radości i wszyscy czuli jakieś wewnętrzne zadowolenie.

Po powyższej przemowie wyszli wszyscy ludzie z cerkwi i obstąpili zaraz przy niej stojący schludny domek szkolny, a niektórzy z xiężmi i panami weszli do środka.

W izbie po prawej ręce stały już nowe ławki, a w nich siedziały dzieciaki i pan nauczyciel na stołku.

Był także stół dywanem nakryty, na nim stał krucyfix między dwoma świecami, przy nim zaś leżała miska ze święconą wodą i kropidło.

Xiądz dziekan ze Stryja po śpiewach i modlitwach pokropił wszystkie ściany święconą wodą, potem znaczył krzyże olejem świętym, poczem poszedł na drugą stronę, gdzie będzie mieszkanie pana nauczyciela i toż samo uczynił. Potem znowu śpiewano pieśni nabożne i odprawiano modlitwy. Nakoniec xiądz dziekan dawał całować krzyż święty, kropił święconą wodą i błogosławił.

Maleństwu ledwie oczy na wierzch nie wyszły tak się temu przyglądało i rade było, że już siedzi w szkolnych ławkach.

Naostatku upominał jeszcze xiądz proboszcz, aby ludzie posyłali dzieci pilnie do szkoły, bo inaczej próżne koszta i daremne usiłowania.

Przyrzekali uczynić zadosyć życzeniu i cieszyli się dobrzy ludziska, że już mają budynek szkolny, potrzebne rzeczy i pana nauczyciela, któremu prócz innych datków 200 reńskich pensyi naznaczyli.

Serdeczne dzieki i oznaki wesela zakończyły tę ładną scenę poświęcenia i zaprowadzenia szkółki.

Oby każda gmina chciała naśladować Zawadowianów i zakładała szkółki, a jeśli mała, niechaj się łączy z pobliskiemi gminami tak jak ta, a nastąpi lepiej na świecie, a osobliwie w kraju naszym ukochanym.

Rzeczy gospodarskie.

O użytkach z kości.

Pisał do mnie niedawno Grzela Kościak taki list:

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Całuję was serdecznie miły kumie. Zaś dawno chciałem pisać do was, ale odwlekło się to pisanie wedle różnych turbacyj. Zaś kobieta moja ciężko chorowała, a było tego ze trzy niedziele. Także dał Pan Bóg dziewkę, którą ochrzcił xiądz proboszcz wedle świętej wiary na Jadwigę, bo takie imie naszej świętej królowej i xiężniczki polskiej chcieliśmy dla niej, aby święta królowa polska była jej patronką. Żal mi jeno kumie, żeście ją do chrztu nie trzymali, jak Walka i Kaśkę, a dyć byłoby wąm jeszcze składniej trzymać do chrztu Jadwigę, bo niechwalący umiecie piękne historye prawić o świętych Jadwigach, jak to łońskiego lata i nam opowiadaliście. Zaś nie było czasu napisać wam o wszyćkiem, bo moja Baśka ciężko chorowała, i dziecko także, i już myśleliśmy, że nie będzie ratunku; więc xiądz proboszcz kazał wnet chrzciny sprawić. Zaś dziękować Panu Bogu już chorzy ozdrowieli, i już turbacya mniejsza, więc piszę do was.

A najpierw dziękuję wam za pamięć i za Dzwonek, a jeszcze was pytać mam wedle jednego pisania w Dzwonku. Pisaliście w numerku piątym o nawozie z kości, który ma być lepszy niż każda mierzwa. Proszę was mój kumeczku, abyście mi napisali po znajomości, czy to nie bajka tylko. Widzi mi się także dziwno, aby wedle takiej sprawy używać kości. Jać tam nie wiem dokumentnie, czy w tem jest racya albo nie, zaś proszę was pięknie, abyście napisali o tem do mnie. Zaś teraz całuję was serdecznie, a także donoszę wam, że Walek chodzi pilnie do szkoły i już pisać się uczy, więc niebawem sam do was napisze i pokłoni się ojcu chrzestnemu. Także donoszę wam, że przedałem siwego źrebaka bratu pana dziedzica, który ma drugiego siwka, więc będzie miał zaprząż. A pies Burek, co go tak lubicie, zdrów jest. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Wasz kum

Grzela Kościak.

Iż miałem odpisać Grzeli o takich sprawach, które i inszym przydać się mogą, dlatego drukuję to pisanie w Dzwonku, aby i insi także mogli je przeczytać.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Miły Grzelo! Dziękuję wam serdecznie za wasz list i za dobrą pamięć o mnie. Cieszę się bardzo, żeście już pozbyli się onych turbacyj, i że wasza Baśka i Jadwisia już zdrowe. Pozdrówcie je serdecznie odemnie, aż sam kiedyś do was znowu przyjadę, i sam wszystkich was uściskam. Cieszę się także, żeście tak pięknie nazwali waszą dziewczynkę, i myślę na pewne, że nasza święta królowa polska Jadwiga i święta xiężniczka polska będzie się opiekować swoją imienniczką. Daj Boże, aby wasza dziewka była taka zacna jak owa święta Jadwiga, o której niedawno w Dzwonku napisał historyę xiądz Wojciech z Medyki. Otoż życzę wam szczerze takiej pociechy, a teraz muszę wam odpowiedzieć na owo pytanie o nawozie z kości.

Toćto miły kumie znamy się już nie od dzisiaj, i dlatego dziwuję się, żeście mogli sobie pomyśleć, abym ja bajki drukował w Dzwonku. Znacie mnie, że nawet żartujący nie lubię zmyślać, a coż dopiero w pisaniu. Toć już trzebaby całkiem nie mieć sumienia, aby ludziom poczciwym zamiast szczerej prawdy i dobrej porady pisać bajki. Chodzę ja co miesiąc do świętej spowiedzi, i już z tej racyi nie mógłbym dopuścić się takiego grzechu. Piszę wam w Dzwonku samą prawdę, i tylko takie daję rady, które już na pewniaka zdadzą się. Zaś gdzie nie mam pewności, to wyraźnie wam piszę, że tak mówią, ale ja za to nie ręczę. Jeden człowiek nie może znać wszystkiego dobrze, i ja też tego nie mogę. Ale co wiem z pewnością, tak żebym i na spowiedzi świętej mógł przyznać, to tylko wam piszę i drukuję. Przeto martwiło mnie, żeście mogli inaczej myśleć o mnie, bardziej jeszcze iż się dobrze znamy. Zaś myślę iż to tylko wedle tego uczyniliście, że wam trudno przyszło zmiarkować całą sprawę. Przeto najchętniej odpowiem wam dokładnie na zapytanie.

Otoż jest rzecz pewna, że kości są najlepszym nawozem. Mają one w sobie takie części, które powiększają urodzajność

w ziemi. U nas o tem ludzie jeszcze nie wiele wiedzą; ale w innych krajach znają się już na tem dobrze. Tam już każdy wie z przekonania, i dlatego budują tam młyny osobne, gdzie mielą kość na mąkę, i tę mąkę razem ze zwyczajną mierzwą używają za nawóz. Jest to rzecz pewna, i ciągle o niej piszą po różnych gazetach.

A kiedy jest mowa o kościach, to wam jeszcze dodam wiadomość o inszych różnych użytkach z kości. Tak bywa z nich doskonała okrasa dla ludzi i doskonały pokarm dla bydła. W kraju francuzkim używają takiej okrasy po szpitalach i indziej z dwóch racyj, a najpierw iż jest dobrą, a potem że bardzo tania. Okrasę robią tak: Różne kości, jak wołowe, skopowe i inne tłuką obuchem na drobne części, i kładą w naczynie polewane tak, żeby znacznie większą połowę naczynia zapełniły; potem dolewają czystej wody aż po wierzch, zamykają naczynie dobrze glinianą pokrywą, i zaraz po chlebie wstawiają w piec, który także trza zatkać. Po czterech godzinach odlewa się wywar w inne naczynie, a do kości przylewa znowu wody i daje w piec. Teraz muszą one tam aż sześć godzin gotować się, a potem znowu się wyjmuje naczynie i odlewa wywar do pierwszego płynu. Więc jeszcze raz trzeci dolewa się wody i znowu do pieca na ośm godzin. Naostatek wyjmuje się, znowu odlewa do dawnych wywarów, i już masz okrasę gotową. Tym sposobem będziesz miał z 12 funtów kości świeżych aż 44 funtów doskonałej okrasy, która na cały rok jednemu człowiekowi wystarczy. Zaś z onych wygotowanych kości jest jeszcze dobra mierzwa.

Drugi użytek z kości jest do karmy bydła. Wynalazł go pewien gospodarz francuski, którego narodu ludzie bywają bardzo dowcipni i rozsądni. Owoż pokazał on, że dodawanie małej szczypty mączki z kości do paszy krów, jest bardzo dobre, bo i dla zdrowia bydlęcego pomaga, i nabiał bywa lepszy. Ale także inne bydło, owce i konie, bardzo dobrze się wykarmiają tą mączką z kości. Konie bywają silniejsze i kość takiego zwierzęcia bywa zdrowsza i mocniejsza.

Tak to mój kumie rozum ludzki wynajduje różne sposoby, aby najpośledniejszą rzecz obrócić na dobry użytek. Ktoby się

tam spodziewał, że z marnych kości, które u nas walają się zwykle po śmieciach, można mieć tyle użytku. A nietylko wygoda jest z niemi, ale nawet wielkie ulżenie i pomoc wielka w gospodarstwie. Jak z kościami tak i z wielu innemi rzeczami dzieje się, iż ludzie za granicą mają z nich pożytek i zarobek dobry, kiedy u nas o takim sposobie nikt nie pomyśli. Ot naprzykład nie uwierzylibyście jaki mają u Niemców zarobek z kotów. Wykarmiają tam bardzo wiele kotów, najbardziej czarnych i siwych, a te w grudniu zabijają na futro. W grudniu też chodzi po całym kraju dużo handlarzów, którzy tylko skórki kocie zakupują i dobrze płacą, a potem futra z nich wyrabiają doskonale i drogie. Taki to tam już zwyczaj, iż każdy służący, gdy się godzi na służbę, wymawia sobie, aby mu tyle albo tyle kotów wolno było wykarmiać. Pokazuje się także, iż futra z kotów i piękne bywają i dobre, tylko z niemi trza się umieć obchodzić i wyrabiać dobrze.

Otóż rozpisałem się mój kumie, i czas już wielki skończyć, bo dalej miejsca nie stanie w Dzwonku. Aleć przychodzi mi jeszcze na pamięć jedna sprawa gospodarska, o której niedawno czytałem w gazetach, a rzecz to bardzo ciekawa dla nas wszystkich, bo to o ziemniakach. Otoż opowiada pewien gospodarz francuzki, iż przez dwadzieścia pięć lat próbował jak najlepiej sadzić ziemniaki, i przekonał się, że najlepiej na zimę. Sadził on w różnych ziemiach, w gnojonych i w niegnojonych, tak jak zwykle się sadzi na wiosnę, tylko nieco głębiej w ziemię, aby nie zmarzły. Tym sposobem ziemniaki nie psują się nigdy, i rodzą daleko lepiej. Gospodarze w Anglii i we Francyi chcą teraz tylko tym sposobem sadzić ziemniaki. Zobaczymy jeszcze jak się im powiedzie, i wtenczas doniosę wam dokładnie, abyście wzięli tę rzecz na uwagę i także z niej skorzystali.

Zaś teraz dziękuję wam jeszcze raz za pamięć, i powiem wam, że bardzo chętnie nietylko wam ale każdemu innemu odpiszę, kto mnie o jaką sprawę zapyta. Więc jak będziecie mieli znowu o co pytać, to napiszcie do mnie. Zaś teraz oddaję was Panu Bogu.

Wasz kum i przyjaciel.

RÓŻNOŚCI.

Dobra nauka. Dwaj młodzi gospodarze, Jonek i Wawrzek, powracali w lecie z jarmarku do dom. Gorąco było okrótne, słońce piekło a muchy gryzły, że ciężko było krokiem stąpić. Umęczyli się też obaj nielada, a Jonek ozwie się na koniec:

— Wiesz co Wawrzku, ja już to sobie długo uważam, że te muszyska na nic się ludziom nie zdały.

— Jużci i ja tak myślę — powie Wawrzek — bo te bestyje i nie robią nic, i dokuczają jeszcze człowiekowi, a takie naprzykrzone i uparte. Paskudzi to tylko, gryzie, a nawet jak wpadnie do jadła, to obrzydzi strawę.

— I poco też to żyje na świecie — zawołał Jonek.

— Jabym to powygubiał co do nogi — mówi Wawrzek — żebym jeno wiedział jaki sposób. Ale widać nie ma takiego sposobu, i myślę już sobie, że to chyba na pokaranie ludzkie Pan Bóg stworzył.

Tak sobie ciągle prawili, i zaszli w końcu już poźnym wieczorem na noc do karczmy. Ściemniło się, a nasi podróżni umęczeni nie chcieli iść dalej przed świtem. Zaczną więc prosić gospodarza, aby ich przenocował.

— Albo nie widzicie — odpowie im on — że nie ma miejsca na tyle ludzi, bo gospoda pełniuteńka.

— E już my wam nagrodzimy, tylko nas przenocujcie — odrzekli obaj.

— Kiedy tak chcecie koniecznie — powie im gospodarz — to i nocujcie. Ale jeden z was musi spać w stajni, bo tylko na jednego będzie miejsce w izbie.

Przystali na to, Jonek został w izbie a Wawrzek legł w stajni, i obaj zasnęli smaczno Alić kiedy poczną nad rankiem muchy latać, zbudził się wnet Jonek, i dalej ani rusz zasnąć, tak mu dokuczały muszyska. Zaś Wawrzek spał jak zabity bo much w stajni nie było, i tego mu zazdrościł Jonek. Więc niebawiąc pocznie się zbierać i poziewać, zły że sobie tak popsuł nocleg. Aż tu wpada nagle Wawrzek z okrótnym lamentem:

— Jonku, a bój się Boga, toć mnie jakaś bestyja okradła do nitki — wołał Wawrzek.

— A nic nie czułeś — pyta Jonek — bo ja mało co spałem wedle much, i słyszałem nawet jakieś chodzenie po stajni.

— Gdzie tam — powie Wawrzek z płaczem — dyć spałem jak zabity, bo tam muchy ani na lekarstwo, a czemuż ich tam nie było, mój Boże!

— Ano! patrzaj Wawrzku — mówi Jonek — widać że i muchy czasem czegoś warte.

— Oj warte, warte! — wyrzekał Wawrzek, ale czemuż ich tam niebyło.

Wtem nadchodzi gospodarz zmęczony i mówi:

— Nie narzekaj, nie! Bo twoja szkoda odebrana. Muchy mnie zbudziły nad ranem, i usłyszałem jakieś stąpanie po stajni, więc wybiegłem i zobaczyłem złodzieja, kiej się już zabierał do wyjścia z twojemi rzeczami. Aleć go dognałem, choć uciekał bestya tęgo. Na masz twoje graty.

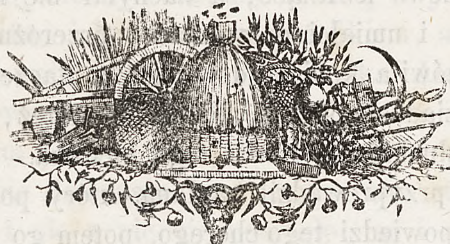
Ucieszył się Wawrzek, i nigdy już na muchy nie wyrzekał.

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.

Tom VII. Nr. 16.

1. Grudnia. 1862.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

POKUTNIK.

W Milatynie w cudownem miejscu, o którem każdy z was słyszał już nieraz, wychodzili sobie ludzie z kościoła po nabożeństwie, i zaraz koło bramy kościelnej stanęli ciżbą, bo tam stał wóz i para koni, a na wozie leżał jakiś chory, koło którego siedziała kobieta i rzewnie płakała. I zaraz zaczęli się pytać ludzie ciekawi:

— A zkąd wy to kobieto przyjechali? kogo wy to wieziecie?

A kobieta zapłakana mówiła:

— Ja jadę ze wsi Zaproszowic, dobre 20 mil ztąd, i wiozę mego męża do tego cudownego miejsca, do Pana Jezusa Milatyńskiego.

I patrzyli się ludzie na tego chorego, a on na jedno oko nie widział, bo mu wyciekło, prawą rękę miał skrzywioną, jakby korba jaka, a z nogi jednej odleciały mu kości aż do kolana. I stękał ten kaleka nieznośnie i wołał:

— O Panie Jezusie Milatyński! zmiłujże się nademną — a wy też dobrzy ludzie proście za mną, aby się raz obróciło na którą stronę ze mną kaleką.

I zlazła ta kobieta z wozu, poprawiła łachy na sobie i pobiegła do kościoła, tam poszła do kościelnego, który wyglądał bielutki jak drzewo kwitnące, a nachylał się ku ziemi za każdym krokiem, i umiałci opowiadać o przeróżnych cudach milatyńskich. I mówiła kobieta do niego z płaczem:

— Mój dziadusiu słodki, pokażcie mi też, gdzie tu siedzi xiądz, aby wysłuchał spowiedzi tego biedaka.

I dziaduś przyprowadził kapłana, który poszedł do wozu i długo słuchał spowiedzi tego chorego, potem go zakomunikował i odszedł.

Ale ciekawy dziaduś kościelny przysunął się potem do wozu, opatrzył chorego i pyta go:

— A co wam to się stało, że wam tak prawą rękę połamało i pół nogi odleciało?

A chory pokiwał głową i powiedział:

Oj dziadku, dziadku! może to i słuszna kara Boska na mnie biedaka spadła — zawinił ja nieraz w życiu, to też teraz trza cierpieć, byle jeno na tamtym świecie było jako inaczej.

A dziaduś nie był ciekawy, jakie tam winy miał ten chory, jeno się zapytał:

— A co to wy za jeden? bo widać po ubraniu, że to wy coś z waszecia.

A chory mu odpowiedział:

— Siądźcie sobie na chwilkę dziadusiu, to ja wam też opowiem moje przygody. Oto widzicie, ja byłem zdrów i mocny — ojciec mię dawał do szkoły i wyuczyłem się czytać, pisać, i zabrałem dosyć pracy po ojcach. Byłem szczęśliwy, bom się ożenił z tą kobieciną. Ale obrała mię gromada Zaproszowicka najprzód za takiego pisarza, co to i podatki odbiera i pisze dla gromady co jeno potrzeba. Potem obrały mię inne gromady na około za takiego pisarza, i byłem takim pisarzem na kilka gromad, począwszy od Kołodnika aż do Bednarki wielkiej. Było i pisaniny, i roboty i krętaniny dosyć, ale była i zapłata. I to mię mój dziadusiu na biedę przywiodło, a trza będzie i życiem przepłacić, a co gorsze, może i dusza moja pójdzie marnie.

I zapłakał chory pisarz, a dziaduś mu mówił słodziutko:

— Ej! co tam rozpaczać, kiedy Pan Jezus daje czas do żalu i poprawy! I wyście teraz na dobrej drodze, jak ja uważam — a jeżlibyście byli na złej drodze, to jeno pojednać się z Bogiem i ludźmi i być dobrym katolikiem, a Pan Jezus miłosierny zrobi swoje i nie zagubi grzesznika. Ale cożto się stało z waszem zdrowiem takiego?

A kobiecina pisarza odrzekła:

— Widzicie dziadusiu! coś mu w oko wpadło i zaczęło oko puchnąć, i nic a nic nie pomogło, aż i oko wyciekło do kapki. I ledwo go oko przestało boleć, to znowu wlazło mu coś do prawej ręki i bolało i łamało po kości, aż i skręciło rękę jakby kij jaki. I znowu zrobiła się jakaś bolączka na nodze, i boli i boli i żaden doktor nie poradzi na to; i patrzcie! odleciało mu wszystko ciało aż do kolana. Ale już tego bolu to podobno nie wytrzyma i trza mu ginąć z tego świata.

I ocierała sobie oczy zapaską i wzdychała do Pana Jezusa Milatyńskiego.

A dziaduś bielutki mówi jej:

— Ej! kobieto, nie płaczcie, dobry to Pan Jezus, raz cię utnie aż ręce odpadną, ale też jak się grzesznik pomiarkuje i zmieni na dobrego katolika, to znowu jak pobłogosławi, to ci ta ziemia rajem się staje.

I obrócił się dziaduś do chorego i mówił mu:

— A wy człowieku znoście to cierpliwie, a i wam ulży Pan Jezus miłosierny — może to już i koniec pokuty waszej.

A chory otarł sobie oczy i gadał:

— Ej gdzie ta koniec — bo widzicie dziadusiu, ja mam nadaną pokutę wielką. Nakazał mi jeden biskup odwidzić siedm miejsc cudownych, i byłem ja ci z tą moją babiną już na Kalwaryi wielkiej aż koło Krakowa, byłem i w Krakowie u Panny Maryi, i w Leżajsku, i na drugiej Kalwaryi pod Przemyślem, i w Sokalu, i w Rzeszowie, a teraz przyjechałem tu do Milatyna i trza jeszcze jechać gdzie do cudownego miejsca, i wszędzie muszę się spowiadać z grzechów moich i muszę jeszcze do tego wszystkiego opowiedzieć ludziom, którzy ze mną gadają, te moje straszne winy, których ja się dopuszczał, aby

oni widząc karę Boską na mnie widoczną, kajali się od podobnych win.

A dziaduś zadumał się i powiedział:

— Ha! to co innego, ja o tem nie wiedziałem.

I znowu począł gadać chory pokutnik:

— Otoż widzicie dziadusiu, że ja mam za co pokutować na tym świecie. I widzicie, dał mi Pan Jezus dosyć rozumu, uczyłem się najlepiej w szkole naszej, alem tego rozumu i tej nauki na złe używał, za to mi wziął Pan Jezus najpierwej to oko. Ja nierozumny jako pisarz nie uważałem na to i pisywałem fałszywe dokumenta, krzywdziłem wdowy i sieroty, pisałem niesprawiedliwe supliki i szachrowałem w rachunkach, to mi też Pan Jezus pokręcił rękę prawą za to. Ale ja i na to nie zważałem, chodziłem ze skargami fałszywemi to na panów, to na xięży, buntowałem gromady o lasy, łąki i pastwiska, i byłem tu i owdzie za tem, straciłem niemało ludzkich pieniędzy i widać za to odjął mi Pan Jezus tę nogę. Teraz dopiero opamiętałem się trochę i pojechałem do biskupa, kiedy był w naszej wsi na wizycie ot dwa roki temu, i ten biskup Boży otworzył mi oczy, wysłuchał mię spowiedzi i dał mi pokutę, którą odbywam już dwa roki. I lżej mi teraz na sumieniu, choć choroba moja dokucza mi strasznie. Ale jak ta będzie z duszą moją na sądzie strasznym, to wie sam Pan Jezus miłosierny.

I opuścił na dół głowę pokutnik, złożył ręce i począł odmawiać jakąś modlitwę, a dziaduś odezwał się do niego:

— Ja ta nie wiem, co to ludzie wyrabiają teraz. Każdy tylko łakomy i łakomy, każdy chciałby drugiemu wszystko zabrać i nie pyta się, czy to można czy nie. Toć i ja mam już sto pięć lat jak uciął, pamiętam też tyle czasów, i wiem, że dawniej mieli panowie nie tyle, co dziś mają, a chłopi nie mieli tego, co im dziś daje Pan Jezus, i były też i przednowki wielkie, i nie było tyle zarobku, a przecież jeden drugiemu nie zazdrościł, biedny nie patrzył łakomem okiem na pańskie i chłopskie lasy, a komornik nie pragnął cudzej skiby ani zagona, a kto miał krowinę to ją nie umorzył, choć nie miał pastwiska swego. Byli bogaci i biedni, a przecież biedni nie umierali z głodu pod płotem, ani ich nie chowali bez trumny,

choć ta i patyka swego nie mieli, ani bez śmiertelnej koszuli, choć ta i zagonka swego nigdy nie posiadali. I nieśli ludzie nie tak na ofiary jak dziś, i stawiali kościoły i kaplice, i były śluby, wesela, chrzciny nie takie jak dziś, bo też i ja bywałem u ludzi i pamiętam sobie to wszystko. A dziś to każdy jenoby darł i brał, a to wszystko mamona, jak Pan Jezus powiedział, a jeno życie katolickie dobre i pobożne, pracowite i ciche płaci nam na tym i na tamtym świecie. Toć ja sam mam tylko te dziesięć palców, ani chałupiny, ani zagonka nie wziąłem po ojcach, a przecie przeżyłem sto lat i wychowałem pięć córek i pięciu synów, i wywianowałem jak można po Bogu, a nigdy nie zazdrościłem, nie łaknąłem, anim pomyślał o cudzem zdziobełku. I żyję i Boga chwalę i czekam śmierci i sądu Bożego.

A chory pokutnik patrzył na dziadusia jakby na anioła bielutkiego i rozpłakał się i powiedział mu:

— O dziadusiu, dziadusiu! jaki wy dziś szczęśliwy że wy legacie i wstajecie spokojny, i idziecie sobie prawie co dzień do świętego kościoła i pracujecie, i co macie, to zjecie i tem się odziejecie, a nigdy więcej nie pragniecie. Gdybym to ja był miał taki rozum, do dziś byłbym zdrowiutki jak wy i szczęśliwy, a teraz co się to dzieje ze mną.

A dziaduś go ciesząc mówił:

— Nie tylko ci mogą być zbawieni, którzy całe życie obeszli się bez wielkich grzechów, ale i ci, którzy po jakim grzechu zaraz się upamiętali i odpokutowali, ba nawet żal w godzinę śmierci może wyjednać u Pana Jezusa miłosierdzie jakie. I nie gryźcie się tyle, skoro już tyle czasów pokutujecie, ale jedźcie sobie ztąd prosto do miejsca cudownego, abyście ukończyli tę podróż i w domu spokojnie czekali, co tam dalej zrobi z wami Pan Jezus.

I chciał dziaduś odejść, ale chory pokutnik zagadał go jeszcze:

— Mój dziadusiu! pobłogosław też mię i zmów paciorek nademną, a twoje błogosławieństwo może mi wyprosi co u Pana Jezusa.

I położył dziaduś swoje ręce stare i drżące na głowę pokutnika i mówił:

— Niech ci Pan Jezus daruje twoje winy, a twoim dzieciom niech da lepszy rozum, a z ciebie niech sobie biorą przykład inne gromady, aby wiedziały, że pobożne życie daje spokój i błogosławieństwo i długie lata, a grzechy łakomstwa, pijaństwa, niezgody ukrócają ludziom życie i gubią ich na wieki.

I odszedł dziaduś, a chory pokutnik odjechał dalej w drogę. Ludzie z Milatyna gadali o nim i podumali się na jego życie. A gdzież on teraz? Już stoi na sądzie Bożym, a z nas nikt nie wie, co zrobił z jego duszą Pan Jezus.

I niech wam gromady stoi za przykład ten pokutnik, abyście poprzestali pragnąć cudzej rzeczy i nie żyli cygaństwem, a jeżli są między wami obałamuceni, to niech się poprawiają jak ten pokutnik. Oby wam dopomógł do tego Pan Jezus miłosierny!

X. Wojciech z Medyki.

Rozmowa.

— A co ci to Bartku miły
Czegoś zwiesił głowę?
Czyć się strachy znów przyśniły,
Jakieś bajki nowe?

— E daj mi ta spokój bracie
Nie nudź wesołością;
Wy bo w głowach wróble macie,
A mnie ginąć złością.

— O bratuniu a niechże cię
Bóg chlebem zarzuci,
Ale powiedz że mi przecie
Co tak ciebie smuci.

Może Baśka ci dopiekła,
Bo to dziewka żwawa,
Może pszeniczka się spiekła,
Lub pożółkła trawa?

— At! nie wywołuj nieszczęcie,
Ja ci powiem szczerze:
Coś mnie bardzo świerzbią pięście.
I złość wielka bierze.

Bójka mi się ciągle widzi,
Ciągle przypomina,
A siedzenie tak mnie chydzi,
Jak wściekłego ślina.

I sam nie wiem, jak to będzie,
Jaki koniec temu,
Zaś gdy bieda na łeb wsiędzie,
Dam cięgi któremu.

— A niechże cię Bartku ślepy,
Gdzieżeś podział głowę?
Toż co żywo chwytaj cepy,
Bij żytko zimowe.

— Zaś patrzy się żeś ty ślepy,
I lala cacana,
Co zaś cepy, tobie cepy
Mnie lanca ułana.

— A tak gadaj bratku miły
Toć już wiem którędy.
I mnie ręce nie odgniły,
Razem pójdziem wszędy.

Razem bratku bić będziemy,
Razem jak barana,
Zaś wiesz kogo, wszyscy wiemy,
Oj! danaż oj! dana.

Jak się Dudziarzowi odpłacił Bilka,

albo:

Nosił wilk owce, ponieśli i wilka.

Już to z każdym dniem nabierają u nas ludzie coraz więcej rozumu, ale przecież znajdzie się jeszcze tu i owdzie jeden lub drugi, co to ludziska wierzą w niego jak w świętą ewangielię, a on ich wszystkich tumani na piękne.

Owoż do takich tumanów należał także niedawno zmarły Wojciech Dudziarz, świeć tam Panie nad jego duszą, co to mieszkał w Senatowie, małe pół milki od Jaworowa. Niejeden z was moi kochani, co w tamtych stronach mieszka, musiał go znać i przypomni go sobie, ci zaś, co to o nim jeszcze nie słyszeli, niech się o tem z Dzwonka dowiedzą. Boć to ten Wojciech Dudziarz należał do tych ludzi, co to się nie lada gdzie rodzą na kamieniu; niby malarz, niby doktor, niby prorok, w takiem był poważaniu u ludzi, że każdy przed nim czapkował, jakby przed panem lub xiędzem. Jak się ustroił w niebieską kapotę, czapkę nasunął na uszy, i wziął sękatą palicę do ręki, tak wam wyglądał poważnie i zamaszyście, że nawet i sam wójt, co sobie także był człek stateczny, jakiego szukaj, musiał iść w kąt przed nim. Posłuchajcie zaś teraz, jakim to sposobem ten Wojciech Dudziarz do takiego przyszedł poważania i znaczenia.

W młodym jeszcze wieku zabłąkał się on Bóg wie zkąd w Senatowie, a stanąwszy u nieboszczyka Krupy na służbę, ożenił się niebawem z jego jedynaczką, a po śmierci swego dobrodzieja dostał chociaż mały, ale cały majątek w spuściznie. Ale że to nasz Wojciech był człowiek zachłanny, a przytem zmyślny jak mało, więc chwycił się naraz ni ztąd ni zowąd do malowania. Przygotował on sobie różnej wielkości deszczułeczki, z nich powyrzynał wizerunki Pana Jezusa, Matki Bo-

skiej, świętego Piotra i innych co znajomszych świętych. Mając już takie deszczułki przygotowane, pocierał on je jakiemś czernidłem, i potem obrazy te odciskał na papierze. A warto też było widzieć te obrazy: nie było tam znać ani nosa, ani ócz, ani rąk nawet, i gdyby nie podpis pod spodem, to by nawet nikt nie odgadł. że to mają być wizerunki jakichś świętych — ot istne bohomazy, co to ni do Boga ni do ludzi nie podobne. Narobiwszy sobie spory tłumoczek takich obrazków, puszczał się nasz Wojciech z niemi w świat między ludzi. Szedł on ode wsi do wsi, z chałupy do chałupy i nuże wszędzie przechwalać swoje obrazki, i namawiać ludzi do kupowania.

— Oto w tej kupie — prawi on, są obrazki Matki Boskiej ocierane o cudowne obrazy w Częstochowie, Sokalu, Podkamieniu — a tu znowu prawdziwe wizerunki Pana Jezusa, które przez trzy dni leżały na ołtarzu cudownego Pana Jezusa Miłatyńskiego — tu znowu poświęcane obrazki świętego Floryana, patrona od pożarów i złodziei, kupcie go sobie i powieście w chałupie, a nigdy wam ogień i zły człowiek szkodzić nie będzie — w tej mniejszej paczce są znowu poświęcane wizerunki świętej Rozalii, patronki od morowego powietrza, kupcie no jeno i zawieście w stajni nad drzwiami, i za parę krajcarów zabezpieczycie się na zawsze od nieszczęścia, bo zaraza nigdy się waszej chudoby nie czepi... I póty przechwalał, namawiał i nie ustąpił się z chałupy, dopóki za parę krajcarów, za kilka jaj, lub za kwartę jakiego ziarna nie pozbył się chociaż jednego obrazka. W taką podróż wybierał się zwykle w jesieni, gdzie to w każdej chałupie mógł coś zastać, a obszedłszy kilka mil wszerz i wzdłuż, powracał na zimę dobrze obładowany do domu, gdzie znowu przez cały czas malował obrazki na sprzedaż. Toć też po kilku latach tak się nasz Dudziarz spanoszył, że sobie i nową postawił chałupę niby dworek jaki, i gruntu miał więcej aniżeli najzamożniejszy kmieć we wsi. Powoli jednak poznali się ludzie na jego oszukaństwie, a gdy się tylko w jakiej wsi pokazał, to już każdy naprzód drzwi przed nim zasuwał.

Zmiarkowawszy więc Dudziarz, że mu się ten sposób zarobkowania już urwał, zarzucił teraz malowanie, i zrobił się

naraz doktorem. Z razu narzucał się on sam każdemu ze swemi lekarstwami i radami, a przeto z czasem takiego nabył rozgłosu, że ludziska pchali się do niego jakby na najem. A posłuchajcie no, jakich to leków nasz Dudziarz używał. Owoż kto miał boleści we środku, temu kazał on jeść kaszę z woskiem, pić wódkę z ciemierzycą i smarować się okowitą; kto miał febrę, temu kazał znowu pić wódkę z pieprzem i piołunem, albo poobrzynać paznokcie z nóg, i z rąk, i uciąć trochę włosów z głowy, a zawiązawszy je w małym woreczku, i dodawszy do tego parę krajcarów, położyć to wszystko na krzyżującej się drodze — ktoby ten woreczek podjął, tego miała się febra przyczepić; nareszcie kazał on także przeciwko febrze nosić na piersiach jakąś karteczkę, na której były napisane jakieś tajemne słowa krwią sowy, która miała być na nowiu przed wschodem słońca złapaną i zabitą; kto się zalił na kaszel, temu znowu kazał pójść do karczmy, wypić kwaterkę wódki i splunąć trzy razy na klamkę ode drzwi, pierwszy, który chwycił za klamkę, miał się tym kaszlem zarazić. A trzeba to było dopiero widzieć, jak to Wojciech zdejmywał z kogoś uroki... co tam było opluwania, kadzenia, zamawiania, tegoby nawet i nikt nie spamiętał sobie. Ale to jeszcze nie cała sztuka naszego Wojciecha, bo onci był także zawołanym doktorem dla zakochanego serca. Niechno który parobczak nie mógł się podobać dziewusze, która mu się nadała, albo niechno jaka podstarzała dziewucha nie mogła do siebie zwabić chłopców, którzy jej przypadli do smaku, zaraźci udawali się do Wojciecha po radę i pomoc, a on sprzedawał im drogo Bóg wie jakie krople, do których jak powiadał, musiał zbierać przez trzy poranki rosę, przez trzy wieczory korzenie, i przez trzy północy kwiat paproci.

Za te wszystkie leki i rady zdzierał Dudziarz nielitościwie wszystkich, co się do niego udawali, i z tego też niebawem tak się spanoszył, i w taką urosł dumę i hardość, że już nawet i nie przystępuj bez kija do niego. Z razu wierzyli ludziska w ten spryt Wojciecha, ale przekonawszy się, że to było tylko czyste oszukaństwo, odstręczyli się znowu w krótkim czasie wszyscy od niego.

Mając już takie piękne gospodarstwo, i nie mało grosza w skrzyni, trzeba tylko było naszemu Dudziarzowi siedzieć sobie przy żonie spokojnie w domu, jak u Pana Boga za drzwiami, i nie oszukiwać dalej poczciwych ludzi; ale Dudziarz znowu sobie nowy sposób zarobkowania wymyślił.

Owoż dawniéj jeszcze, włócząc się po świecie, przydybał Wojciech Dudziarz jakiegoś parobczaka Marcinka, sierotę, i gdy z rozmowy poznał, że ten Marcinek był sobie także zmyślny i sprytny jak rzadko, wziął go więc ze sobą do Senatowa, bo mu też właśnie niedawno jego sługa był odeszedł. Zrazu więc krzątał się Marcinek koło gospodarstwa, a gdy się Wojciech przekonał, że się może we wszystkiem spuścić na niego, posyłał go poźniej po wsiach z obrazkami, nauczył go przyrządzać niektóre lekarstwa, słowem zrobił go spólnikiem i pomocnikiem we wszystkich swoich sprawach. Dlatego też przywołał Wojciech i teraz Marcinka do siebie, i tak rzecze do niego:

— Widzi mi się mój kochany, że się tobie jeszcze chleb w domu moim nie przejadł, a ty mnie także dotychczas byłeś na rękę, jeżeli mi więc i nadal zostaniesz wiernym, to i mnie będzie dobrze, i tobie nie źle dziać się będzie. Ot widzisz, że nie mam więcej dzieci, jeno tę córkę jedynaczkę, za którą jak widzę, mile się oglądasz; bądź mi więc i teraz usłużnym i pomocnym, a jeżeli dziewucha nie będzie ci krzywą, to wyprawię ci i weselisko...

— Wszystko będę wam robić, miły gospodarzu i dobrodzieju mój — odrzeknie Marcinek — co jeno tylko zechcecie, bo widzi mi się, że ja bym bez was już żyć nie mógł, i... bez waszej Marysi — dodał ciszej.

— Kiedy tak, to słuchajże, co ci powiem, kochany Marcinku — zagada Wojciech znowu. — Otoż przyszła mi znowu dobra myśl do głowy, a jeżeli nam się uda, to znowu nie mało grosza wpłynie do naszej skrzyni, a to tak: ty Marcinku wypatrzysz sobie w dzień jakie dobre miejsce, a w nocy pójdziesz i ukradniesz jaką rzecz i przechowasz ją w lesie lub gdzie indziej. Gdy zaś na drugi dzień zrobi się krzyk we wsi, ty wmieszaj się między ludzi i namawiaj ich, aby się do mnie

udali po radę, a ja jako wróżbita pewnie im prawdziwego złodzieja odkryję.

I stało się tak, jak Wojciech Dudziarz powiedział.

W nocy poszedł sprytny Marcinek, wyprowadził zamożnemu gospodarzowi Kaczurbie najpiękniejszą krowę ze stajni, i przywiązał ją w lesie do drzewa. Skoro świt powstał wielki krzyk i zbiegowisko ludzi koło Kaczurby, któremu w nocy krowa zginęła. Wepchał się tam także i Marcinek, a pytając się o przyczynę tego hałasu, rzecze do Kaczurby: ano udajcie się kumie do mego gospodarza, to może on wam jako wróż wynajdzie złodzieja. Dał się namówić Kaczurba, a udawszy się do Wojciecha, zaczął mu swoje nieszczęście rozpowiadać. Dudziarz wysłuchawszy wszystkiego, wyjął ze skrzyni jakąś wielką xiążkę i zaczyna niby to czytać: Wam dzisiaj zginęła siwa krowa?

— A tak, tak — odezwie się Kaczurba.

— Miała ona gwiazdkę na czole, i jeden róg odłamany, — czyta Wojciech dalej.

— Taka sama, taka sama — odpowiada Kaczurba.

— Nie turbujcie się więc miły kumie — prawi znowu Wojciech — bo wasza zguba się znajdzie, tak tu stoi napisano; i pokazuje Kaczurbie xiążkę.

Kaczurba wpatrzył się w xiążkę, jak sroka w kość, bo nie był piśmienny, i rzecze do Wojciecha: oj żeby to się sprawdziło, to jabym wam za wasze święte słowa pewnie nie pożałował, czegobyście jeno sami żądali.

— Owoż krowę waszą ukradł tej nocy złodziej — czyta Wojciech dalej — a nie mogąc z nią daleko uciekać, przechował ją sobie w lesie. Idźcie więc do lasu, a tam w tym klinie za zrębem przy tym wysokim dębie, co to łońskiego roku piorun w niego strzelił, znajdziecie waszą krowę przywiązaną do niego.

Zrobił więc Kaczurba, jak mu Wojciech kazał, a gdy swoją krowę odszukał, nietylko że Dudziarzowi dobrze zapłacił, ale i przed ludźmi nie mógł się o jego mądrości naopowiadać.

Za parę dni ukradł znowu Marcinek u Szczerbów nowiusieńki kożuch i przechował go w jakiejś dziurawej wierzbie.

Zakłopotany Szczerba udał się znowu po radę do Wojciecha, a gdy mu tenże tak samo szczęśliwie wywróżył, gdzie ma swego kożucha szukać, znowu nie małą za to otrzymał nagrodę.

Ale jak każde oszukaństwo, tak i to fałszywe wróżenie nie mogło się długo udawać. Dlatego też zdarzyło się, że gdy znowu jednej nocy Marcinek wyprowadzał Mróczkowi spasionego wieprza, narobił tenże wielkiego kwiku, domownicy się pobudzili, i Marcinek został złapany. Z wielkiego strachu, i nie mając już innego sposobu aby się wykręcić, wyznał Marcinek szczerą prawdę, za co go Mróczek wolno puścił. Piorunem rozniosła się ta sprawka po całej wsi, każdy kipiał od złości na Dudziarza wróżbitę, i przemyśliwał nad tem, jakby się jemu za to wszystko odpłacić. Kiedy tak we wsi tajemnie nad Dudziarzem radzą, zajechał znowu do niego nad wieczorem Maciej Bilka z Rulowa, i zaczyna go prosić, aby mu był łaskaw powiedzieć, jaka też temu przyczyna, że w jego domu, co go sobie dawniej wybudował, jakoś mu się nie szczęści, że mu dzieci umierają, że mu bydło ginie, i inne jeszcze nieszczęścia się dzieją. A trzeba wam wiedzieć, że Maciej był już uprzedzony o wszystkich sprawkach Dudziarza, bo zajechawszy przed karczmę w Senatowie, dowiedział się o tem od tamtejszych gospodarzy, którzy go prosili, aby im zaraz dał znać, jaką odpowiedź na swoje zapytania od proroka dostanie. Wysłuchawszy Wojciech wszystkie skargi Macieja Bilki, zaczął znowu coś długo przewracać w swojej proroczej xiędze, a na koniec rzecze: Złeście miejsce wybrali kochany Macieju na waszą chałupę; bo zaraz koło niej na prawym rogu od północy leży w ziemi kość człowiecza, czarną szmatą obwinięta i czarną nicią obwiązana. Dla tego też kręcą się koło waszej chałupy nieczyste duchy i upiory, i różne wam psoty wyrabiają, i dopóty to wszystko nie ustanie, dopóki ta czarna kość ztamtąd się nie wykopie i na cmentarzu nie zagrzebie. Jeżeli więc chcecie, to pojadę jutro z wami na miejsce, a dzisiaj muszę się do tego przygotować, bo to będzie nie lada sprawa z duchami. Został się więc Maciej na noc u Wojciecha, a raniuteńko mieli oba pojechać do Rulowa. Gdy się już dobrze zmierzchło, a Maciej już niby chrapał na ławie, a tymczasem

na wszystko dobrze uważał, co się koło niego działo, wyszedł Wojciech na palcach z chałupy i niebawem przyniósł ze sobą jakąś wielką kość, zapewne z jakiegoś zdechłego bydlęcia, i obwinął ją czarną szmatą, obwiązał czarną nicią i schowawszy ją sobie za obraz, udał się także na spoczynek. Gdy Maciej zauważał, że Wojciech spi jak zabity, wstał po cichu z ławy, wyjął tę czarną kość z po za obraza, i uciekł z nią prosto do karczmy. Tutaj opowiedział rzecz całą przed zgromadzonymi gospodarzami, a ci zaczęli się naradzać, jakby to sobie z Wojciechem postąpić. Za poradą Macieja przebrało się kilku co najtęższych chłopów w białe prześcieradla, w powywracane kożuchy, i udając nibyto duchów, udali się około północy do mieszkania Dudziarza. Tutaj porwali go spiącego na ręce, i niosą z wielkim śmiechem i hałasem do karczmy. Zbudziwszy się Dudziarz, myślał już na pewne, że go owe złe duchy niosą do piekła za to, że ich chciał z Maciejowego obejścia wypędzić. Kiedy już owe mniemane duchy stanęły przed karczmą, gdzie się już przy miesięcznej nocy cała wieś zebrała, położyli naszego wróżbitę na ziemię, związali mu ręce i nogi, i zaczęli go ową czarną kością na wszystkie boki okładać. Już tam każdy miał coś na Dudziarza napiętego, i starał mu się to kułakiem, to kijem, to nareszcie bodaj nogą oddać za swoje, i kto wie coby się z naszym wróżem stało, gdyby nie pan leśniczy, co mieszkał niedaleko, usłyszawszy ten krzyk wyprosił go od dalszej kary. Od tego czasu nikt już nie wierzył Wojciechowi, i wszyscy mieli go za oszusta. Także już mu się nie wiodło, wszystko marniało, bo na wszystkiem była krzywda ludzka. Wojciech ze zmartwienia rozchorował się, a niebawem zmarł nawet.

Po nieboszczyku Dudziarzu została się tylko jego szesnastoletnia córka Marynia. Śliczna to była czarnobrewa, jak łania, a jak się tylko gdzie na targu lub jarmarku ukazała, to nietylko wiejscy, ale i miejscy za nią się oglądali i daremnie ślinkę połykali, bo Marynia była już Marcinkowi zaręczoną. Po śmierci więc Wojciecha siedział Marcinek z Marynią na wiarę, odkładając zawsze ślub na ten czas, gdy żałoba wyjdzie po ojcu. Jednakże i rok minął, a Marcinek zwlekał zawsze wesele

z dnia na dzień, a tymczasem sprzedawał potajemnie dobytek i co tylko mógł, aż nareszcie w jesieni tak wyniszczył Marysię, że jej nie zostawił nic więcej, jeno maleńkie dziecię przy piersiach i cztery nagie ściany, a sam uciekł gdzieś w świat za oczy i przepadł bez słychu i dychu, jakby kamień w wodę rzucił. Od tego czasu zaczęła Marysia z wielkiej rozpaczy zaglądać do kieliszka, a kiedy jeno sobie tego niewdzięcznego Marcinka przypomniała, to tak ją coś w środku gryzło, i póty nie miała spokoju, dopóki tego robaka nie zalała. A że to przytem młodość jej i cudna uroda wszystkich biła w oczy, to też zaczęli do niej parobcy chodzić na wieczornice, a ponieważ ona na wszystkich była łaskawa, to tak się chłopcy do niej znęcili, żebyś ich nawet kijem nie odpędził, i aż wstydno mi powiedzieć, na jaką hańbę Marysię sprowadzili.

Sześć lat skończy się niezadługo, jak Dudziarz umarł; majątek jego jak przyszedł tak poszedł, a córka jego żyje dotychczas w wielkiej niesławie. Co się ludzie nie starali, aby ją naprowadzić na drogą dobrą, ale wszystko nic nie pomogło, bo widać że już tak Pan Bóg sam chciał, aby pokaranie za ojcowe winy spadło i na nią.

Ano bracia kochani macie znowu jeden przykład, jak to niejeden was za nos potrafi wodzić, a nikt temu nie winien jeno wy sami, że mało jeszcze macie rozumu, a nie chcecie się niczego nauczyć. Nie jest że to wstyd, hańba i pośmiewisko ludzkie, że ze wszystkich tych, co się po radę do Wojciecha udawali, żaden nie umiał czytać, aby się mógł dokumentnie przekonać, co tam w tej proroczej xiążce stało napisano. Każdy wybałuszył jeno oczy, otworzył gębę z podziwu, i słuchał tych banialuk, co mu je Wojciech plótł ni do ładu ni do składu. Już tam prędzej czy poźniej takie oszukaństwo na wierzch wyjść musi, ale zawsze lepiej samemu mieć tyle rozumu, aby się lada komu nie dawać tumanić.

Jacenty z Magierowa.

Pisanie Franciszka Kantora i Jana Załuchy
gospodarzy ze Szynwałdu.

Obaj ci gospodarze przysłali pismo do Dzwonka, które im dobry pan jeden napisał, bo oni pisać nie umieją, i proszą bardzo aby w Dzwonku wydrukować cosik o tem pisaniu dla przestrogi wszystkim gospodarzom, komornikom, parobkom i ludziom wiejskim. Zaś cała sprawa jest taka.

Franciszek Kantor i Jan Załucha byli gospodarzami w Szynwałdzie, która wieś jest w obwodzie tarnowskim, a o niej pisaliśmy wam niedawno w Dzwonku. Obaj mieli się dość dobrze, a choć i biedy nie brakło, to jakoś ratowali się uczciwym zarobkiem, i głodu ani nędzy nie było u nich. Aż tu na wiosną dowiedzieli się, że jakiś obcy pan w Tarnowie zamawia ludzi do Warszawy, że im obiecuje piękne bardzo gospodarstwa i zarobki, byle jeno z nim jechali tam. Otoż ci gospodarze złakomili się na jego zamawianie, i myśląc sobie że im tam daleko lepiej będzie niż tu, ugodzili się z nim że pojadą. „Odradzał nam — piszą oni — xiądz proboszcz, odradzali i panowie różni, powiadając że on nas tylko tumani ten zawołoka jakiś, ale coż kiedy to u nas tak jest, że jakci co powie xiądz albo pan dziedzic, to ty myślisz że ci na opak radzi a chce twojej zguby, i lada zwijacz ma więcej wiary, jak człek uczciwy. Dopierośmy teraz w naszej biedzie poznali, jak to jest źle nie dawać wiary swoim panom i xiędzom, a słuchać lada przywołoki, co nas buntuje albo do czego podmawia.“

Tak piszą ci gospodarze w swoim liście, a dalej opisują, jakie ich różne spotkały nieszczęścia. Kiedy się już ugodzili z owym obcym, więc sprzedali swoje gospodarstwa i wszystko, a potem żeleźnicą pojechali z nim i z żonami i dziećmi aż do Warszawy. A pierw jeszcze spisali kontrakty z onym zwijaczem, i wedle tych kontraktów mieli oni wszystko dostać co im obiecywał. Więc byli pewni swego i tak zajechali do Warszawy. Zaś ztamtąd powieziono ich i wielu innych co się także dali zbałamucić, żydowskiemi brykami do wsi Żarnówki, gdzie jest panem jakiś niby Moskalisko, bo człek nieuczciwy. Tam zamiast obiecanek kazano im po trzy rodzin mieszkać w jednej starej chałupie, i dano im po morgowi pola tak kamienistego, że z niem nic nie można było zrobić. Oni pokazują mu kontrakta, a ten powiada, że on z nimi żadnego kontraktu nie robił, więc im nic więcej nie da. Poszli na skargę do urzędu, a tam urzęda moskiewskie, więc tylko ich po moskiewsku zwymyślał gubernator, nazwał cyganami, i nawet chciał kazać bić kijami, bo to u Moskali rzecz zwykła a okrócieństw siła.

Otoż tak biedacy ci zostali bez wszystkiego, i jeszcze ich pan nie chciał puścić, aż mu zapłacą za drogę, co za nich płacił na żeleźnicy i indziej. Jak żebracy przyszli nazad do Warszawy, a tam ledwie im dobrzy panowie polscy troszkę mogą pomódz, zaś na wielką biedę zeszli. Co wzięli za sprzedane gospodarstwo, tego już nie ma, i dziś nic nie mają. Przeto im bardzo żal, że się tak dali otumanić i zeszli na biedę, więc chcąc dać przestrogę innym ludziom i braciom, prosili pana jednego polskiego w Warszawie, aby to dokumentnie opisał co oni mu powiedzą, i żeby to wydrukować, aby się o tem ludzie dowiedzieli. Zaś tak prosili, aby napisać do wszystkich: „Słuchajcie dobrych ludzi, co was przestrzegają, czy taki człowiek ma surdut albo sukmanę na grzbiecie, to wszystko jedno, bośmy wszyscy bracia i dzieci jednej ziemi polskiej. Zaś nie słuchajcie przywłoków obcych, którzy was namawiają do złego, do bałamuctw różnych. Pilnujcie swojej ziemi co was żywi i pamiętajcie sobie na nas biednych włóczęgów bez chleba, bez dachu, obdartych, głodnych, z żonami i temi biednemi dziatkami, co się plączą światem i mrą głodem.“

Tak piszą owi dwaj gospodarze, których niejeden z was będzie znał, zaś najwięcej ci, co mieszkają w Szynwałdzie i okolicy. Pisanie ich jest bardzo długie, więc nie mogliśmy całego wydrukować, ale wydrukowaliśmy co najważniejsze sprawy. Otoż macie przykład, jak to źle zabawiać się włóczęgą, i słuchać złych namów. Bo jużci niedobra to rzecz, aby wyprzedawać się z tego gospodarstwa i z tej ziemi, na której się człek urodził, i gdzie leżą ojcowie zmarli. Taka ziemia jest święta, i każdy powinien się jej trzymać przez całe życie, i bronić jej przed złym człowiekiem.

Zaś druga rzecz jest, aby słuchać mądrych i uczciwych ludzi a nie słuchać bałamutów. Toćto xiądz dobrodziej jest osoba święta, i taki grzesznej rzeczy nie powie ani złej rady nie da. Zaś pan dziedzic tylko dobrze może radzić, bo na coż jemu ludzi bałamucić, kiedy on sam z bałamuctw tylkoby miał krzywdę. Każdy się przekona, że to jest prawda i rzecz dobra, aby xięży i panów słuchać, i że oni dobrze zawsze radzą. Nie wierzyli temu obaj gospodarze owi ze Szynwałdu, a teraz przekonali się, ale coż kiedy już za pożno. Pamiętajcież dobrze, abyście zawczasu słuchali, i abyście potem nie wyrzucali sobie tak jak ci obaj, żeście dobrej rady nie słuchali a jeno bałamuctw.

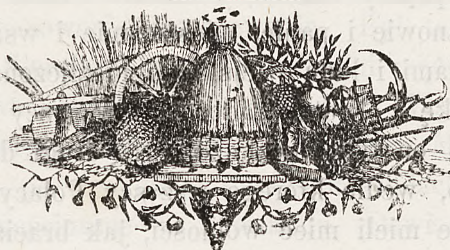
Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.

Tom VII. Nr. 17.

11. Grudnia. 1862.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

TADEUSZ KOŚCIUSZKO.

Czytaliście już o drugiem rozerwaniu Polski, widzieliście jaka to była rzecz okrótna i niegodziwa. Moskale i Prusacy nawiedli do Polski wojska mnóstwo, uciskali naród straszliwie, tak że już ostatnia bieda przychodziła na naszą ojczyznę. Wszyscy widzieli, że to tak długo nie może być, że naród nie wytrzyma takiej krzywdy i takiej hańby. Jęli więc Polacy przemyśliwać nad tem, jakby to zaradzić biedzie. Radzili nad tem owi zacni panowie, którzy ułożyli sławną konstytucyę Trzeciego Maja i wszyscy zgodzili się, że tylko jeden Tadeusz Kościuszko potrafi ratować Polskę.

Tadeusz Kościuszko był jenerał polski, a o nim mieliście już nieraz pisanie w Dzwonku. Kiedy po konstytucyi Trzeciego Maja zaczął Moskal i Prusak czepiać się i napastować Polskę, pobił ich nawet Kościuszko, ale potem z innymi musiał wyjechać za granicę. Tam ciągle nad tem myślał, jakby kraj polski ratować, i przekonał się, że to można uczynić tylko tym sposobem, jeżeli lud wiejski razem z panami i z mieszczanami bić będą wrogów. Owoż kiedy go Polacy prosili, aby od Moskali obronił kraj, usłuchał ich i powrócił nazad do Polski.

Przyjechał najpierw do Krakowa, a było to w marcu roku pańskiego 1794, więc będzie temu niebawem siedmdziesiąt lat. Dzień był piękny bardzo, i mnóstwo ludu wyszło naprzeciw. Wyszli panowie i panie, mieszczanie i wszyscy xięża, cechy z chorągwiami i ludu wiejskiego niezliczona moc. Wszyscy witali Kościuszkę z okrótną radością i wszyscy obiecali słuchać go i czynić co on tylko rozkaże. Na drugi dzień wydał Kościuszko prawo, wedle którego wszyscy Polacy mieli być równymi i jednakie mieli mieć wolności, jak bracia; więc panowie i wieśniacy i mieszczanie. Zaś lud wiejski miał mieć wszystkie wolności, tak jak mu je chciała dać konstytucya Trzeciego Maja. A potem rozkazał Kościuszko, aby każdy człek dobry, który ma chęć bronić ojczyznę, szedł do niego, i każdy niech bierze broń i staje w szeregu, pan obok kmiecia i kmieć obok mieszczana, a ten dopiero będzie lepszy, który się więcej zasłuży. Zaś aby pokazać, iż on sam, choć najwyższy jenerał i naczelnik, ma się za równego z kmiećmi, wdział na się chłopską sukmanę krakowską, i w niej zawsze już chodził.

Wnet siła ludu różnego, najbardziej młodych, zaczęło się zbiegać do Krakowa i do wojska przystawać. Kto miał broń, szedł z bronią, zaś kto jej nie miał, co się często między ludem wiejskim zdarzało, ten brał kosę wyostrzoną albo pikę, i szedł na Moskali. Tym sposobem uformowały się pułki kosynierów i Krakusów, który lud był bardzo dzielny. Kiedy już była dobra garść tego wojska, siadł Kościuszko na konia i prowadził ich na Moskali. Kawał drogi od Krakowa jest wieś Racławice, gdzie spotkano ogromną moc Moskali. Rzecze Kościuszko do swych żołnierzy: ano bracia ruszmy się na nich. Skoczą Krakusy, i z kosami jeno a z pikami nakłóli moc okrótną Moskali i pobili ich srodze, a nawet odebrali im broń i armaty. Tak dzielnie umie bić kmieć polski. Najbardziej zaś zasłużył się pod Racławicami pewien kmieć pospolity, Głowacki, który sam jeden armatę odebrał. Tego Kościuszko uściskał i ucałował przed całem wojskiem i starszym go nawet uczynił. Była ta bitwa dnia czwartego miesiąca kwietnia, poczem zaczęli Moskale uciekać w okrótnym strachu.

Ci Moskale siedzieli naonczas z wielką siłą w Warszawie, uciskając bardzo naród wszystek. Był w tem mieście pewien szewc Jan Kiliński, człek dzielny i poczciwy, któremu strasznie zmierziło się panowanie moskiewskie. Był tam także pewien rzeźnik Józef Sierakowski, i inni dzielni mężowie, którzy postanowili ratować Warszawę i ojczyznę. Właśnie temi czasy nadchodziły święta wielkanocne, a niecnoty Moskale chcieli w sobotę wielką po rezurekcyi lud po kościołach wyrznąć, aby nie pomagał Kościuszce w powstaniu. Dowiedział się o tem Kiliński, więc zebrał co znaczniejszych mieszczan na radę i postanowili, aby w wielki czwartek precz wygnać Moskwę z Warszawy. Rankiem tego dnia, który był siedmnasty miesiąca kwietnia, jął lud warszawski bić Moskali. Na ulicach sroga wojna się wszczęła. Moskwa siłę wojska miała, więc broni i wszystkiego. Zaś lud polski czem mógł tem się bił, czasem kijem, pałką, lub narzędziem jakimbądź. Mimoto pobito Moskali i precz ich z miasta wygnano, a Wielkanoc z wielką radością obchodzono, bo już nie było nieprzyjaciela. Więc i Kilińskiego szewca wszyscy za takie rycerstwo bardzo pokochali, a Kościuszko uczynił go pułkownikiem wojska polskiego.

Wnet potem zaczęto powstawać w Litwie, gdzie Moskali wygnał za pomocą ludu z Wilna pewien Jakób Jasiński, wojskowy polski. Potem ze wszech stron zebrało się wojsko i lud zbrojny do Kościuszki, który ruszył się do Warszawy, a ztąd chciał iść na Moskwę, aby ją ostatecznie pobić i Polskę oswobodzić.

Naonczas wysłała carowa przeciw Kościuszce wojsko ogromne, które spotkało Polaków pod wsią Maciejowicami, a ta jest niedaleko Warszawy. Zaczęto bitwę, a choć Moskwy było znacznie więcej, bronili się mężnie Polacy. Naostatek pobito ich i samego Kościuszkę srodze zraniono, i innych zacnych mężów, których Moskale do niewoli wzięli. Wielkie to nieszczęście stało się dnia 10 października.

Potem już nie mogli dać sobie radę biedni Polacy. Wnet oprócz Moskwy wpadli Prusacy wielką siłą, i wojska austryackie do Polski weszły. Bronili się Polacy jeszcze czas niejaki, aż dopóki Moskale Warszawy nie zajęli. Wtedy nie

było już co robić. Kogo nie zabito, ten wracał do domu jeśli mógł, zaś wielu poszło w świat daleki, do Francyi i do innych krajów, niektórzy aż za morze, kędy synowie ich do dziś dnia tęsknią za ojczystym krajem.

Zaś trzy mocarstwa one, rosyjskie, pruskie i austryackie, podzieliły się ostatkiem ziemi polskiej, tak iż ani kęsa wolnej ziemi nie zostawili. Stało się to na drugi rok po wojnie Kościuszkowskiej, więc roku pańskiego 1795.

Wiejski kramarz.

Niechaj będzie pochwalony!
Z towarem przychodzę:
Mam różności z różnej strony,
Sprzedaję po drodze.
Będęż próżno tyle drogi
Dźwigał towar mój ubogi?
Kupcie, kupcie — jak Bóg żywy
Mazur ja poczciwy.

Jak widzicie, z łaski nieba,
Są wstążki, korale:
Każdy kupi co mu trzeba
I nie drogo wcale.
Miejcie wzgląd na trudy moje,
Bóg odpłaci wam we dwoje.
Kupcie, kupcie — jak Bóg żywy
Mazur ja poczciwy.

Oj! dalekoć moja chatka,
Daleko rodzina:
Dawno, dawno ojciec, matka
Wyglądają syna.
Ktoż ich wspierać będzie w nędzy?
Muszę wracać — kupcie prędzej!
Kupcie, kupcie — jak Bóg żywy
Mazur ja poczciwy.

X G.

Przybyło dnia na kurzą stopę.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Tak przywitał swego ukochanego Dobrodzieja xiędza

proboszcza stary Tomasz Sikora, wchodząc do pierwszej izby na plebanii.

— Na wieki wieków! — odrzekł xiądz proboszcz — jak się macie Tomaszu, cóż tam we wsi nowego?

— Ej nic ta złego nie słychać, dziękując Panu Jezusowi — rzecze Tomasz — śnieg nam spadł, przymrozki nastały, to też i ludek zaraz zdrowszy; a te niemoce, co mało wiele zaczęły ludzi napadać, jak wiadomo Dobrodziejowi, boć i moja była zaniemogła, tylko jej te ziółka od Dobrodzieja dużo pomogły; otóż mówię, i te niemocy ustały, tylko za to już człek musi teraz więcej w chałupie siedzieć, a jak przyjdzie święta niedziela, albo inny jakowy dzień świąteczny, toby się człeku znudziło, żeby nie łaska Dobrodzieja, co nam różne rzeczy daje czytać, z czego ludzie okrutnie radzi, i radzi czytają. — Otoż też odniosłem ja Dobrodziejowi ostatnie dwa Dzwonki, a może też łaska Dobrodzieja nastąpi, jeszcze też dać co mało wiele do czytania? — A bez urazy xiędza proboszcza, nie ma też tych nowin, com ich tu kilka razy od Jegomości Dobrodzieja dostawał; za tem straszecznie lud ciągnie, jak i teraz, to jaki taki ciekaw, co się w świecie dzieje. A zkądże się dowie, nie każdy śmie tak często do Jegomości, albo do dworu się przykrzyć, aby się o jakowej rzeczy dowiedzieć.

— Mój kochany — rzekł xiądz proboszcz — takich nowin ze świata teraz nie dostajemy dla was, ale da Pan Bóg doczekać, jak się znów sejmy zbiorą w kraju, to i nowiny będą pewno drukowane, ale tymczasem dam ci swarną xiążeczkę, co się zwie „Ludzie z pod słomianej strzechy.“

— Oj to to, proszę Dobrodzieja, bo ja już o tej xiążce mało wiele słyszał, że to tu cudności w niej wypisane — bo ją Walek z kądsik z miasta dostał, to się jej nie mógł nachwalić, i nagadać o niej nie mógł. A idą też i święta, to jaki taki przyjdzie, i będzie słuchał, i dzień nawet też mało wiele od św. Łucyi będzie większy, przybędzie go jak to mówią na kurzą stopę.

— Na kurzą stopę, to nie wiele, prawda Tomaszu? — spytał ze śmiechem Dobrodziej — ale jak że ty myślisz, mówił dalej, co to znaczy ta przypowiastka na kurzą stopę?

— A jużcić proszę Dobrodzieja, ja myślę że to niby tak odrobinkę dnia przybędzie, jak na to mówiąc na kurzą stopkę. i że to do tego taka przygadka.

— Nie mój kochany — rzekł xiądz proboszcz — to nie takową rzecz znaczy, ta kurza stopka, tylko widać od czego innego ta przygadka powstała; a ponieważ wiem, że ty o naszych dawnych polskich historyach wiedzieć lubisz, to ci o tej kurzej stopce w krótkości opowiem. To tak jest :

Bywasz w Krakowie prawda, i wiesz gdzie ten wspaniały zamek stoi, w którym to wszyscy nasi polscy królowie leżą — i gdzie to taki wielki okrutny dzwon, co się Zygmunt zowie, co aże 24 ludzi go rozruszać mogą.

— O wiem proszę Dobrodzieja — powie Tomasz — nawet łońskiego roku, jakem był jakiemuś tam jegomości furę drzewa zawiózł, to jakiś taki był dobry, że mnie zaprowadził do kościoła, i śliczności mi tam pokazywał. Widziałem trumnę świętego Stanisława, co stoi w samym środku kościoła ze szczerego śrebra, i nawet proszę jegomości pokazał mi w grobach naszych umarłych królów polskich.

— Otoż widzicie — mówi xiądz proboszcz — w tym zamku królewskim, jak przed laty polscy królowie mieszkali, była wielka moc pokoi, bo jużcić gdzieżby się króle i dworscy byli mieścili; zaś jedna izba między wszystkiemi, gdzieś tam w samem środeczku, była taka okrągłutka i taką niby formę miała, jakby kurza stopka, i tak ją też przezwali, i nijak potem tej izby nikt nie zwał, tylko kurzą stopką. Mówią także, że nasza świątobliwa królowa Jadwiga okrutnie lubiła w tej izbie przesiadywać.

Otoż jak się rzekło, że ten tam pokój jest w środku zamku między murami, choć w nim jest kilka okien, to tak jakoś do niego z niskąd słonko nie zajrzy, tylko dopiero oto w tej porze koło świętej Łucyi, kiedy parę minut dnia przybywa, to dziwnym jakimś trafunkiem, słonko w jedno okienko do tej izby zaglądnie. A że to dworscy królewscy byli przez kilka lat zauważyli, że tylko wtedy słonko do tej izby zagląda, to zwykli byli między sobą mawiać: „o już przybywa dnia, bo już przybyło na kurzą stopę;“ i tak to potem takie przysłowie się zro-

biło, że dnia przybyło na kurzą stopkę. No i do dziś ta przypowieść tak jest, i wszyscy ją powtarzają, ale i setny nie wie, dlaczego to, i zkąd ta przypowieść urosła. Kto lubi czytać nasze dawne dzieje polskie, to się wszystkiego dowie i zrozumie wiele rzeczy, które dawniej ani rusz nie chciały mu wejść do głowy.

— O prześlicznie też Jegomości dziękuję za tę gadkę — odrzekł Tomasz — o tej kurzej stopie; jużto prawda i prawda, że się człek do samej starości ma co uczyć i nigdy jeszcze nie będzie wiedział wszystkiego. Okrótniem rad, żem się o tej rzeczy dowiedział, bo ją też i w chałupie i sąsiadom rozpowiem. A teraz gdyć się już zmierzchać poczyna, to dziękuję pokornie i do stóp Dobrodzieja się schylam.

— Idźcie z Panem Jezusem Tomaszu, a pozdrówcie swoich odemnie — mówił mu xiądz proboszcz.

— Do nóg upadam Jegomości Dobrodziejowi.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Ludka z Myślenic.

POGADANKA GOSPODARSKA.

Drugie pisanie wójta Antka Kujawiaka.

W pierwszą niedzielę po mojej podróży do Miłkowa po szkło, zebrało się kilku sąsiadów do mnie, a ja im opowiedziałem jak się to szkło robi, a dalej opowiedziałem im pogadankę moją z mieszczanem Oleszyckim.

Na to odezwał się Hryć Kibało: już to trza przyznać, że to piękna okolica te Oleszyce. Co to tam za piękny ogród i jak to wszystkie gościńce od dawna drzewem obsadzone, a drogi proste kiejby strzelił.

— Na co to drzewa — odezwie się Mikoła Zadworniak — one tylko cień robią i zboże pod niemi nie rośnie.

— Ot pleciesz — mówi stary Kibało — cóż tam na tem zależy, że masz pół snopka mniej, przezto nie zubożejesz; ale słyszałem od mądrych ludzi, że drzewa nad drogami wstrzy-

mują burze i zboże się nie tak powali jak gdyby drzew nie było; a potem mają one zasłaniać także od wielkiej spiekoty, że w czasie posuchy nie tak wypala; i grad ma takie pola omijać. Ale mniejsza i z tem; baczmy tylko na to: że kiedy jedziesz w zimie w zawierzuchę śniegową, że oka otworzyć nie możesz, albo w noc ciemną, to przecież nie zabłąkasz się, ale trafisz do wsi.

— Ha jużcić świętą prawdę mówisz Kibało — mówię ja na to — bo opowiem wam, co mi mój ojciec nieboszczyk, Panie świeć jego duszy, opowiadali. Będzie temu już lat wiele, bo ojciec jeszcze byli młodym parobczakiem. Wysłano go gdzieś w daleką drogę, a jechał saniami, bo były wielkie śniegi. Zajechał on tam szczęśliwie; ale gdy wracał, napada go wielka burza przed samym wieczorem; śnieg zasypuje drogę, zasypuje oczy, tak że musiał się położyć na sanie i spuścić się na wolę Bożą i na koniska, gdzie go zawleką. Jedzie a jedzie, a tu wiatr wyje i śnieg miecie, nic słychać nigdzie głosu ludzkiego, ani nawet szczekania psa. Nareszcie się ściemniło, i burza też ustała, tylko śnieg padał z góry. Ha jedzie w imię Boże; widzi obok jakieś góry, z drugiego boku równinę i znowu góry, a przecież miarkuje sobie, że jak dotąd jechał, żadnych gór nie było tylko same równiny. Niedługo pokazuje mu się ślad sani po śniegu. Jedzie więc za tym śladem, a ślad pokazuje się coraz lepszy. Jako człowiek młody był nieco zabobonny, a więc nabiło mu się do głowy, że to pewnie północ, a o północy jak to nieraz stara Paraszka opowiadała, mają duchy swoje wędrówki odbywać. Był już mocno zziąbł, ale na tę myśl, jeszcze dreszcz zimny go przeszedł; patrzy — a tu obok na pagórku stoi duch.

— Co duch? — krzyknie Mikoła Zadworniak z przerażeniem.

— Mówię wam duch z rękami, nogami, głową, i to w białej koszuli.

— A przecież sami mówicie wójcie że duchów niema — odrzeknie mi Mikoła.

— Ależ bo poczekajcie jeno dalej — a nie przeszkadzajcie mi. Otóż w tem miejscu ślad już dosyć wyraźny drogi skręcał

się ku sobie, a tak mój ojciec zacina szkapięta i pędzi dalej co może, a już z zimna gorąco mu się robiło. Ujechał tak może z pół mili, a tu znowu podobny duch stoi. Odwraca twarz od tego miejsca, a żegna się, a mówi pacierze jakich się tylko nauczył, a pędzi co może. Ba — za pół godziny jazdy — duch stoi; a ojcu już pot po całem ciele występuje. Odjechał tedy tęgi kawał, stanął, założył koniskom siana, i już tak modląc się chce czekać aż do świtu. Niezadługo też gdzieś blisko za górką koguty pieją i psy się odzywają; byłby rad jechał ku tej stronie, ale boi się ducha, jakiego tam widział; a więc położył się na saniach, okrył się dobrze, bo mu znowu zimno się zrobiło, i zasnął. Nie wiem jak długo spał; dosyć, że mu się ciągle o duchach śniło, że go gonią, że ręce do niego wyciągają, i że jeden już skoczył na sanie i chwyta go za kołnierz. „Jezus Marya!“ krzyknie i budzi się, a tu już bielusieńki dzień; przy saniach zaś stoi jakiś poczciwy chłopek, któren go w samej rzeczy za kołnierz szarpał i obudził. — Ta człeku co ty tu na stawie popasasz, toż masz pod nosem mieścinę. — O moiściewy stoi tam jeszcze ten duch? — A jaki duch? chyba ci się przyśniło. — Oj nie przyśniło mój człeku, widziałem ich kilku z rękami, nogami i w białych koszulkach. — Cóż wam mam więcej opowiadać — dosyć że mój ojciec przetarłszy sobie oczy, obejrzawszy się po okolicy i wypytawszy się o wszystko poczciwego chłopka, dowiedział się: że przy wczorajszej burzy zboczył o dwie mile z drogi, że zajechał na jakiś wielki staw zamarznięty i śniegiem zasypany. Po tym stawie jeździł prawie całą noc na około swoim własnym śladem i takim sposobem robił sobie coraz lepszy ślad. Zaś ów duch była to figura kamienna biała świętego Jana, która stała na końcu stawu na wzgórku. Jużcić skoro jeździł na około stawu, musiał się zawsze zdybywać z tą figurą, którą miał za ducha; a że mu się zdawało, iż jedzie jakąś drogą zawsze prosto, to też myślał, że co pół godziny pokazuje mu się inny duch. — Gdyby był około tej figury skręcił zaraz od siebie, byłby zajechał za kilka minut do mieściny, która zaraz za górką leżała; ale on brał się ku sobie, za swoim śladem zawsze znowu na staw. Był ci tam zaraz za figurą gościniec prowadzący pro-

sto do mieściny, ale że był zawiany śniegiem a przytem noc, więc go niewidział. Otoż widzicie jak to potrzebne są drzewa przy drogach i gościńcach. Gdyby bowiem były drzewa, nie byłby mój ojciec zboczył z drogi Bóg wie którędy na jakiś staw; a potem gdyby przynajmniej był ów gościniec za figurą wysadzony, tożby był zajechał do mieściny pomiędzy ludzi i nie byłby się błąkał po jakimś stawie całusieńką noc.

— Ha — mówi na to Kibało — miał jeszcze niemieckie szczęście, że staw był zamarznięty dobrze — bo byłby koniska, sanie, i sam siebie mógł zatopić na wieki, żeby go ludzkie oko nie widziało.

— I to prawda — rzeknę ja — ale czemuż to nazywać niemieckiem szczęściem?

— Alboście to nie słyszeli — odpowie Kibało — że jak Niemiec spadnie z dachu i rękę złamie, to powie drugi: ma szczęście, że się na śmierć nie zabił.

— O takiem niemieckiem szczęściu opowiem ja wam — rzeknie Zadworniak. Przed kilku laty odwoziłem jakiegoś pana het tam za Sambor. Było to w poźnej jesieni, błocisko wielkie, a noce tak ciemne, że oko wykol. Jadąc dotąd, nocowaliśmy zawsze po miastach, bo ugodziłem się tak, że ten pan opłacał postajenne i obrok; ale z powrotem nocowało się po wsiach, bo to mniej kosztowało, a człek chciał z zarobionego grosza jak najwięcej do domu przywieść. Naraił mi także jakiś poczciwy człowiek, ażebym opuścił gościniec, i jechał mniejszą drogą, bo tam bliżej Już się dobrze ściemniło, i deszcz zaczął też padać, gdym zajechał do jakiejś wioseczyny. Zajeżdżam do karczmy, niema miejsca, bo arendarz miał w stajni swoje bydło i inne graty: siana mi także odprzedać nie chciał, bo go nie miał. Ale mówi jeden gospodarz: ot jedźcie człeku pół mili dalej, tam znajdziecie karczmę dobrą, i siano i owies i droga niemylna. Jadę tedy w deszcz i noc ciemną, wjeżdżam pomiędzy krzaki, droga kamienista, nierówna; aż tu wóz się chyżo przewraca i ja leżę w błocie. Podnoszę wóz, macam po ziemi, za drogą — ba — drogi niema. Myślę sobie: otoż masz niemieckie szczęście. Nawracam do tej wioski, z której jadę — drogi nie ma; zajeżdżam na jakiś moczar, koniska zapadają po ko-

lana, nie ma rady, trza znowu wracać. Jadę więc pod jakąś dosyć przykrą górkę, znowu pomiędzy krzaki i błąkam się dosyć długo, aż tu naraz koniska stają. Krzyknę wio! konie ani rusz, uderzam biczem, konie się cofają. Cóż to tam za nowa bieda, myślę sobie, i idę ostrożnie i macam i patrzę: a — na rany boskie! toż to stoję nad okropnem urwiskiem, a pod spodem głęboko widać wielką rzekę. Cofam czemprędzej koniska, całuję je z radości, że one więcej rozumu miały jak ja, bo jeden krok jeszcze, a byłyby konie, wóz, a może i ja na zawsze przepadły, ani moja biedna Jewka i matusia nie byliby się o mnie dowiedzieli. Stałem więc na deszczu całą noc, przemokłem do nitki, aż dopiero jak się rozwidniło: zajechałem do tej wsi, w której miałem nocować.

— A cóż nie było to niemieckie szczęście? — zapytał Zadworniak.

— Ha jużcić, było i wielkie — odpowiem mu — i nie dosyć na tem, ale ja pamiętam, jakeś to potem zachorował z przeziębienia i kilka miesięcy się wyleżał; a cóż to turbacyj miała nasza pani z tobą, co ci doktora sprowadzała i za leki płaciła.

— Oj prawda, niech jej tam Pan Jezus wynagrodzi, chodzili koło mnie, jak koło własnego dziecka — odpowie Mikoła.

— A przecież mówisz, że drzewo przy drogach niepotrzebne, bo cień robi i zboże nie rośnie.

— Ha jużcić prawda panie Wojciechu — rzeknie Mikoła — bo gdyby ta drożyna była wysadzona drzewem, nie byłbym jej zgubił, nie byłbym się po nocy błąkał, i jeszcze ledwie nie siebie z końmi i wozem w tej okropnej przepaści zatopił.

— Otoż tedy widzicie moi sąsiedzi — rzeknę ja — musimy się koniecznie o to starać, ażeby nasze drogi były obsadzone drzewkami.

— Dobrze to mówicie panie wójcie, aby obsadzić — mówi Mikoła — ale czem obsadzić? i jak utrzymać? Pan nam dał raz brzeziny młodej z lasu — więc zasadziliśmy — jedno połamali źli i swawolni ludzie, drugie połamało bydło; pan też widzi, że to na nic, nie chce już brzeziny dawać — a my jak wiecie, nie mamy drzewek, chyba tych kilka wiszni w ogródku.

— Słuchajcie co wam powiem — rzeknę ja — brzezina do dróg niezdatna, bo już to, że się rzadko kiedy przyjmie, a ma też koronę dużą, którą w samej rzeczy pole zacienia. Do dróg najlepsze są topole, bo one rosną prosto w górę i nie mają korony; a do takich topoli łatwo przyjść możem. Niechby każden z nas z dworskich topoli urżnął sobie kilka porosłych gałązek — niech je posadzi w jakim kąciku pomiędzy budynkami, oczyszcza i oplewia je, a będzie miał za rok lub za dwa piękne drzewka do zasadzenia około drogi na swoim gruncie. Topol bowiem wyrośnie bez korzenia z lada gałązki, taksamo jak wierżba, i rośnie bardzo szybko. Otoż taką topolkę opalikować i opleść jeszcze pole chrustem; przytem nakazać ostro dzieciakom, ażeby bydło od nich odwracali, i ukarać ich przykładnie, gdyby które drzewko uszkodziło; na obcych i swawolników zaś niech każden z nas uważa, wszak wiecie, że za uszkodzenie drzewka przy drodze stoi 3 reńskich kary w prawie; gdy więc tego wszyscy będziem pilnowali, zobaczycie, że będziem mieli drogi wysadzone, i że każdy nas za to pochwali. Musicie także o tem wiedzieć, że drzewko młode jest to nieprzymierzając jak małe dziecko, które ciągle pielęgnować trzeba, dopóki nie wyrośnie. Pewnieście nieraz widzieli, że drzewko schnie u góry, a zaś u dołu albo z ziemi wypuszcza gałązki; i nie baczyliście na to. Otoż na to trza zawsze baczyć przez całe lato: jak tylko wypuszcza latorośle z ziemi, albo gałązki od spodu do środka, a nie urznie się ich nożykiem przy samej korze, to niezadługo korona zacznie schnąć, i drzewko zniszczeje. Widzę ja, jak drzewka sadzą po innych wsiach, to szkoda tylko tej roboty, bo dołek wykopie na sztych: koronę zostawi mu całką; gałązek na środku nawet nie poobcina, a więc takie drzewko przyjąć się nie może.

Trzeba wykopać dół obszerny i na łokieć głęboki — potem wierzchnią urodzajną ziemię wsypać pod spód; na to zasadzić drzewko, obsypać i udeptać mocno. Zarazem zakopać trzy albo cztery pale; do jednego uwiązać drzewko wicią; gałązki poobcinać tak, aby tylko mała korona została, i tę koronę jeszcze u wierzchu przyciąć; takim sposobem drzewko pewnie się przyjmie.

— Bóg zapłać wójcie za wasze opowiadania — odpowiedzieli mi wszyscy — my się chętnie na to piszemy, rozkażcie tylko gromadzie, aby tak zrobiła, jak mówicie; bo jużto na nas się nie poskarzycie. Zostańcie z Bogiem, bo już czas do domu. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Piękne przykłady.

List Mikołaja Rogi, włościanina z Żabiniec.

Napisał do mnie Mikołaj taki list:

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Wyczytałem w Dzwonku, w tomie szóstym, w numerze czwartym na stronie sześćdziesiątej trzeciej, że w starym Krakowie mają naprawiać nagrobek naszego króla Kazimierza Wielkiego. A ktożby się miał najlepiej do tego przyczynić, jeżeli nie my chłopi? Wszakże to był król chłopków, nasz największy opiekun i ojciec! Więc ludzie polskiej ziemi powinni do tego się przyczynić. Więc i ja ubogi wieśniak, wyczytawszy to, postanowiłem sobie szczerze przyczynić się maleńkim i bardzo skromnym datkiem, takim ile moja kieszeń pozwala, bo i ja chcę pokazać światu, że i po pięćset latach kocham naszego króla Kazimierza Wielkiego.

Mikołaj Roga,
włościanin z Żabiniec.

W liście tym przysłał Mikołaj 20 krajcarów nowych. Otoż dziekuję ja jemu serdecznie za dobrą chęć i za jego datek; zaś pieniądze odeszlę zaraz do Krakowa tym zacnym xiężom dobrodziejom i panom, którzy zbierają pieniądze na odnowienie nagrobku naszego króla Kazimierza Wielkiego. I niech pan Bóg nagrodzi Mikołajowi jego dobre serce i jego pamięć na zacnego króla kmieci, który tak bardzo kochał cały lud wiejski, i tak go miał w opiece jak żaden inny.

Zaś list ten wydrukowałem tutaj na dobry przykład wszystkim ludziom wiejskim. Biedny Roga przysłał 20 krajcarów, a czyż to tylko on jeden z polskich kmieci będzie pamiętał o polskim królu. Insza rzecz jest, kiedy kto niema; taki dać nie

może, i niech się tylko pomodli za duszę naszego króla polskiego, a już dość uczynił. Zaś są i ludzie bogatsi, którzy mają dość i mogliby dać niejeden grosz, a tacy powinni to uczynić, aby wedle przykazania bożego pokazać wdzięczność swoją dla dobrego króla. Miły Boże! toć to nie każdy nawet wię, co on winien królowi Kazimierzowi. Nie każdy czytał o nim, jaki to był pan dobry, jaki zacny i miłosierny, jak lud wiejski kochał, jak dobrze jemu czynił, w czasie głodu własnym chlebem karmił, a takie mu dawał wolności i dobrodziejstwa, o jakich dziś nie słychać. Zaś mówiąc szczerą prawdę, to wszyscy królowie polscy byli zacni i najbardziej dla ludu wiejskiego łaskawi, ale już król Kazimierz Wielki najwięcej. Za to należy jemu wdzięczność, a może też pan Bóg i chce przekonać się o wdzięczności ludu polskiego, aby mu znowu dać takie dobre czasy, jak za polskich królów były. O moiściewy kochani, toż tylko prosić pana Boga o takie czasy, toć tylko prosić go o zmiłowanie nad narodem naszym i naszą polską ojczyzną, która tak szczęśliwą była za polskich królów.

Więc kto będzie miał dobrą chęć i kto będzie mógł, niech także przyszle kilka groszy, a my o każdym takim wydrukujemy w Dzwonku. Zaś najlepszy sposób będzie teraz, kiedy będziecie przysyłać pieniądze na nowy Dzwonek od Nowego roku, więc kto będzie mógł dodać i na naprawę nagrobku króla Kazimierza, to razem przyszle.

Nowy Kalendarz dla Ludu Polskiego.

Wydrukowano teraz piękny Kalendarz dla ludzi wiejskich i dla rzemieślników, który będzie na cały rok 1863. Jest to ładna xiążeczka. Najpierw jest zwykły kalendarz, gdzie każdy dzień w roku zapisany, i każdy święty Pański, zaś i święta wszystkie, kiedy i jak mają następować. Dalej są tam wierszyki ładne, i różne opowiadania i nauki, a także porady gospodarskie. Zaś ta piękna xiążeczka, bo i obrazków jest w niej nie mało, kosztuje tylko 45 centów, i można ją kupić w każdej xięgarni. Dla pokazania, jakie tam są piękne rzeczy, wy-

drukujemy wam tu poradę o przechowaniu kartofli na zimę, o której tak stoi napisano w kalendarzu:

Dzięki Panu Jezusowi i Panience Najświętszej, która naszą ziemię polską w szczególnej ma opiece, nie słychać od paru lat z żadnej strony, żeby się ziemniaki psuły. Zaprzeszłego roku słabowały one trochę, przeszłego były zdrowsze, wielkie i smaczne.

Nie sztuka to wykopać, nie sztuka też i zjeść, zwłaszcza jeśli masz sól, a trafi się i okrasa; ale skoro zjeść od razu nie można, to sztuka jest przechować ziemniaki tak przez zimę, coby się nie popsuły. Podawano wam już nieraz kochani bracia rady, jak sobie w takim razie postępować, ale widząc jak wy sobie w tem ciągle źle radzicie, pomyślałem, że to nie zaszkodzi opisać wam jeszcze raz szeroko, jakto ziemniaki przez zimę przechowywać należy, żeby były zdrowe i ani od deszczów nie zgniły, ani od mrozów nie zmarzły. Owoż się trafia między wami najczęściej, że zasypujecie ziemniaki do dołów, co jak świat światem nigdy nie jest dobrem, a przeciwnie bardzo szkodliwem być musi; bo żaden dół, choćby na pagórku, nie będzie ci tak suchy, żeby tam wilgoć i woda nie podeszła. A skoro tylko woda podchodzi, a do tego i luftów nie ma, któremiby powietrze dolatywało, a para z ziemniaków uciekła, to muszą ci one zacząć gnić powoli, a jak już gnić zaczną, ho, ho, to już trudna sprawa; nie pomoże Święty Boże, zepsuje ci się wszystko do imienia.

Najlepsze ze wszystkich schowków są piwnice suche, widne i wietrzne, ale że to u nas mili gospodarze rzadko się trafia, więc nie ma też o czem mówić. Lepiej będzie od razu opowiedzieć, jak się ziemniaki w kopce zasypują, i jakie powinny być te kopce.

Otoż kopce są dwojakie, albo mniejsze okrągłe, albo większe podłużne. Podłużne są lepsze, bo je możesz podług ilości ziemniaków, jak ci się podoba urządzić: na 3 lub 4 łokci szerokości, a długość wedle woli; a jak przyjdzie ziemniaki dostawać, to możesz od jednego końca rozpocząwszy, potrosze wyjmować i na nowo zakładać, podczas gdy przy okrągłych naraz tylko całą ilość kartofli wyjąć można.

Chcąc taki kopiec urządzić, trzeba najprzód wybrać ziemi do dwunastu cali głębokości, tak żeby na pokrycie całego kopca wystarczała. Jeżeli jest grunt suchy i czysty, to od razu sypać można, lepiej atoli podłożyć nieco równej słomy, która się przynajmniej do połowy po za krawędź wykopanego dołku wysuwa; te wystające końce można tymczasem gdy ziemniaki sypać wypadnie, deskami poprzyciskać, a potem usypawszy już ziemniaki coraz wyżej ku górze, zdejmiesz deski, podnosisz owe końce słomy, okrywając kopiec, który też i z góry słomą jak daszkiem obłożyć należy. Poczem obrzucasz cały wykopaną ziemią, gniotąc z lekka łopatą, a dajesz na to baczność, że skoro przyjdą mrozy, to drugie tyle ziemi przywieść i dopiero nią po drugi raz kopiec obrzucać trzeba.

Jeżeli wykopiesz ziemniaki przy suchej i ciepłej pogodzie, a nie ma na nich prawie żadnej ziemi, to pamiętaj nie sypać je w wielką gromadą do piwnicy, zwłaszcza jeżeli jeszcze na dworze wciąż ciepło; bo gdy przytem w lochu przeciągu powietrza nie ma, a niektóre ze ziemniaków trochę poranione i wielką leżą kupą, to ci pewnie zgnilizna i zepsucie nie zadługo się w nie wkradnie.

Na to samo trza mieć baczność przy sypaniu ziemniaków w kopce. Owoż należy w kopcach od góry jeden lub kilka otworów zostawić, ale tak z wierzchu słomą zakrytych, coby tylko niemi powietrze sobie hulało, a deszcz nie zacinał; za najbliższym mrozem zatyka się te lufty, otwierając je znowu, gdy ciepła odwilż nastąpi.

Niech Bóg broni sypać wraz ze zdrowemi zmarznięte ziemniaki, kilka takich może ci cały kopiec zepsuć. Lepiej też gdy przypadkiem kopanie ziemniaków za długo w jesień się przeciągnie, kiedy już przymrozki nad ranem się trafiają, aby te przymrozki cierpliwie przeczekać i w ciepłym czasie kopać, lub też co najlepiej pospieszyć się z kopaniem.

Oto są główne potrzeby zdrowego przezimowania ziemniaków. Przeczytajcież je sobie uważnie i róbcie jak napisano, a pewnie wam to na dobre wyjdzie.

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.

Tom VII. Nr. 18.

21. Grudnia. 1862.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Po trzeciem rozerwaniu Polski nie było już ani kęsa wolnej ziemi polskiej. Naród był bardzo nieszczęśliwy, bo uciskali go Niemcy i Moskale, a nie miał ani swoich własnych królów, ani swojego prawa i sprawiedliwości. Takie nieszczęście nie mogło trwać długo. Owoż wnet przekonały się wszystkie narody i wszyscy królowie, że bez Polski nie będzie dobrego porządku na świecie, i że tak nie może zostać. Więc niebawem utworzono mały kraj polski, który zwał się Xięstwo Warszawskie, a miał osobnego monarchę, bo król Stanisław August już był umarł, i rząd swój miał ten kraj i wojsko polskie. I tak znowu było kilka lat. Naonczas poznali wszyscy, że to jest za mało, i że Polacy potrzebują większego kraju, bo im się tak należy. Więc znowu dodano do Xięstwa Warszawskiego inne ziemie polskie, i tak było Królestwo Polskie. To królestwo jest do dziś dnia, ale jeszcze nie takie, jak się Polakom należy. Królem polskim jest zawsze car moskiewski, a ten jużci nie jest taki dobry jak dawni królowie polscy, za których cały naród polski był szczęśliwy. Zaś pewna rzecz, iż tak zawsze nie będzie, ale że się wszystko odmieni na lepsze. Jak to bę-

dzie dalej, tego jeszcze nikt nie wie, i tylko sam Bóg wie o tem dobrze, i w jego ręku jest szczęście polskiego narodu. To pewna, że Polacy zawsze byli ludzie nabożni i uczciwi, że nieraz walczyli ciężko i umierali za chwałę Boską i za świętą wiarę, a przeto mieli zawsze łaskę u Pana Boga i u Najświętszej Panny Marji, która jest zawsze i była Polską Królową. Toć nie przepadną oni nigdy, i choć im nieraz źle się dzieje, więc tylko na spróbowanie, czy będą pamiętali o Panu Bogu i wierzyli w jego opiekę. Zaś my wszyscy ludzie polscy tak czynimy, i mamy wiarę w łaskę Bożą, i mamy miłość między sobą jak bracia, i zawsze prosimy Pana Boga i modlimy się do niego za naszą polską ojczyznę. I kto tylko jest dobrym Polakiem, niech tak czyni, i niech będzie człek uczciwy i pracowity, i niech miłuje braci polskich panów i chłopów jednakowo, i niech modli się za ojczyznę do Pana Boga. A tym sposobem odmieni się wszystko na lepsze, i Pan Bóg nie pożałuje nam dać takiego szczęścia i dobra, jakie było za dawnych polskich czasów i za królów polskich.

Zaś aby każdy człek polski dobrze poznał, jak się to działo za dawnych polskich czasów, będziemy wam opowiadać w Dzwonku różne ciekawe historye z onych czasów, a najbardziej jak to żyli podonczas ludzie wiejscy, i jak im się działo. Także o inszych sprawach i ludziach polskich będziemy wam opowiadać historye, a was prosimy, abyście je pięknie a uważnie czytywali, i abyście z tego dobry pożytek mieli, a nauczyli się jeszcze lepiej kochać tę świętą ziemię polską, której króluje Najświętsza Panna Matka Boska. A teraz oddaję was Panu Bogu. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Co to znaczy Adwent?

We wsi Kuliszna jest szkoła setnie piękna. Tamto jest lud pobożny i dbały o chwałę Bożą i o swoje dobro, dla tego złożyli gospodarze począwszy od bogacza aż do ostatniego komornika sumkę ładną na szkołę i oddali ją przy swoim xiędzu w ręce swego dziedzica, aby miał nauczyciel z czego uczciwie żyć i pilnować ich dzieci, by się to maleństwo nie zmarnowało,

ale aby znało Boga i nauczyło się, jak to trza żyć uczciwie, aby tu za życia i po śmierci nie zagubić swej duszy. Sprowadzili sobie gospodarze nauczyciela aż z Krakowa i jest tam teraz w tej szkole do stu dzieci różnego wieku, co sobie siedzą na ławeczkach i ledwo im głowy widać, jakby nieprzymierzając makówki na zagonie. Otoż między temi szkolnemi dziećmi jest tam jeden chłopaczek Jaś Kostruń, zawsze uczesany i czysto ubrany, bo też matka jego Anna Kostruniowa dba o niego, i nie puściłaby go z domu, gdyby na dziecku było coś podartego lub niewypranego. Ten Jaś jest pilny, pierwszy przychodzi co dzień do szkoły, i wychodzi ostatni, a czyta na każdej xiążce aż się dusza raduje, a jak zaśpiewa cieniutkim głosikiem jaką pieśń, to aż miło posłuchać. Dałci mu też raz xiądz jedną xiążeczkę aż z Warszawy, aby sobie czytał w domu i aby też i ojcowie przysłuchali się co nieco, jak to tam na dalekim świecie robią ludzie i jak chwalą Pana Jezusa i Najświętszą Pannę. Otoż czytał sobie Jaś i raz naznaczył sobie kartkę, bo nie rozumiał tam wszystkiego, a gdy przyszedł raniutko do kościoła, aby posłużyć xiędzu do mszy świętej, zaraz też po mszy zapytał się xiędza:

— Mój Jegomość! co to znaczy Adwent święty, co tu w tej xiążce stoi drukowane wielkiemi literami na samym przodzie?

Xiądz. Widzisz Jasiu, to słowo drukowane nie możesz wyrozumieć, bo to słowo nie polskie jeno łacińskie. Adwent znaczy na polskie przyjście albo przychodzenie jakie.

Jaś. A ktoż to przyjdzie do nas i o kim to mowa w tej xiążce?

Xiądz. To mowa o Panu Jezusie, jakieś się uczył w katechizmie o tem.

Jaś. Aha! to wiem już, jak to się narodził Pan Jezus w Betleem z Najświętszej Panny, i jak to tam przyszli biedni pastuszkowie z różnemi darami i spiewali kolędy rozmaite, a potem przyjechali trzej królowie i udarowali Pana Jezusa drogiemi podarunkami, a Najświętsza Panna cieszyła się ze świętym Józefem z tego, bo ona była tam w tej szopce bardzo biedną i nie miała nawet czem przykryć Paną Jezusa, który dy-

*

gotał od zimna, a ci pastuszkowie zmiłowali się nad biednemi, bo to powinien zawsze zmiłować się jeden nad drugim w biedzie.

Xiądz. Dobrze sobie pamiętasz Jasiu naukę z katechizmu, pamiętajże sobie na całe życie, abyś nigdy nie mijał biednego bez jałmużny, abyś zawsze sam odwidził biednego w jego domu ubogim i udarował go, czem jeno możesz, abyś każdego poratował w nieszczęściu, jak to zrobili pastuszkowie i trzej królowie biednemu Panu Jezusowi i Najświętszej Pannie w stajence Betleemskiej.

Jaś. I na coż to, proszę Jegomości, ten Adwent święty?

Xiądz. Otoż uważasz Jasiu! ten Adwent święty czyli na polskie to przyjście znaczy, jak to przyszedł z wysokiego nieba Syn Boży od Ojca Niebieskiego na biedną ziemię, jak to narodził się ten Syn Boży jako maleńkie dziecię, jak potem urosł między grzesznymi ludźmi i zmiłował się nad ich biedą i począł ich nauczać, jak mają żyć, co mają robić, aby im tu było dobrze, a po śmierci aby poszli do nieba tam het! nad gwiazdy i słoneczko, gdzie mieszka sam Bóg z Najświętszą Panną, Aniołami i wszystkimi Świętymi.

Jaś. Aha! to Adwent oznacza pamiątkę dawną, że na ten świat przyszedł z wysokiego nieba Syn Boży, co go zowiemy Panem Jezusem, a który to robił cuda przeróżne i potem umarł na górze Kalwaryi koło Jerozolimy na krzyżu świętym dla naszego zbawienia. Toć ja wiem już z katechizmu dawno, bo nas tego Jegomość dawno uczyli.

Xiądz. A jużci wiesz, jak to sam powiadasz, jeno mój Jasiu pamiętaj sobie, abyś tak żył i robił, jak to nauczał kiedyś Pan Jezus i jak tego samego podziśdzień nauczają po szkołach xięża i nauczyciele was dzieci, a znowu w kościele uczą xięża wszystkich starych i młodych co święto i co niedziela. Pamiętaj sobie Jasiu, abyś ty drugich nauczał potem tego wszystkiego, co słyszysz tu w szkole i w kościele, bo to zły ten człek, co jemu daje Pan Jezus rozum a duch święty oświeca go na dobre, a on jeno dla siebie to chowa, a jak widzi drugiego głupiego, to go jeno wyśmieje i obgada, a nie chce go na dobrą drogę naprowadzić. Dajesz ubogiemu chleb, gdy mu

się jeść chce, dajesz mu okrycie, gdy od zimna dygoce, to naucz także głupiego, co ty sam wiesz, a zawsze na dobre i na zbawienie jego duszy, bo tak robił i Pan Jezus jak podrósł — a jak trza, to umrzyj za drugiego, aby jego dusza poszła do wysokiego nieba, a za jego duszą pójdzie i twoja dusza prościutko do Pana Jezusa.

Jaś. Jabym rad to zrobić jak mię Jegomość nauczają — jeno niech mi teraz Jegomość powiedzą jeszcze, dla czego to Adwent trwa aż 4 niedziel i co tydzień mamy 3 dni postu?

Xiądz. Widzisz mój Jasiu, uczyłem cię historyi biblijnej i wiesz, jak to Bóg wygnał z Raju grzesznego Adama, i że go nigdy nie opuszczał, choć on był grzeszny, że mu obiecał zesłać z nieba Zbawiciela i to obiecał także Abrahamowi, jeno oni nie mieli się doczekać tego Zbawiciela sami, ale aż gdzieś za bardzo wiele lat ich wnuki. I tak grzeszyli ludzie rozmaicie za czasów Lota, co ich Bóg pokarał za to siarczystym ogniem z Nieba i zapadli się w ziemię; grzeszyli za Noego, co ich znowu Bóg wytopił do jednego; grzeszyli potem strasznie, że już zapomnieli o Bogu i robili sobie rozmaite bożki, a za to napadali na nich poganie, palili im domy, zabijali dzieci, a samych ojców brali do okrutnej niewoli jakby jakie barany — i tak przeszło dobre cztery tysiące lat, dopóki się nie narodził Pan Jezus.

A Jaś zawołał zaraz:

— To to na to Adwent przez 4 niedziel, że od Adama aż do Narodzenia Pana Jezusa uszło aż cztery tysiące lat — aha! ale na cóż to te 3 dni postu?

Xiądz. Bo widzisz mój Jasiu: Pan Jezus przyszedł już raz na ziemię i nauczył ludzi, jak mają robić, ale ten sam Pan Jezus przyjdzie jeszcze drugi raz z nieba na sąd ostateczny, aby osądzić życie ludzi i nagrodzić dobrym, a złych ukarać. Ludzie też mają gotować się na ten sąd straszny przez żal i pokutę za grzechy, jeźli mają grzechy na sobie; otoż ten post w Adwencie to nito pokuta i skrucha za grzechy nasze, a niewolno też i wesel sprawiać i grać po domach i karczmach, bo takie zabawy nie powinny być między ludźmi, kiedy oni pokutują za co i chcą się pojednać z Bogiem.

Jaś. To już teraz wiem wszystko o Adwencie, jeno niech mi Jegomość opowiedzą z łaski, na co to te Roraty do dnia w Adwencie.

Xiądz. Widzisz Jasiu, to słowo Roraty jest tak po łacinie jak i Adwent, to nie po polsku te słowa. Co znaczy Adwent, to już wiesz; a Roraty zowie się ta msza święta, co ją xięża odprawiają do dnia w Adwencie.

Jaś. A na coż to odprawia się ta msza święta do dnia w Adwencie?

Xiądz. To nam przypomina, jak to przed narodzeniem Pana Jezusa było źle na świecie. Jak w nocy wszystko złe wyłazi i broi swoje, tak i wtedy byli ludzie ciemni, nie znali Boga, żyli jak bydlęta, a kto Boga nie zna i znać nie chce, kto żyje źle i robi grzechy jakie, to tego dusza jest ciemna, ona nie widzi ani Boga, ani nieba, ani sądu Bożego — człowiek zły i niepoprawny nie zobaczy Boga ani Aniołów ani chwały niebieskiej, jeno zaginie na wieki bez wspomnienia dobrego. Otoż to nabożeństwo w nocy przypomina nam, jak to robili ludzie źle przed narodzeniem Pana Jezusa i poginęli marnie, ale i nas naucza, abyśmy tak nie robili teraz jak tamci nieboracy, boć my mamy naukę Pana Jezusa, mamy kościoły, kapłanów i szkoły i starszych, aby nas prowadzili jak się patrzy, abyśmy się nie wstydzili naszego życia czy to z nocy, czy z dnia, czy z święta, czy z dnia powszedniego, ale byśmy stanęli na sądzie Bożym tak czyści jak Anieli, ale nie czarni jak złe duchy.

Jaś. A dla czego to zowie się to nabożeństwo Roratami?

Xiądz. Widzisz Jasiu! nigdy Bóg dobry nie opuszcza najgorszego człeka aż do skonu ostatniego, jeno mu pomaga do poprawy i upamiętania. Otoż tak było i w tamte czasy! Dla złych ludzi dawał Bóg pobożnych proroków, nito kapłanów, którzy gadali, nauczali, a nieraz i płakali, jak ich zli ludzie nie chcieli posłuchać na dobre. I okropnie też karał Bóg ludzi za takie nieposłuszeństwo!

Otoż jeden taki pobożny prorok Izajasz, co to żył jakie 500 lat przed narodzeniem Pana Jezusa, modlił się gorąco do Boga i śpiewał:

— Spuśćcie nam rosę niebiosa! obłoki dajcie nam Sprawiedliwego! Otwórz się ziemio i daj nam już raz Zbawiciela!

I xiądz też dziś przy mszy świętej w Adwencie dodnia modli się tak samo, a gdy ta msza święta zaczyna się od tego słowa łacińskiego: Rorate t. j. Spuśćcie rosę niebiosa! to też to nabożeństwo adwentowe dodnia zowie się Roratami.

Jaś. No! teraz to już sobie miarkuję i pamiętam dobrze, co to Adwent, na co to ten Adwent, na co takie nabożeństwo w Adwencie, i zaraz sobie odczytam to samo z tej xiążeczki, co to mam od Jegomości, i opowiem też to wszystko w domu moim ojcom i braciom i siostrom.

Xiądz. Ale mój Jasiu! jeszcze nie będziesz wiedział jednej ciekawej rzeczy; to jest: kiedyto nastało u nas w polskich krajach to nabożeństwo? Widzisz! jużto temu jakie 600 lat, jak to nabożeństwo jest w polskich krajach. Dawno bardzo dawno odprawiał w Rzymie sam Ojciec święty stacye w kościele Najświętszej Panny zawsze w Niedzielę Adwentową; bywało na tych stacyach bardzo dużo ludzi, potem miał Ojciec święty Roraty i błogosławił po mszy ludzi. Ale pobożni Polacy, jak jeno się dowiedzieli o takiem nabożeństwie u Ojca świętego, zaraz tam poszli i wyprosili sobie pozwolenie na to nabożeństwo.

Od tych czasów mamy też to nabożeństwo w naszych polskich kościołach i odprawiamy go zwykle przed ołtarzem Najświętszej Panny, jako Matki Pana Jezusa, który się narodził i nas grzesznych odkupił, a na sądny dzień znowu przyjdzie, aby sądzić ludzi za ich uczynki, słowa i myśli. Przy ołtarzu na Roraty stawia się wyżej jeszcze jedna świeca i ta świeca oznacza Najświętszą Pannę, jakby gwiazdę niebieską, co nam porodziła Zbawiciela i jest królową nad króle i anioły, a dla naszej polskiej ziemi jest najwyższą królową i najpierwszą patronką. Widzisz mój Jasiu! jacyto pobożni byli dawniej Polacy, kiedy sobie aż od Ojca świętego wyprosili to nabożeństwo i nigdzie też xięża nie odprawiają tego nabożeństwa w Adwencie, jeno sami nasi polscy xięża. Ale kiedy umiesz już dobrze czytać i potrafisz sobie już i napisać, to daruję ci

nową kolendę, abyś się nauczył na pamięć i zaśpiewał ją z drugimi chłopcami, jak pójdziecie, da Bóg doczekać, po kolendzie.

Xiądz Wojciech z Medyki.

KOLENDA.

Boscy posłowie! o święci Anieli!
Od was nam przyszła z nieba ta nowina:
Że w stajeneczce na biednej pościeli,
Panna powiła nam Bożego syna:
My się dziś biedni radujemy z wami,
Że się zmiłował Bóg nad grzesznikami.

Biedni pastuszki! pobożni prostacy!
Wyście Aniołom pierwsi uwierzyli,
Chociaż byliście najwięksi biedacy,
Pierwsi do szopki z darami przybyli.
Jak wy Jezuska witali ze łzami,
Tak my biedacy witamy go z wami.

Od Wschodu mędrce, królowie bogaci!
Wyście Jezusem biednym nie wzgardzili,
Wyście w pastuszkach poznali swych braci,
I razem z nimi Bogu się skłonili.
Jak wy Jezusa czcili z pastuszkami,
Tak my go czcimy dzisiaj wszyscy z wami.

Wy dobrej woli ludzie na tej ziemi,
Co macie w sercu Jezusa małego,
Co uznajecie słowami waszemi,
Każdego człeka za bliźniego swego,
Śpiewajcie dzisiaj z nami biedakami,
Że Bóg okazał łaskę nad ludami!

My wszyscy ludzie mądrzy i prostacy,
Mali, wysocy, biedni i bogaci!
My dziś w Jezusie równi i jednacy
Kochać się mamy jako rodnych braci!
Razem śpiewajmy i jeden Bóg nad nami,
On naszym Ojcem, my jego synami!

Cieszmy się bracia na tej polskiej ziemi!
Niech znikną kłótnie między rodzinami!
Jak dawniej między Ojcami naszemi
Tak dziś niech będzie miłość między nami,
Tobie zaś Jezu! chwała nad chwałami,
Niech ci brzmi dzisiaj tysiąca ustami.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Nieużyty Błażej.

Jeżeli ochota posłuchajcie, mili czytelnicy, o przypadku, jaki spotkał pewnego wieśniaka Błażeja za jego nieużytość.

Było to w dzień Wszystkich Świętych po południu, kiedy poszedłem w odwiedziny do mojego sąsiada Stanisława.

Jużcić do karczmy nie pójdę, bo nie jestem chwała Bogu łyktusem, a już od lat sześciu ani w ustach nie miałem gorzałczyska, i tak dopomoż Panie Boże wytrzymać do końca życia! I muzyki też nie lubię — wolę oto iść do Stanisława i pogwarzyć sobie o dawnych czasach: o gościnności, pracowitości i pobożności przodków naszych; dowiedzieć się o jakich nowościach, albo przeczytać z nim piękną xiążkę jaką. Ma ich Stanisław dzięki Bogu dosyć do czytania, bo nie skąpi grosika na rzeczy, które pożytek i zabawę przynieść mogą. Zamiast wydać na przebrzydłe gorzałczysko, woli on za te pieniądze kupować jakie pisemka, które sam czyta i sąsiadom pożycza na zbudowanie i rozrywkę.

Znajdziesz u niego Dzwonek, Przyjaciela Ludu, Szkółkę niedzielną, a podobno i Czytelnię niedzielną. Gdy przyjdę do niego, często mi powtarza:

— Mówię wam, kochany Józefie, że już w wolnej chwili nie mogę się oderwać od czytania moich pięknych xiążek. Tak mię coś do nich ciągnie i tak się przy czytaniu ubawię i udobrucham, jak nigdy w mojem życiu, kiedy człowiek przy hulance gorzałczysko spijał. I codzień przybywa rozumu do głowy, lepiej dbam o porządek i gospodarstwo i stokroć chętniej siedzę w domu, gdzie mam teraz wszystko jak należy.

To też i ja zachęcony od Stanisława zamiast gdzie iść na utracenie pieniędzy — sunę cichaczem do niego i tam czytamy sobie swobodnie xiążeczki, czasem miodek własnego wyrobu popijając, jak się go z Dzwonka nauczyliśmy wyrabiać.

Owoż w dzień Wszystkich Świętych czytaliśmy sobie historyą o dawnych czasach. Było tam bardzo piękne opisanie o naszych pradziadach, którzy już za czasów pogańskich, kiedy jeszcze nie znali świętej wiary katolickiej, Jezusa Chrystusa i Najświętszej Panienki — mieli już wielkie cnoty, które teraz naśladować potrzeba, albowiem powoli znikać poczynają. Przedwszystkiem odznaczali się oni gościnnością i każdego do siebie zapraszali częstując tem, co Bóg dał. Gość u nich był w wielkiem poszanowaniu; niczego mu nie odmawiali i każdy gospodarz czuwał nad jego bezpieczeństwem, aby go jakie pokrzywdzenie lub nieszczęście nie spotkało. Dlatego też starszyzna w owych czasach wydała wyrok, że takiego gospodarza, któryby sobie oddanego gościa pokrzywdził lub był przyczyną jego niedoli, ukarać należy znacznie. I tak czyniono zawsze!

— Mój Boże! — przemówił Stanisław — jakże się dzisiaj czasy zmieniły! Ktoż teraz wesprze lub uczęstuje gościa, kiedy sąsiadowi nikt nic nie użyczy. Wiele mamy takich przykładów, a najnowszy na Błażeju, za co go też Pan Bóg ukarał.

— No, i coż się stało z Błażejem? — zapytałem ciekawie.

— To wy nic nie wiecie, mój Józefie, co tego niegodziwca spotkało? — odpowiedział Stanisław.

— A nie, zkądżebym wiedział — odrzekłem.

— Ha, jeżeli nie wiecie, to wam opowiem na przestrogę całe zdarzenie, kiedy się o tem zgadało! — I jął mi tak opowiadać:

— Będzie temu kilka miesięcy, gdy do Błażeja przyszedł ubogi ale poczciwy sąsiad jego Tomasz prosić o pożyczenie pieniędzy.

— Bóg z wami, Błażeju! — przemówił wszedłszy do izby.

— Witajcie, miły Tomaszu! — odpowie Błażej z szyderczym uśmiechem poglądając na niego. — Już kopę lat nie widzieliśmy się ze sobą; siadajcie sobie a powiedzcie co nowego!

— Ej nie wiem ja żadnej nowiny, przyszedłem tylko z prośbą do was — mówił nieśmiało.

— A to z jaką? — spytał Błażej wyłupiwszy oczy.

— Wiem, żeście zamożni — powiada Tomasz — możecie więc dopomódz ubogiemu w przykrem położeniu. Oto zachorowała mi żona i dziecko, potrzebują lekarstwa — a tu ani grosika nie ma w domu. Mam wprawdzie kilka reńskich zapracowanych we dworze, ale państwo wyjechali na długo z domu, a tu i chwila wiele znaczy. Pożyczcie mi mój Błażeju, ja wam potem z podziękowaniem oddam.

— A ileżtoby wam było potrzeba? — zapytał Błażej.

— A choć z pięć reńskich na takie wielkie wydatki — odrzekł Tomasz myśląc, że uprosił bogatego skąpca.

— Ho, ho, ho! — huknie Błażej — a zkądżebym ja wziął tyle pieniędzy; wydałem na potrzeby, nie mogę wam poradzić, idźcie do kogo innego — ze mną trudna sprawa! —

— Ha, więc bądźcie zdrowi — rzecze Tomasz — ale pamiętajcie, że Bóg widzi waszą nieżyczliwość — i poszedł do domu.

— Ależ to dopiero nie dobre serce u tego Błażeja! — rzeknę do Stanisława. — Taki bogacz nie mógłby to był poratować poczciwego Tomasza! Tfu! szkoda, że jest Polakiem, który nigdy tak czynić nie powinien.

— I myślicie, mój Józefie — mówi znowu Stanisław — że się na tem skończyło? Biedny Tomasz nie mając za co kupić lekarstwa, utracił dziecko, tylko żona dzięki Opatrzności Boskiej wyzdrowiała i ma się już lepiej.

— A jakież to pokaranie — zapytałem — spotkało Błażeja? —

— Właśnie chciałem wam o tem opowiedzieć; owoż słuchajcie! Błażej, jak wam wiadomo, handluje wieprzakami, które skupuje i wywozi do Królestwa, gdzie drogo sprzedaje i zbiera wielkie pieniądze. Otoż zdarzyło się, że niedawno pojechał na kupno wziąwszy ze sobą kilka set reńskich. Lecz coż się dzieje! Zgubił w drodze mieszek z pieniądzmi i bez niczego powrócił do domu.

— A widzisz — rzeknie doń żona — nie trzeba to było pożyczyć rzetelnemu Tomaszowi pieniędzy, kiedy ci z pewnością oddać obiecywał? Przez twoją nieużytość zeszło mu dziecko ze świata, a za to ukarał cię Bóg na przestrogę, abyś nadal dopomagał biednym, bo na to dał nam większy od innych dobytek! — Błażej najpierw ofuknął żonę, polamentował, ale w końcu przyrzekł być użyteczniejszym.

— A to wyborna nauka dla nieużytych ludzi! — powiedziałem do Stanisława i podziękowawszy za opowiadanie, pożegnałem go, bo już dobrze pociemniało na dworze.

Zaś długo jeszcze nie mogłem w domu zasnąć, i ciągle mi chodziła po głowie uwaga, jaki to dziś świat zepsuty, i jak to całkiem inni ludzie bywali dawniej. Nie dziwota też, że dawniej lepiej się ludziom działo na świecie, bo dla poczciwych jest zawsze Boska pomoc i opieka. Także zda mi się, że gdyby ludzie dziś zaczęli uczciwiej postępować, i od grzechów różnych odwykli, więc zaraz lepiej byłoby na świecie. Tak mi się zdało, i to też opisałem wam moiściewy na dobry przykład, i teraz zostawiam was z Bogiem.

Józef z Bochni.

Piękne przykłady.

Uczciwy kmieć Wojciech Maj.

Niedaleko Krakowa mieszkał we wsi pewien zacny i pobożny kmieć Jan Wojtach. Był to zaś gospodarz co się zwie, pobożny, trzeźwy i pracowity, a zamożny jak daleko poszukać. Widać było, iż go Pan Bóg osobliwie błogosławił, ależ Wojtuch zasługiwał także na to. Przez czterdzieści lat usługiwał bez wynagrodzenia z dobrej woli w kościele parafialnym, i przez całe życie sprawował się tak uczciwie jak najlepszy chrześcianin. W każdą niedzielę lub święto zapalał i gasił świece na ołtarzach, obchodził z dzwonkiem, szedł z trybularzem, nosił kropielnicę, a nawet Dobrodzieja do mszy świętej ubrać i obsłużyć potrafił. Śpiewy kościelne ze zwyczaju znał doskonale, i niedziwota, bo już pięciu miejscowych plebanów zapamiętał. Zaś kiedy przypadkiem xiądz proboszcz wyjechał w niedzielę,

a nabożeństwo odprawiał przywieziony z miasta xiądz zakonnik, gospodarował Wojtach w zakrystyi na piękne, i Dobrodziejowi potem raport zdawał. Bo choć tam byli organista i grabarz, to xiądz Dobrodziej najlepiej lubił Wojtacha, który doskonale znał się na służbie kościelnej.

Ten Wojtach był także i w życiu swojem długo szczęśliwy, jak się patrzy. Bogaty jak mało gospodarzy, miał uczciwą żonę i dobre dziatki. Było mu dobrze długi czas, aż w końcu znać Pan Bóg zaczął próbować Wojtacha, i zesłał na niego różne nieszczęścia. Powymierały mu dzieci, i została tylko jedna córka Rozalka, którą ojciec wychował pobożnie, a potem wydał za uczciwego kmiecia do drugiej wsi, a ten zwał się Wojciech Maj. I znowu jakiś czas cieszył się zacny Wojtach szczęściem swojej córki, i był choć trochę szczęśliwy.

Aż ci jednego dnia w południe zaczął się okrótny ogień we wsi, i cały dobytek Wojtacha jął się palić. Było to jakoś na wiosnę, ludzie pracowali po polach, ratunku nie było, i tak wszystko spaliło się do kapki. Poczciwy Wojtach został od razu bardzo biednym człowiekiem, bo choć gruntu miał, ale ani dobytku, ani chałupy, a najbardziej że już i zdrowia i sił nie stawało, bo był człek setnie stary i siwy jak gołąb. Zaś ani Panu Bogu się przeciwił, ani wyrzekał na swoje nieszczęście, tylko jako człowiek pobożny oddał się w opiekę Panu Bogu, i zaczął pracować jeszcze pilniej jak pierwej, a w kościele jeszcze nabożniej i częściej usługiwał.

Owoż trza mu było koniecznie zapomogi, bo nie było od czego zacząć pracy. Poszedł więc do bliskiego dworu w drugiej wsi, a iż go tam dobrze znali, więc dostał od pana dziedzica i zboża na zasiew, i pieniędzy na pobudowanie. Także znowu zaczęło mu dobrze rodzić, i gospodarstwo się poprawiło, a niebawem oddał pożyczone pieniądze panu dziedzicowi i zboże a tylko korzec grochu został winien, bo tego nie miał zkąd oddać. Zaś niebawem rozchorzał ciężko, i wnet umarł, a zięć z córką pochowali go, a potem wzięli na się gospodarstwo starego ojca.

Było już ze dwa lat po śmierci Wojtacha, i pan dziedzic zapomniał o grochu, a iż lubił poczciwego Jana, to nieraz zmó-

wił „wieczny odpoczynek“ jego duszy. Zaś jednego dnia meldują panu, iż jakiś kmieć przyszedł po interesie. Pan każe go zawołać, a ten wchodząc rzeknie:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków — odpowie pan — co tam powiecie miły człeku?

Na to odpowie wieśniak:

— Zaś proszę wielmożnego pana, ja jestem Wojciech Maj, zięć Wojtacha; aże tatuś za groch nie zapłacili i pomarli, więc przyniosłem pieniądze pańskie, a także bardzo dziękuję wielmożnemu panu za zapomogę dla tatunia i za poczekanie.

Takito moiściewy uczciwy i rzetelny człowiek ten Wojciech Maj. Jużci piękna to rzecz i sprawiedliwa, aby oddawać zawsze co komu człek winien, a także aby pamiętać o długach ojców, boć kiedy się bierze ojcowską spuściznę, to i ojcowskie długi wziąć na się należy. Także za długi musi odpowiadać dusza ludzka na tamtym świecie, a jeżeli ojcowską duszę dzieci nie wykupią, to kto jej dopomoże? A za poszanowanie pamięci ojcowskiej pewnie Pan Bóg nie pożałuje błogosławieństwa, i każdego będzie błogosławił jak Wojciecha Maja, którego poczciwość niech będzie dla was pięknym przykładem, abyście wszyscy tak samo czynili. *Marcyanna z Krowodży.*

---

2. O kaplicy, którą wyfundował Jan Bochenek, wieśniak.

Piszą wam moiściewy różne piękne przykłady, jak jedni ludzie ratują drugich w biedzie i pomagają im w potrzebie. Jakoż piękna to rzecz, kiedy ludzie pełnią drugie przykazanie Boskie: Będziesz miłował bliźniego twego jak siebie samego. Zaś pięknie jest także, kiedy ludzie słuchają pierwszego przykazania, które mówi: Będziesz miłował Pana Boga Twego ze wszystkich sił, z całej duszy, z całego serca, nadewszystko. — Takich miłośników ma Pan Bóg wielu między nami, jak wam tu na jednym przykładzie opowiem. We wsi Mystkowie w obwodzie Sandeckim, wymurował pewien włościanin Jan Bochenek piękną kaplicę z ołtarzykiem Trójcy Świętej. Nie jestci on zamożny, wszystko co ma zarobił własnemi rękami, jednak ani

kosztów nie żałował, ani się zniechęcił przeróżnemi trudnościami, aby tylko tę kaplicę Panu Bogu na chwałę wystawić. Ozdobił ją we środku żwierciadłami i pięknemi złoconemi obrazami, tak że ledwo gdzie niegdzie ściany widać. Gdy już była gotowa, xiądz proboszcz poszedł po nieszporach z procesyą, żeby ją poświęcić; całą drogę spiewali ludzie nabożne pieśni, aż się dusza radowała. Po ceremonii przemówił xiądz proboszcz bardzo pięknie do fundatora i do ludu, tak że się wszyscy popłakali, a sam fundator drzący ze wzruszenia, zakrył sobie twarz rękami, jakby się wstydził pochwały, i szlochał jak dziecko. Jak tam xiądz proboszcz wszystko mówił, trudno człowiekowi dobrze spamiętać, ale co nieco przypominam sobie jak mówił a to było w taki sens: „Oto to miejsce pustem było, ty go ozdobiłeś bardziej, niż gdybyś był wiele domów wspaniałych postawił, one prędzej by przeminęły niż ten domek Boży, który ciebie i dzieci twoje przetrwa z błogosławieństwem Bożem nad tobą i dziećmi twojemi; bo zamiast zbierać dla nich grosiwo, które się łatwo zmarnuje, które ogień spalić i złodziej wziąć może, zostawisz im dziedzictwo, które nie przemija, bo zostawisz im łaskę Bożą. A ludzie przechodzący tędy czy to do kościoła czy do pracy, pochwalą Pana Boga i pokrzepią się modlitwą w swoich utrapieniach, a ci co idą do karczmy albo w jakiej złej myśli, mijać będą to miejsce. Ta kaplica może przypomni im obecność Boga i powstrzyma od złego.“

Tak moiściewy weźcie sobie ten piękny przykład do serca i pamiętajcie, że kto służy Bogu, o tym i Pan Bóg zawsze pamięta, i tego będzie Bóg strzegł od nieszczęść i niedoli, a błogosławić będzie mu z pewnością. *Br.*

Pisanie do tych, którzy Dzwonek czytają.

Już to moiściewy czwarty rok, jak ten Dzwonek papierowy wydzwania wam różne historye i nauki. Zda mi się, że niejeden z was miał z niego mało wiele pożytku i zabawy, że każdy poznał, jako Dzwonek chciałby wam dać zawsze najlepszą radę

i najlepszą naukę. Tak też będzie i dalej, i taksamo będziemy wam drukować różne piękne i pożyteczne rzeczy. Będziemy drukować różne opowiadania z historyi polskiej, różne powiastki i rady gospodarskie, zaś najbardziej o gospodarstwie będziemy pamiętać, bo to rzecz dla każdego człeka wiejskiego przydatna. Zaś także różne piękne przykłady będziemy drukować, i prosimy też wszystkich pięknie, a najbardziej xięży dobrodziejów, aby nam o każdym takim przykładzie i o każdej ciekawej sprawie donosili, bo tu w mieście nie można wiedzieć o wszystkiem, co się dzieje w kraju. Każdy zaś piękny i zacny uczynek godzien jest, aby go dla przykładu ludziom wydrukować, a tak zachęcać ludzi do dobrego.

Także gdyby kto z was chciał o co zapytać, albo dowiedzieć się o jakiej sprawie, to niech tylko napisze do Lwowa, a ja mu całą odpowiedź dokumentną wydrukuję we Dzwonku, i dowie się o wszystkiem jak mu potrzeba.

Otoż moiściewy, kto chce i dalej odbierać Dzwonek, niechże się prędko o niego postara, i niech zarazem przysyła pieniądze. Więc kto chce na cały rok mieć Dzwonek, niech przyszle **2 nowe reńskie,** *a kto niema tyle odrazu, niech przyszle* **1 nowy reński** *na pół roku, to jest aż do końca czerwca.*

Zaś teraz, kiedy niebawem zacznie się nowy rok, więc życzę wam mili ludzie wszystkiego dobrego, i szczęścia i dostatków wszelakich, a najbardziej błogosławieństwa Bożego. Daj Panie Boże, aby ten nowy rok dla wszystkich był dobry i lepszy od dawnego, aby ziemia chleba nie poskąpiła, a ze wszystkiego aby lepszy był pożytek. Także daj Panie Boże zmiłowanie krajowi naszemu i ojczyznie naszej, a najbardziej opiekę najświętszej Panienki królowej polskiej, bo kiedy cały kraj szczęśliwy, to i ludzie szczęśliwi. Tego ja wam wszystkim życzę serdecznie, a teraz oddaję was Panu Bogu.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.

